

Strony internetowe Roberta Kolebuka

✉ kolebukr@poczta.onet.pl ✉



Okładka wydania IX
z roku 1993.

Okładkę zaprojektowała
Beata Barszczewska Wojda

Tadeusz Nowak

A jak królem, a jak katem będziesz

Kraków 1968
(wyd. I)

Umieszczenie tutaj poniższego tekstu było możliwe tylko dzięki ogromnej pracy pana Stanisława Kulikowskiego, który go zeskanował i wstępnie sformatował. Dziękuję mu za to ogromnie!

Robert Kolebuk

Spis treści

- [Rozdział 1](#)
- [Rozdział 2](#)
- [Rozdział 3](#)
- [Rozdział 4](#)
- [Rozdział 5](#)
- [Rozdział 6](#)
- [Rozdział 7](#)
- [Rozdział 8](#)
- [Rozdział 9](#)
- [Rozdział 10](#)
- [Rozdział 11](#)
- [Rozdział 12](#)
- [Rozdział 13](#)
- [Rozdział 14](#)
- [Rozdział 15](#)
- [Rozdział 16](#)

- [Rozdział 17](#)
- [Rozdział 18](#)
- [Rozdział 19](#)
- [Rozdział 20](#)
- [Rozdział 21](#)
- [Rozdział 22](#)

1

Od paru lat śpiewałem w kościelnym chórze. Wprawdzie wśród chórzystów byłem prawie starym kawalerem, nie dziwiło to jednak nikogo, gdyż głos miałem dźwięczny i czysty, jak hartowane w białej glinie żelazo. Zresztą choćbym nawet chciał odejść z chóru, nie pozwoliłby na to organista. Według niego byłem jedynym człowiekiem w parafii umiejącym śpiewać pieśni wkładane w usta wiszącego na krzyżu Chrystusa, idącego o świcie ze zwiastowaniem archaniola i tego pastucha, który schodząc z judejskich wzgórz, pierwszy ujrzał Betlejemską Gwiazdę.

Może rzeczywiście, tak było. Uważałem jednak, że większa w tym zasługa nowego kamiennego kościoła zbudowanego na zbutwiałym placu po drewnianym kościółku i nowych organów ufundowanych przez naszych z Ameryki. Jakoż nawet pospolity głos, akuraty do nawracania wołów na dworskich polach, umiejętnie podtrzymywany przez organistę, słychać było jak sygnaturkę w najdalszym zakątku kościoła.

Inna rzecz, że jeśli mi się zdarzyło w świąteczne popołudnie usiąść nad rzeką i zaśpiewać, ze wszystkich domów po tamtej stronie wody wychodzili ludzie. Przede wszystkim dziewczęta i kobiety. Powolutku, żeby mnie nie spłoszyć, przemykając się pod sadami i wikliną, schodziły kroczek po krocisku nad rzekę. Tu, nad wodą, siadając w trawie z kolanami podciągniętymi pod brodę, słuchały pogryzając jabłka papierówki i dymne śliwki. A gdy przestawałem śpiewać, nie wołały, nie prosiły o następną piosenkę, tylko rzucały na wodę zielone jabłka i żółte listki ziela pachnącego jak wtulone w sen ciało.

Nie śmiałem im odmówić i śpiewałem dalej, póki nad rzekę nie zeszła kawalerka i stateczni gospodarze tamtej wsi. Wtedy ściągając na tył głowy myckę i podnosząc się z trawy, wchodziłem w trzyletni, zarastający mnie natychmiast, chrust. Pod tym chrustem wrzeszczałem jeszcze na całe gardło jedną z tych obraźliwych przyśpiewek, ułożonych niegdyś zmyślnie o kawalerce z tamtej strony rzeki, i wracałem do domu. Tą obraźliwą przyśpiewką musiałem kończyć śpiewanie nad wodą. Od pewnego bowiem czasu kawalerka, jak również gospodarze z naszej wsi, dokuczali mi, przezywając mnie "kościelną świergotką" tamtych zza rzeki.

Wprawdzie już wtedy nie bardzo mnie obchodziło, jakie przezwisko przyszyje mi wieś, nie było człowieka bez przezwiska, ale ta kościelna

świergotką wyraźnie mnie ubodła. Wołałem już, na razie, póki nie zasłużę na coś godniejszego, żeby mnie wołano "podszczypkim", przezwiskiem mojego rodzica, nadanym mu w czasie kawalerki. Ma się rozumieć, że również to przezwisko nie było mi w smak. Wystrzegałem się też, jak mogłem, zaczepiania dziewcząt, żeby przypadkiem kiedyś razem z ojcowizną nie odziedziczyć i tego przezwiska.

W tajemnicy przed wszystkimi, przed ojcem i przed matką, a nawet przed sobą, przezywałem się "Chytry". Ładnie to brzmiało. Zwłaszcza gdy po młocce leżałem sam na sianie, wiedząc, że wieczorem otrzymam parę złotych za worek pszenicy wyniesionej ukradkiem do sklepiku Kałmy. Ale byłem niemal pewien, że tego przezwiska nie otrzymam nigdy od wsi, albowiem nikt ze wsi nie wiedział i nie mógł wiedzieć, że można mnie tak przezwać. A samemu sobie nie wypadało wymyślać przezwiska. Na to musiał wpaść ktoś ze wsi. Nazywało się to dybaniem na nagusa, ale w cholewach i w czapce z pawim piórem.

Wiedziano, że zanim komuś w rozmowie przytaknę, muszę z nim sporo wódki wypić i jeszcze więcej wyćmić samosiejki. Ale takich we wsi było więcej i nikogo to nie dziwiło. Spostrzeżono także, że zanim na weselu lub na festynie poproszę którąś z dziewczyn do tańca, długo się jej przyglądam, począwszy od sznurowanych do pół łydek trzewików po stanik w sznurach koralu. A jeśli dziewczyna, jej szyk i jej strój, przypadną mi do gustu, zawsze jeszcze spytam kogoś bardziej światłego ode mnie, z jakiego domu pochodzi i jaki posag można za nią dostać. Ale ludzi to też nie dziwiło. Wiedzieli, że jestem jedynakiem z kmiecego rodu i muszę się szanować. Zresztą cała wiejska kawalerka, wyjąwszy dworusów i uchyniętych na umyśle parobków, czyniła to samo co ja.

Przeto nie mogłem oczekiwać od nikogo ze wsi, że pewnego dnia podaruje mi to noszone w sobie w tajemnicy przed wszystkimi przezwisko. Jak już rzekłem, nawet sam się tak nie przezywałem, wyjąwszy rzadkie chwile rozmarzenia, chociaż wiedziałem, że to przezwisko pasuje do mnie jak sprężynowy majcher zatknięty ciasno za cholewę. Oczywiście zdarzało mi się, że idąc spać do stodoły, ogarniany coraz bardziej jej słomianym ciepłem i słomianą drzemką, zapadając się po dziurki w nosie w zwiezione w czerwcu siano, nazywałem się cichutko: - Chytry, Chytry, Chytry. - Ale tak cichutko, żeby nie spłoszyć nawet kuny zadomowionej w stodole i polującej u krokwi na ptaki.

Wtedy, oswojony z przezwiskiem jak z godnością weselnego starosty, przymykając oczy i ciągle słysząc nad sobą i równocześnie w sobie polującą kunę, czułem, jak w moje ciało, począwszy od podłożonych pod potylicę aż do małego palca u lewej nogi, wchodzi sen. A razem z tym snem zjawia się we mnie Jasiek, mój kompan z chóru. Tuż po Jaśku wchodzi do stodoły, w siano, a z tego siana we mnie cały kościelny chór. I zaczyna śpiewać cichutko pastorałkę. Zawsze jedną i tę samą pastorałkę. A ja, w białej koszuli z kołnierzykiem wykładanym na czarny surdut, w boksowych butach z

cholewami, wychodząc przed śpiewający chór, wchodzę na skrzynkę po świecach i mając przed sobą cały kościół w babskich tybetkach, w chłopskich głowach obnażonych i natartych sadłem, zaczynam solówkę wysokim głosem, przypominającym hartowane w białej glinie żelazo. I po chwili słyszę, jak do mojego głosu dołącza się bas Jaśka: - Chytry, Chytry, Chytry.

I nie mam za złe Jaśkowi, że tak przed całym chórem wyśpiewuje to moje przezwisko. Jakoż oprócz mnie jedynie Jasiek, może jeszcze bardziej ode mnie, ma prawo tak mnie przezywać. Właściwie gdyby nie on, nigdy bym się nie domyślił, że mogę się tak przezywać. To on dwa lata temu, gdy tuż przed Bożym Narodzeniem zeszedliśmy z chóru i idąc między ociemniałymi domami, wyszliśmy nad rzekę już na dobre ściegą lodem, zapytał mnie, czy mam ochotę na rosół z kury. A ponieważ szliśmy po rzece ściegą lodem, gdzie wiatr dmie zawsze mocniej, niby przez szeroki rękaw oderwany od kożucha, jak nigdy dotąd zapachniał mi ten rosół z kury.

Nie poszliśmy jednak na kurzy rosół do jego domu. U niego, podobnie jak u mnie, jak zresztą w całej wsi, kur się nie jadało. Kury znosiły jajka. Za jajka kupowało się sól, naftę i zapałki. Gdy kur nazbierało się więcej i nie wydusił ich pomór, lis, tchórz, łasica, a gospodyni trafiła się oszczędna i cierpliwa, wożąc jajka z jarmarku na jarmark i ciułając grosz do grosza, można było kupić po kilku czy też po kilkunastu latach jeszcze jedną krowę, drugiego konia, młynek do wiania zboża, a nawet pół morga. Takie pole nazywało się "palcem wymacane", a jego właściciel "kmiecem spod kurzej pipki". To, jak się rzekło, nie poszliśmy na rosół do Jaśkowych starych.

A gdy przeszliśmy rzekę i wydostaliśmy się z wikliny zasypanej śniegiem po uszy, okazało się, że tego rosołu nie ma ani u Jaśkowych ojców, ani w karczmie u Żyda. ani nigdzie w jego wsi. Wszelako już wiedziałem, że ten rosół jest jeszcze w piórkach, w kurzej ślepocie i w gdakaniu dworskiego kurnika. Przyświecając sobie baterijką, szliśmy wprost na ten dworski kurnik. A gdy byliśmy pod kurnikiem i do zapachu śniegu dołączył się zapach ptasiego łajna i ptasich piór, Jasiek tam został, a ja poszedłem dalej, aż do dworskich stajni. I żeby zbudzić zagrzebane w siennych budach psy i odciągnąć je jak najdalej od kurnika, biegłem wzdłuż sztachetowego płotu, jadąc po nim odłamany kołkiem.

Wedle umowy Jasiek czekał na mnie koło domu wdówki. Ostrożnie, bo zamrożony śnieg skrzypiał pod naszymi butami, podeszliśmy pod niziutkie, wychodzące za ledwie z zasypanej śniegiem ziemi, jarzące się okienko. Jasiek zabębnił palcami w zamurowaną sędzielakiem szybę. W izbie poruszył się przypominający wielkie skrzydło cień. Po chwili odskakiwała drewniana zasuwka od drzwi i białe ręce obejmowały Jaśka. Gdy weszliśmy do izby. Jasiek wyjął spod kurtki czarną kurę z ukręconym łbem i podał ją wdówe. Wdówka, klasnąwszy w dłonie, jeszcze raz objęła i ucałowała Jaśka, po czym rozpalając ogień pod blachą, zabrała się do skubania kury. Gdy ptak podzielony na kawałki podskakiwał w kipiącym garnku, pomagaliśmy mu, śpiewając najmiłsze sercu kolędy. Dobrze w noc jedliśmy rosół z chlebem, tuż

po północy - mięso. Kości złożone na kopczyk, czerwony grzebień i najwyższe pióro ze skrzydła, żeby się nam z Jaśkiem w kompanierce darzyło, wdówka zakopała pod próg komory.

Od tej nocy niemal przez dwa lata, prawie tydzień w tydzień, razem z Jaśkiem i wdówką jadłem kurę. Zresztą nie tylko kurę. Zdarzała się gęś, kaczka, a w większe święta indyk. Po miesiącu, przeglądając się w lustrze, spostrzegłem, że wyrównały się bruzdy na moich policzkach, a widoczne dawniej pod oczami zmarszczki wygładziły się do ptasiego pióra, do zsiadłego mleka stojącego w chłodzie. Jeszcze później, gdy w sieczkarni ciąłem słomę, próbowałem wziąć naręcz siana lub schylić się po koszyk ziemniaków, urywały się rękawy u moich koszul, a spodnie, jakbyś je chlasnął nożem, pękały na pośladkach. Nigdy też dawniej nie byłem tak wesół. Pogwizdywałem chodząc po izbie, rąbiąc drzewo, szcztokując do połysku konie. Lubiłem nawet skoro świt wyskakiwać prawie goły, jedynie w koszuli i w spodniach, pod młodziutki sad i ze zbytku otrząsać korony jabłonek ze śniegu. A śpiewając w kościele, zauważyłem, że mój głos, wysoki i czysty, rodzi się we mnie radośniej niż źródło bijące z mikowego piasku.

Jeśli wspominał o tej dworskiej kurze i tak dokładnie opisuję, czynię to dlatego, iż po tylu latach wydaje mi się, że była ona moim sokołem i orłem moim. Może nawet bardziej niż dla paniczyków i dla królewiatek, których znam z czytania i z opowieści, i z bajd przelicznych, sokoły siwe i orły bitewne. Od tej kury bowiem zaczęło się moje utajone przed wszystkimi, nawet przed sobą, życie.

Z tego powodu obydwaj z Jaśkiem byliśmy podobni po trosze do drzewa. Niby wszyscy wiedzieli, jak się zielenimy, jakie ptaki w naszych koronach wiją gniazda i które zwierzęta przychodzą do nas, żeby się wyczochrać o nasz grzbiet, ale nikomu nie udało się, nawet na chwilę, wejść w nas i sumiennie w naszych okolicach się rozejrzeć. Zresztą nie przez cały rok byliśmy tacy. Na to ani ja, ani tym bardziej Jasiek, też jedynak, ale z bogatszej rodziny, nie mieliśmy czasu. Dopiero późną jesienią, gdy zaczął sypać śnieg, a mróz, począwszy od płycizn aż do zielonych głębin, ścinał rzekę, w domu zaś oprócz cięcia sieczki i zgrzeblenia koni nie było żadnej roboty, mogliśmy się ze sobą spiknąć.

Z kur i z domowego ptactwa, które Jasiek potrafił zbierać z grędy do worka jak przejrzałe jabłka z gałęzi, że ani jedna nie gdaknęła, przerzuciliśmy się na pierzyny. Zresztą czas był ku temu najodpowiedniejszy. O tej właśnie porze, gdy śniegu było za kolana i mróz dokumentnie zaszył rzekę, że nawet naładowanym po kulbony wozem można było jechać po niej, w całej okolicy zaczynały się wyskubki. Z tej okazji szykowano w co bogatszych domach potańcówki, wypiekano obłożone grubo twarogiem kołacze i wyjmowano z beczek marynowane mięsiwo, kiszoną kapustę i suszone śliwki.

Owszem, chodziliśmy z Jaśkiem na te potańcówki, przynosząc z sobą rum lub likier, i pełną garścią sypaliśmy miedziaki w cygańskie lub żydowskie basy. Przy okazji jednak penetrowaliśmy, ile poduszek i ile pierzyn usypano.

Gdy się wyskubki kończyły i wieś zapadała w coraz głębszą drzemkę, spisywaliśmy na kawałku papieru te domy, w których najobficiej obrodziły poduszki i pierzyny. Jakoż wieś, zakutana po okapy w słomę i w zsypane za wiklinowe płoty zgrabione jesienią liście, bojąc się, że pierzyny trzymane przez całą zimę w skrzyniach i w zaduchu zaparzą się i zetleją, wynosiła je na ganki i pod sady. Gdy się o zmierzchu przechodziło przez wieś pod sadami, na żerdkach omiecionych ze śniegu, na wyrzynanych z akacjowych desek gankach wietrzyły się w czerwonych wyspach pierzyny, podobne do pociętej na ogromne skrzydła zorzy.

Jak upatrzyliśmy sobie z Jaśkiem taki dom w pierzynach, ja niby to za jakimś interesem wchodziłem do izby i zagadywałem domowników. Jasiek tymczasem ścigał z żerdek pod sadem lub z ganków pierzynę, upychał nią wór i po zastodolu nawiewał za rzekę do wdówki. Pierze wybebeszone z wsypu, jak również wyprany i wykrochmalony wsyp wdówka sprzedawała w miasteczku. Forse dzieliliśmy na trzy równe części. Starczało jej na rum, na arak, na buchty od Kałmy, na barankowe krymki i złote kolczyki dla wdówki. Gdy skończyła się zima, tuż przed Wielkanocą, i błonia pozieleniały, a drzewa złościły się w drobnych listkach, razem z Jaśkiem przyszliśmy na chór w nowiutkich lakierkach i lekkich, popielatych ubraniach. Gdy wskakiwałem na skrzynkę po świecach, żeby zaśpiewać wielkopostną pieśń, duszną od popiołu, żółci i kadzidła, wkładaną w usta wiszącego na krzyżu, słyszałem, jak poskrzypują moje i Jaśka lakierki, jak moje ramiona opina popielate sukno. I miło mi było oglądać pod ołtarzem zaciągniętym fioletem tej wdówki w nowej szalówce, w prawdziwych koralach, w tybetce związanej z tyłu głowy. I niemal słyszałem, jak się modli, i przeczuwałem w jej niewidocznych dla mnie żrenicach wysoki chór z kamienia i wspartego łokciem o organy Jaśka. A przymykając oczy, czułem, jak klęcząca pod Ukrzyżowanym wdówka obejmuje Jaśka za szyję i przychyła mu głowę, i całuje go w pachnące tytoniem usta. A widząc to wszystko, tym radośniej śpiewałem wielkopostną pieśń, pełną ran po gwoździach, po cierpieniach i po włóczni.

Podobnie radosne jak ten wielkopostny śpiew było całe lato. Nigdy dawniej nie szedłem do sianokosów i do żniw z większą przyjemnością. Niemal drżałem z niecierpliwości, wchodząc z kosą w trawę podbitą rosą i w przeschnięte w porannej jutrzni zboże, czekając, kiedy w moje mięśnie osypie się szary piasek zmęczenia. Do roboty lubiałem wychodzić w koszuli lub w podkoszulku, spoglądając ukradkiem, jak chodzą na ciasnej uwięzi moje przydymione słońcem mięśnie, jak po twardym brzuchu spływa złocąca się we włoskach strużka potu. A gdy przychodziłem nad wodę, wybierałem najwyższy brzeg i golusieńki, odbijając się stopami od stwardniałej ziemi czy też przyniesionego z rzeki kamienia, wskakiwałem do spływającej za wieczorną zorzę wody. W największej głębinie szedłem do samego dna, starając się dotknąć ilastego piasku, i zaraz wyskakiwałem na powierzchnię wody, i jak witką śmignął, targając garściami zieloną grzywę rzeki, płynąłem na drugą stronę. Tam znowu wybierałem najwyższy brzeg z głębiną pod

spodem i wskakiwałem do niej. I tak do utraty tchu, do pierwszej gwiazdy na lipcowym żytym niebie.

A wracając do domu, przemykałem się po zastodolach, cały w jabłoniach i gruszach, obsypanych o tej porze roku winnymi owocami. I w żadnym z sadów nie przepuściłem choćby jednej jabłonce, gruszy lub śliwie. Potrząsałem nimi, trzymając je oburącz przy koronie, i przyjemnie mi było stać w tej lipcowej burzy słodkiego miąższu, liści i zmierzchu pomieszanego z pyłem sreżogi. Wprawdzie aż tylu owoców nie potrzebowałem, wystarczyło mi pełne zanadrze i pełne kieszenie, ale cieszyła mnie nagromadzona we mnie siła, sprawiająca, że nawet roślina jabłonna trzęsła się w moich łapach jak brzoza witka.

I tylko czekałem, kiedy spadające na ziemię jabłka zbudzą drzemiące po stodołach psy, a te ujadaniem rozrzuconych w spracowanej drzemce ludzi. Wtedy, pochylając się pod niziutkimi sadami, niemal na bałyku, uciekałem w pola i klucząc po zagajnikach, szedłem do domu. Ostrożnie, żeby nie skrzypnęły drzwiczki od stodoły i nie zbudziły śpiących w izbie ojców, wchodziłem w siano. Rozbierałem się, wysypując z zanadza i z kieszeni owoce koło zagłówka. A ponieważ w stodole było jeszcze upalniej niż na polu od zwiezonego siana i zboża, kładłem się nagusieńki na pierzynie. Pogryzając owoce, nasłuchiwałem, jak powolutku uciszają się pobudzone przeze mnie psy, jak w pobliskiej stajni konie chrupią owies, a z głębi siana coraz wyżej i wyżej wypływa i ogarnia wszystko rozmamłany śpioch. Poddawałem się temu śpiochowi, szepcząc do siebie cichutko: - Chytry, Chytrenki.

W tym czasie z Jaśkiem widywałem się rzadko. Chór miał się zebrać dopiero pod jesień, w niedzielę zaś nie mogliśmy się zdybać, gdyż ja od dziecka chodziłem na prymarię, a on na sumę. Czasem tylko w niedzielne popołudnie spotykaliśmy się nad rzeką. Wtedy, trzymając w jednej ręce związane paskiem łachy, przepływałem do niego, siedzącego na wysokim brzegu. Zdarzało się, że przy Jaśku siedziała wdówka. W trójkę, pogryzając jabłka lub pieczony przez wdówkę placek ze śliwkami, rozmawialiśmy o nadchodzącej zimie. Po paru takich pogaduszkach postanowiliśmy zrezygnować z pierzyn, a zabrać się za konie i świnie. A konie po tamtej stronie rzeki były jak tanecznice. Z całej okolicy zjeżdżali się handlarze, Żydzi i Cyganie, i cmokając z podziwu, przepłacali i tak już rozwydrzonych chłopów. Uradziliśmy, że w ciągu zimy wystarczy wyprowadzić za Wisłę kilka koni, żeby się porządnie ubrać, mieć na arak, na rum i na kmiece basy na każdym weselu. Toteż zwożąc z pola resztki owsa i prosa, ziemniaki i buraki, siejąc żyto i pszenicę, spoglądałem niecierpliwie na coraz bardziej fioletowy las. Z tego lasu, z jego fioletu, przychodził zawsze pierwszy śnieg i pierwszy mróz. A gdy się odrobiłem i rozjechane w tysięczne koleiny drogi, ściągnięte mrozem, zadzwoniły pod okutymi kołami, wybraliśmy się z Jaśkiem do pobliskiego miasteczka. U znajomego Żyda, trzymającego sklepik ze starym żelastwem, kupiliśmy dwie spluwy i dwa sprężynowe majchry. Nie

zapomnieliśmy też o trutce na psy. Sprawiliśmy sobie również stare, ale podbite baranicą kurtki i wysokie, o kilka numerów większe, buty z cholewami. W takich butach policjanci mogli nam mierzyć nogi całymi latami.

Obładowani tym wszystkim, zjechaliśmy do wdówki. Tu każdy z nas, wyciągając pół litra i spore pęto kiełbasy, pilnie oglądał zakupione spluwy. Leżały w łapie jak ulał, prawie niewidoczne. Odkładając spluwy, wypiliśmy za pomyślność nadchodzącej zimy. Jasiek nawet z tej okazji ułożył przyśpiewkę o koniokradach, którą do dziś dnia śpiewają wyrostki z naszej wsi. Gdzieś dobrze po północy wyszliśmy od wdówki, umawiając się po drodze, że spotkamy się ponownie po zamarznięciu rzeki.

Od tej pory niemal codziennie wychodziłem nad rzekę, patrząc na luźno, później coraz gęściej spływający śryz. Gdy kaszowaty śryz zaczął się ścinać w krę, a kra zarastać, począwszy od płycizn i od brzegu, rzekę, wyjąłem zza krokwi spluwę, naoliwiłem ją i przeczyściłem. Po kilku dniach rzeka stanęła. Wchodząc na jeszcze przejrzysty, gruby najwyżej na dwa cale lód, gdyż widać było pod nim biały piach i coraz pośpieszniej spływające z płycizn ryby, słyszałem, jak moje buty podkute gwoździami dzwonią daleko ode mnie po nieściągniętych lodem głębinach.

Postanowiłem zaczekać jeszcze tydzień. Wtedy o zmierzchu, powiadając ojcom, że idę do drugiej wsi na wyskubek, wyjąłem zza krokwi spluwę i poszedłem do wdówki. Akurat coś pitrasila. Zostawiając mnie przy piecu, pobiegła do Jaśka. Wrócili roześmiani i wpółobjęci, starając się wejść na siłę w jednoskrzydłe drzwi. Gdy się im to udało, Jasiek uniósł wdówkę z podłogi i przebiegłszy z nią na rękach przez całą izbę, rzucił tę drobną kobietę na zaścielone poduszkami łóżko. A ponieważ wdówka obejmowała go ciasno za szyję, upadł razem z nią na wysokie pierzyny. Wdówka zaczęła piszczeć, wierzgając nogami obutymi w sznurowane do pół łydek trzewiki. Gdy wreszcie Jaśkowi udało się unieruchomić wdówkę, wyściskać i wycałować, zeskoczył z łóżka, podszedł do mnie i uderzając mnie otwartą dłonią w plecy, rzekł:

- Witaj, koniokradzie.
- A witaj, Jasieńku, kobylarzu święty.

I pociągając Jaśka z całych sił za rękę, zwałem go z nóg. Ale on upadając zdążył mnie jeszcze uchwycić za ramię. Poturlaliśmy się po wyczyszczonej do bieli piaskiem podłodze. Próbowaliśmy się nawzajem przyciągnąć do siebie, rozłożyć na krzyż i przycisnąć do sosnowej podłogi. Byliśmy jednak równie silni i w żaden sposób jeden drugiego nie mógł powalić. Gdy zziajani, chichocząc nieustannie, usiedliśmy na podłodze, na stole czekała już kolacja. Jedząc i popijając przyniesioną przez wdówkę z komory wódkę, ustaliliśmy, że po pierwszego konia wybierzemy się do dworu. Doszliśmy do wniosku, że jeśli poszczęściło się nam z kurą, to również nie gorzej powinno nam pójść z koniem. Zresztą Jasiek jeszcze w lecie upatrywał sobie karą trzylatkę, dopiero tego lata układaną pod siodło. Poza tym wiedział dokładnie, w którym kącie stajni stoi, jakie ma narowy i co najbardziej lubi. Przeto uradziliśmy, że na

drugi dzień wybierzemy się po trzylatkę. Wdówka miała kupić kilo kiełbasy i dobrze ją natrzeć trutką, pół kilo cukru dla karej, a o zmierzchu, niby to przypadkiem, wyciągnąć do karczmy stajennego parobka.

Nazajutrz, ubrani w stare kożuchy, w te za duże buty z cholewami, ze spluwami w kieszeniach spodni, podeszliśmy pod dwór. Gdy w dworskich obejściach ucichła krzątanina i pogasły wszystkie światła w pałacyku, Jasiek przeszedł przez ośnieżony żywopłot, każąc mi iść z zatrutą kiełbasą do wylegujących się po stodołach i zasypanych gnojem budach dworskich psów. Miałem iść możliwie najciszej i pogwizdywać. Jeśli moje pogwizdywanie nie wywabi psów z legowisk, on wejdzie do stajni. Gdyby natomiast psy się pobudziły, miałem udawać pijanego, śpiewać na całe gardło i mimochodem rozjuszonym psom rzucać po kawałku zatrutą kiełbasę.

Szedłem stopa za stopą, pogwizdując ulubioną pastorałkę. Czekałem, kiedy pobudzą się psy. Ostry mróz trzymający przez cały dzień i wzmagający się jeszcze pod wygwieżdżoną nocą, dokuczał mi, szczypiąc jak rozjuszony gąsior. Ale nie zwracałem na to uwagi, wiedząc, że w taki mróz żaden pies nie wychyli łba z siennej nory. Gdy prawie obszedłem dwór dookoła, znad rzeki usłyszałem wysoki trzykrotny gwizd. Podskoczyłem z radości i począłem biec w tamtą stronę.

Pod wysokim, wymytym przez rzekę brzegiem, zasłaniającym od wiatru, stał Jasiek, trzymając krótko przy pysku karą trzylatkę. Karmił ją lodowym cukrem wyjmowanym po kawałku z kieszeni kożucha. Z pobliskiej wikliny przyniosłem ukrytą tam wcześniej derkę i sznur. Z derki zrobiliśmy coś w rodzaju siodła, krępując ją mocno sznurem. Po czym Jasiek wskoczył na trzylatkę i wjeżdżając na środek rzeki, gdzie lód był zamieciony do ostatniego kłaczka śniegu, odjechał w stronę Wisły. Tam miał czekać na niego umówiony jeszcze jesienią handlarz. Stałem długo na środku rzeki, patrząc za odjeżdżającym pod wygwieżdżone niebo Jaśkiem. Gdy mi zniknął za brzegiem ugiętym jak kolano we śnie, wszedłem na środek rzeki i pobiegłem do domu.

Pod koniec zimy mieliśmy na swoim koncie siedem najdorodniejszych koni z mojej i Jaśkowej wsi. Ta dworska trzylatka była najtrudniejsza. Pozostałe konie szły nam gładko. Ja, podobnie jak ubiegłej zimy przy pierzynach, wchodziłem do upatrzonego domu, tymczasem Jasiek wyprowadzał ze stajni konia, wskakiwał na jego grzbiet i odjeżdżał za Wisłę. Kiedy się jednak okazało, że podobnie jak przy pierzynach w okolicy grasuje kilka szajek koniokradów, daliśmy sobie spokój z kradzieżą. Od kilku dni spotykaliśmy się w najlepszej karczmie stojącej naprzeciw posterunku policji i przyglądaliśmy się, popijając drobnymi łyżkami arak, jak policjanci prowadzą do ciupy skutych parobków i dworusów. Jakoż nikomu z okradzionych nie wpadło do łba, żeby wskazać palcem na kmiących synów.

Zresztą forszę, również podzieloną na trzy równe części, wydawaliśmy oszczędnie, niemal sobie skąpiąc na trzeci kieliszek. Chcieliśmy cichutko, po borsuczemu przezimować i dopiero w lecie kupić sobie to i owo. Śpiewaliśmy

więc w chórze, a wieczorem zawsze bywaliśmy w karczmie lub w którymś z domów, gdzie zbierano się na karty czy też na pogaduszki. Wprawdzie jeszcze pod koniec marca przytaskaliśmy do wdowy metrowego prosiaka z naszej wsi, upijając go wódką i zabijając w wiklinie, ale na razie, aż do następnej zimy, przestaliśmy nachodzić stajnie i chlewiki.

Poza tym wiedziałem od Jaśka, że po wielkim poście ma się żenić. Nawet którejs niedzieli, prosząc mnie na drużbę, napomknął, czybym mu nie pożyczył trochę grosza. Chciał się jak najokazalej ubrać, kupić nową uprzęż na konie i malowaną na zielono bryczuszkę. Ożenek swój trzymał w tajemnicy przed wszystkimi. Miał ochotę pobrać się z wdówką, a wiedział, że ojcowie raczej pójdą na kolanach do Rzymu, niż przystaną na to. Przeto chciał przepłacić proboszcza, żeby pierwsze, drugie i trzecie zapowiedzi wyszły razem i w ten sposób ojców wprawdzie do żywego rozpieklić, ale równocześnie jak najmniej czasu zostawić im do deliberowania.

Szykowałem się na weselisko Jaśka, karmiąc owsem i słodkim sianem konie, czyszcząc popiołem blaszki na uprzęży, kupując z białej skóry lejce i zamawiając na woźnicę najszykowniejszego parobka ze wsi. Aliści gdy wszystko miałem przyszykowane, a rany po zimie i po Wielkanocy zaczęły się zablizniać, z kościelnej zaś ambony coraz gęściej padały nazwiska łączonych par, dowiedziałem się, bronując pole pod tarniną, że Jasiek się zastrzelił.

Odpinając konie od bron, przygalopowałem do promu. Mając przed sobą całą w sińcach po spływającym lodzie rzekę, wyjedzony do szczerego piasku brzeg, widząc głowę Jaśka opartą o kolana wdówki, zawróciłem do domu.

Poza tym nie śmiałem iść do ojców Jaśka, gdyż nigdy u nich nie byłem. Wracając do domu, wstąpiłem do karczmy. Pod rząd wypilem kilka kieliszków araku. W karczmie było głośno o Jaśku. Powiadano, że młoda wdówka, wyludzając od niego wszystkie oszczędności, uciekła ubiegłej nocy do powiatowego miasteczka z tym dworskim parobkiem, którego zaciągnęła do karczmy, gdyśmy kradli karą trzylatkę. Ponoć Jasiek, gdy się o tym dowiedział, obszedł wszystkie karczmy w parafii, a wracając nad ranem do domu, kropnął sobie w łeb tuż przed progiem.

Inni natomiast napomykali o młodziutkiej służącej pracującej w ich domu. Ponoć była przy nadziei z Jaśkiem, a wiedząc o jego ożenku z wdówką, zagroziła mu, że pójdzie na posterunek i wszystko opowie. To Jasiek chciał ją ułagodzić. A gdy nie chciała przystać ani na pół morga pola, krowę i pięć stówek, postanowił ją sprzątnąć. Ale ona przeczuwając, że Jasiek chce ją sprzątnąć, uciekła do ojca mieszkającego w leśnym przysiółku. Jasiek, pijany, poszedł do tego przysiółka. I pił z jej ojcem wódkę i całował ją po rękach i po kolanach ją całował, żeby tylko na chwilę wyszła z nim pod sad lub w pobliskie łąki. Ale ona wiedziała, że jak z nim wyjdzie na chwilę pod sad lub w pobliskie łąki, to już jej nie będzie na świecie. To błagała ojca, całując go po rękach, płacząc i śpiewając psalmy, żeby jej bronił, a kiedy ojciec nie chciał jej bronić i wypychał z Jaśkiem w pole, uciekła na strych i zaszyła się w siano. To Jasiek z jej ojcem poszli na to siano i dźgali je widłami. Ale jej nie znaleźli.

A jak jej nie znaleźli, zeszli ze strychu, wypili resztę wódki i pożegnali się. A gdy Jasiek wyszedł pod sad, wyjął z kieszeni spluwę i kropnął sobie w łeb.

A jeszcze inni powiadali, że to właśnie Jasiek mordował co bogatszych kupców, których od paru lat rok w rok znajdowano w nadrzecznej wiklinie, w podmytym piachu, na dnie stawów i rzeki. A zrabowaną forszą dzielił się z dziewczyną i wdówką.

Po tym wszystkim, co słyszałem o Jaśku, nie bardzo mi wypadło iść do jego ojców i na jego pogrzeb. Siedziałem w domu lub wchodziłem do stajni, szepcząc koniom do uszu: - Chytry, Chytry, Chytry.

A gdy nocą zagrzebywałem się w sianie i coraz głębiej zapadałem w sen, widziałem nad sobą w czerwonych pierzynach galopującego na koniu Jaśka. Przed nim, również na koniu, środkiem nieba, w koralach, w wyszywanym gorsecie, w krakowskiej spódnicy, w sznurowanych wysoko butach, galopowała na karej trzylatce wdówka. Przed nią uciekała boso, z rozplecionymi warkoczami z rękami osłaniającymi raz brzuch, raz gołą głowę - młodziutka służąca.

Jasiek doganiał wdówkę, zdejmował ją jedną ręką z karej trzylatki, sadzał przed sobą i razem z nią galopował za uciekającą dziewczyną. Z kieszeni kurtki wyjmował spluwę. Strzelał, repetował i strzelał. Dziewczyna potykała się i upadała na niebo, na drogę w kurzu po kostki, na czerwoną wiklinę całą w baziach. Z młodziutkiej wikliny, z przebodzonego rogiem, przebitego włócznią po wielkim poście nieba szedł krzyk i bił blask. Na dziewczynę, na jej poczynające się stromo macierzyństwo spadały ptasie pióra i te pierzyny w czerwonych wsypach, zasłaniając ją przed Jaśkiem. A gdy dziewczyna gramoliła się spod pierzyn i Jasiek zawracał konia, z wikliny, z rzeki, z piaszczystych jam wychodzili pomordowani kupcy i karczmarze i zarzucając Jaśkowi sznur na szyję, ściągali go z konia, krępowali na drodze w kurzu po kostki i skrępowanego usadzali w skórzany wór i ten trzepoczący się skórzany wór zanosili nad rzekę i przywiązując do niego wapienny kamień, wrzucali w zieloną głębinę. Na niebo tryskała biała od wapna woda.

Wtedy się budziłem, szepcząc cichutko: - Chytry, Chytry, jakiś ty Chytreński. - I głaszcząc czerwoną pierzynę, zapadałem w powtórny sen, słysząc nad sobą i w sobie kunę polującą na ptaki. A za tą kuną widziałem Jaśka z czarną kurą pod pachą, szepczącego: - Chytry, Chytry, alem cię przechytrzył.

[Spis treści](#)



2

Na śmierć ojca czekałem parę lat. Zresztą razem z nim. On też na nią czekał. Nawet ją widywał. Parę razy do roku. Najczęściej w zimie, kiedy ubywało roboty, a przed domem, począwszy od sadu, przejaśniało się

strzeliście, aż do fioletowego o tej porze lasu. Zwykle widywał ją, gdy o zmierzchu siadywał przy oknie. To widzenie wypadło zawsze, gdy jadł chleb ze słoniną, tnąc składanym scyzorykiem jedno i drugie na drobne kostki. Każdy kęs żuł długo, spoglądając na wierzbowy zagajnik. Jeśli kozik wypadł mu z ręki, wiedziałem, że za chwilę krzyknie, aby zamknąć na skobel dębowe drzwi. Sam nigdy nie podchodził do nich. Siedział nieruchomo przy oknie z rozchylonymi ustami, z prawą ręką wsuniętą za kamizelkę. W blaszanym garnuszku podawałem mu wodę. Pił małymi łydkami. Po każdym łyku jego twarz rozwiązywała się z tysięcy supełków, upodabniając się po trosze do mojej wygładzonej twarzy.

Wtedy wyjmował prawą rękę zza kamizelki i wskazując nią wierzbowy zagajnik, kazał mi pilnie patrzeć na kłęb dymu idący z przyciętych do gołych łbów wierzb. Dymu wprawdzie nigdy nie widziałem, ale potakiwałem głową, nie chcąc go rozjuszać. Jakoż gdy mu się to pierwsze widzenie przydarzyło, a ja go skrzyczałem, że opowiada banialuki, cały posiniał, a jego twarz podobna była do biczowanego, stojącego na rynku i przywiązanego do granitowego słupa drewnianego Chrystusa. I z tej twarzy ledwie mógł wykrzyknąć, żeby drzwi zamknięte na skobel podeprzeć dodatkowo osikowym kołkiem.

Zresztą odkąd Jasiek kropnął sobie w łeb, a jego ciało zagrzebano obok poświęconego cmentarza tuż przy pogrzebowisku dla psów i dla bydła, byłem skłonny razem z duszącym się ojcem widzieć w wierzbowym zagajniku, unoszący się dym. Tym bardziej że zbliżała się zima, a więc nadchodził czas, kiedy razem z Jaśkiem w domu, na kościelnym chórze, w karczmie i na wyskubkach zastanawialiśmy się, jak najlepiej spożytkować wrodzoną nam smykałkę. A ponieważ od paru lat poza Jaśkiem z nikim nie kolegowałem, myślałem o nim codziennie, widząc go w stodole, w stajni przy końskim łbie, w sadzie, w koronach drzewek osypujących się w sędzielaku, utajonego na dnie studni i wreszcie w tym niewidocznym dymie idącym z wierzbowego zagajnika.

Zdarzało się, że wychodząc nocą z karczmy, z potańcówki na wyskubku lub od sąsiada i przemykając się między zochabami, przeskakując przez wiklinowe opłotki, czując ostry zapach końskiego nawozu, gorąc idący z uchylonych stajni, czekałem w pobliskim sadzie z ręką na spluwie rozpychającej kieszeń. Dopiero gdy mróz szczypał mi policzki, a śnieg sypał się za kołnierz, kroczyłem po kroczeniu do domu. Ale i tak nie byłem pewien, czy akurat w tym momencie Jasiek nie wyprowadza z którejś z uchylonych stajni kasztanka z białą gwiazdą na czole, nie wynosi spitego gorzałką prosiaka, nie ściąga pierzyn z żerdzi czy też ślepych kur z chlewika. Oglądałem się za siebie, potykając o zamarzniete skiby i co chwila upadając w kopny śnieg.

Ciągnęło mnie do tych uchylonych stajni, pełnych przesypywania owsa, naszeptywania białej i czerwonej koniczyny, zielonego siana, szczurzej, mysiej i króliczej bieraniny. Sam jednak nie mogłem się odważyć, aby tam wejść, ściągnąć kurę z grzęd, wyprowadzić, chociażby tylko pod sad i tylko

dla despektu, najlichszej chabety. A wiedziałem, że jeśli to uczynię, zjawiający mi się nieustannie Jasiek odejdzie ode mnie na zawsze za wodę razem z wdówką i młodziutką służącą i pozostanie w tym kawałku psiego piasku.

Bałem się jednak, że jeśli sięgnę ręką po kurę, po końską uzdę, naruszę stajenne i kurne okolice Jaśka. A jeśli je chociaż raz naruszę, na pewno wyjmę kiedyś spluwę, przyłożę ją sobie do skroni i pociągnę za cyngiel. Wolałem już przechodzić obok uchylonych stajni, wyczekiwać przy szopach i pod czochrającymi się sadami, czując, jak wzdłuż kręgosłupa spływa mi strużka strachu pomieszanego z tajemną uciechą.

Z tych powodów chciałem nawet wyjechać przynajmniej na parę dni z domu. Wiedziałem, że w ciągnącym się parę kilometrów od nas baronowskim lesie potrzebują drwali. Mogłem też, rano spiknąwszy się z Kałmą, wozić do jego sklepiku towar z pobliskiego miasteczka. Nie wypadało mi jednak imać się tej roboty. Przeto prawie całymi dniami wałęsałem się po okolicznych zagajnikach, zastawiając sidła na zające i kuropatwy. Czasem zachodziłem nad zamarzną rzekę i z czarnych jamek w gliniastym brzegu wyciągałem gołą dłonią tchórze lub wyrąbując w lodzie przeręble, łowiłem ryby na podrywkę. Ryby wyciągane na brzeg zastygły natychmiast, przypominając mi otwartą żrenicą chór z sową siedzącą na organach.

Tuż przed Wigilią wyjechałem po drzewo do lasu. Było to w poniedziałek. Wiem dobrze, że w poniedziałek, bo w niedzielę przed prymarią, stojąc pod kościołem z gajowym, dobiłem targu na pół saga łupkowej buczyny. Napominany przez starego, wybrałem się do lasu jeszcze przed jutrznią. Gdy wyjechałem za wieś, jedynie oszronione drzewa rozjaśniały i wytyczały zagubioną w śniegu drogę. Popędzając rozgrzane w stajni, a po kilku stajaniach całe w sędzielaku konie, niemal widziałem, jak ojciec przewraca się z boku na bok i myśli o mnie. Jakoż ojciec, nie wspominając o tym, chciał, żebym, wrócił z lasu przed wieczorną gwiazdą. W każdym razie można to było poznać z jego starczych rąk chodzących niespokojnie po kraciastej pierzynie, z jego grdyki polykającej coraz szybciej kawałek adamowego jabłka.

Ponieważ mieliśmy dwójkę koni dobrze podpasionych na owsie i koniczynie, wyprowadzając ze stajni, uśmiechałem się, przypomniawszy sobie niepokój starego. Wiedziałem, że mając takie konie przy dyszlu, wrócę do domu na obiad. Rzeczywiście, konie popędzane batem, czując całą skórą nasilający się mróz przed jutrznią, szły różnym kłusem. Również z powrotem ciągnąc naładowany po kulbony łupkową buczyną wóz, zapadający się w zasypane śniegiem dołki i jamy, powolutku, niemal na kolanach, ale szły.

Spocony jak mysz pod przepasaną rzemiennym pasem baranicą sięgającą mi kostek, cały w sypiącym się razem ze śniegiem igliwiu, w gałązkach obłamanych przez końskie łby i chomąta, wyjechałem z lasu na podleśne łąki. A ponieważ ciągnące się aż do naszego błonia łąki były zarośnięte kępkami olszyny i rokiciny, jeszcze spory kawałek po łąkach, przeskakując z krzaka na krzak, odprowadzały mnie wrzeszczące sójki. Dopiero gdy łąki przejaśniły się z olszynowych i wiklinowych kęp, że

osłaniając nadgarstkami przed iskrzącym się śniegiem oczy, mogłem dojrzeć czerniejącą w oddali naszą wieś, sójki powróciły do lasu. Konie, wystraszone wrzaskiem sójek, jakby za chwilę miał się zjawić przed dyszlem cuchnący piżmem zwierz, uspokoiły się i przestały ponosić. Usiadłem wygodnie na wozie, zgarniając pod siebie nie dojezione przez konie siano. I popuszczając konie na lejcach, pogwizdywałem, przysłuchując się podobnemu pogwizdywaniu przesypującego się przez szprychy zmarzniętego śniegu.

Traf chciał, że w środku łąk, gdy konie wsłuchały się w równomierne granie swoich śledzion, przymykając z lubością ślepią, prawie na pamięć szły do domu z czekającym na nie obrokiem i podgrzaną wodą z rozpuszczoną w niej garścią czarnej soli, w wozie nagle coś pękło. Spłoszone konie uskoczyły w bok. Wóz osiadł na łące. Zeskoczyłem w kopny śnieg. Oglądając osiadły wóz, zorientowałem się, że pękła rozwora. Musiałem łupka po łupce zdejmować buczyne. Zanim to zrobiłem i pod pękniętą rozworę związaną postronkiem podłożyłem okrągłak, nad łąkami się zmierzchało. Teraz powolutku, powstrzymując na lejcach śpieszące się do żłobu konie, wlokłem się kopyto za kopytem. Wóz, usztywniony okrągłakiem, szedł wyraźnie bokiem, celując dyszlem w przedwieczne niebo.

Zanim dotarłem do domu, niebo, prawie zielone od nasilającego się mrozu, było widne od wielu, wielu światła. Gdy zajechałem przed dom, wrota do podwórza były otwarte na obydwie skrzydła. A w takie wrota wjeżdża wesele, drabiniasty wóz ze zbożem, w takie wrota wchodzi archanioł, jednorożec, świętojańska paproć. Ale u tych rozwartych na obydwie skrzydła wrót nie było ojca. Pomyślałem, że się zdrzemnął, siedząc przy oknie i spoglądając w wierzbowy zagajnik.

Wjechałem na podwórze i zatrzymując konie, chciałem zeskoczyć z wozu, gdy zauważyłem, że okno, przy którym siadywał ojciec, jak również to drugie, wychodzące na sad, są otwarte na oścież. Spojrzałem jeszcze raz za siebie, bo przy wjeździe w podwórze wydawało mi się, że z wierzb przyciętych do smolnego łba idzie dym. Teraz już wyraźnie pod wszystkimi wierzbami błękitniało od dymu. Zdziwiło mnie to bardziej od uchylonych okien, gdyż niebo nad wierzbami było wyiskrzone i gotowe na przyjęcie wieczornej gwiazdy i wieczornej zorzy. W zimie jednak, kiedy odległości maleją, a czas się niepomrotnie wydłuża, wszystko jest możliwe. Nawet ten zadymiony zagajnik, jakby przezeń przeleciało stado siwiutkich sokołów, wydał mi się zwykłym zagajnikiem, przeczuwającym być może niebiosą prószące śniegiem, Betlejemską Gwiazdę, turonia, jakiegoś mędrca lub wiejskiego głupka. Przeto nie zastanawiałem się nad tym dłużej. Zresztą spocone do żółtej siary konie szarpnęły wóz, wciągając go pod młodziutki sad. Za sadem, pachnąca zbyt natarczywie słomianym ciepłem i owsianym obrokiem, ciągnęła je stajnia.

Zeskoczyłem z wozu i ściągając konie na lejcach przywiązanych do podkulkę, pobiegłem do domu. Drzwi były zamknięte. Szarpnąłem oburącz za skobel. Zaskrzypiały sfastrygowane ciasno deski. Szarpnąłem jeszcze raz i

jeszcze. Drzwi się rozluźniły w sobie, ale pozostały nie wzruszone. Walilem w nie pięściami, kopałem podkutymi buciorami. Nikt i nic się w domu nie poruszyło. Nie krzychałem zaś z obawy, choć miałem na to coraz większą ochotę, że spłoszę znarowione konie. Poza tym odkąd z Jaśkiem łąziłem po kurnikach i stajniach, oduczyłem się krzyczeć. Przez okno też nie chciałem wchodzić, chcąc mieć przez cały czas oko na konie. Przeto pobiegłem do stajni, myśląc, że zastanę w niej matkę przy wieczornym udoju. Ale również w stajni było pusto i ciemno. Dolatywał tylko z niej suchy szelest przeżuwanej przez bydło strząski. Naftowa latarnia o skręconym do fioletowej ćmy płomyku wisiała na wbitym do stragarza bronnym gwoździu.

Wolniutko, gdyż czułem, jak we mnie coraz szybciej osypuje się zmierzch, złoty piasek i znowu zmierzch, wróciłem pod dom. Myślałem jeszcze, że ojciec z matką wyszli do sąsiadów. Prawie zawsze, zwłaszcza zimą, kiedy matka wypiekała chleb, po wyjęciu bochenków z pieca i ułożeniu ich na słomie, ojcowie lubieli zajść z podpłomykiem do sąsiadów. Okna zostawiali otwarte, bo z pękniętego chlebowego pieca szedł dym na całą izbę i kuchnię. A właśnie dzisiaj matka szykowała się do pieczenia chleba. Przypomniawszy sobie to, śmieiej podszedłem do okna. Spojrzałem jeszcze raz na stojące pod sadem konie. Stały z łbami uniesionymi wysoko. Najwidoczniej ogryzały ośnieżone gałązki z młodziutkich jabłonek. Jakoż o zęby dzwoniły im werbliki i słysząc było chrupot przeżuwanego drewna.

Nie namyślając się dłużej, wszedłem przez okno do izby. Do tej sypialnej izby, wietrzanej po każdym wypieku chleba, otwieranej na oścież nawet zimą przed każdym snem. Okna tej izby wychodziły na sad. Toteż latem pachniało w niej dochodzącymi do żrąłości jabłkami. Zapach ten utrzymywał się jak dym przez całą jesień. Również teraz w zimie czuło się w izbie co tylko oberwany z owoców sad. Lubilem tę izbę. Większa dwukrotnie od tej, w której mieszkaliśmy na co dzień, przypominała mi zawsze zakątek rozebranego drewnianego kościółka z toczonym przez korniki aniołem lub świętkiem czy też ośródkę sobótkowego lasu. Do zapachu sadu dołączał się jeszcze zapach baranich kożuchów, przesypanych naftaliną lub listkami piołunu. Oprócz tego z drzwi prowadzących do komory, przez ich spaczne deski, sączył się gorzki zapach zsypanego do sąsieków zboża, przyciśniętych kamieniem w dębowej beczce suszonych śliwek i wiszących u powały powiązanych w pęczki ziół.

Wszedłem w ten zapach prószący z komory i idąc w jego smudze, jakbym był złodziejem, doszedłem do drzwi. Uchyliłem je ostrożnie, gdyż mi się zdawało, że jeśli nacisnę mocniej na skobel, rozlecą się w moich rękach. Do sieni wszedłem na palcach. Pociągnąłem głęboko nozdrzami, jak zgoniony pies. Nie poczułem zapachu gorącego chleba, ale w sieni czuć było, jak zawsze, gotowaną kapustą, zasmażką na starym sadle i stygnącą powoli blachę z lanego żelaza. Ośmielony swojskością sieni, nacisnąłem już śmiało skobel drzwi prowadzących do kuchni. W mroku pomieszonym ze światłem wieczornego nieba nie widziałem zbyt dobrze. Ale ojca nie było przy stole. Najwidoczniej, tak jak przypuszczałem, poszedł z matką do sąsiadów.

Zaczęłam sobie podśpiewywać, szukając garnuszka, żeby się napić zsiadłego mleka. Wtedy jeszcze raz spojrziałem pod północną ścianę, gdzie stało ślubne łóżko moich starych.

Na tym łóżku z dębowym zagłówkiem rzeźbionym w dwa czubiące się koguty leżał mój ojciec z głową ułożoną na wysokich podjaszkach, z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Zdawało mi się, że przez jego twarz, ledwie oświetloną pełną zmierzchu wieczorną zorzą, przepływa siwy dym. Spojrzałem w okno. Wierzbowy zagajnik stał czysty, jakby był wymieciony gęsim skrzydłem z rozdziobanego przez sowy próchna, z kłaczków zwierzęcej sierści, z ziarenek trawy, śniegu i sędzielaku. Pod wierzbami, jak w noc wigilijną, stała luna, zażgnieta od zielonego nieba, białego próchna i czarnej huby. Spojrzałem jeszcze raz na łóżko. Twarz ojca była uciszona do gaszonego wapna, do fajansowej gliny, z której nawet korzonek perzu wyjadło słońce. Cofałem się na palcach do drzwi. Stamtąd wszedłem do sieni, a z niej do sypialnej izby. I tak z twarzą zwróconą w stronę łóżka, nie zamykając za sobą drzwi, znalazłem się przy rozwartym na sad oknie. I wspierając się ręką o parapet, wyskoczyłem pod ośnieżone drzewa.

Nie pobiegłem jednak do sąsiadów, chociaż wiedziałem, że u nich na pewno jest matka. Konie były bliżej. Podszedłem do nich i głaskałem je po nozdrzach. Wyjąłem im z pyska werbliki i łamiąc z jabłonek drobniutkie gałązki, wsadzałem im w zęby. Naszeptywałem im w uszy zdrowaśki, urywki psalmów zmieszanych z kolędami i nasłuchiwałem, jak przelewa się w nich wypita rankiem woda.

Nie wiem, jak długo stałem przy koniach. Ale musiało to trwać spory kawałek czasu, bo nazajutrz w sadzie zobaczyłem, że trzy jabłonkowe szczepy, które dwa lata temu przyniosłem z dworskiego sadu, były obłamane niemal do szczytowych gałązek. Właśnie przy koniach, na tym oblamywaniu gałązek zastała mnie matka. Przyszła z sąsiadem. Próbowwała coś mówić, chciała, zdaje się, głośniejsz zapłakać, ale jakoś jej to nie szło. Pochlipywała tylko.

Sąsiad, zostawiając nas przy koniach, wszedł do stajni, zdjął z gwoźdźcia latarnię, podkręcił jej płomyk i idąc przed nami, wprowadził nas do domu. W trójkę zbliżyliśmy się do łóżka, na którym leżał ojciec. Przeszłowałem z nogi na nogę. Chciałem przygłodzić jego zmierzwiłone na prawej skroni włosy. Wyciągnąłem rękę. Dopiero wtedy zobaczyłem, że trzymam w niej gałązkę zerwaną z jabłoni. Gałązka była zakończona kulką żywicy. W tym miejscu, skąd pod jesień urwało się jabłko. Położyłem gałązkę na złożonych rękach mojego starego.

[Spis treści](#)



Ojciec był pierwszym zmarłym, jakiego widziałem w życiu. Wprawdzie kilka razy byłem na pogrzebach, widziałem zmarłych niesionych przez wieś w pomalowanych skrzyniach, wieszonych na wyłożonych kłociakami furkach, ale nie umiałem i nie chciałem przypominać sobie tych nieboszczyków w pozbijanych naprędcie skrzyniach w ludziach, z którymi jeszcze onegdaj rozmawiałem pod lasem, których spotykałem w dojrzewającej kukurydzy prześwietlającej ich ręce położone na kolbach, z którymi pławilem konie w wieczornej rzece, roztrącając nagim ciałem złotą od piasku i przebitą tatarską strzałą wodę. Wołałem nie przymykać oczu, aby oni, zmarli, nie zjawiali się w mojej pamięci, aby nie wychodzili ze mnie, z moich roślin, zwierząt, drzew i wody, w których i przy których dane mi było widzieć ich cielesnie.

Również przez te kilka miesięcy, jakie minęły od śmierci ojca, nie ośmieliłem się ani razu przymknąć oczu z myślą o nim, siedzącym przy oknie, jedzącym chleb ze słoniną, idącym w rozdeptanych butach z miarką owsa do koni, odchodzącym przez poranną jutrznię z kosą na ramieniu do podbitego rosą siana. Toteż w przeciwieństwie do matki nie krzyczałem po nocach i po ciemnych kątach, nie zrywałem się z łóżka, aby zapalić gromnicę lub naftową lampę. Te wszystkie miejsca w domu, w oborze, w sadzie, w polu, przez które ojciec przechodził, o które czochrał się plecami, w które wbił gwóźdź, wstawił deskę, nigdy nie przypominały mi żyjącego w mojej pamięci starego.

Częściej od ojca, i to nawet wtedy, gdy miałem oczy otwarte, zjawiał mi się Jasiek. W barankowej czapce, w kożuszkę ściągniętym rzemieniem, prowadząc przy sobie karą trzylatkę, unoszącą coraz wyżej, niemal do gwiazdy, szczupły łeb. Dopiero kiedy kłaniając mi się czapką do ziemi, zapraszał mnie na grzbiet trzylatki, spostrzegalem na niej siedzącego w austriackim uniformie, w butach z cholewami, w ostrogach i przy szabli mojego ojca. Gdy podchodziłem do konia, żeby dotknąć stopy ojca, on wyciągał szablę, ścinał pochylonego do ziemi Jaśka i bodąc ostrogą bok karej trzylatki, galopował pod wiosenne wierzby.

Owo widzenie nachodziło mnie rzadko. Rad też byłem z siebie, że umiałem powstrzymać wirujące we mnie i wokół mnie obrazy z ojcem pośrodku. Zamknąłem go niejako w sobie, nie pozwalając mu wyjść do miejsc i do rzeczy, z którymi i w których obcował. Mógł mi się zjawić jedynie przy Jaśku. I wstrzeźliwość w obcowaniu z moim zmarłym rodzicem, z jego życiem, nadal widocznym w każdej blaszce upręży, w przyszczytku na bucie, w młotku, w każdej kitce na strzesze, nie przeszkadzała mi w skrupulatnym prowadzeniu gospodarstwa.

Ludzie wprawdzie zauważyli tę, jak oni ją nazywali, opieszałość w czczeniu pamięci zmarłego rodzica, ale widząc moją krzątanicę wokół pozostawionego mi gospodarstwa, dali pokój domysłom i plotkom. Zresztą nikt nie miał prawa podejrzewać mnie o synowską oziębłość i oschłość. W mojej wsi rzadko się widywało mężczyzn płaczących na pogrzebie. Chyba że ktoś sobie mocno popił przed stypą lub przypominał sobie wyrządzoną mu w testamencie krzywdę. A ponieważ ja z moim starym żyłem w zgodzie,

testamentu zaś rodzic nie zdążył zostawić, tym bardziej nikt nie miał powodu podejrzewać mnie o brak synowskiej pamięci i uczuć.

Zwłaszcza że pozostawione mi przez ojca gospodarstwo prowadziłem akuratnie. Zmyślniej i lepiej od starego. Jeśli za ojca, który lubiał się wtrącać do wszystkiego, w naszym domu zawsze brakowało kilku złotych na kościelne trzewiki dla matki i dla mnie, teraz obydwójce mieliśmy po dwie pary szewrowych butów. Matce dodatkowo w miejsce starej, wyświechtanej i obszarpanej z frędzli szalówki sprawiłem nową, z czarnego jedwabiu. Nagabywała o nią ojca od paru lat. Stary jej nagabywania zbywał machnięciem ręki lub milczeniem, uważając je za babskie fanaberie. Wprawdzie wzorem ojca nie odkładałem jeszcze do glinianego garnka wkopanego pod próg komory srebrnych pięcio- i dziesięciozłotówek, ale miałem w sobie tę przebiegle obliczoną pewność, że po roku, gdy jako tako przyodziejemy się z matką, sprawimy nową uprząż na konie, do garnka wkopanego pod próg będę wrzucał więcej niż ojciec. Inna rzecz, że miałem jeszcze sporo grosza, chociaż pokaźną sumę użyczyłem Jaśkowi na to nieszczęsne wesele, oszczędzonego z tych dwóch złodziejskich zim.

Przeto marzyła mi się lekka bryczuszka pomalowana na wiśniowo. Podobną, tyle że na ogumionych kołach, ze skórzaną budą, a jak to powiadano u nas, pod "baldakimem", posiadał sąsiedni dwór. Mnie by kontentowała najzwyczajniejsza bryczuszka na kołach z bukowych dzwon, kuta u naszego kowala, z wyplatany z czerwonej wikliny wasążkiem. W niedzielę i w każde święto paradowałbym w niej z matką do kościoła. Jakoż starowina, kwękając coraz bardziej, z żylakami na nogach, z powykręcany na ścierni stopami, musiała wstawać coraz wcześniej, żeby zdążyć na prymarię, nie mówiąc już o roratach.

Właśnie siedziałem na progu wyjedzonym przez tysięczne deszcze i stopy dwóch pokoleń, rozmyślając o tym. Był lipiec, pełen zmierzchu i polnych naszeptywań za pobliskim sadem. Właściwie nie był to jeszcze zmierzch, a coś pośredniego między przepływającą niebem jasną rzeką i zbiegającą coraz szybciej do stawu czerwcową łąką. Bryczuszkę już zamówiłem u kowala. Pod koniec marca udało mi się w pobliskiej rzeźni sprzedać bekony, a pszenica, zwłaszcza ta w ogrodach, zapowiadała się nad podziw. Również łąn pod lasem był niczego sobie. Byłem tam wczoraj po południu. Przeszedłem miedzą, płosząc przepiórki i łasice, wzdłuż całego zagonu. Kilka razy wchodziłem w sam środek pszenicy. Sięgała mi po szyję. Kłosa były nabite ziarnem. Przygarść nachylona ramieniem i puszczone za wiatrem, kołysała się krótko, dzwoniąc metalicznie. Jeszcze teraz, gdy spoglądam na swoje ręce, na brzuch pod rozchełstaną koszulą, wydaje mi się, że na skórze mam to samo światło, które było w pszenicy. Już dawno na tym polu nie było takiego urodzaju. Na pewno będę mógł sprzedać z piętnaście korcy ziarna. Tyle akurat wystarczało, żeby pokryć koszt zamówionej u kowala bryczki.

Matka wprawdzie uważała, że bryczka to za duży i zbyteczny wydatek, ale

widziałem, że się cieszy na samą myśl ukazania się przed kościołem w malowanym wasążku. Wiedziałem również, że chce mnie wyswatać. Już na zimowe wyskubki sprosiła co dorodniejsze panny z naszego końca wsi. A ponieważ w czasie wyskubków, wzdychając, wycierając w chustkę zapłakane oczy i wspominając zmarłego ojca, najczęściej rozmawiała z córką podlańskiego i sołtysówna, podsuwając im miskę z suszonymi śliwkami, przynosząc im z komory co dorodniejsze jabłka, byłem przekonany, że jedną z tych dwóch dziewczyn chciałaby mieć za synową. Gdy byliśmy sami, często napomykała o tym. Nie robiła tego bezpośrednio. Przy gotowaniu obiadu, a zwłaszcza przy rozczynianiu i wypieku chleba, coraz częściej biadoliła, skarżąc się na bóle w krzyżach i powiadając, że z niej żadna gospodyni. Udawałem, że nie słyszę jej narzekań. Ale gdy zaczęło się to powtarzać niemal przy każdym obiedzie, brałem ją za ramiona, okręcałem wokół siebie i spoglądając w jej przydymione oczy, powiadałem:

- Co też mama wygaduje. Dałby Bóg młódce takie gładkie ręce, taki szyk i świarność.

Uśmiechała się, przezywając mnie zbereźnikiem. Ale po takiej rozmowie przynajmniej przez parę dni nie wspominała o ożenku. Do najbliższego rozczywania i wypieku chleba. Staralem się więc jadać go coraz mniej, obywając się ziemniakami, kaszą i grochem.

Ale również i ja coraz częściej myślałem o tych dwóch dziewczynach. Bardziej do gustu przypadła mi córka sąsiada. Wysoka, szczupła, ale nie chuda, związana w sobie ciasno, z głową odrzuconą do tyłu, jakby całe niebo należało do niej, podobna była do podwiązanej mocno w wigilijną noc na większy urodzaj jabłonkowego szczepu. Lubiałem spoglądać, gdy wchodziła pod wierzby lub w młodziutki sad. Musiała wtedy schylać głowę, żeby nie zawadzić o gałązki, i jej usztywniona tybetka podnosiła się odsłaniając szyję. Ilekroć spoglądałem na ten przesmyk jej ciała, obnażonego między tybetka a wyciętą sukienką, miałem ochotę podbiec do niej i pocałować ją w usta. Jakoż jej usta, gdy przechodziła pod wierzby, gdy wchodziła w sad, były zawsze lekko wydęte, jakby miała zamiar chwycić zębami gałązkę, odgryźć ją i żuć do goryczkowej miazgi. Najbardziej jednak podobały mi się jej ręce. Uściśnione do sekretnej słodyczy w przegubach, o długich palcach, poręcznych do osmykiwania jagód, laskowych orzechów lub jabłek. Całymi godzinami mógłbym patrzeć na jej ręce, gdy żęła proso. W jej przygarści mieściło się dwa razy tyle słomianych ludzików, co w dłoniach mojej matki.

Kiedy jednak zapadałem w sen, nie mogłem przywołać pod powieki ani tym bardziej wywołać z siebie, ani jej odchylonej do tyłu głowy, ani jej rąk wydłużonych do obejmowania jaworowej kapliczki. Natomiast niepostrzeżenie i jakby z przekory zjawiała się we mnie sołtysówna. Niemal słyszałem szelest siana, po którym szła do mnie. Wyciągałem ręce, żeby ją schwycić za warkocze i przyciągnąć do siebie. Ale ona, przerzucając warkocze z piersi na plecy, już zbliżała się do mnie. Widziałem ją całą, bo była niższa, chociaż nie drobniejsza od córki sąsiada.

Bez chustki na głowie, w wiśniowej bluzce z przyciętymi rękawami, odsłaniającymi jej ramiona aż do pach, w kwiecistej spódnicy sięgającej do połowy łydek. Niemal wyrwany z drzemki, przesuwałem się ostrożnie na drugą stronę legowiska, robiąc jej miejsce koło siebie. Dopiero po chwili, gładząc przez sen siano, budziłem się. Ostrożnie i z namysłem przekonywałem sam siebie, że oprócz mnie i polującej na ptaki kuny nie ma w stodole nikogo. Zawstydzony, cofałem się z siana i otwierałem oczy. Ale sołtysównę nadal widziałem w sobie, w chruście, gdzie w dzieciństwie łapałem we włosiane sidła ptaki, w rzece, do której skakałem goluteńki z wysokiego, wyjedzonego przez powodzie brzegu, w łące, na której leżałem obok parutygodniowego źrebięcia ssącego mój serdeczny palec.

Z tym większą przyjemnością spoglądałem na nią za dnia. Gdy szła koło naszego domu do sklepiku z koszykiem jajek lub przez błonie z sierpem na ramieniu do żniwnego pola. I nie wiem, czy ta przyjemność brała się stąd, że widywałem ją również we śnie, czy też raczej stąd, że była bogatsza od córki sąsiada. Być może, że połączyło się jedno i drugie, gdyż we śnie coraz częściej widywałem ją stojącą przed kilkumorgowym stajaniem pszenicy dojrzewającej obok naszego pola pod lasem. Od tej pszenicy, pełnej chrobotu i światła, piękniała mi jeszcze bardziej. Dołeczki w jej puciołowatych policzkach rozbrajały mnie z zawężonej we mnie siły i rozwiązywały z węzełków mój oporny język. Przyłapywałem się bowiem coraz częściej na szeptaniu zapamiętanych z dzieciństwa kołysanek, na oskubywaniu z korony kwiatów ślepia i stokroci. A gdy szedłem do karczmy, w pole lub do kościoła, powiadałem sobie, że jeśli po stu krokach zobaczę na drodze biały kamyk, na pewno ujrzę ją po południu. I coraz częściej prowadziłem tę puciołowatą dziewczynę w zmiersch przesycony zapachem rzeki.

Ale w dzień, na jawie, gdy siadywałem na progu, gdy wyjeżdżałem w pole, częściej myślałem o córce sąsiada. Bez przymykania powiek, bez znajdywania białych kamieni, miło mi było widzieć ją poruszającą się w naszej izbie, przesuającą garnki na blasze, wchodzącą pod obniżony urodzajem sad, trzymającą między kolanami skopiec, do którego strzyka wieczorne mleko.

Nigdy jednak nie odważyłem się zaczepić żadnej z tych dwóch dziewczyn. Nie rozmawiałem też z nimi dłużej, niż to jest w zwyczaju. Nie dlatego, żebym nie chciał. Ale jakoś mi to rozmawianie nie szło. Byłem znacznie starszy od nich. Nie na tyle wprawdzie, żeby się to rzucało w oczy, ale w każdym razie chleb nam już smakował inaczej i inaczej wskakiwaliśmy do oberka. One też, chociaż przeczuwały, że do kościoła zawiozą je z kimś w moim wieku, wołały przestawać ze swoimi rówieśnikami. Z nimi też bez skrępowania wystawały całymi godzinami na drodze, na błoniu, koło przełazków wiodących w pola i w łąki. Radośnie, prawie chichocząc, jakby cała okolica była wysypana lubczykiem, szły z nimi na odpusty i na majowe festyny. Jakoż przeczuwały, że jeśli się spikną z kawalerem starszym i do tego gospodarującym na pozostawionej mu ojcowiznie, cała wieś zacznie

napomykać o zbliżającym się ożenku.

A mnie, chociaż przed matką udawałem, że do żeniaczki się nie palę, coraz bardziej ciągnęło do babskiego ciepła. Na moje nieszczęście to wiosenne słoneczko krzewiło się podwójnie: w córce sąsiada i w sołtysównie. Najchętniej łąziłbym między tymi dwoma słoneczkami, pociągał je za warkocze, całował w usta i śpiewał im ulubioną pastorałkę o cielątku ssącym palec Maleńkiego.

Wtedy też zjawiał mi się Jasiek w czapce ściągniętej na bakier, w czarnym surducie z wykładanym kołnierzem jedwabnej koszuli, prowadząc pod rękę wdówkę i młodziutką służącą. Uśmiechał się do mnie, odsłaniając łupane w białym kamieniu zęby i pytał, kiedy go zaproszę na starszego družbę, bo on już za lasem zamówił tę najlepszą żydowską muzykę. W takich chwilach, widząc Jaśka z przestrzeloną skronią, ubranego weselnie Jaśka, czym prędzej uciekałem do szopy, gdzie rąbałem do utraty tchu spiłowane w klocki bukowe odziomki.

Poza tym ani sołtysówny, ani córki sąsiada nie znałem zbyt dobrze. Wprawdzie mieszkałem niemal obok nich, ale jak się tak blisko mieszka, to się wprawdzie widzi sęk w desce, dziurę w płocie, przechyloną na bakier szopę, ale się nie ogarnia całego obejścia. W każdym razie z żeniaczką chciałem jeszcze poczekać. Teraz, kiedy jedną z tych dziewczyn miałem zamiar wprowadzić w mój dom, mogłem od nowa, niepostrzeżenie przyglądać się im z tej drugiej strony: gospodyni, żony, matki. I chociaż coraz bardziej ciągnęło mnie do nich, postanowiłem nie spoufalać się z nimi, aby ich nie płoszyć. Gdyby spostrzegły, że od pewnej niedzieli chętniej i częściej spoglądam na nie, wychodzące z kościoła, tańczące na festynie, pracujące w polu, na pewno zaczęłyby wystrzegać się tych wszystkich duszków, które je wodziły w tę i w ową stronę, żeby mnie nie zrazić.

Nie mogłem jednak ani dnia wytrzymać, by nie usiąść na akacjowym okrąglaku, zwalonym koło wrót, i to akurat o tej porze, kiedy dziewczyny wracały z pola lub szły do sklepu. Siadałem niby to na papierosa, ale gdy jedna z dziewcząt wychodziła z furtki trochę wcześniej, niż się spodziewałem i zastawała mnie na wyciąganiu kapciucha z tytoniem, nie mogłem w żaden sposób skręcić papierosa, gdyż bibułka pękała mi w palcach.

Po pewnym czasie spostrzegłem, że dziewczyny przeczuwają, dlaczego tak często przesiadują koło wrót na akacjowym okrąglaku. Jakoż ubierały się starannie. Teraz zawsze były obute w kościelne trzewiki sznurowane do połowy łydek. Na głowach miały najlepsze tybetki związane do tyłu, żeby odsonić grzebień wpięty w przczesane starannie i splecione w warkocz włosy. Nawet koło studni nie widywałem ich boso i w nie dopiętych spódnicach. Gdy podchodziły pod mój dom, starały się iść lekko i tanecznie. Wtedy słyszałem, chociaż ścieżka prowadziła środkiem błonia, furkot spódnic i szelest usztywnionych krochmałem halek.

Aby nie kusić dziewczyn, a tym bardziej siebie, bo gdy przechodziły błonie, podnosiłem się mimo woli z okrąglaka i opierając się plecami o

sztachetowy płot, starałem się je widzieć jak najdłużej w prześwitach między wierzbami, przeniosłem się pod dom. Tu, ukryty w malwowym i piwoniowym ogródku, byłem dla nich niewidoczny. Mogłem jednak tak samo dobrze jak spod wrót widzieć je przechodzące przez całe błonie.

Dziewczyny, jakby przeczuwając, że nadal się im przyglądam potajemnie, nadchodząc przed mój dom, podrywały stopy lekko i stawiały je spiczasto do ziemi. Śmieszyło mnie to trochę, bo tak jak one przechodziły przed moim domem, wskazuje się tylko w granego na festynie oberka. Niemniej jednak byłem rad, że to sztafirowanie się jest czynione z myślą o mnie.

Z tym większą przyjemnością myślałem o bryczuszcze toczonej i podkuwanej u kowala. Teraz już prawie codziennie, idąc ogrodami w tyczkowym grochu i w kukurydzy, zaglądałem do kuźni. Ze strychu pobierałem suszone od lat przez ojca jaworowe, dębowe i akacjowe odziomki przeznaczając je na podkulki, na pióra do literek i na piasty do kół. Przypatrywałem się, jak pod ośnikiem, dłutem i heblem kowala wysuszone do samej ośrodki, do ostatniego oddechu żywicy drewno nabiera koloru miodu, rozkrojonej dyni, czerwonego jabłka. Jeśli na struganych szprychach i dzwonach wyskakiwały niespodziewanie sęki, brałem do rąk kawałki przyszłej mojej bryczuszki i tak je kazałem wiązać kowalowi, żeby tworzyły widziany tylko we śnie wzór, dodający tajemnego piękna całemu kołu. Zadbalem również, żeby żelazo przeznaczone na okucia bryczki miało w sobie zwięzłość i równocześnie roślinną ciągliwość. W takim żelazie, gęstym, niemal kędzierzawym, hartowanym w wodzie, w białej i czerwonej glinie, o wiele głębiej i wyraźniej można było ryć wzór roślinnej łodygi, palczastej paproci, sokolego pióra, czubiących się o świcie kogutów. Poza tym tych delikatnych wzorów nie zalewała minia i lakier. Nie miała się ich rdza.

Oczywiście tę moją zapobiegliwość o każdy szczegół bryczki spostrzegł kowal. Zaczął wypytywać, z kim mam zamiar się żenić, czy już wysłałem swatów i kiedy dam na zapowiedzi. Żeby mi przestał dokuczać, musiałem postawić na kowadle butelkę gorzałki i obok na przekąskę spore pęto kiełbasy.

A ja rzeczywiście, chociaż do tego nie przyznawałem się nawet przed samym sobą, szykowałem bryczuszkę już nie z myślą o wygodzie matki, ale dla oczu dziewczyn, które coraz częściej przechodziły koło mojego domu, zjawiały mi się w snach, na dnie rzeki, gdy po całodziennej pracy w polu kąpałem się, nurkując do piasku i do iltu. I chociaż koła bryczki były jeszcze nagusieńkie, a wiklina na wasząnek nadal czerwieniła się nad rzeką, już widziałem siebie jadącego przez błonia. Blaszkki na końskiej uprzęży były wyczyszczone do połysku popiołem, drewniane części chomąt politurowane, a skóra natarta sadłem. Konie wyzgrzeblone i wyszczotkowane do talarów, bo obydwaj, klacz i wałach, były gniade, musiałem z całych sił powstrzymywać na skróconych lejcach. Ale to tylko dodawało im paradności. Szły z łbami uniesionymi do wierzbowych gałązek, strzygąc uszami. W naprężonych brzuchach grały im śledziony.

Gdzieś w połowie błonia widziałem idące pod rękę dziewczyny. Podcinałem konie trzciniowym batem. A przejeżdżając koło dziewczyn, jeszcze bardziej ścigałem je na lejcach, niemal spadając w przechyleniu do wasążka. Konie prychnąc i ryjąc kopytami błonie, aż pecyny ziemi i darni przelatowały im nad łbami, przystawały nagle, przebierając tanecznie nogami. Dziewczyny piszczały, uskakując w bok. Wtedy wychylając się z bryczki, z kapeluszem uniesionym nad głową, mówiłem dziewczynom po imieniu, zapraszając je do bryczki. Dziewczyny, chichocząc i krygując się, wsiadały do wasążka. Pomagałem im, wciągając je za ręce. Siadały na skórzanym siedzisku, biorąc między siebie okutaną w szalówkę matkę.

A ja, niby to przypadkiem, strzelałem z bata. Spłoszone konie z miejsca przechodziły w kłus. Dziewczyny, wtulone w matkę, popiskiwały z przerażenia. Uspokajałem je, odwracając się do nich i sypiąc im na kolana zakupione wcześniej cukierki w papierkach.

Ale swój zamysł nadal wykonywałem skrupulatnie. Niby to z rozbierającej mnie uciechy wykrzykiwałem weselne przyśpiewki i coraz głośniejsze i częściej strzelałem z bata, popędzając i tak już będące w pełnym galopie konie. Błonie, jak ogromna zielona karuzela, rozkręcało się przed nami. A ja pędziłem tym błoniem w dopalającą się za kościelną wieżą jutrznię. Chciałem przed dopaleniem się tej wiklinowej jutrzni dopędzić i minąć w pełnym galopie dworski powóz zaprzężony w siwki.

Spis treści



4

Od żniw pod lasem wróciłem grubo po południu. Napoiłem bydło, koniom za drabinki powrzucałem po naręczu świeżej koniczyny, a ponieważ nie chciało mi się iść nad rzekę, do drewnianego koryta przy studni, z którego przez cały rok z wyjątkiem zimy, pijały konie, wlałem kilka wiader studziennej wody. Rozebrałem się do naga. W studziennie mroźnej wodzie zmywałem z siebie żniwny kurz i żniwny blask.

Wyszorowany, pachnący szarym mydłem, w świeżo uprasowanej koszuli z wykładanym kołnierzem, ćmiąc papierosa, siedziałem na wyjedzonym przez deszcze dębowym progu domu. Daleko przed sobą, za Wisłą, za złotymi wzgórzami, na które sypał się zmierzch, widziałem pomniejszony do komara skrzydlaty młyn. W tym młynie cała okolica mełła pszenicę na pytlowe kołacze. Bez tego młyna nie było do pomyślenia żadne wesele. Przeto widząc przed sobą ten skrzydlaty młyn zwiastujący wesele, dożynki lub festyn, jeszcze wyraźniej dostrzegłem, patrząc w siebie, obydwie dziewczyny.

A ponieważ aż za ten młyn Jasiek wyprowadzał kradzione przez nas konie, zdawało mi się, gdy patrzyłem dłużej na wzgórze, iż widzę go przejeżdżającego po nich na karej trzylatce. Był ubrany weselnie. Koń miał

wetknięty w grzywę cały czub pawich piór. Przed Jaśkiem, również na koniach, jechały wdówka i służąca. Przed nimi na obłoku przypominającym przekłutego dzidą biblijnego smoka jechał nasz stary proboszcz, próbując rozwinąć stułę i związać nią ręce Jaśka i wdówki, i służącej.

Gdy te zapatrzenia niby to na wzgórze, a w gruncie rzeczy w siebie, powtarzały się coraz częściej, musiałem się umówić z sobą. Jeśli się przyłapywałem na zapatrzeniu, odmawiałem sobie śniadania, obiadu, papierosa czy też nurkowania z wieczornej, nagrzanej na całodziennym słońcu rzece. I natychmiast się zapędzałem do zbytecznej, ale oczyszczającej z rozmarzenia roboty.

Tak też było i teraz. Gdy tylko spostrzegłem, że zamiast zmierzających się wzgórz widzę w sobie, na ich złotym tle, a więc tym piękniejsze, obydwie dziewczyny, zerwałem się jak oparzony z progu. Przypomniałem sobie, że miałem zanieść do kowala jeszcze jeden akacjowy odziomek. Z tym suchym drewnem pod pachą, jak z ogromną woskową gromnicą, szedłem ścieżką prowadzącą przez kawałek błonia, wnikającą w ogrody tworzące zachodzące siwizną koło, zamknięte ze wszystkich stron słomianymi dachami. Idąc między kukurydzą, tyczkowym grochem i bielejącym owsem, osmykiwałem pełną garścią jego kiście. Gdy którąś z garści osmykniętego owsa rzuciłem na przechodzące w popiół powietrze, zobaczyłem idącą mi naprzeciw sołtysównę.

- Kruca zeks - zakląłem głośno. Kruca zeks, we łbie mi się miesza. Patrząc na wzgórze, widzę Jaśka ubranego weselnie, a za nim wdówkę i młodziutką służącą. Patrząc w las, widzę dziewczyny, w siebie spoglądając, widzę dziewczyny. Zapadając się w senne siano, łapami chodzę po nim, szukając dziewczyny. Gdziekolwiek się ruszę, wszędzie idą przede mną, za mną, we mnie i przeze mnie baby, baby, baby. I teraz też. Ledwie wyszedłem z domu, idzie mi naprzeciw ta drobna sołtysówna, widywana we śnie, pachnąca sianem, rozgniecionymi jagodami, zieleń i snem. I jeszcze pachnąca tymi wszystkimi dziewczynami, które kąpiąc się w rzece, tarosłem za warkocze, szczypałem w pośladki, całowałem w usta i w odgarniętą do nagości z włosów szyję, zanim postanowiłem, że się ożenię zjedną z tych dwóch dziewczyn.

Jezusie Nazareński, jeszcze nigdy nie chciało mi się tak ani garnuszka wody, ani jabłka z chłopięcego snu, ani bułanka, o którym marzyłem od dziecka, ani nurkowania w rzece aż do tej, ponoć cudownej ryby mającej nas wszystkich nakarmić, ani wiśniowej, malowanej w pawie bryczki - jak tej dziewczyny idącej przede mną. Pewnikiem dlatego tak mi się jej chciało, że mnie nieustannie nachodziła we śnie i wtedy gdy patrzyłem na złote wzgórze, i teraz na tej ścieżce, gdy idę do kowala i niosę ostatni, wyschnięty na wiór kawałek akacji, mającej zwieńczyć moją bryczkę wystruganymi w nim dwoma rajskimi ptakami.

A widziałem, że mi się chce tej sołtysówny, tej ze snu sołtysówny, z pacierza, z kapliczki, z litanii sołtysówny, bo przestałem osmykiwać owies i

ręce zaczęły mi się pocić nawet w tych miejscach, gdzie Chrystus miał wbijane gwoździe, i gardło miałem jakby przebite nożem czy też zmiażdżone kamieniem, i bolał mnie szczyt brzucha schodzącego w lędźwie. I jak zawsze w takich chwilach nie widziałem ani Jaśka, ani jego wdówki i służącej galopujących na koniach, jedzących wiśnie, rzucających w siebie proso, siemię i mak.

Jasny gwint, o, jasny gwint, jeszcze nigdy jej tak nie widziałem, jak na tej ścieżce prowadzącej przez ogrody całe w kukurydzy, w tyczkowym grochu, w owsie, w toczących się na polach dyniach i w sadzonym smułachu tytoniu. I tym wyraźniej ją widziałem, chociaż powietrze nad moją głową było pełne mylących iskier, gdyż za nią, najwyżej w stumetrowym oddaleniu, ciemniał sad jej dziadka. Poza tym między nami, po prawej stronie ścieżki, był staw, a raczej ustale rozlewisko, jakie pozostało po niedawnej powodzi. Rozlewisko nic było głębokie, ale jego ilaste dno czerniało, jakby było wyłożone dębowymi klepkami. Słońce, przechylając się na lewą stronę ogrodów i niemal znikające w białych i czerwonych koniczynach, w lucernach i w mateuszce, odbijało się od ilastego dna, oświetlając idącą w moją stronę sołtysównę, przypominającą światło drobnej wikliny.

W stawie kilku chłopców z sąsiednich domów pławiło konie. Dwóch czy trzech ich rówieśników, rozebranych do naga, skakało z podwyższonego brzegu do niemal czarnej wody. Ci pławiący konie i ci skaczący z brzegu darli się wniebogłosy. Woda rozbryzgiwana przez ich podobne do wypalanej gliny ciała, roztrącana do samego dna przez próbujące wierzgać konie, wyskakiwała nad rosnącą wokół stawu kukurydzę, nad tyczkowy groch, zalewając z sykiem dogasające powoli przedwieczne niebo.

To światło, odbite od ilastego dna, chłopcy pławiący konie i skaczący do wody, ich krzyk zmieszany z rzeniem koni, z sykiem zapadającego dnia, było mi na rękę. Mogłem podchodzić do sołtysówny nie widziany przez nią. Mogłem więc iść powoli lub przyśpieszyć kroku. A nawet, gdyby mi to było potrzebne, mogłem usiąść na chwilę w kukurydzy lub w owsie, poczekać na nią, a gdy będzie przechodzić koło mnie, wyciągnąć rękę i schwytać ją za nogę w kostce i wciągnąć w owies, w kukurydzę.

Szedłem jednak coraz szybciej do tej dziewczyny patrzącej na kąpiących się w stawie chłopców. Zauważyłem, już dawno zauważyłem, jeszcze gdy byłem gołębiarzem, że wszystkie dziewczyny, zanim się z kimś spikną na sianie, nad rzeką, w lesie, na furce siana, lubią się przyglądać gołym podrostkom. Niektóre z nich całymi godzinami wystają w wiklinie, drząc razem z wikliną po ostatni listek, przyglądając się, jak paruletni chłopcy, przydymieni przez upały, nadzy, jakby przed chwilą wyszli z wielkanocnej balii, skaczą z wysokiego brzegu, z nachylonej wierzby do pomieszanej z wieczorną zorzą rzeki. A gdy się je na takim zapatrzeniu zdybie nagle, na dnie ich oczu oprócz paru listków wiklinowych, ciemnego przestrachu można zobaczyć kołysanego do snu berbecia.

Toteż wyobrażałem sobie, że również na dnie oczu sołtysówny zobaczę

śpiącego pod sadem czy też w cieniu olszyny ssącego piąstkę, ledwie opierzonego berbecia. Ciekaw nawet byłem, do kogo też będzie podobny. Gdy byłem kilkanaście kroków od niej, spostrzegłem, że w plecionej opałce niesie jabłka. Zapominając o jej zapatrzonych oczach, zapragnąłem tych jabłek. A jeszcze przed chwilą, przyspieszając kroku, chciałem ją wyminąć ze strachu przed nieustającym bólem brzucha i przekłutego pragnieniem gardła.

Zbliżając się do dziewczyny i czując jej rozgrzane ciało, niby to przypadkiem potknąłem się na ścieżce. Lewą ręką zawadziłem o jej wystający łokieć. Czyniąc to, przymknąłem oczy. Widziałem w sobie wszystkie wiosenne sady i błonia, po których i pod którymi galopowały wypuszczone ze stajni, z chlewików nowo narodzone źrebaki i byczki. Nawet się uśmiechnąłem przypominając sobie, jak pod ich wyrzynającymi się rogami, pod twardniejącymi kopytami pękają sztachety, sypią się drzazgi z desek, zlatuje kora z jabłonek.

Na te moje wiosenne widzenia upadła dziewczyna i krzyknęła. Z wypuszczonego z dłoni koszyka posypały się jabłka. Na ścieżkę, w owies, w kukurydzę. Niektóre z nich toczyły się z pola aż do stawu. Od rozsypanych jabłek czerwieniły się kogucio pióra kukurydzy i kolanka owsa. A ja, pochylając się nad dziewczyną i trzymając ją za łokcie, przyciągałem ją do siebie, chcąc spojrzeć w jej źrenice. Zanim krzyknęła jeszcze raz i wyrwała się z moich rąk, zdążyłem zauważyć na dnie jej oczu kawałek przydymionego nieba z wyrzynającą się zaledwie gwiazdą i pocałować ją w szyję.

Czerwoni od rozsypanych jabłek, od tej nagłej przygody, zbieraliśmy rozsypane owoce. Wkładając je do koszyka, niby to przypadkiem zawadzaliśmy ręką o rękę, łokieć o łokieć. Początkowo, jak oparzeni, chowaliśmy ręce za Plecy, ale gdy zdarzyło się to kilka razy, spleśliśmy palce, próbując się przyciągnąć do siebie. Jej palce, przyzwyczajone do żęcia trawy, przeczesywania lnu i konopi, darcia pierza, miały siłę suchego rzemienia. Moje palce trzeszczały w jej rękach, niemal wyskakując ze stawów. Ale mimo bólu zawsze udawało mi się przyciągnąć ją do siebie i pocałować, gdzie popadło: w usta, w policzek, w odsłonięty z warkocza kark.

Wystarczyło jednak, że spojrzałem za siebie, czy ktoś nie nadchodzi, a sołtysówna, wykorzystując to, pchnęła mnie z całych sił w owies. Zanim się wygramoliłem, zanim się uniosłem na łokciach, ona już siedziała na mnie okrakiem targając mnie za włosy i tłukąc pięściami. Zastaniałem się, jak mogłem. Chichocząc i wierzgając nogami krzychałem, że mam rozbity nos i wargi. A gdy dziewczyna przestała mnie okładać na chwilę, jednym szarpnięciem ciała próbowałem się wyrwać spod niej. Zachwiała się wprawdzie, ale jej nogi, odsłonięte wysoko, że od ich widoku znowu mi zaschło w gardle i jeszcze bardziej rozbolał mnie szczyt brzucha, związane ciasno i strzeliście, jak mika z kwarcem, ścisnęły aż do utraty tchu moje żebra. Gdy próbowałem ręką sięgnąć między jej nogi, ścisnęła mnie jeszcze mocniej. W oczach pociemniało mi z bólu. Dopiero gdy przyrzekłem, zaklinając się na rozsypane jabłka, że nie będę jej dokuczał, rozluźniła kolana

i chichocząc zaczęła mnie łaskotać zerwanym źdźbłem trawy po wyschniętych ustach. Powiadała przy tym, że jeszcze się jej nie zdarzyło, nawet nocą, kiedy wszystko może się przytrafić, jechać oklep na tak obłąskawionym koniu.

Poczerwieniałem ze wstydu. Szepnąłem, że ktoś nadchodzi. Sołtysówna drgnęła, rozluźniając kolana. Podniosłem się na kolanach i chwytając ją oburącz za szyję, upadłem z nią w owies. Przyciągnąłem ją do siebie. Ręce z karku przesunąłem na łopatki. Splatając palce, aż mi zbieleły, ścisnąłem z całych sił. Próbowwała się bronić, chwytając zębami moje ucho. Ale gdy między kolanami ścisnąłem jej uda, znieruchomiła. Teraz ona jęczała z bólu. Powolotku, zwalniając stopniowo uścisk i ręk, i kolan, próbowałem ją ugłaskać.

Leżała pode mną, wciągając głowę w ramiona. Idąc palcami po jej twarzy, po obnażonej szyi, całowałem ją w łokcie i w ramiona. Zaczęła się jeszcze zacieklej bronić, nie dowierzając mi. Gdy ją pocałowałem w usta i ugryzłem w wargę, wyprostowała się i zaczęła pochlipywać. Głaskałem ją po policzkach, po głowie, po zgrubiałej z wysiłku szyi, po trzęsących się w płaczu plecach. Płakała coraz głośniej. Pierwszy raz mówiłem do niej po imieniu, cicho, najciszej, jak umiałem. Pierwszy też raz próbowałem śpiewać kołysankę, modlić się do kogoś świeckiego, żeby ją tylko uciszyć. Nic nie pomagało. Płakała coraz głośniej. Wtedy odsunąłem się od niej, obciągając na jej nogi pomiętą sukienkę. Podniosłem z ziemi dwa jabłka i przerzucając jej warkocz na plecy, podałem je jedno. Przeszła płakać. Podniosła się z owsa i usiadła. Wzięła jabłko w lewą dłoń, a prawą osmykując garść owsa, rzuciła mi w oczy. Zanim przetarłem twarz i wyplułem ziarno, ona była na równych nogach. Próbowałem podejść do niej, ale ona coraz dalej wchodziła w owies. Goniłem ją po owsie i po kukurydzy. Ciągle mi się wymykała. W tej gonitwie za sobą zdeptaliśmy spory kawałek owsa i kukurydzy. Żal mi się zrobiło tego zdeptanego pola. Przeszłem gonić za nią.

- Czego się boisz, wariatko? Przecież cię nie zjem. Krasnoludków nie jadam. Nawet nie wiem, jak się je jada. Pić mi się tylko chce. W gardle mi zaschło. Dałabyś jabłko.

- A weź sobie sam. Pełno ich na ziemi.

- Ale ja chcę wybrane przez ciebie. Takie jabłko na przeprosiny. I jeszcze na coś.

- A na co jeszcze?

- Jak mi podasz, powiem.

Patrząc mi w oczy, schyliła się po jabłko. Idąc kroczek za kroczeniem,niosła je na wyciągniętej dłoni. Była tuż przy mnie. Przez jej zwróconą w bok twarz przelatowało światło bielejącego owsa i zaczynającej się złocić kukurydzy. Wziąłem jabłko z jej dłoni. Otarłem je z puszku i z całych sił podrzuciłem do góry. Przymknąłem oczy, nadstawiając dłonie. Jabłko klaszcząc spadło w moje ręce. Podskoczyłem z radości i wbiłem w nie zęby. Sołtysówna spoglądała na mnie, uśmiechając się z zawstydenia. Nie

wiedziałem tylko, czy dlatego, że tak chciwie pochłaniałem jabłko, sycąc pragnienie, czy też dlatego, że skakałem z radości jak wypuszczony po tygodniu z kojca podstarzały kogut.

- Nie udław się tylko. Już taki jeden był, co się udławił kawałkiem jabłka i dotąd nie może go przełknąć. Nie udław się, Piotrek. Kto wtedy będzie śpiewał w chórze? I kto mi powie za ciebie, na coś chciał to jabłko?

- Jak już chcesz tak koniecznie wiedzieć, to powiem. Na raj. Czemu tak patrzysz? Mówię przecież, że na raj. I to z tobą, dziewczuszko. Nie masz pojęcia, jak mi się zachciało z tobą tego raj. I to nie tamtego podzielonego na dwie połówki przez Adama i Ewę, ale całego raj. A da Bóg, to jeszcze z jakimś przysiółkiem, z jakąś kukułką w dębinie.

Sołtysówna chciała coś powiedzieć, ale ja już przyciągnąłem ją za łokcie do siebie i całowałem w usta, w odgiętą do tyłu szyję. Próbowwała się bronić, wpierając mi w brzuch łokcie. Ale gdy ciaśniej przyciągnąłem ją do siebie, zarzuciła mi ręce na szyję i przywarła do mnie całym ciałem. Objęci, niemal zrośnięci z sobą, kołysaliśmy się z nogi na nogę, z czubków palców na pięty. Głaskałem ją po obnażonej głowie przypominającej małą dynię w warkoczach, po twarzy ledwie widocznej w zmierzchu, po szyi wygładzonej z żył.

Ręce moje zeszły na jej piersi. Drgnęła, jakby ktoś niewidoczny spłoszył nagle obok nas również niewidoczne stado ptaków. Ale nie odsunęła się ode mnie. Zaczęła tylko coś pośpiesznie mówić. Nie rozumiałem ani słowa z tego. Jakoż ona raczej śpiewała nie znany mi psalm czy też godzinki przed jutrznią. A jeśli już mówiła, przypominało to pacierz lub litanię. W każdym razie wydawało mi się, że musi to być coś kościelnego, bo mnie też chciało się modlić.

I zaiste miałem ochotę upaść na kolana i podziękować tej utajonej przed nami sile przepływającej przez wszystkie rośliny i przez wszystkie wody, że mi postawiła tę dziewczynę na drodze i żem się z nią spiknął i słowem, i ciałem. I że nie byłem wtedy jak ten zwierz wpuszczony w jagody i w leśną pasiekę.

I łapy moje szły po jej ciele statecznie. I była w nich mądrość wszystkich moich przodków osławiających dzikie zwierzęta i dzikie zboża, i dziki ogień, i najdziksze z nich - żelazo. A ponieważ oczy miałem zamknięte, mogę powiedzieć, że moje ręce pierwszy raz widziały i pierwszy raz słyszały. I przez te ręce widziało i słyszało całe moje ciało, słyszało jaśniej i wyraźniej niżby się to działo za pomocą moich uszu. I od tych rąk wiedziałem, że nie wolno płoszyć istot co tylko oswojonych. I te moje ręce odsunęły od reszty mojego ciała tę dziewczynę ciągle szeptającą ni to psalm, ni to pacierz. I moje ciało pociemniało od wewnątrz z nienawiści do rąk. Ale ugłaskałem je tymi rękami, które pierwszy raz widziały i pierwszy raz słyszały. I moje ręce były pierwszy raz mądrzejsze od całej mojej reszty.

Staliśmy przed sobą, nie patrząc na siebie. Ująłem jej ręce w przegubach. Pulsowały w nich podskórne źródła. Za stojącą przede mną dziewczyną, za złotymi wzgórzami pulsowała zorza. Gdyby nie ta zorza, byłoby prawie

ciemno. Puściłem ręce dziewczyny i najdelikatniej, jak umiałem, ująłem ją pod brodę. Podniosłem jej twarz do nieba. Był w niej spokój jak po modlitwie. Na dnie jej oczu nie ujrzałem próbującego raczkować berbecia. Uśmiechnąłem się. Dopiero wtedy jej twarz poruszyła się. Na powrót wracały w nią widziane codziennie rośliny i zwierzęta, złote wzgórza i czarny las z przekłutym nad nim smokiem, dróżka wybita w błoniu przez weselne bryczki i sęk w desce z kroplą żywicy pośrodku.

- To już teraz wiesz, na co podawałaś mi to jabłko?

- A jużci, że wiem. Pić ci się chciało. Jeszcze nie widziałam, żeby się komuś aż tak chciało pić. Ale i bez tego jabłka napiłbyś się do syta.

- Ejże, dziewczuszko?

- Och, Piotrze, jakiś ty głupi. Pewnie, żebyś pił. Ten twój raj? Myślisz, że spadł ci z podrzuconym jabłkiem? Mógłbyś sobie całymi tygodniami podrzucać wszystkie jabłka ze wszystkich sadów w okolicy. Gdybym nie chciała, palcem byś mnie nie tknął.

Mówiąc to, zaczęła tańczyć przede mną. Tańczyła coraz szybciej w wytłoczonym owsie, a połamanej kukurydzy. Już nie podskakiwał, ale tańczył razem z nią rozpleciony warkocz. Wykrzykiwała przy tym pojedyncze słowa, śmiała się, klaszcząc w ręce. Układało się to wszystko w weselną przyśpiewkę, w psalm weselny:

- Raj, zielony raj. Drabinka przy raj. Piotruś stoi przy niej. Piotruś chce do raj. Piotruś chce się napić. A tam woda żywa, a tam jabłka żywe. Raj, zielony raj. Drabinka przy raj. Piotruś wchodzi po niej. Piotruś wchodzi w raj. Piotruś pije w raj. Z raj po drabince, po zorzy, po błoniu, wyłoczone jabłko serdecznie się toczy.

Przyłączyłem się do jej tańcowania. Krocze po kroczyku przytupywałem za nią. Rozpleciony warkocz smagał mnie po głowie, po oczach, po ustach. Chciałem go schwycić zębami. Właśnie wtedy, patrząc za warkoczem, potknąłem się o koszyk. Było w nim sporo jabłek. Podniosłem go z ziemi i po trosze, żeby dokuczyć tańczącej nieustannie dziewczynie, a po trosze z rozpierającej mnie uciechy, wyjmowałem czerwone jabłka z koszyka i rzucałem nimi w pobliski staw.

Jabłka spadały między kąpiących się chłopców. Niektóre trafiały w końskie zady, pękając. Od tych jabłek woda stawała się jabłkowita i jabłkowite karę i bułane konie. Konie trafione jabłkami płoszyły się i rżąc na całe ogrody i wierzgając uciekały ze stawu. Za końmi, uczeni ich grzyw i ogonów, wyskakiwali na brzeg chłopcy. Ich nagość świeciła w zmierzchu przydymionym złotem. Chłopcy zwoływali się pokrzykując. Paru z nich weszło w pobliską kukurydzę na przeszpiegi. Przykucnąłem w nie zdeptanym owsie, pociągając za sobą tańczącą dziewczynę. Ale zdążyłem jeszcze, zauważyć, że woda w stawie staje się purpurowa od czerwonych jabłek. Chłopcy zaś, ściągając z kukurydzy koszule i portki, podprowadzali konie do pobliskiej wierzby i z jej pochylenia wskakiwali im na grzbiety.

Gdy w nizinie ciągnącej się za rozlewiskiem, zarośniętej sitowiem,

skrzypem i podbiałem, ucichł tętent oddalających się końskich kopyt, podnieśliśmy się z kukurydzy. Teraz w stawie oprócz czerwonych jabłek stała wieczorna gwiazda. Zachciało mi się rozbić jej filujące światło, więc znowu zacząłem rzucać w staw jabłkami. I chociaż rękę miałem celną, ułożoną od dziecka do rzucania kamieniami w chodzące po płotach koty, w wałęsające się po polach psy i w gnieźdzące się w koronach wierzb ptaki, nijak nie mogłem trafić w gwiazdę. Inna rzecz, że dziewczyna, przerażona trwonieniem jabłek, wyrwała mi koszyk i przeszkadzała. Ale widocznie i jej spodobało się to rzucanie jabłkami w staw o dnie z czarnego dębu, gdyż przestała mi wyrwać koszyk. A gdy nadal nie mogłem trafić w gwiazdę, również ona, zbierając jabłka z ziemi, zaczęła rzucać nimi w staw. Woda prawie purpurowiała. A ponieważ na niebie zapalało się coraz więcej rozmaitych światel, czerwone jabłka tym wyraziściej były widoczne w stawie. Niektóre z nich przejrzałe tak, że gdy się je poruszyło, dzwoniły w nich pestki, pękały w zetknięciu się z twardą, żelazistą wodą. Wtedy staw wyglądał, jakby w nim poprzebijano szpikulcem wszystkie karpie.

W koszyku było jeszcze jedno jabłko. Złote. Widocznie spadło tam, gdy dziewczyna z pełnym koszykiem przemykała się pod niskim sadem. Ważyłem je w dłoni, obcierając starannie z puszek. Gdybym zostawił puszek, znów by mi się obsunęły z jabłka palce i nie trafiłbym w gwiazdę. A chciałem w nią trafić. Jakoż pomyślałem sobie, że wtedy, gdy zgaśnie to największe światło w wodzie, postaram się namówić dziewczynę, żeby się ze mną wykąpała. Przeto długo i starannie ważyłem jabłko w dłoni. I wskazując sobie cel lewą ręką, przechyliłem się do tyłu, aby rzut nabrał odpowiedniej śmigłości i siły. Ale gdy podrywałem ciało z przechylenia, dziewczyna chwyciła mnie za rękę i wyrwała mi jabłko.

- Daj, Piotrze, ja nim rzucę. Nie bój się, trafię. To złote jabłko. A złotym jabłkiem powinien rzucać król. A jeśli nie ma króla, to biskup. A ponieważ nie ma tu ani króla, ani biskupa, złote jabłko jest moje. I ja nim rzucę. Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, jabłko już przelatywało nad czarną wodą. Pomagaliśmy temu złotemu jabłku w locie, pokrzykując. A ono już spadało w sam środek gwiazdy. Gwiazda zakołysała się w wodzie jak naftowa lampa zawieszona u strzechy. Zanim znieruchomiła z powrotem, dziewczyna szczypiąc mnie do bólu w ramię, zdążyła mi wyszeptać, dlaczego wyłudziła ode mnie ten rzut złotym jabłkiem.

- Och, Piotrze, Piotrze. Bałam się. Tak się strasznie bałam. Gdy zaczęliśmy rzucać tymi czerwonymi jabłkami do stawu, a on od nich coraz bardziej purpurowiał, zdawało mi się, że to kat obmył w wodzie miecz i kozacy po bitwie płukali w niej szable. To jak ujrzałam to złote jabłko, pomyślałam o jabłku królewskim. A takie jabłko królewskie, złote berło, wrzucone do wody, zanurzone w niej, oczyszcza ją z ran, goi jej rozdarte tętnice, gasi w niej do płomyka tajemną siłę. Podobnie jak sól sypana okruszyna po okruszynie na język noworodka rozwiązuje jego pierwszy płacz za rajem. I jeszcze sobie pomyślałam, wydzierając ci to jabłko, że jeśli trafię nim w gwiazdę, a ona się

zakołysz i omiecie jak wiązka prosa wodę stawu, płosząc z niej cień kata i cienie kozaków, to wtedy się w niej wykąpiemy. A że trafiłam, to proszę cię, chodź się kąpać, Piotrze.

I pociągnęła mnie za rękę. I już biegła przez owies do stawu. Pobiegłem za nią. Chciałem ją dogonić, wyściskać i wycałować za to, że pierwsza napomknęła o kąpieli. Jakoż choćbym nawet trafił jabłkiem w gwiazdę, nie wiem, czy ośmieliłbym się jej powiedzieć o wejściu do stawu. W każdym razie na pewno bym się jąkał, próbując czubkiem buta wygrzebać z ziemi słowo po słowie.

A teraz nie mogłem jej dopędzić. Z rozpostartymi ramionami, z warkoczem całkiem rozplecionym, z odrzuconą do tyłu głową, biegła po ilastym brzegu. A gdy ją już chwyciłem za rozpleciony warkocz, wskoczyła w schodzącą do stawu kukurydzę. Chciałem biec za nią, ale potknąłem się i upadłem. Ziemia, wysuszona na tabakę, zapachniała mi stygnącym na kowadle żelazem. Również łodygi kukurydzy pachniały jak wyjęty z ognia nikiel. Przeto siedząc na ziemi słyszałem dokładnie uciekającą przede mną dziewczynę, łamanie łodyg i spadanie pełnych kolb kukurydzy. I słyszałem, jak dziewczyna przystaje, siada na ziemi i z ustami przytkniętymi do grubej łodygi oddycha głęboko.

- Hej, Piotrze. Odezwij się, Piotrze. Słyszę cię przecież. Dyszysz jak zziajany pies. Nie bądź głupi. Przestań mnie gonić. Daj mi się rozebrać. Przecież nie będę się rozbierać przy tobie. A kąpać też nie będziemy się razem. Ty pójdziesz się rozebrać pod sad mojego dziadka. Tam woda głęboka. A ja zostanę tu, przy kukurydzy. Dobrze, Piotrze? No, odezwij się ciemiego. Nie myślałeś przecież, że wyjdę do ciebie goła.

- No pewnie. A goniłem cię tylko tak, z uciechy. Znowu zachciało mi się pić. Suszy mnie przy tobie, dziewczuszko. A teraz już sobie idę pod sad. To możesz bez obawy wyjść. Nie bój się, nie przyczaję się.

Pogwizdując obszedłem staw dookoła. Z sadu szedł szeroką smugą winny zapach rajskich jabłek i złotych renet. W tej smudze wyczuwałem jeszcze zapach uchylonej przed nocą obory, zarzuconej snopkami stodoły, goniącej się suki i starczego ciała rozbieranego do snu. Gdy zacząłem ściągać koszulę, z kukurydzy wyszła sołtysówna. Widząc, że się rozbieram, siadła na ziemi i szybko rozsznurowała trzewiki i ściągnęła przez głowę sukienkę. Siedziała w koszuli. Ale po chwili zrzuciła ją z siebie i całkiem naga wbiegła truchcikiem do wody. Zaskoczyło mnie to, gdyż myślałem, że jak wszystkie dziewczęta ze wsi, będzie się kąpać w koszuli.

I nie bardzo śmiałem wejść do tej czarnej wody pełnej teraz dziewczęcej nagości. Stałem w niej po kostki, przestępując z nogi na nogę. Woda, nagrzana na słońcu, pachniała gaszonym wapnem, żelazem hartowanym w ile i mokrej trawie i rozparzoną solą. Kilka razy pochyliłem się nad wodą, ale nie miałem odwagi zanurzyć się w niej po szyję. Dopiero gdy od patrzenia na wchodzącą do wody dziewczynę, na wodę nagą od jej ciała, z powrotem rozboleł mnie brzuch i gardło miałem przebite na wylot, przymknąłem oczy i

wyrzucając przed siebie ramiona, dałem nurka do stawu.

Chciałem pod wodą dopłynąć do dziewczyny i schwycić ją za kolano. Przeto płynąc pod wodą miałem oczy otwarte. Ale dno stawu było zbyt ilaste, żeby ujrzeć cokolwiek prócz większych świateł na niebie. Gdy dopłynąłem do największego z nich, byłem przekonany, że jest to wieczorna gwiazda. A skacząc do wody zauważyłem, że właśnie do niej zbliżała się dziewczyna. Nie było jej jednak przy tym dużym świetle. Poza tym zbyt długo przebywałem pod wodą. Zacząłem się dusić. Zdażyłem jeszcze wpłynąć w sam środek światła i wyskoczyć na powierzchnię. Usłyszałem rozbryzgiwanie wody i pomieszany w tym pisk dziewczyny.

- O, Boże, aleś mnie nastraszył. Najpierw myślałam, żeś się utopił, że cię wciągnęło to dno czarnego łu. Jak dwa lata temu dziadkowego żrebaka. A gdyś wyskakiwał ze światła, myślałam, że to dziki zwierz, smok, uskrzydłony jaszczur porwał twoje ciało i ucieka z nim w niebiosy.

Sołtysówna, zanurzona w wodzie po szyję, była przede mną może jakieś dziesięć kroków. Rękami podtrzymywała osypujące się z warkocza włosy. W prawej ręce, a raczej w jej dwóch palcach, trzymała nadgryzione jabłko. Powolutku, posuwając po ilastym dnie stopę za stopą, żeby się nie wystraszyła, zbliżyłem się do niej. Szedłem tą wodą pełną jej nagości do tego nadgryzonego jabłka w jej ręce, do tych dwóch żywych jabłek zanurzonych w wodzie. Początkowo prosiła, żebym się nie zbliżał, żebym jej dał spokój. A gdy byłem już bliźutko niej, poczęła uciekać, zasłaniając się przede mną rozbryzgiwaną rękami wodą.

Dopędziłem ją po paru krokach. Odwróciłem twarzą do siebie i trzymając ją za łokcie, cal po calu przyciągałem do siebie. Musiałem łamać jej opór, jak się łamie grzbiet sarny lub weselnego cielaka. Woda, prawie ciepła, coraz bardziej stygła od jej ciała. Jakoż gdy ją prawie przyciągnąłem do siebie, zdawało mi się, że pod jej skórą przesuwają się zadymki. Ale trwało to króciutko. Natychmiast po tej zadymce w jej ciele zatętnił rogowymi kopytkami rozbuchany na wiosnę żrebak.

Boże ty mój, święci pańscy, królowie niebiescy, ileż kłopotu miałem z tym żrebakiem, zanim go ugłaskałem. Ale dałem mu radę. I żrebak stał przy mnie, pogryzając jabłko wyjęte ze stawu. I kąpaliśmy się jeszcze długo w tej oczyszczonej złotym jabłkiem wodzie. Nurkowaliśmy do ilastego dna, starając się wymacać stopami i wynieść na powierzchnię choćby drobny kamyczek. A gdy się nam to nie udawało, pływaliśmy obok siebie zanurzeni, z uszami w wodzie, starając się zębami, bez pomocy rąk, schwycić pływające jabłko. I pomieszano się nam wszystko. Nie wiedzieliśmy, czy to jest jeszcze woda, czy też rzeka z jabłkami, w którą weszliśmy nieopatrznie, a ona nas znosi pod rajskie ogrody. Dotykaliśmy się rękami, trącali kolanami, trykali łbami w tej wodzie, w tych jabłkach. Nasze ciała miały smak gaszonego wapna, hartowanego żelaza, rozparzonej na blasze soli, smak jabłek stygnących do królewskiego berła. I już się nie wstydząc, myliliśmy sobie plecy.

Po wyjściu z wody nie mieliśmy się w co wytrzeć. Przeto biegaliśmy po

brzegu, póki z naszej nagości nie spadła, jak z ptasiego skrzydła, ostatnia kropla wody. Wysuszeni, rozgrzani bieganiną, ubieraliśmy się powoli, pomagając sobie nawzajem. W owsie odszukałem koszyk i akacjową łupkę. Podałem dłoń dziewczynie, podrywając ją z ziemi. I obejmując jej barki, prowadziłem do domu. Ale ona, przypomniawszy sobie nagle, że koszyk jest pusty, przystanęła i poczęła mnie molestować, żebyśmy wrócili do dziadkowego sadu i natargali jabłek. Potrzebne jej były, bo pojutrze, w niedzielę, jest festyn, a ona obiecała dziewczętom, że na ten festyn upiecze kołacz z jabłkami.

Zawróciliśmy więc do sadu i idąc pod nim niemal na bałyku, gdyż niektóre jabłonki były kanowate, odszukaliśmy złote renety. Rosły tuż koło domu, zachodząc na strzechę. Nawet wydawało się, że dom nie jest kryty słomą, ale liściastymi gałęziami. Jeszcze sprawdziliśmy, czy dziadkowie śpią. Widocznie było już późno, bo jedyne okno wychodzące na sad było ślepe. Również w świątecznej izbie światło było zdmuchnięte.

Obejmując rękami i nogami jabłonkę wspinałem się po niej jak leśny zwierz. Gdy wszedłem w jej koronę, przechyliłem się niemal do samej ziemi i wciągnąłem w jabłoń sołtysównę. Teraz we dwójkę, ona po jednej gałęzi, a ja po drugiej, leżliśmy jak odpustowe niedźwiedzie na dach domu. Sołtysówna powiadała, że na dachu jabłka są najzralsze. Soczyste, pełne światła, z poruszoną w rdzeniu pestką, a równocześnie zimne jak źródłana woda. A takie jabłka najbardziej się nadają na nadzienie weselnego placka.

Z gałęzi, które pod ciężarem weszły głęboko w zbutwiałą strzechę, sypały się jabłka. Te spadające jabłka, tocząc się po kitkach, wypłoszyły jak łasice lub kuny gnieźdzące się w strzesze wróble i nietoperze. Krążyło to drobiastwo wokół nas, wróble oślepione ciemnością, a nietoperze jasną nad sadem, jak wsunięta do połowy w pochwę szabla, sierpniową zorzą.

Dopiero gdy zeszliśmy z gałęzi na strzechę, a one odskoczyły od słomy na łokieć i przestały się sypać jabłka, ptaki powróciły do gniazd i cały dom wszedł z powrotem w sen. Jedyne jabłonie zachodzące na strzechę, z których targaliśmy do zanadrza owoce, nadal były wypłoszone z drzemki. Reszta sadu spała w najlepsze, niemal pochrapując.

Ponieważ koszyk zostawiliśmy pod jabłonią, jabłka jak się rzekło, targaliśmy do zanadrza. Ja to jakoś wytrzymałem, gdyż od dziecka chadzałem łasować do cudzych sadów, więc moja nagrzana skóra była przyzwyczajona do tych kuł z cyny czy też z miedzi. Ale dziewczyna, wkładając jabłka do zanadrza przewiązanej jabłonkową witką sukienki, syczała, jakby ją napadało i szczypało stado gęsi.

Mając całe zanadrza jabłek, położyliśmy się obok siebie na słomianym dachu, żeby ociupinkę odpocząć. Próbowaliśmy się całować, ale przeszkadzały nam w tym garby z jabłek. Daliśmy więc pokój, leżąc i patrząc na rozjaśniające się coraz bardziej od rozlicznych świateł sierpniowe niebo. I zdaje się, że na tej strzesze, pachnącej jabłkami, ptasimi piórami, pod tymi gałęziami, przez które przeświecało niebo, było nam lepiej niż w stawie,

choć nie całowaliśmy się i nie starali złamać w sobie nawzajem utajonego w każdym z nas zwierzęcia, aby przyjść do siebie w nagości. Nie znaczy to wcale, że pamiętając całym ciałem ten staw pełen nagości, krzywdowaliśmy sobie. Owszem, nadal przeciągaliśmy się z lubości, aż chrupiały jabłka w zanadrzu i sypała się ryta obcasami zetlała słoma strzechy.

Leżeliśmy na tym słomianym dachu z piętami wbitymi mocno w kitki, z rękami podłożonymi pod głowy, podnosząc się od czasu do czasu, żeby wprost zębami sięgnąć po jabłko i pogryzać. W strzechę sączyło się z nas całodzienne światło i cień, i całodzienne zmęczenie, i jeszcze to zmęczenie z mocowania się na ścieżce, i to pachnące mi dotąd gaszonym wapnem, hartowanym żelazem, solą i rozgrzanym zwierzęciem, cudowne zmęczenie w wodzie.

Oczyszczeni przez czochrającą się sennie strzechę, próbowaliśmy razem z nią wejść w drzemkę, w głębokiego po koniuszki włosów śpiocha. Ale jak to zwykle bywa przed snem, przegapiliśmy najwidoczniej wchodzenie w drzemkę słomianego dachu. Przeto opowiadaliśmy sobie rozmaite zdarzenia z dzieciństwa, a więc też po trosze ze snu. Wtedy to sołtysówna, wyjąwszy spod głowy ręce, podniosła się na łokciach i nachylając się nade mną, spytała:

- Chciałbyś być królem?

- A czemu pytasz, Helu?

- Bo ja bym była wtedy królową. I mielibyśmy większy od naszej wsi, od wszystkich dworów w okolicy, jabłonkowy sad. A gdyby nasz sad zaczął się złościć od jabłek, wchodziłabym weń z tobą i targała je pełnymi garściami. I codziennie o zmierzchu, mając jabłek pełne zanadrze, pełne kieszenie, pełne wiklinowe kosze, chodzilibyśmy nad staw. I aż do utraty tchu, do bólu w łokciach, zarzucalibyśmy nimi wodę. Niechby się złościła od jabłek. I kąpalibyśmy się w tej wodzie dopóty, dopóki nie narodziłby się z niej mały nasz. Bo jak dzisiaj patrzyłam na kąpiących się chłopców, pływających konie, to pomyślałam sobie, że wszystko ma swój początek, swoją pępowinę w wodzie. I tak się cieszyłam, że to z nami nie stało się ani na ścieżce, ani w kukurydzy, ale właśnie w tym stawie.

- A widzisz, Helu, jak się nam poszczęściło. Wprawdzie z przypadku, ale byliśmy już królewską parą. Tyle tylko, że w wodzie o jednym złotym jabłku. Ale jak chcesz, mogę ci jutro lub pojutrze zarzucić to rozlewisko równo, równiusieńko złotymi renetami. Żebyś choć raz w życiu była w tej wyłoczonej, przepłoszonej z cieni i przywidzeń wodzie dziewczyną - królową i matką - królową. I matką, matką, Helu.

- A może ty, Piotrze, chcesz być katem? Kat to też król. Nawet większy niż król, bo od śmierci. Czemuś tak podskoczył? Jakbyś był katem, byłabym kątową. I kąpałabym się w wodzie, której dno byłoby wyścielone czerwonym suknem. I czyściłabym twój miecz w piasku, i mielibyśmy z sobą dzie...

Położyłem dłoń na jej ustach. Próbowwała ją oderwać, ale moja ręka, gdy chcę, jest cięższa od żeliwa. Bełkotała coś pod dłonią, niemal się dusiła. Ale

wolałbym rozgnieść jej wargi na miazgę, niż usłyszeć, co by się narodziło z tej katowskiej wody, z tego kata, z tej katowej. Wtedy też, pierwszy raz od paru dni, znowu zjawił mi się Jasiek. Zobaczyłem go między gałęziami idącego po niebie na ugiętych od wypitki nogach, strzelającego z płaskiego pistoletu do przechodzących z tobołami, jadących w wasążkach karczmarzy i kupców. Po prawie jasnym niebie, przypominającym nadrzeczny piasek czy też nowo narodzone jagnię, włókł pomordowanych za nogi, wiązał ich rzemieniami i drutem i wrzucał do wody zarzuconej złotymi i czerwonymi jabłkami.

Otrząsnąłem się z tego przywidzenia, gdy Hela przestała bełkotać pod moją dłoń. Jej jasna głowa znieruchomiła i wchodząc pod ciężarem ręki w strzechę, pociemniała. Przeraziłem się, że ją zadusiłem. Zdjąłem rękę z jej twarzy. Westchnęła, zaciągając się jak palący fajkę powietrzem. Po czym przeciągnęła się w ramionach, podniosła się na łokciach i pochylając się nade mną, poczęła, najpierw małym palcem i tak po kolei wszystkimi, ploszyć z mojej twarzy przestkach. Gdy jej ręka znieruchomiła na mojej twarzy, zobaczyłem, otwierając oczy, że sołtysówna śpi. Wyjąłem ją ostrożnie z tego żołnierskiego spania na jednym łokciu i żeby jej jabłka nie ugniatały, położyłem ją na prawym boku, tuż koło siebie. Obejmując ją ramieniem, słyszałem, jak w sadzie wszystko się ucisza i zasypia. Sam też prawie drzemałem na tej strzesze pachnącej winnic jabłkami i uśpionej do mysiego szelestu.

[Spis treści](#)



5

Zbudziliśmy się o szarówce. I chociaż byliśmy wtuleni w siebie, dygotaliśmy z zimna. Wychodząc ze snu, z tej śmierci niewinnej, zleźliśmy ze strzechy pod nadal senny sad. Trawa pod sadem, podsiana białą koniczyną, nie tknięta kosą ani zębami kozy, ani siekaczami królika, była pełna rosy i niemal do kostek zasłana urywającymi się przez całą noc jabłkami. Chcieliśmy jak najspieszniej wyjść spod sadu w pola, złote od kukurydzy i od resztek owsa, żeby w prześwicie między sadem i polem nie spotkać nikogo ze wsi i zdążyć do domu przed przebudzeniem się najbliższych.

Nie wyglądaliśmy na świętych ani na wracających z odpustu, ani tym bardziej na złodziejasków, chociaż w naszych zanadrzach przy każdym stąpieniu kołysały się zerwane nocą jabłka. W zanadrzu Heli, oprócz jabłek, kołysały się dodatkowo i niejako osobno dwa żywe stworzenia. Było to widoczne, chociaż te dwa żywe stworzenia nie były wiele większe od zerwanych jabłek.

Właściwie to nie strach, że spotkamy kogoś w ogrodach i natkniemy się na krzątających się po obejściu ojców, ale te dwa żywe stworzenia w zanadrzu Heli wypędziły nas o jutrzni z sennej strzechy. Jakoż gdyśmy się

przebudzili dygocąc z zimna, w jej oczach zobaczyłem na powrót kąpiących się o zmierzchu chłopców, a tuż po nich bawiącego się w piasku berbecia. I gardło miałem przebite nożem, i bolał mnie szczyt brzucha. Wolałem więc zejść czym prędzej ze strzechy i wejść w pola, przeciągające się szeroko po sierpniowej drzemce w jutrzni.

Bo gdybym zasnął na tej strzesze z którymś z rówieśników, mógłbym wyjść z jej słomianego snu choćby koło południa. Nikogo by to nie zdziwiło, bo jakże się tu dziwić człowiekowi, który spracowany wszedł w sen i rozsmakował się w nim borsuczo. I choćby nas zdybano na strzesze, nikt by w nas nie rzucił jabłkiem, żeby nas wypłoszyć ze snu. Chyba żeby ten ktoś nigdy nie widział i nie wiedział, co się dzieje, gdy takich dwóch śpiących, obudzonych nagle, zjeżdża na tyłku ze strzechy pełnej jabłek i ptaków.

I takich dwóch wychodzących po nocy ze słomianego snu strzechy zaiste można było wziąć za zbłąkanych pod sadami świętych, za wracających z odpustu obiboków lub zarabiających na wieczność biczowników. A co najwyżej za złodziejasków, którym pierwszy raz od wielu miesięcy się poszczęściło i na to konto wypili o kwaterkę za dużo i żeby wytrzeźwieć, wyciągnęli ze studni blaszankę ze śmietaną, a po tej śmietanie zachciało się im jabłek na dodatek.

A przez te dwa żywe stworzenia kołyszące się w zanadrzu Heli ociupinę inaczej niż zerwane jabłka spotykani w polu ludzie mogliby pomyśleć ó tym i o owym, i jeszcze o tamtym. Bo czemu nie mieliby pomyśleć o tym i o owym i jeszcze o tamtym, gdy ja, patrząc na te podskakujące na uwięzi stworzenia i mając w pamięci obydwóch rąk, ust i całej głowy ich kształt, pomyślałem o tym i o owym, i jeszcze o tamtym pomyślałem, chociaż już wiedziałem, jak się dzieje to i owo, i jak się tamto dzieje. Może właśnie dlatego, że już wiedziałem, jak się dzieje i to, i owo, i jak się tamto dzieje, nie chciałem, żeby napotkani ludzie, nie smakując tego i tamtego, przechodzili obok nas, jakby smakowali i to, i owo, i jeszcze tamto smakowali.

To na wszelki wypadek, ubiegając ludzi, chciałem żebyśmy jak najspieszniej weszli w ogrody, w ten sierpniowy kojec z owsa, z kukurydzy, tyczkowego grochu, białej i czerwonej koniczyny. I wtedy w ogrodach, żeby ludziom, którzy po nas przejdą, nie działa się krzywda, jeszcze raz pomyślałem za nich, patrząc na te stworzenia kołyszące się w zanadrzu Heli, o tym i o owym, i o tamtym też. A biorąc ten pomyślunek o tym i o owym, i jeszcze o tamtym wyłącznie na siebie, oczyszczałem tym samym ludziom, którzy po nas przejdą przez ogrody, sierpniową jutrznię ze zbytecznego podniecenia, z ciekawości jakże dokuczliwej, zwłaszcza wtedy gdy się z kosą idzie do żniw lub do koniczyny.

A chcąc również sobie oczyścić kłoszącą się za rzeką jutrznię, pomyślałem tylko o tym, i o owym, i jeszcze o tamtym i nie rzekłem słowa, nie wyciągnąłem ręki, żeby pomóc tym żywym stworzeniom kołyszącym się w zanadrzu. I Hela też widocznie pomyślała tylko o tym i o owym, i jeszcze o tamtym, bo nie sięgnęła po moją rękę chodzącą koło niej, nie pociągnęła mnie

za czuprynę, nie przechyliła mi głowy do jutrzni, żeby mnie pocałować i do krwi ugryźć w wargę. A nawet gdy przemykaliśmy prześwitem między sadem, owsem i kukurydzą w pełne przebudzeń ogrody, podniosła obydwoma rękami natargane do zanadrza jabłka. Wtedy dwa żywe stworzenia chodzące między jabłkami weszły pomiędzy czarne i złote renety i uspokoiły się w nich. I już przez całe ogrody nie widać było, żeby się poruszały.

Również na rozlewisku, obok którego przechodziliśmy, nie kołysało się ani jedno jabłko. Widocznie przez noc zdążyły dojść do brzegu. Woda była czysta, niemal zamieciona gęsim skrzydłem. I nie było mowy o płukaniu w niej katowskiego miecza i kozackich szabel. Przeciwnie, wydawało mi się, że właśnie taka woda jest akuratna, żeby wyprać w niej weselny welon, krakowską czapkę z pawimi piórami i co tylko ucięty z doniczki mirt.

Toteż spokojnie, nie spotykając nikogo po drodze, przeszliśmy całe ogrody, za którymi obrysowane przez jutrznię zieleńły się strzechy naszych domów. Przystając pod wierzbami i dotykając dłońmi jabłek w naszych zanadrzach, próbowaliśmy się pocałować. Ale właśnie te jabłka, jak podwójne garby, wyraźnie nam przeszkadzały. Roześmieliśmy się z tej przeszkody przypominającej wprawdzie garb, ale wewnątrz pełnej raju i wesela.

Trzymając ciągle ręce na jabłkach, zsypanych do zanadrza Heli, czułem jak w każdym z nich czają się po dwa żywe stworzenia. I zachciało mi się wyjąć te dwa żywe stworzenia z jabłek i ucałować pod jutrznią. Zawstydzilem się jednak, pomyślawszy o moich przedjutrzennych wychodzeniach ze snu, że stodoły, z czerwcowego siana, kiedy to do moich kolan przybiegały mokre od deszczu, od rosy i psy, i koty. I łąsiły się pachnąc rozgniecioną trawą, wypłoszonym snem, zaduszonym i zjedzonym do ostatniego ćwierknięcia ptakiem. A ja je głaskałem po łbach, rozgrzeszając z zaduszonego ptaka, chomika, zająca, zmyślając im rozliczne zabawy, póki zziajane, skaczące mi do rąk, nie kładły się na moich stopach i nie zasypiały.

Nie wypadało tych dwóch ludzkich stworzeń, utajonych w natarganych do zanadrza złotych i szarych renetach, wyjmować w jutrzni, trzymać w dłoniach i zrównywać ze ślepo posłusznymi łbami zwierząt. Przeto zdjąłem ręce z zanadrza Heli i dopiero wtedy, gdy je miałem przy sobie, koło bioder, przestało mnie boleć gardło i ustąpił ból brzucha. I mogłem Heli powiedzieć, nie starając się nadaremnie przełknąć ogryzka jabłka w grdyce, nie grzebiąc czubkiem buta w kretowisku, że się spotkamy na festynie.

A gdy już ręce miałem przy sobie i mogłem powiedzieć, że się spotkamy na festynie, Hela zdjęła ręce z mojego zanadrza i uśmiechnęła się. Ale uśmiechając się, nie powiedziała ani słowa. I tak z rękami przyciśniętymi do bioder odchodziliśmy od siebie, idąc przez błonia zaszyte wierzbami, za którymi obrysowane przez twarde pióra jutrzni zieleńły się strzechy naszych domów. A odchodząc widzieliśmy się przez cały czas w stawie nagim od naszego ciała, bo jeszcze nie wytrzeźwieliśmy całkiem z tego snu na strzesze i co chwila, odwracając głowy, spoglądaliśmy za siebie. I jeszcze dodatkowo, niejako na kredyt, widzieliśmy siebie na odpuscie, bo ten odpust mający się

zacząć jutro, był już w nas.

Spis treści



6

Muzykantów na festyn zmówiono zza lasu, z drewnianego miasteczka. Była to żydowska rodzina chodząca od pokoleń z wesela na wesele, z festynu na festyn, wracając za las, do drewnianego miasteczka raz w tygodniu, na szabas. Dla nich, dla tych żydowskich muzykantów, żeby ich nie urazić (zresztą stało to w umowie), gotowano w specjalnie czyszczonym piaskiem garnku koszerną kurę lub gęś. Na wszelki jednak wypadek ojciec tej muzykującej rodziny, prymista, nosił na plecach Iniany woreczek. W woreczku było zawsze kilka cebul, parę główek czosnku, praśny chleb, chała i kawałek pieczonej koźliny.

Ta żydowska kapela przychodziła muzykować na wesela i festyny jakby z innych stron. Wprawdzie widziało się, patrząc na nich wychodzących z pobliskiego lasu, z okolicznych łąk, że są z tego drewnianego miasteczka, pełnego pobekiwania kóz, pochrząkiwania prosiaków taplających się w błocie, fruującego pierza odzieranego z zarżniętych kur i gęsi, króliczych i zajęczych skórek, ale niemal się czuło kołyszące się w nich inne drzewa i inne trawy w zwoływaniu się przepiórek, w przelocie ptaków po niebie, w piśmie wyjętych na miednicę zwierzęcych jelit i w rybie bijącej ogonem o morski piasek.

Dopiero gdy zaczęli grać, stawali się niepostrzeżenie takimi samymi weselnikami jak wszyscy. A ponieważ ubrani byli w chałaty i w jarmułki i ręce ich składane do innej modlitwy, przyzwyczajone do innej roboty niż oranie ziemi, sianie zboża, przyjmowanie na kolana nowo narodzonych zwierząt, zabijanie ich i odzieranie ze skóry, w żaden sposób nie godziły się z rękami weselników. Dopiero gdy pochylali się nad instrumentami, to znaczy nad tą wsią siedzącą w polu, w lesie, w baranicy, w karczmie, żeby wyjąć z nich weselną nutę, dochodzili ze wszystkimi do zgody. Jakoż ową nutę potrafili wyjmować tak, żeby Bóg dał wszystkim takie wyjmowanie sadu spod kopnego śniegu, koronki z motka Inu, złotego szczygła z kawałka akacji.

Również tej niedzielnej jutrzni najpierw zobaczyłem rozwiewające się na wietrze chałaty i basy niesione na ramieniu, i skrzypce wciśnięte pod pazuchy. Szli od lasu przez łąki. Wchodzili pojedynczo na błonie znacznie wyższe od łąk. Szli tym pagórkowatym skrawkiem łąk, a więc szli prawie po jutrzennym niebie, bo łąki nagle ich opuściły, a błonie, uciekające trawka po trawce pod wierzby, jeszcze im nie wyszło naprzeciw. Wiedziałem, że gdy dojdą do płotu z przełazkiem, odgradzającego błonie od pszennego pola, zdejmą z ramienia basy, wyjmą spod pachy skrzypce i klarnet. I zagrają. Właśnie czekałem na to ich zagranie. Pomyślałem sobie, że właśnie od tego

momentu zacznie się moje wchodzenie w festyn. Zresztą wstałem umyślnie wcześniej, żeby trafunkiem nie prześlepić pierwszej nuty na błoniu i na sierpniowej jutrzni.

Poza tym, umawiając się z Helą na festyn, spoglądając przez cały wczorajszy dzień na jej dom, widziałem ją w czerwonych trzewikach sznurowanych wysoko, w szerokiej spódnicy i w wyszywanym staniku. Wszystko to przywodziło mi nieustannie na myśl festyn i próbowałem nawet w stodole, w stajni, w domu i w polu, gdy wokół nie było nikogo, zmyślonych przyśpiewek, przytupywań, próbowałem, żeby się pokazać z nimi na festynie, wrzucając do basów po złotym, po dwa złote.

A choćbym się nawet nie umówił z Helą na dzisiejszy festyn i tak wstałbym przed jutrznią, żeby zobaczyć wychodzących z lasu i z łąk muzykantów. Również dawniej, gdy żydowskim muzykantom zdarzało się grywać w naszej wsi, wstawałem o jutrzni i przyglądałem się pilnie ich dochodzeniu do naszych opłotków. Nawet nie dlatego wstawałem tak wcześnie, że tych żydowskich muzykantów z drewnianego miasteczka za lasem myliłem z tamtymi muzykantami grającymi ongiś w Kanie Galilejskiej. Raczej dlatego, że nie mogłem pojąć, czemu idąc po pagórkowatej części błonia, tuż przed opłotkami poczynającymi naszą wieś całą w gęsim pierzu, w zwierzęcej sierści, w rozpapranej glinie, w rozmemłanym śnie, zdejmują z pleców basy, spod pazuch wyjmują skrzypce i klarnet, i zaczynają grać. I może jeszcze dlatego, że jako paruletni berbec, nie mogąc się doczekać, kiedy wreszcie urodzi się obiecany mi źrebak, zbudziłem się o świcie i wychodząc na próg pierwszy raz zobaczyłem tego ojca prymistę idącego muzykować na festyn, grającego wówczas na basach. W owym czasie prymistą tej kapeli był ojciec tego dzisiejszego ojca i on to niósł na plecach lniany woreczek z koszernym jadłem.

A drugi raz tę żydowską muzykę widziałem w zimie. Ale nie widziałem, jak dochodziła do wsi po podwyższonym błoniu zasypanym śniegiem całym w zajęczych, kunich, lisich i gawronich tropach, bo w zimie o tej porze jest jeszcze ciemno i żadne dziecko tak wcześnie nie da się ściągnąć z pieca. I ja się też wówczas nie dawałem płoszyć spod baranicy. Tę żydowską muzykę zobaczyłem później, za dnia, gdy wyjeżdżała spod wierzb na szerokich saniach, malowanych w czubiące się koguty.

Padął śnieg, a w ten śnieg z koni, ubranych we wstążki, w dzwonki, w gałązki jedliny, sypały się płaty zmydlonego potu. A ta żydowska muzyka stała w szerokich saniach malowanych w czubiące się koguty i wymachiwała smyczkami. I wymachując tymi włosianymi smyczkami, wymachiwała równocześnie całą swoją istotą, żeby się na stojaka utrzymać w saniach i nie oderwać ani na jotę od melodii. Jeszcze na dodatek śnieg, padający coraz gęściej, starał się zasypać tę muzykę z włosianego smyczka i cyzelowanego drewna.

To sobie pomyślałem, że tej muzyce dano specjalnie takie narowiste konie, żeby ją poniosły i oderwały od melodii. I widocznie nie bez kozery tak

sobie pomyślałem, gdyż koniom udało się wreszcie ucieść od tej stojącej w saniach muzyki. I już same, ciągnąc za sobą przewrócone sanie malowane w czubiące się koguty, uciekały spod wierzb na szerokie błonie. A żydowska muzyka, stojąca jeszcze przed chwilą w saniach, trzymająca się oburącz i całym ciałem melodii, leżała rozrzuciona na zasypanym śniegiem, a pod tym śniegiem skutym lodem błoniu.

Obok tej żydowskiej muzyki i na niej po trosze, leżały skrzypce i klarnet. A ten dzisiejszy ojciec, prowadzący muzykę na festyn, leżał w połamanych basach. I zanim dobiegłem do tej żydowskiej muzyki leżącej na zaśnieżonym błoniu, muzyka już się podnosiła i za jej pomocą podnosiły się skrzypce i klarnet. Nie mógł się tylko podnieść ten dzisiejszy ojciec, a dawny basista i nie mogły stanąć na drewnianej nodze załamane pod nim basy. Trzeba go było dopiero wyciągać z basów. Ale to wyciąganie nie bardzo się udawało na leżąco. Przeto postawiono go razem z tymi basami na oblodzonym błoniu i dwóch ludzi trzymało go pod ręce, a dalszych dwóch siłą ściągało z niego połamane basy. A gdy się wreszcie udało postawić tego muzykanta osobno i osobno basy, usłyszeliśmy, jak ten ówczesny kawaler, a dzisiejszy ojciec mówi do zebranych wokół weselników:

- Oj, ludzie, wy, ludzie kochani, wy nie wiecie, jak mi się chce śmiać. Patrzajcie, ludzie, wy, ludzie kochani, co mi ten stwór dzisiaj wyprawił. Tyle lat ja go łaskotał po brzuchu, po szyi delikatnie pieścił, po plecach wzdłuż pacierza całą ręką chodził, a ten dopiero dzisiaj, na tym fajansowym błoniu, na tym interesie z lodu, jak się należy, zabeczał.

To po tym, co powiedział ówczesny chłopiec o połamanych basach, i po tym, jak się ludzie śmiali i jak się śmiała ta żydowska muzyka, spodobała mi się ta rodzinna kapela z drewnianego miasteczka. A później jeszcze bardziej mi się spodobała, kiedy rozbite na drzazgi basy były już posklejane i znowu mogły chodzić po weselach i po festynach, i uciekać z tych wesel i festynów przez wypchnięte łokciem okno z przebitymi gnypem plecami, z poranionym brzuchem.

I nie przegapiłem ani razu tej żydowskiej muzyki, odkąd ten ówczesny młodzik, a dzisiejszy ojciec ożenił się w drewnianym miasteczku i sypnęły mu się dzieci, a on coraz częściej, wyręczając ojca, przygrywał na skrzypcach. Ale jeszcze nie całkiem opuścił te posklejane basy. I któreś wiosny, gdy jego stary ojciec, odchuchany spod śniegu, wyjęty spod pierzyn, przykuśtykał do nas na wesele, on, ten ówczesny młody żonkoś, musiał grać na basach.

Ale te zawsze dobre basy grały inaczej niż zwykle. Dopiero koło obiadu, kiedy wychodząc pod wiosenny sad, położył je brzuchem na stole, a z nich poczęły wyskakiwać po jednym, po dwa ledwie opierzone kurczątką, wszystko się wyjaśniło. Jakoż jego żona nie mogąc się doprosić o słomiany kojec, zamieniła nań byle jak sklezione basy. To wtedy on, młody żonkoś, a dzisiejszy ojciec z własną rodzinną muzyką, bardzo się zawstydził. Ale jakoś wybrnął z tego zawstyżenia, powiadając, że te wielkie basy już od paru lat miały ochotę coś urodzić i wreszcie urodziły takie małe skrzypce. To jak się to

poczęcie zdarzyło, to on ma już to z głowy i te wielkie basy powierza synowi, a on odtąd będzie za prymistę.

Wspominam tę żydowską muzykę z tego drewnianego miasteczka za lasem, idącą o jutrzni po podwyższonym błoniu w świetle z Betlejem, za ledwie prószącym zza wypchanych zbożem stodół, drewnianych szop, pełnych spaczonych beczek, kół od wozu, desek i sosnowych łupek. I nawet nie potrzebuję patrzeć na tę żydowską muzykę idącą po podwyższonym błoniu, aby ją widzieć idącą po niebie, gdyż tyle razy widziałem ją przechodzącą tamtędy, że mam w swojej pamięci, w swoim śnie owo weselne przejście po niebie dla tej żydowskiej muzyki.

Ale dopiero teraz, po latach, wiem, że ta żydowska muzyka również wiedziała, iż ludzie, stojący na progach domów pod sadami, na skraju błonia, widzą to ich przejście po niebie. I nie była pewna żydowska muzyka, czy ci stojący na ganku pod sadami nie wezmą im za złe tego przejścia po niebie. Bo przecież nie było to ich niebo, ale tej wsi wygrzebującej się ze snu. Jakoż ich niebo zostało tam, w tym drewnianym miasteczku za lasem, i jeszcze dalej zostało, i jeszcze dalej.

Widocznie jednak ta żydowska muzyka nie mogła się obejść bez tego przejścia po jutrzennym niebie. I dlatego zaczynała grać, zanim weszła pod wierzby, gdzie już pachniało festynem, gdzie pod którymś z sadów pypcia można było dostać od zapachu sposobiącego się wesela. Z dawien dawna wiadomo bowiem, że grającej muzyce wolno przejść po jutrzennym niebie, gdyż nie idzie ona obuta w trzewiki i nie idzie boso, ale idzie tak, jak się iść powinno, cała w skrzypcach i basach. Poza tym owo granie na tym przejściu mimowolnym czy też naumyślnym po niebie, można było sobie tłumaczyć jako litkup składany weselnej wsi, prawowitej właścicielce niebios.

A może tu wcale nie chodziło o przejście po niebie. Bo jako żywo nikt od nas ze wsi nie próbował po nim chadzać. Nawet ci, którzy w większe święta wiedli pod złożonym baldachimem kanonika i stać ich było na szewrowe trzewiki, sukienny surdut i białą koszulę, i ci młodzieniaszkowie, którzy idąc w rekruty długo myli nogi w ługowanej wodzie. I jeszcze ci, którym się uchynał rozum i próbowali w odpust wejść na kościelną wieżę i z kościelnej wieży postawić ten jeden, jedyny jak serdeczny palec kroczek, dzielący murowany kościół od wyszywanych w legionowe orły, w skrzydlatych świętych pańskich niebios.

Może ten ojciec, prowadzący swoją muzykę złożoną z trzech synów: sekundzisty, klarncisty i basisty, ten Abraham Judka, przemienił się na tym błoniu w ojca Abrahama. I ten Abraham Judka był na tym podwyższonym błoniu Abrahamem z Judei, i jego chałat, podbity czarną podszewką z jedwabiu, rozwiewał się na wietrze, na wołaniu bożym. I za nim nie szło tych trzech synów, ale ten jedyny syn basista, umiłowany Izaak. I chociaż ten umiłowany syn Izaak nie niósł na plecach wiązki suszu, ale niósł te szerokie basy, które już raz, zimą, były stosem drewnien, a więc mogły w każdej chwili stać się ową wiązką chrustu.

I tak szli po tym podwyższonym błoniu ten ojciec Abraham i ten syn Izaak, I cały czas przygrywali. I jutrznia świeciła im przez palce, przez skręcone czupryny i z większym trudem, ale też świeciła, przez cieniutkie skrzypce i sklezione basy. I tak idących widziałem na tym podwyższonym błoniu, a więc na niebiosach, i tak też przechodzili, kiedy przymykałem oczy. A gdy przymykałem oczy, widziałem, jak nad nimi przesuwa się miecz.

I schodził ojciec Abraham i syn Izaak z podwyższonego błonia, z wiejskiego nieba pełnego zwierzęcej sierści, gęsiego pierza oraz licznych trąbek i gwizdków, na błonia obniżające się gwałtownie pod wierzby, gdzie bielita się zbita z tarcic platforma do tańca. Ale chociaż zeszli z podwyższonego błonia, z jutrzennego nieba wyszywanego w orły, w anielskie skrzydła, nie zdołali uciec od Boga wołającego z jutrzni, od śmierci utajonej w przesuującym się po niebie mieczu, w przepływającej rzece, w równinie przeciągającej się szeroko z drzemki. I jeszcze nie zdołali uciec od tej starej śmierci chroboczącej się w wiązce chrustu czy też w owych basach, które w każdej chwili można było połamać na deseczki i drzazgi.

Szli przez nizinne błonie pod dymiące w jutrzni wierzby. A w wierzbach, jak w mieczu, w wiązce chrustu, w połamanych basach, też była utajona śmierć. Tam ją ujrzał mój ojciec. Stamtąd przyszła po niego.

Spis treści



7

Niepotrzebnie wstawiałem tak wcześnie. Teraz, gdy żydowska muzyka weszła pod wierzby i przestała grać, kierując się do z dawien dawna upatrzonej stodoły stale uchylonej dla niej, zapachniało mi siano pełne zsypanych jabłek. Mogłem się wylegiwać na nim do pierwszej sygnaturki. Matka, śpiewając godzinki, nakarmiłaby bydło i konie. Dbała zresztą o to, żebym w niedzielę mógł sobie pospać dłużej.

Ale mnie się zachciało posłuchać żydowskiej muzyki idącej na festyn, gdyż dawno jej nie słyszałem. Od śmierci ojca i od śmierci Jaśka nie chodziłem na wesela. Dopiero tej niedzieli chciałem sobie pofolgować. Poza tym wstając wcześniej niż codziennie, chciałem zobaczyć dom Heli, kiedy jest zamknięty na skobel i cały w śnie. A kiedy zobaczyłem jej dom i zaraz potem idącą przez łąki żydowską kapelę, pomyślałem o domu pod dziadkowym sadem. Wydawało mi się bowiem, że w jego strzesze musi być ciepłe zagłębienie od naszego snu. Ale nie mogłem dojrzeć nawet sadu. Wszystko stało w przydymionej, parującej rosą jutrzni.

Później zaś nie miałem czasu spoglądać w ogrody, bo żydowska muzyka zbliżała się do błonia i szykowała do zagrania. Zresztą żydowska muzyka przyszła też za wcześnie. Pewnie sobie pomyliła popołudniowy festyn z porannym weselem albo grając gdzieś w podłej wsi, wprost z muzyki

wybrała się do nas. Najprawdopodobniej tak było, gdyż ponoć w naszej wsi, stojącej nad rzeką, przewiewnej na przestrzał, spało się najlepiej. Wystarczyło się przytulić do snopka, nie mówiąc o sianie, a natychmiast wchodziło się w sen jak w biały kamień. Muzykanci, wiedząc o tym, nie chcieli spać w śródleśnej wsi, tylko przyszli do nas, żeby się wyspać do syta.

Nie mając co robić, boso, w portkach wdzianych na gołe ciało, wszedłem pod sad. Z rodzących po raz drugi szczepów obrywałem wprost z ziemi bez jednej skazy jabłka. Układałem je w koszyku wyścielonym słomą i znosząc do stodoły, zsypywałem do rozgrzebanego siana. Sądziłem, że pod jesień ożenię się z Helą, a wtedy miło nam będzie leżeć na sianie, wyjmować z niego jabłka i pogryzać. Pomyślałem też, kogo zaprosimy na wesele. Wpadało, że trzeba będzie zemleć kilka korcy pszenicy na placki, zabić tuczonego wieprzka i jednorocznego byczka, nie licząc znoszonych przez weselników kur, kaczek i gęsi. Chciałem, żeby na moim weselu była cała wieś. Tańczono by w Domu Ludowym. Jego obszerna świetlica mogła pomieścić kilkadziesiąt tańczących par. Grać miała żydowska kapela.

Przemyślawszy to wszystko, usiadłem pod sadem wprost na mokrej trawie, podciągając pod brodę kolana. Zapaliłem papierosa i gwizdnięciem przywołując wałęsającego się gdzieś w pobliżu psa, zacząłem mu opowiadać o Heli. W jego ślepiach, przydymionych przez starość, widziałem pojedyncze jabłko wtulone w trzy listki, a tuż obok jabłka troje dzieci: dwóch synków i córeczkę. Zdaje się, że chciałem mu jeszcze opowiedzieć o wnukach wracających z nami w malowanej na wiśniowo bryczce z odpustu, grających na trąbkach i glinianych kogucikach, ale pies, widząc przelatującą nad sadem srokę, pognął za jej cieniem, naszczekując.

Spod sadu zaniósł mnie do stajni. Zgrzebląc i szcnotkując konie, nie omieszkałem również im naszeptywać do uszu tego wszystkiego, o czym przed chwilą dowiedział się pies. Po czym ostrożnie, żeby nie zbudzić spracowanej matki, wszedłem na palcach do izby i zdejmując ze ściany lustro, wyniosłem je pod sad. Lustro ustawiłem na studziennej cembrowinie i zacząłem się golić z parodniowego zarostu. W lustrze odbijało się prawie całe błonie pod wierzbnami i nasz koniec wsi. Przyglądając się temu wszystkiemu, spostrzegłem, że po prawej stronie twarzy mam dom sołtysa, a po lewej ugiętą, jak rodząca wielokrotnie chabeta, strzechę najbliższego sąsiada.

Wtedy pierwszy raz od paru dni pomyślałem o córce sąsiada. Niemal widziałem ją przechodzącą pod wierzbnami z uniesioną głową, z ustami próbującymi sięgnąć po gałązkę, przymykałem oczy chcąc dojrzeć wchodzącą do stawu Hele. W tym rozmarzeniu, goląc się nadal, zaciąłem się brzytwą, więc krzyknąłem otwierając oczy. Przemyłem się w prawie mroźnej wodzie, aby zatamować krew. Namydlając twarz powtórnie sięgnąłem po brzytwę. Moja głowa znowu weszła między te dwa domy. Próbowałem przesunąć lustro stojące na cembrowinie. Nic nie pomagało. Ciągle się widziałem między tymi dwoma domami. Przeto zabierając lustro z cembrowiny, wyniosłem się pod sad. Zawiesiłem je w koronie paroletniej

jabłonki.

Wprawdzie pod sadem było ciemniej, że ledwie mogłem się dojrzeć w liściach, czerwonych jabłkach i w osypującym się w koronę szczepu porannym obłoku, ale wolałem się golić na pamięć, niż znowu przymykać oczy, żeby dojrzeć w tych dwóch domach rozrzucone we śnie dziewczyny. Poza tym widząc obydwie dziewczyny we śnie, zwinięte w kłębki, z kolanami podciągniętymi pod brodę, znowu bym nie wiedział, która z nich bardziej mi się podoba i z którą mam się ożenić.

Ponieważ było jeszcze wcześniej i przebudzone ptaki dopiero od niedawna nadziobywały biały rdzeń dnia, wlałem do koryta kilkanaście wiader wody i rozbierając się do golasa, wykapałem się. Zmywając z siebie koński kurz i sierść, sen i rozmarzenie; myślałem o czekającym mnie festynie. Widząc siebie w tańcu, przy basach, stojącego dla ochłody pod wierzbami, wszedłem do domu, żeby się ubrać. Z szafy wyjąłem popielate ubranie kupione ubiegłego roku i białą z wykładanym kołnierzykiem koszulę. Kiedyś spostrzegłem, że gdy jestem w tym ubraniu i w tej koszuli, wszystkie dziewczyny oglądają się za mną. W tym też ubraniu postanowiłem iść na festyn. Wysztafirowany, z czupryną mokrą po kąpieli, wszedłem pod sad, żeby się przyczesać i przeglądnać w lustrze pozostawionym w koronie jabłonki.

W mojej twarzy, zdziwionej nieustannie, widocznie pamiętającej jeszcze z dzieciństwa pasące się na błoniu krowy przerzucające rogami coraz dalej za las słońce, gęsi skubiące w rzece pozieleniały obłok, dziecięta budzącego co rano wiecznie zaspaną starą jabłoń, czaiła się druga i trzecia twarz.

O tej pierwszej wiedziałem prawie wszystko, wyjąwszy owo zagapienie się na Chrystusa wydłubanego z kapliczki, któremu dziadek od sąsiada łątał kawałkiem deski dziurawe plecy, i sroki dawnego proboszcza, która na ludzi z przysiółka, wypasających plebańskie łąki, wołała: złodzieje, złodzieje! Również ta druga twarz, zachodząca po trosze na pierwszą, była mi znana. Tak sobie od dawna wyobrażałem twarz człowieka, który przy ludziach całuje poranione stopy, śpiewa kościelne psalmy, obwiązuje psom zmiążdżone łapy, ptakom buduje gniazda, a nie mogąc się porządnie najeść i ubrać, ściąga z żerdki pod sadem pierzyny, z kurnika kury i wyprowadza ze stajni sąsiada dorodnego konia. Natomiast w żaden sposób nie mogłem dociec, skąd się wzięła ta trzecia twarz, widoczna po trosze w pierwszej i po trosze w drugiej.

Dopiero znacznie później, gdy tę trzecią twarz przysłoniły dalsze, zrozumiałem, że z taką twarzą chadza się do dziewcząt, wchodzi z nimi w łąki, w sierpniową wodę zarzuconą jabłkami i łamiąc w nich opór wierzgającego zwierzęcia, widzi się w ich źrenicach raczkującego pod sadem berbecia. Patrząc na te trzy twarze przenikające się wzajemnie, nie bardzo wiedziałem, do której się przyznać i którą sobie wybrać na co dzień, a którą od święta.

Pamiętam, że myślałem o tym, idąc z matką do kościoła, myślałem w kościele i nawet wtedy, gdy wybierałem się na festyn. Przyszedłem zresztą na festyn trochę później, niż zamierzałem. Żydowska kapela grała od dawna. Na platformie zbitej z nie heblowanych desek, umajonej jedliną i wstążkami z

bibuły, tańczono oberka. Stałem pod wierzbami za starszymi gospodarzami i za matkami z dziećmi na rękach. Ponieważ jestem wysoki, mogłem bez trudu ponad głowami stojących przede mną ludzi widzieć tańczące pary.

Pod wierzbami, w cieniu, stało kilka rowerów i nawet ze trzy bryczki. Widać, kawalerka z sąsiednich wsi, dowiedziawszy się, że grać będzie żydowska kapela, ściągnęła tłumnie na festyn. Przyglądając się pilnie tańczącym, spostrzegłem kilku chłopaków z za wody, ze wsi Jaśka. Jak zwykle, kieszenie mieli wypchane kastetami i młotkami. Widać to było w tańcu. Rozpięte marynarki nie rozwiewały się na wietrze, ale ściśle przylegały do bioder. Bałem się, że cały festyn gdzieś o zmroku skończy się bójką. Sięgnąłem do kieszeni, sprawdzając, czy siedzi w niej spluwa.

Nagle wśród tańczących mignął mi znajomy warkocz. Podnosząc się na palcach, rozpoznałem Hele. Zabolało mnie w dołku. W kolana osypywał się piasek. Cofnąłem się głębiej pod wierzby. Nie było wątpliwości, Hela tańczyła z jakimś chłopakiem z za wody. Trzymając cały czas prawicę w kieszeni, coraz mocniej ścisnąłem spluwę. Dopiero gdy poczułem, że z żelaza ścieka pot, wyjąłem rękę i zapaliłem papierosa. Ból w dołku powoli ustępował. Mogłem swobodnie przestępować z nogi na nogę.

Zapatrzony w tańczących, spoglądając na coraz bardziej rozplatający się w tańcu warkocz, dopiero teraz wyczułem, że ktoś stoi za mną i cichutko oddycha. Spojrzałem za siebie. Pod wierzbami, przytrzymując się zwisającej gałęzi, z trawką w zębach, stała córka sąsiada. Uśmiechnąłem się do niej. Kiwnęła głową. Zapominając o tańczącej Heli, podszedłem do dziewczyny.

- Chodź, Maryś, zatańczymy.

I biorąc ją pod ramię, przepychałem się w stronę platformy. Kapela akurat przestała grać. Tańczący schodzili z platformy pod wierzby. W przejściu natknąłem się na Hele idącą pod rękę z chłopakiem z za wody. Widziałem, że Hela chce wysunąć rękę spod jego ramienia i podejść do nas. Ale myśmy już wchodzili na platformę, podchodząc do muzykantów. Przywitałem się z klarneckistą. Znaliśmy się od paru lat, odkąd w powiatowym miasteczku stawaliśmy do asenterunku. Zauważyłem, że pogadując ze mną przez cały czas przygląda się stojącej obok Marysi. Wreszcie, nie mogąc widocznie dłużej wytrzymać, spytał:

- Twoja? Cymes. Kiedy wesele? Byle szybko, a zagram wam. Och, jak ja ci zagram, Piotr. Nikomu tak nie grałem. - A biorąc Marysię pod brodę i podnosząc jej twarz do słońca, powtórzył: - Ładna, Piotr. Jak szabas szabasem, niedziela niedziela, nie widziałem takiej. Skądżeś ją wytrzasnął?

- A, tego ci, bratku, nie powiem. Jeszcze byś tam polazł. I grałbyś przez calutką noc, i śpiewał, póki by nie wyszła na próg i za tobą jak za świętym, jak za czarodziejem, wzdychając, nie poszła. A ja się męczyłem. Nie masz pojęcia, jak ja się męczyłem. Takiego berbecia na rękach nosiłem. I uczyłem chodzić. Za uszy targałem, żeby mi urosła. A jak mi urosła, to chcę z nią zatańczyć. Zagrasz nam, Mojżesz?

- A jakże inaczej. Zagram wam. Piotrze. Zagram, jak zaśpiewasz.

Podszedłem do wspartych o wierzbę basów. Zabębniłem po ich plecach palcami. Z ławeczki zbitej z dwóch desek i wkopanej w ziemię podnieśli się muzycanci. Wyjąłem pięcioletówkę i wrzuciłem w basy. Muzycanci czekali. Kazałem im grać sztajerka. I wpadając po pierwszej nucie w głos skrzypiec i klarnetu, zaśpiewałem. O dwóch frajerkach, co mi wodę niosły. Stopy i kolana, i twarz moją, smagłą w jutrzni, przemywały. Do sucha warkoczem w izbie wycierały. Na łóżeczku kładły, piórkiem łaskotały, żebym się uśmiechał.

Śpiewając widziałem, że ludzie stojący pod wierzbami podchodzą do platformy. Również kawalerka trzymająca się bliżej muzyki, wchodząc na platformę, nie kwapiła się do tańca. Śpiewając ciągle, podszedłem do Marysi. Kłaniając się jej czapką do samiotkich desek, poprosiłem ją do tańca. Tańczyliśmy sami. Patrząc w oczy Marysi, widziałem w nich coraz więcej ludzi. Za ludźmi, na ogromnym kole błonia, wirowały wierzby. Pod wierzbami w migających mi twarzach ludzi starałem się dojrzeć głowę w jasnym warkoczu. Jakoż tańcząc z Marysią i patrząc w jej oczy, tańczyłem równocześnie z Hela. I jeszcze raz podszedłem do muzyki, żeby zaśpiewać dla niej.

Po sztajerku muzycanci zagrali polkę. Dopiero wtedy na deski weszła kawalerka. Ale i tak nie miałem spokoju. Co chwila ciągnano mnie do basów i przyplacając, zmuszano do śpiewania. Od tańczenia, od śpiewania, od upału, który wprawdzie przygasał, ale jeszcze stał wysoko nad wierzbami, moja koszula była przepełniona do nitki. Również Marysia, poprawiając spadające jej na oczy włosy, obcierała twarz chusteczką. Przeto gdy muzyka przestała grać, odkładając instrumenty, wyszliśmy pod wierzby. Stojąc pod wierzbami i pogadując o muzyce, nawet nie usłyszeliśmy, że ktoś do nas podszedł. Obejrzeliśmy się dopiero wtedy, gdy między nas weszła ręka z czerwonym jabłkiem. Tuż za nami stała Hela z tym chłopakiem z za wody.

- Masz tu jabłko. Należy ci się. Za śpiewanie.

Wziąłem z jej ręki jabłko i rozłamując je na pół, podzieliłem się nim z Marysią. Jedząc połówkę jabłka, przyglądałem się Heli i chłopcu z za wody. Byli do siebie podobni. Uśmiechnąłem się, przypominając sobie moich ojców, kiedy byli młodzi. Wówczas też byli do siebie podobni. A na starość można ich było wziąć niemal za bliźniaków. Ale poza tym podobieństwem był jeszcze w twarzy Heli przedwczorajszy zmierzch i woda zarzucona jabłkami, i dziadkowa strzecha pod jabłonią, i wracanie przez jutrzeźne ogrody. I nie byłem pewien, czy to czerwone jabłko dostałem tylko za śpiewanie.

Przypominając sobie obydwie dziewczyny z moich snów, przechodzące jedna po drugiej błoniem, podałem Heli nadgryzioną połówkę jabłka. Pogłaskała mnie po twarzy, odgarniając mi z czoła włosy. I przytulając się do chłopaka z za wody, spytała:

- Zatańczysz ze mną. Piotrze?

- Jeszcze nie grają, Helu. Jak zagrają, zatańczę. A teraz was proszę na malagę.

Chłopak, ujmując za łokieć Hele, pociągnął ją za sobą. Szedłem za nimi,

obejmując w pół Marysię. Patrząc na chłopaka, zauważyłem, że prawa poła jego marynarki odstaje i jest nieco dłuższa. Zastanawiałem się, czy w kieszeni ma tylko młotek, czy też spluwę. Zdejmując rękę z biodra Marysi, sięgnąłem mimo woli do kieszeni. Był w niej chłód niklowej stali.

Między gałązkami wierzb migał mi co chwila prawie ciemny od słońca kark chłopca zza rzeki. Widać, chłopak zwożąc zboże, lubiał się wylegiwać na furce. Poza tym już z tej opalenizny, nie mówiąc o jego ciężkim, przelewającym się kaczkowato chodzie, można było poznać, że tych furek zboża musiało być sporo. Spojrzałem jeszcze raz na jego gęstą, prawie białą czuprynę. I aż mnie ręka zaświerzbiała. Za taką czuprynę najlepiej się podrywa z ziemi, unosi pod gwiazdę, żeby było widać, i bije między oczy.

Przy bufecie skleconym z kilku desek było tłoczno. Popijała prawie cała kawalerka. Chłopak zamówił butelkę malagi, rozlewając ją do porcelanowych garnuszków. Wypiliśmy duszkiem. Z kolei ja postawiłem butelkę. Stojąc pod wierzbami, sączyliśmy wino. Miało smak wyjętego z gliny noża i dalekiego, dziecinnego snu. Gdy byliśmy przy czwartej butelce, zaczęła grać muzyka. Hele położyła mi rękę na ramieniu. Spojrzałem w jej twarz. Przypominała mi ową szesnastoletnią dziewczynę z okolicy, uciekającą przez podszyty leszczyną las przed kozakiem z wyjętą szablą. Las był coraz głębszy, a kozak coraz bliższy. Jego szabla, ścinając leszczynowe witki, dosięgła warkocza. Natrafiając na brzoźkę, drasnęła jej skórę. A na gołej polanie cięła ją przez plecy, cięła ją przez plecy, cięła ją przez plecy. Na mech, na jagody spadł odcięty warkocz. Z nagiej szabli spadła biała skóra brzozy i kropla żywicy, i zmierzchu, i śmierci. I od tamtej wojny leży ta dziewczyna w kościele pod szkłem, nawet drobnym piórkiem przez czas nie draśnięta. W jej otwartych oczach jest las i jest kozak z wyciągniętą szablą.

Objąłem Hele za ramiona. Jej rozgrzane ciało pachniało jeszcze tamtym snem ze strzechy. Pachniało malagą. Żelazem i szablą. Brzozą i kozakiem, i chłopcem zza wody. Widząc to wszystko i czując to wszystko, chciałem dzielić pięścią między oczy tego chłopca zza wody stojącego przede mną, siorbiącego wino, tego kozaka pędzącego przez las z obnażoną szablą. A gdy już chciałem to uczynić, chłopak się odwrócił, żeby położyć garnuszek na desce. Zobaczyłem jego prawie czarny kark. I równocześnie zobaczyłem furki zboża, niemal syczącego od upału. I tego chłopca leżącego na snopkach, pogwizdującego przez zęby, wsłuchanego w klekotanie wozu na polnej drodze, wjeżdżającego pod dworski sad, zrywającego jabłka z gałęzi szorujących o zboże. I zamiast tego chłopca zobaczyłem Jaśka wyprowadzającego z dworskiej stajni karą trzylatkę. Kara była we wstążkach, pod siodłem. Jasiek w czarnym surducie, pod krawatką, z białą wstęgą i z mirtem przyszpilonym do piersi. Obok niego stała wdówka, za nią młodzianka służąca w welonie.

Pociągnąłem Hele za rękę. Niemal biegnąc weszliśmy w muzykę. Tańcząc, czułem, jak w Heli podnosi się na przednie kopyta wiosenny żrebak. I zrywa się na cztery nogi, i biegnie truchcikiem pod kwitnącym sadem, a z

sadu galopem w białą koniczynę. A wtedy poruszyły się dwa większe jabłka, dwa żywe stworzenia. Moje ręce zeszyły na warkocz, na kark, na plecy dziewczyny. Dwa żywe stworzenia oddychały we mnie. I nie bolał mnie szczyt brzucha, i gardła nie miałem przeszytego strzałą. W coraz szybszy taniec wchodziłem jak w wodę nagrzaną na całodziennym upale. Jedynie na ustach miałem smak żelaza, smak kozackiej szabli.

Obok nas tańczył z Marysią chłopak z za wody. Spostrzegłem, że co chwila zerka w naszą stronę. Uśmiechnąłem się do niego, do kozaka, do Jaśka. Chłopak przystanął przed basami, przyplącił i zaśpiewał. I kiwnął mi ręką. Gdy się skończył jego kawałek, stanąłem przy basach, przypląciłem i ja z kolei zaśpiewałem. I tak kilka razy pod rząd. Zziajani, przepoceni do ostatniej nitki, zeszedliśmy z desek pod już zmierzchające się wierzby. Spod wierzb, pod którymi kręciło się coraz więcej pijanych, ktoś nas znowu wyciągnął do bufetu. Z bufetu zaszliśmy jeszcze na pół litra do pobliskiego domu. Gdy z powrotem weszliśmy na deski, było prawie ciemno. Wprawdzie platforma była oświetlona dwoma naftowymi lampami, ale wierzby i błonie, mimo że przedwrześniowe niebo nad nimi było omiecione z sierpniowych burz i wybijały się z niego gwiazdy wielkie jak psie łby, stało w fiśtronie.

Teraz dla odmiany tańczyłem z Marysią. Była znacznie wyższa od Heli. Jeśli głowa Heli sięgała mi zaledwie do ramienia, tańcząc z Marysią, miałem jej twarz tuż koło ust. I zachciało mi się podnieść jej głowę do nieba, zobaczyć jej wydęte usta, zerwać wierzbową gałązkę, podać ją dziewczynie. A kiedy by ją zaczęła miażdżyć zębami, aż zielony sok popłynąłby po jej brodzie, pocałowałbym ją w usta, żeby poczuć goryczkę wierzbowego łyka, stygnącego dnia, ciemnych jagód ścinanych przez kozacką szablę.

Ale Marysia, tańcząc ze mną, tańczyła obok mnie, obok jagód, obok całowania. I moja ręka leżąca na jej plecach nie chciała się podnieść, nie chciała mnie słuchać i zejść na jej kark, na jej obojczyki. I mój język, gdyśmy podchodzili do basów i kiedym przyplącał, i kiedym śpiewał, nie chciał się rozsupłać do Maryś, Marysiu, Marysieńko miła. Zresztą bałem się tego języka. Wydawało mi się, że zamiast mnie zaśpiewa chłopak z za wody, kozak biegnący przez brzozowy las z obnażoną szablą.

Tańczyliśmy niemal do białego rana. Gdy schodziliśmy z desek, błonie pod wierzbami, zalane po kostki rosą, siwiało w brzasku. Ponieważ byliśmy jednymi z ostatnich schodzących z platformy, odprowadziliśmy żydowską kapelę do pobliskiej stodoły. Postaliśmy jeszcze chwilę przy uchylonych wrotkach, przyśpiewując gramolącym się na siano muzykantom. Gdy uciszyły się odłożone na siano skrzypce i basy, a siano rozgrzebane do snu przestało naszeptywać, zaproponowałem dziewczynom, żebyśmy odprowadzili do rzeki chłopaka z za wody. Wprawdzie się wzbraniał, powiadając, że rzekę zna na pamięć i z zamkniętymi oczami znajdzie bród, ale gdy Hela wzięła go pod ramię, dał się poprowadzić.

Ponieważ ogrody były całe w rosie, zdjęliśmy buty, podwijając do kolan nogawki spodni. Szliśmy gęsiego po wążutkiej ścieżce, ubitej na kamień

stopami kilku pokoleń. Ścieżka, udeptana w żelazistej glinie, już wystygła po całodziennym upale. Parzyła stopy bardziej od lodu. Toteż żeby się rozgrzać, niemal bieglśmy przez ogrody. Gdy dochodziliśmy do rozlewiska, Hela, idąca tuż przed chłopakiem, została w tyle. Przytuliła się do mnie. A widząc, że tamci się nie oglądają, pociągnęła mnie za czuprynę, całując w usta. I podśpiewując sobie, znowu wybiegła przed chłopca zza rzeki.

Gdy schodziliśmy z wału, z rzeki widocznej stąd jak mikowy jaszczur, podniosła się jutrznia. Zaczęliśmy coraz szybciej biec do tej rzeki, do tego jaszczura, do tej jutrzni, przez wysoki chrust. Roztrącane łokciami gałązki były nas po twarzach. Schylaliśmy głowy starając się ich uniknąć. Właśnie pod tym chrustem, akuratnym do pędzania pod nim biczowników, natknąłem się na Marysię. Objąłem ją wpół. Obejrzała się. W zębach trzymała drobniutką gałązkę. Zielony sok spływał jej z kącika ust. Pocałowałem ją w te usta z drobniutką gałązką, z kroplą zielonego soku. O gałązkę rozciąłem sobie wargę. Smak krwi zmieszał się ze smakiem wiklinowej miazgi. Patrząc na wyraźnie wystraszoną Marysię, odchyloną do tyłu, z zieloną miazgą roztartą na całym policzku, wydawało mi się, że ramieniem obejmuję cały pobliski wiklinowy krzak i wargami na oślep staram się odnaleźć jego twarde usta.

Trwało to zresztą krótko, bo chłopak i Hela, biegnący przed nami, już nas nawoływali. Krzycząc: - hop! hop! - bieglśmy do nich pod smagającą nas wikliną. Oni stali nad rzeką. Chłopak niżej, prawie nad samą wodą. Hela na pagórku zarośniętym żółtym ziele, sięgającym jej do pasa. Chłopak z płyciutkiej w tym miejscu wody wybierał co poręczniejsze kamienie, starając się przerzucić nimi rzekę. Ale jakoś mu to nie szło. Kamienie spadały do wody. Przytrzymując się ziela, zszedłem do niego. Wybrałem sobie kilka kamieni i zacząłem nimi rzucać. Słyszałem, jak spadają w chrust po tamtej stronie rzeki.

- Śmigłą masz i celną rękę. Ptaka byś trafił w locie. Ale na stole nie dałbyś mi rady.

- Chcesz spróbować?

- Dlaczego nie?

Wyszliśmy na pagórek. Udeptaliśmy wysoką trawę. Położyliśmy się na niej, łącząc ciasno ręce. Pod moją naciskającą łapą drgnął jego łokieć, zatrzęszczały kostki w nadgarstku i ręka zaczęła się pochylać do ziemi. Patrzyłem na niego spode łba. Zaczesane do góry włosy spadły mu na czoło. Oczy wyraźnie się powiększyły. Z wysiłku drżała mu broda. Zaczął postękiwać. Zwilżając językiem wargi i przesuważąc jego koniuszek z kącika ust w kącik, starał się w ten sposób pomóc coraz bardziej przechylającej się ręce. Gdy jego kwadratowa głowa zaczęła coraz szybciej chodzić na sztywnym z wysiłku karku, a lewa noga podnosić się i opadać, podnosić się i opadać, rozgrzebując trawę na piasku, nie wytrzymałem i roześmiałem się. Przypominał mi naszego psa, który w czerwcu na łąkach, chcąc ugasić nękające go pragnienie, wsadził łeb do dzbanka z kawą i nie mógł go stamtąd wyjąć. Latał z nim po łące, naszczekując weń.

Chłopak skorzystał z tego i wyrównał ręce. Teraz on, zbierając się w sobie, przechylał swoją dłoń do ziemi. "O, ty tatarski twardzielu", pomyślałem, "już ja ci pokażę". I napinając mięsień po mięśniu, wyrównałem ręce. Ale żeby przechylić jego dłoń i przygnieść ją do trawy, nie miałem już siły. Teraz ja z kolei stękałem, potrząsałem głową na sztywnym karku i kopałem trawę. I na próżno zwoływałem w sobie tamtą wściekłość, gdy chłopaka zobaczyłem tańczącego z Helą. Ręce nasze ani drgnęły. Dziewczyny, a zwłaszcza Hela, sekundując naszej walce słowem i śmiechem, zeszły nad wodę. Stamtąd też, mocując się nadal, usłyszeliśmy, jak któraś z nich woła:

- O, Jezu, ale ryba! Jak czółno.

Zerwaliśmy się z ziemi i zbiegliśmy do nich na łeb na szyję. Oczywiście żadnej ryby nie było. Zresztą chociażby się wreszcie zjawiała owa ryba żyjąca w naszej rzece i mająca nas wszystkich nakarmić i tak byśmy jej nie zobaczyli. W tym czasie bowiem, kiedyśmy się mocowali, podobna jeszcze przed chwilą do mikowego jaszczura rzeka zmieniła się i cała była ogromną rybą dżganą widłami. Jakoż jutrzni udało się wreszcie przeskoczyć trzyletni chrust i powrzucać dzidy w sam środek wody. Chłopak nie dał jednak za wygraną. Stojąc nad rzeką, że na jej białym dnie było widać czubki jego butów, wyjął z kieszeni spluwę i przerzucając ją z ręki do ręki, powiedział:

- Jeśliś taki chojrak śmigły i mocny, spróbujmy się na "zabawki". Widzę, że ją też masz. Kieszeń ci odstaje.

- A do czego chciałbyś strzelać?

- A chociażby do tej tam osiki.

- Jak przegrasz, stawiasz wódkę na moim weselu.

- Jeszcze nie wiadomo, kto komu postawi. Zaczynamy?

Słowo się rzekło, zaczynamy.

Podeszliśmy do rosnącej nad wodą niemal białej osiki. Nie drżał na niej ani jeden listek. Pierwszy raz zdarzyło mi się widzieć taką osikę. Idąc od pnia stopa za stopą odmierzyliśmy dziesięć kroków. Umówiliśmy się, że każdy będzie miał po siedem strzałów. Jako gość pierwszy zaczął chłopak. Trafił. Białe łyko spadło w wodę. Poruszyły się listki na najniższych gałązkach.

Ja też trafiłem. Spod kory wypłynęła kropla miazgi, powiększając się szybko do sporej żrenicy. Drgnęła w niej i pociemniała czerwona tęczęwka jutrzni. Gdy chłopak, strzelając po raz drugi, trafił w osikę z tą powiększającą się żrenicą, na wierzchołku drzewa seplenily liście. Z pnia patrzyły na nas coraz większe oczy. Strzelaliśmy teraz coraz szybciej. Gdyśmy skończyli, a w wiklinie ucichło echo wystrzałów i nad rzeką rozwiął się dym, poranione drzewo patrzyło na nas wybitą wyraźnie w pniu twarzą.

Pierwsza krzyknęła i zaczęła uciekać Hela. Za nią Marysia. Pobiegliśmy za nimi nawołując. Dogoniliśmy je dopiero w chruście. Z trudem udało się nam sprowadzić je z powrotem nad rzekę. Za nic jednak nie chciały podejść do drzewa. Zeszliśmy doń sami. Faktycznie, z kilku kroków wydawało się, że spod prawie białej kory, z rdzenia pnia, wypływa czyjaś twarz. Przez głowę przeleciały mi wszystkie opowieści o czarownicach mieszkających w

osikowym drzewie. Podeszliśmy do samego pnia. Policzyliśmy dziury po kulach. Było ich czternaście. Z dna rzeki wygrzebaliśmy dwie kule siwego ilitu. Rana po ranie zalepialiśmy coraz wyraźniej wypływającą z rdzenia twarz. Gdy zacierałem ilitem ostatnią ranę, drzewo westchnęło i znowu uciszyło się do najdrobniejszego listka. Podałem chłopcu rękę i klepiąc go w plecy, rzekłem:

- Celnyś. Byle tak na wojnie.

- Tyś też celny. A co do wojny, to chyba się na niej spotkamy. Wszyscy mówią, że lada dzień będzie.

- Ano, tak gadają Na niebie ją widzą. W słupach zorzy i w ptakach. W rzece też ją widzą. Po dnie białym z karabinem chodzi. Rybim okiem z ilitu na rekrutów zerka. A myśmy ją w tym drzewie pewnikiem zdybali.

- Możemy zdybali. Kto tam wie to drzewo. Osika jak baba, jak ta czarownica, wszystko, co chcesz, pape.

Podeszliśmy do dziewczyn. Spytały prawie równocześnie:

- I który z was lepszy?

- Osiczyna - rzekłem. - Kuma wasza biała. Osiczyna. Pogwizdując i idąc gęsiego, gdyż brzeg był urwisty, podmyty przez rzekę i ścieżynka ledwie w nim wybita, doszliśmy do brodu. Podwijając spodnie za kolana, weszliśmy do wody. Wprawdzie chłopak powiadał, że da sobie radę, ale już wiedziałem, że nie umie pływać, i na wszelki wypadek wolałem iść z nim. Gdy weszliśmy na piaszczystą łachę, zdeptaną przez wracających wcześniej od nas z festynu, ciągnącą się aż po wiklinę na tamtym brzegu, nachylając się nad wodą i czerpiąc ją garściami, przemyliśmy twarze. Woda ciekająca nam przez palce miała kolor wypływającej z rdzenia osiczyny czerwonej miazgi. Poza tym tuż przy blasku pachniała śniętą na upale rybą, wodorostami, wyrzuconymi małżami i kawałkami zbutwiałego drewna.

- Przyjdiesz na moje wesele? - spytałem chłopaka, mierzwiąc mu spadające na oczy włosy.

- Przyjdę. Ale ty chyba przyjdiesz do mnie wcześniej. Zaśpiewasz mi, Piotrze. Lubię cię, gdy śpiewasz. Chociaż i bez śpiewania też cię lubię, chłopie.

- To zaglądamy do nas.

- Myślisz, że nie będę?

- Myślę, myślę, Stachu. Nawet wiem, że będziesz. Widziałem to w tobie.

- O, nie wiedziałem, że masz takie dobre oko.

Roześmiałem się i wskazując na stojące na brzegu dziewczyny, rzekłem:

- Może złe, kolesiu?

I odwracając się na pięcie, wszedłem w sięgającą mi zaledwie po kostki wodę. Gdy wyszedłem na wysoki brzeg i stanąłem przy Heli i Marysi, chłopak już wchodził w wiklinę. Obejrzał się jeszcze, wznosząc nad głową zwinięte w jedną pięść ręce. Po czym gwizdnąwszy kilka razy na palcach, zniknął nam w chruście.

Wziąłem dziewczyny pod ręce i przytulając się do nich, wszedłem w wiklinę. Spłoszyliśmy żerujące na polance stado bażantów. Dziewczyny

wystraszone jeszcze mocniej wtuliły się we mnie. Skorzystałem z tego, całując je po kolei w usta. Przez cały chrust szliśmy ocierając się biodrami. Nie wytrzymałem i moja ręka weszła w stanik Heli. Miałem w ręce to wielkie jabłko, to żywe stworzenie. A ponieważ również moja lewa ręka była przyzwyczajona do jabłka, do żywego stworzenia, chociaż ją z całych sił powstrzymywałem i mitygowałem w myślach, znalazła się za stanikiem Marysi. Dziewczyna początkowo odsunęła się ode mnie, ale gdy w mojej dłoni znalazła się ta odwrócona, żywa bera, jeszcze mocniej przytuliła się do mnie.

I umyślnie szliśmy przez ten trzyletni chrust coraz wolniej. A idąc przez chrust, zapomniałem i w żaden sposób nie mogłem sobie przypomnieć, który owoc bardziej lubię. Jabłko czy też berę. Pewnie dlatego nie mogłem sobie przypomnieć, że nie miałem w zwyczaju ważyć w dłoni ani jabłka, ani bery. Zrywałem z gałęzi i spragniony wbijałem w nie zęby, żeby jak najspieszniej ugasić pragnienie. A z tych dwóch żywych owoców znałem tylko jabłko. Wiedziałem, jak smakuje i jak wchodzi to żywe jabłko w te jabłka targane z gałęzi. Toteż znając już to jabłko, tym pilniej strzegłem żywej bery.

Idąc i nie mówiąc przez cały czas ani słowa, weszliśmy na wał. Stąd widzieliśmy całą wieś zakutą w sen, ale już z kogutem wrzeszczącym na płocie na cietrzewia jutrznię. Równocześnie wystraszyliśmy się tego koguta i tej jutrzni i odsunęliśmy się od siebie, i naraz w trójkę zaczęliśmy na wypródki mówić o rzece, o Stachu, o tej twarzy coraz wyraźniej wypływającej z rdzenia białej osiczyny.

I tak pogadując weszliśmy w ogrody. Hela chciała nas zaciągnąć na jabłka do sadu jej dziadków. Już jednak dobrze świtało i bałem się, że najpierw pobudzimy psy, a po nich wyrwiemy z płytkiej starczej drzemki dziadków. Obiecałem dziewczynom, że gdy podejdziemy pod mój dom, natargają sobie, ile będą chciały, jabłek. Zrezygnowawszy z jabłek z dziadkowego sadu, biegliśmy truchcikiem przez zalane rosą ogrody. Dziewczyny przede mną, ja za nimi. Śmigały ich bose stopy. Na plecach podskakiwały, razem z warkoczami, powiązane sznurówkami trzewiki.

Tak boso, gdy spadł deszcz, szło się do kościoła. Dopiero przed kościołem, obmywając nogi w kałuży, ubierało się trzewiki. Zresztą te ogrody, również boso i niemal nagie po żniwach, przypominały po trosze kościół. Zwłaszcza że już zaczynały się złocić dalekie wzgórza za Wisłą z drewnianym wiatrakiem i z parafialnego kościoła odezwała się sygnaturka. Tuż po niej nad naszymi głowami odezwał się skowronek. Jak pierzasta strzała wypuszczona z łuku, wyszywał coraz wyższą pogodę.

Pod tym skowronkiem zbliżyliśmy się pod mój dom. Dziewczyny weszły pod młode szczepy i nachylając gałązki, obrywały z nich jabłka. Pomagałem im, sięgając po gałązki wyższe, na których jabłka były dorodniejsze. Zrywając jabłkami obdzieliłem je sprawiedliwie. Gdy dziewczyny miały już pełne zanadra jabłek, podeszliśmy pod stodołę. Uchylając drzwiczki, siedliśmy na belce. Pogryzając jabłka, obgadywaliśmy kawalerkę z festynu.

Gdy pod wierzbami przejechał pierwszy wóz po drzewo do lasu,

dziewczyny zaczęły się zbierać do domu. Chciałem je zatrzymać, a nawet zaciągnąć do stodoły na siano, żeby poleżały przy mnie, żebyśmy się nacieszyli sobą, najedli do syta zalęgniętych jabłek. Ale odmówiły, powiadając, że w domu na pewno niepokoją się o nie. Wszedłem pod sad. Faktycznie u Heli i Marysi były uchylone drzwi od sieni. Przeto nie zatrzymując dziewczyn dłużej, pożegnałem się z nimi, umawiając się w najbliższą niedzielę nad rzeką. Gdy odchodziły przez błonia pod wierzbami, stałem przy furtce. Stałem dopóty, dopóki nie zamknęły się za nimi uchylone drzwi sieni.

Podszedłem do koryta przy studni, żeby się umyć. Nalewając wodę i rozglądając się po sadzie, spostrzegłem, że w koronie jabłonki nadal wisi lustro. Zachciało mi się spojrzeć w nie, żeby się przekonać, jak też wyglądam po festynie, po picciu, po przechadzce porannej nad rzeką: I jakbym się bał, że coś w sobie spłoszę, podchodziłem do lustra na palcach. Już z paru kroków widziałem w lustrze drzemiący nadal sad, pole za sadem i parę domów za polem.

Zamknąłem oczy i na oślep przeszedłem tych parę kroków dzielących mnie od lustra. Gdy wyciągniętymi przed siebie rękami dotknąłem pnia jabłonki, opadłem na pięty. Ale jeszcze spory kawałek czasu stałem przed lustrem z zamkniętymi oczami. Dopiero słysząc wybiegającego z kukurydzy psa i łaszącego się mokrym łbem do moich bosych stóp, otworzyłem oczy. Cofnąłem się o krok, gdyż niemal dotykałem twarzą lustra. Z tak bliska moja twarz przypominała po trosze owo oblicze wypływające z rdzenia osiki.

Dopiero z paru kroków, gdy jabłka zaokrągliły się na powrót i każdy liść był obsyty światłem, rozpoznałem siebie. Byłem jednak inny od siebie porannego. Jakby gdzieś daleko, chciałoby się rzec, za widnokresem, zobaczyłem w mojej twarzy obydwie dziewczyny i chłopaka zza wody, a po nich stojącego na złotych wzgórzach Jaśka. Uśmiechnąłem się do nich wszystkich, a w gruncie rzeczy do siebie, rozczesując palcami zmierzwioną czuprynę.

A ponieważ jeszcze mi szumiało w głowie po wypitej maladze, po kilku kieliszkach wódki, wziąłem się pod boki i zacząłem się krygować między widocznymi w lustrze jabłonkami. I nagle zachciało mi się zatańczyć przed tymi wszystkimi ludźmi wzierającymi z mojej twarzy. Najpierw ostrożnie, później coraz szybciej i głośniej, przytupywałem na bosaka. Pies, kręcący się pod sadem, biegał koło mnie naszczekując. Sad, widoczny w lustrze, jego korona, obsypana jabłkami, kawałek pola i kilka domów za polami przytupywało razem ze mną.

Spodobało mi się to wszystko, więc zacząłem tańczyć na dobre, gwizdząc przeraźliwie na palcach, przyplacając od czasu do czasu niewidocznym basom, potrząsając nad głową niewidoczną różgą, krygując się i przyśpiewując. Widać, miałem jeszcze dobrze w czubie, skoro w tym tańczeniu przed lustrem, pod porannym sadem, widziałem się raz z Helą, raz z Marysią, to znowu z wdówką, z Jaśkową służącą.

Właśnie na tym tańcowaniu zastała mnie idąca po zastodolu żydowska muzyka. Zanim ich spostrzegłem, oni już zagrali. A ja nie widząc ich wcale i ciągle myśląc, że jestem na festynie, tańczyłem w ich muzyce. Dopiero gdy Mojżesz zaszedł mnie niepostrzeżenie z boku i tuż nad moim uchem wrzasnął na klarncie, przystanąłem.

- Widzę, Piotr, że u ciebie ciągle festyn.
- Jakże by inaczej. Przecież gracie.
- Aż kim tańczysz? Z Marysią?
- Jakby ci tu rzec. I z nią, i nie z nią. Z tym wszystkim po trosze.

Wskazałem na lustro. Mojżesz, niższy ode mnie, stanął na palcach i spojrzął w lustro.

- Nie dasz temu rady. Na śmierć się zatańczysz, gdybyś chciał to wszystko solidnie wyhulać. Za dużo tego w lustrze, chłopie. I sad, i pole za sadem, domy za polem, złote wzgórza i za złotymi wzgórzami jeszcze coś i jeszcze. Lepiej zostań przy Marysi. Zostań przy niej, Piotr. I spraw weselisko. Zagramy ci, chłopie. Jak się patrzy, zagramy.

Stałem przed nimi bosy z podwiniętymi do kolan portkami, w rozchełstanej koszuli. I widziałem tego Abrahama Judkę, a za nim ojca Abrahama niosącego wiązkę chrustu i prowadzącego pierworodnego syna, i ściskającego pod pachą miecz. Nad nimi przelatywał dostający nagle skrzydeł młodzieńki sad i podobny do skrzydlatego sadu archanioł grający na trąbie.

- Jak tak bardzo chcesz, to zostanę przy niej, Mojsze. Zostanę przy Marysi.

- No, to zatańcz z nią. Patrz w lustro i tańcz. Ale tylko z nią. A my ci zagramy.

I znowu tańczyłem przed lustrem, pełnym wirującego sadu, zielonych, żółtych i czerwonych jabłek. Ale oprócz Marysi widziałem w sadzie, w jabłkach, twarz Heli, twarz chłopca zza rzeki, Jaśka i jego wdówkę, i młodzieńką służącą obejmującą obydwoma rękami stromy brzuch. Przymykałem oczy, ale nadal widziałem tak samo. Przytupywałem coraz ogniej aż do bólu w kostkach, gwizdałem na palcach, ale w żaden sposób nie mogłem ich spłoszyć. Byli przy mnie. Wszyscy byli we mnie. Nagle muzyka przestała grać. Przystanąłem.

- No, jak tam, Piotr? Tańczyłeś z Marysią? I tylko z Marysią? Przyznaj się, kochasiu.

- Powiem na weselu, Mojsze.

- Jak tam chcesz, poczekam. A teraz idź spać. Zielonyś jak jabłko. I muzykanci, biorąc basy na plecy, a skrzypce pod pachy, zrywając sobie po jabłku na drogę, odeszli pod wierzby. Nad nimi przelatywał archanioł. Podeszedłem do jabłkonki i zdjąłem z gałęzi lustro. Położyłem je światłem do ziemi. Po czym, zataczając się od malagi i od tańczenia pod sadem, widząc nieustannie przelatującego archanioła, ale już we mnie, wszedłem w siano. Zasnąłem razem z przelatującym przeze mnie archaniołem. Czułem, że oddycha we mnie. Od jego oddechu lustro zachodziło mgłą. Ale nadal

widziałem wszystko w lustrze. I wszyscy w tym lustrze tańczyli.

Spis treści



8

Rano skoro świt zjawił się na rowerze, przy pistolecie, z karabinem przerzuconym przez plecy, komendant policji. Przywiózł kartę mobilizacyjną. O mobilizacji wiedziałem już wcześniej od nauczyciela, który rok temu, jako jedyny człowiek w okolicy, sprawił sobie słuchawkowe radio. Akurat stałem przy studni, nalewałem wodę do drewnianego koryta, żeby napoić konie, gdy na podwórze wszedł komendant, prowadząc przed sobą rower za siodełko. A zrywając jabłko wiszące nad studnią i oglądając je pod światło, rzekł:

- Jakie jasne. Pestki widać co do jednej. Dziwne. W was też wszystko widać. Do najmniejszej pestki. - A przyglądając mi się uważnie dodał: - Tyś też przezroczyły. Jak to jabłko. Jak woda. Strusia masz, kochasiu, co? Struś to taki ptak. Jak co, to łeb w piasek. A ty byś wszedł w siano. W pierzynę i w siano. Znam was, pierzyniarze. Rydz się wam nie widzi. Witos wam tu pachnie. A Witos kiblował. I będzie kiblował. To na jego rozum.

I nagryzając jabłko, wszedł na rower. Gdy wjeżdżał w furtkę, dopadł go pies. Ujadając i podskakując, starał się dosięgnąć nogawki żandarma. Komendant, celując szpicem buta w psi pysk, starał się wyzwolić od niego. Nie patrząc na ścieżkę prowadzącą pod wierzby, wjechał w jakiś większy dołek. Stracił równowagę i rymnął jak długi. Pies tylko na to czekał. Dopadł jego nogi. Policjant krzyknął. Spod jego rajtek powyżej kolana wyłaziła bielizna. Gwizdnąłem na czającego się do powtórnego skoku psa. Policjant z trudem się pozbierał. Prowadząc rower i utykając, wrócił na podwórze. Zdjął karabinek.

- Odsuń się od psa.
 - Co on panu winien? Bohater się znalazł. Z psem będzie wojował. Chodź pan tam, gdzie ja. Tam psów będzie sporo. Postrzela pan sobie.
 - To płąć, kmiotku, mandat.
 - Dobrze. Po powrocie. A od psa z daleka. Zwąchał swego, kąsał.
 - Ja bym ci dał swego. Masz szczęście, że idziesz na wojnę, śmierdzielu.
 I policjant wszedł na rower i wjechał pod wierzby. Stamtąd w wieś.

Dopiero gdy zniknął mi za domami, zauważyłem, że pies zwinięty w kłębek, z łbem podniesionym do nieba, leży na gołych moich stopach. W jego starczych ślepiach, zaciągniętych do połowy bielmem, widać było koronę najbliższej jabłonki, tej z prawie przezroczytymi jabłkami. Chciałem podejść do niej, zerwać jabłko i spojrzeć w nie pod światło, żeby się przekonać, czy rzeczywiście widać w nim pestki. Ale oślepiiony wyskakującym zza rogu domu, jeszcze ociekającym wodą słońcem, zobaczyłem w koronie jabłonki ową białą twarz z powybijanymi kulami żrenicami i ustami, która wypłynęła

spod kory osiki. Nieśli ją w rękach widoczni po bokach uśmiechający się Mojżesz i chłopak z za wody. Poruszyłem lewą i prawą stopą. Ale pies, podnosząc się na przednie łapy, jeszcze bardziej przybliżył mi ową twarz. Kopnąłem go w podbrzusze. Skuczając zwiął do stodoły.

Teraz dopiero zauważyłem, że w ręce ciągle trzymam papierek. Zacząłem go czytać. Nie było wątpliwości. To byłem ja, Piotruś okutany w szalówkę, niesiony przez zasypane śniegiem ogrody do dziadków, dosiadający pod wiosennym sadem czerwonego konia na biegunach, wspinający się na wszystkie drzewa w okolicy po jajka gawronie, śpiący w stajni obok nowo narodzonego źrebaka. Piotruś, Piotr, śpiewający na chórze o Chrystusie przebijanym włócznią, obstawiający Jaśka zbierającego kury z grzędy, siorbiący wrzący rosół, noszący suche łupki drewna do kowala na bryczkę, leżący na strzesze obok Heli, idący z Marysią i Helą jeszcze kilka dni temu znad porannej rzeki. A teraz byłem starszym strzelcem Piotrem, biegnącym z karabinem w rękach przez szerokie pola ciągnące się za powiatowym miasteczkiem. Repetowałem karabin i strzelałem. Biegłem i strzelałem. Przedemną był lasek. Na ścianie tego coraz bardziej przybliżającego się lasu zjawiało się coraz więcej białych twarzy wypływających z osikowego rdzenia. I te osikowe twarze, otwierając usta, wołały:

- Masz szczęście, że idziesz na wojnę. Masz szczęście. Masz szczęście. Masz.

Z tym wiosennym, całym w żółtych listkach laskiem, i w głowie, i w oczach, laskiem, pełnym osikowych twarzy, zbliżyłem się do koryta z wodą. Zanurzyłem w niej twarz. W wodzie nadal widziałem osikowe twarze. Wsadziłem całą głowę w zimną wodę, dotykając ustami sosnowego dna koryta. Zabułgotało. Najpierw rozplynał się lasek, a po nim osikowe twarze. Jednak na wszelki wypadek trzymałem głowę w wodzie tak długo, póki nie straciłem oddechu. Gdy nagle wyrwałem głowę z wody, poraziło mnie sierpniowe, pszeniczne i jęczmienne słońce, przechodzące powoli w dymiące popiołem kartoflisko.

Podskakując z nogi na nogę, gdyż prawie nie słyszałem, i biegnąc truchcikiem pod sadem aż do wyschnięcia, zobaczyłem na psiej budzie dwa kawałki wysuszonego akacjowego drewna, przygotowane dla kowala na orczyki do bryczki. Stąd, spod sadu, przypominały wielkie, z pszczelego wosku gromnice. Zresztą gdziekolwiek spojrzełem, wszędzie widziałem coś z pogrzebu, z weselnej bitki na gnypy i siekierki. Nawet sad, przed przyjazdem policjanta podobny do trzymanego oburącz za skrzydło ogromnego zielonego dzięcioła, był teraz na wylot poprzebijany bagnietem i nożem. - Oj, Piotrze, Piotrusiu, moje ty rajskie pieścidełko, aleś się rozmamlał. Jak tak dalej pójdzie, to pod sadem zobaczysz malowaną na biało, z mirtem i welonem na wieku kawalerską skrzynię, zbitą z czterech desek, jadącą na kółkach. I siebie w tej skrzyni. Z rękami złożonymi na krzyż, z rogatywką na rękach i z szablą przy boku.

I tak pogadując do siebie, wszedłem do stajni. Wyszczotkowałem konie.

Wyprowadziłem je na podwórze do studni. Wypiły do sosnowego dna zimną jak kra wodę. Wypiły ją razem z tymi zmytymi z moich oczu osikowymi twarzami, z tym wiosennym laskiem za powiatowym miasteczkiem.

Gdy wchodziłem do izby, byłem niemal wesół. Pogwizdując i łamiąc na kolanie wiklinowy susz, rozpałem pod blachą. Ostrożnie, na palcach, żeby nie zbudzić śpiącej nadal matki, wszedłem do komory i wyciągnąłem spod sąsiedka największego królika, jaki mi się nawinął pod ręką. Ani nie kwiknął, gdy go ułożoną w ciasną deskę ręką zdzieliłem za uszy. Kiedy matka, śpiewając godzinki i zaplatając w siwy warkocz włosy, weszła do kuchni, królik pocięty na kawałki podskakiwał w saganie.

- A cóż ty tu robisz, synku? I królika zabiłeś. Przecież nie niedziela.

- Jakże to, mamó? Niedziela, niedziela. Więcej niż niedziela. Święto. I to jakie święto. Większe niżli Boże Narodzenie. Długo spałaś, mamó. I wszystko przespałaś. No, to nawet nie wiesz, jakie dzisiaj wielkie święto.

- Widzę, że cię znowu dzisiaj naszło, Piotrek. W zeszłym tygodniu ni z tego, ni z owego zabiłeś kurę, a dzisiaj królika. A kura jeszcze się niosła, lepiej od innych. Panicz z ciebie taki.

- To z radości, mamó. Szczęście mnie spotkało. Pod sad przyjechało samiutkim świtanem. Twarde niby dukat i jabłko królewskie. Na wojnę mnie biorą. Dadzą mi konika i szabelkę dadzą. Wprowadzą na wzgórze. Na trąbce zagrają. Na trąbce i bębnie. A ja się leciutko w strzemionach uniosę i szablę wyciągnę. Konika ostrogą w podbrzusze ubodę, nad jego uszami szablą krzyżyk ciachnę i na wroga z góry jako siwy sokół z wielkim krzykiem spadnę.

- Bój się Boga, Piotrek, co ty wygadujesz? Dopiero o święcie, teraz znów o wojnie. W głowie mi się miesza od tego gadania.

Matka, pochlipując i obcierając nie doplecionym warkoczem załzawione oczy, usiadła na składanym krzeselku. Podszedłem do niej i biorąc ją za ramiona, uniosłem z krzeselka. Podniosła twarz. W jej prawie wiosennych oczach, leciutko przydymionych przez starość, zobaczyłem siebie. Ująłem w dłonie jej pełną, ale niemal dziecięcą, jakby zapatrzoną w pierwszy raz widziany sen, w pierwszy owoc, w pierwszego ptaka, twarz. Dopiero gdy zaczęła mrugać powiekami i moją twarz, widoczną w jej źrenicach, potrąciła pierwsza i dziesiąta łza, tak że nie było już w nich ani Piotrusia, ani Piotra, ale starszy strzelec Piotr, powiedziałem jej o wojnie.

Wpół objęci, przytuleni do siebie, siedzieliśmy przy oknie na sosnowej ławeczce, na której od lat aż do śmierci siadywał ojciec, spoglądając na błonie. Dopłatałem jej przesypany siwym popiołem warkocz. Przesunąłem go ostrożnie na plecy. Oczy matki były teraz suche. Zdjąłem rękę z jej ramienia i podszedłem do szafki, wyjmując z niej rodzinną polewaną misę. Nalałem rosołu. Z komory przyniosłem flaszkę wódki. Wypiliśmy siorbiąc prawie wrzący rosół.

Ponieważ prawie od roku przy każdym posiłku obok miski zawsze leżała łyżka ojca, matka wzięła ją ze stołu, obtarła w fartuch i dała mi ją na drogę. Po

czym wstając z ławeczki i idąc do sieni, po drabinie weszła na strych. Stamtąd zniosła okuty blachą dębowy kuferek ojca. Na dno kuferka włożyła dwie koszule, brzytwę, szeroki pas skórzany, zwany kupią, do ostrzenia brzytwy, ręcznik i kawałek szarego mydła. Chleb, kawałek słoniny, suszony serek i jabłka wypełniły kuferek pod wierzch.

Gdy kuferek dociśnięty kolanem był zamknięty na kłódkę, matka w żeliwnym saganie nastawiła wody. Z komory przyniosła drewnianą balię. Gdy woda się zagotowała, rozebrała mnie do pasa. Chciałem się wmyć i wyszorować sam. Nie pozwoliła. Namydliła mi głowę, twarz i plecy. I szorując mnie aż do bólu, niemal siłą zanurzyła mi głowę w balii. Prychałem i piszcziałem jak dzieciak. Gdy uznała, że jestem dostatecznie czysty, wytarła mnie do sucha zgrzebnym prześcieradłem. Po czym zdejmując mi z szyi medalik, nawlokła go na lnianą nitkę. Sama też, nie pozwalając mi tknąć niczego, ubrała mi koszulę, krawat, kamizelkę i bluzkę. Z kolei umyła mi nogi. I drąc starą flanelową koszulę, zrobiła mi dwie wielkie jak płachty, onuce. Gdy mi owinęła w nie nogi, z trudem weszły w juchtowe trzewiki. Chciałem je zasznurować. Dostałem po łapach. Klęcząc przede mną, dziurka po dziurce dociągała cholewki rzemienną sznurówką. Wstała z klęczek, wspierając się ręką o podłogę. I odchodząc dwa kroki do tyłu, zlustrowała mnie uważnie.

- Teraz wrócisz do mnie. Nikt cię nie rozbierze, ażeby cię obmyć. Butów ci nie ściągnie, koszuli nie zdejmie. Bo nie będzie umiał. Sama cię rozbiorę.
- Tam mi dadzą mundur, mamó. Muszę się rozebrać.
- Pewnie, że ci dadzą. Mogliby ci nie dać! Chłopak jak topola. Mało dzisiaj takich. Ale cię nie dotkną. Kula cię nie draśnie, szabla nie doścignie. Tyś mój, tyś malutki, nie większy od skrzypiec. W wodzie cię kąpałam, ubrałam jak niegdyś, na bok zaczesalam. To mi wrócisz, synku. Sam się nie rozbierzesz. Nikt cię nie rozbierze. Do snu nie ułoży. Nóg ci nie umyje. Tylko ja, syneczku.

Ucałowałem matkę w oczy i posadziłem z powrotem na ławce. Wybiegłem do stodoły. Zza krokwi wyjąłem pistolet i wsunąłem go do kieszeni. Wracając do izby, znad studni zerwałem to prawie przezroczyste jabłko. Położyłem je przed matką.

- Kiedy wyjdę z domu, rzuć je królikom. Biały strach w nim ponoć mieszka.

W najbliższym miasteczku miałem się stawić koło południa. Stamtąd po dwunastej odchodził pociąg do Tarnowa. Ponieważ ze wsi było nas powołanych kilku, sołtys miał podstawić dwie podwozy. Do odjazdu było jeszcze sporo czasu. Chciałem iść do Heli i Marysi, żeby się pożegnać. Ale przypomniawszy sobie płaczącą matkę, chodzącą teraz z kąta w kąt, potykającą się o wszystkie sprzęty, zostałem w domu. Przed dziesiątą wpadł do nas goniec, powiadając, że podwozy czekają przed sklepem. Objąłem matkę za ramiona i biorąc kuferek na plecy, niemal pobiegłem za gońcem. Wchodząc pod wierzby, spojrzałem za siebie. W uchyłonej furtce, przytrzymując się sztachet, stała matka. Warkocz miała przerzucony przez piersi. Widocznie płakała, a nie mając na głowie chustki, obcierała nim oczy.

Ukloniłem się jej do ziemi. I już nie oglądając się za siebie, wszedłem w wieś.

Idąc między opłotkami czułem, że matka ciągle za mną spogląda, że patrzy na moje dociągnięte jej palcami buty, na ciasno zapięty kołnierzyk koszuli, na zaczesaną i jeszcze mokrą, z przedziałkiem pośrodku czuprynę.

Na progach domów, w ogródkach z malwami, stały kobiety z dziećmi na rękach. Płakały. Podrostki, jeżdżąc patykami po sztachetach, wołały za mną. - Zaśpiewaj nam, Piotrek. Zaśpiewaj. Zaśpiewaj. A jak będziesz wracał, nie zapomnij o cukierkach dla nas. Tam, gdzie idziesz, jest pełno cukierków. Całe góry cukierkowe. - I rzeczywiście, prawie nie wiedząc o tym, podśpiewywałem sobie pod nosem. Była to ułożona przez Jaśka piosenka o koniokradach. Gdy wychodziłem ze wsi na plac przed Domem Ludowym, śpiewałem na cały głos. Chłopi, stojący na placu koło dwóch furmanek i popijający malagę, podeszli do mnie. Podali mi butelkę. Łyknąłem serdecznie. Teraz śpiewaliśmy wszyscy.

Gdy ostatni z powołanych zjawił się przed sklepem, wsiedliśmy na wozy. Do półkoszków wrzucono nam kilka butelek wina. Dziadek Jakub, kawalerzysta Franciszka Józefa, przykuśtykał do mnie na drewnianej nodze i podał mi wyciągniętą spod kurtki szablę.

- Bierz ją, kochaneczkę. Służyła mi wiernie. Wierniej od mej starej. To niech tobie służy. Chlastaj nią tych Szwabów. Znad głowy ich tnij. Od Jezusa Pana, od cysarza tnij, tnij ich od Witosa!

Konie, podcięte batem, ruszyły z kopyta. Słyszeliśmy jeszcze, że ktoś woła, ktoś gra na organkach, a już galopując pod rampę, wjeżdżaliśmy na szeroki wał. Szlabany były zdjęte. Stąd, z waha wysokiego na kilka metrów, było widać całą wieś. Gdyby się z wozu dobrze wychylić, można by przez dudy kominów zaglądać do domów przytulonych plecami do wału. Zresztą parę razy śniło mi się, że dostaję wiklinowych skrzydeł i polatując nad wsią zaglądam właśnie przez kominy, co też ludzie robią. Teraz jednak domy były puste. Z wyjątkiem paromiesięcznych berbeci, raczkujących zapewne w kuszach koszulinach pod stołem, próbujących pociągnąć za ogon kocura, czepiających się stojącego w kącie cielęcia, żeby stanąć na nogi, wszyscy wyszli na progi. Żegnali nas w milczeniu. Tylko wyrostki podbiegały pod wierzchołek wału i z czapek, z zanadrza rzucały nam w półkoszki jabłka, gruszki i śliwki. Gdy dojeżdżaliśmy do promu, wóz był prawie pełen owoców.

Na promie ze znajomymi przewoźnikami wypiliśmy dwie butelki malagi. I piliśmy aż do miasteczka. Ostatnią pustą butelkę wyrzuciliśmy na rogatkach miejsciny. Żeby się pokazać w miasteczku, któryś z nas zeskoczył z wozu i z pierwszego ogródka zerwał wszystkie kwiaty. Wplótł je w końskie grzywy i uprząż. Podcinając batem przystrojone weselnie konie, śpiewając na całe gardło, wjechaliśmy w miasteczko. Spod końskich kopyt uciekały w popłochu wylegające się w resztkach błota świnię, taplające się gęsi i cieplaszące się w kurzu kury. W kwiku, w gdakaniu, w sypiących się piórach, tych gęsi i tych z przyśpiewki, w rejuwach starozakonnych zajechaliśmy przed stacyjkę.

Pociągu jeszcze nie było. Nawet na pobliskich wzgórzach, porośniętych

dębina, nie znaczył się dym. Toteż razem z furmankami zaszliśmy do pobliskiej karczmy. Było tłoczno. Z okolicznych wsi pili podobni nam wojacy. Przy szynkwasię mignęła mi biała niemal czupryna chłopaka zza wody.

- Kogo ja widzę? To ciebie też biorą? Myślałem, że staruszków zostawiają przy babach.

- Gdzie tam, bratku. Gdy się dowiedzieli, że ty idziesz, i mnie powołali. Bali się o Hele. Ponoć w czasie wojny młódki nawet kuternodze nie przepuszczają. To mnie powołali. Żebyś był spokojny. Żeby ci na cynglu ręka nie zadrżała, i jeszcze przez ciebie wojakiem zostałem, boś się uparł wtedy do osiki strzelać. Pamiętasz tę gębę wybitą kulami?

- A jakże, pamiętam. Postrzelamy do niej.

- Zanim postrzelamy, tobyś co postawił.

- Już się robi, Piotrze.

Stukając się szkłem, wypiliśmy do dna. I jeszcze raz wypiliśmy. Wtedy spoglądając na niższego prawie o głowę chłopaka, zauważyłem, że jest podobny do Jaśka. Ten sam lekko odstający od ust uśmiech, to samo pochylenie głowy, zwężone do sosnowej deski czoło i z całej siły w biały kamień cofnięty podbródek. Poza tym był w nim jeszcze ów szyk wspólny całej wsi za wodą. To się wyczuwało w geście rąk, w unoszeniu ramion, w pochyleniu głowy. A widziało dopiero na festynie, na weselu kiedy wyciągali noże, wbijali je w stragarz, gasili lampę i ściągniętym z blachy garnkiem wywalali okno. Przypatrując się chłopcu i porównując go z Jaśkiem, i już wiedząc, że poszedłbym z nim kraść pierzyny i konie, a teraz z nim idę, bo nas chcą okradać, nawet nie poczułem, że mnie ktoś ściska za łokieć. Dopiero gdy posłyszałem tuż nad uchem: - A może zatańczysz? Popatrz na to lustro. Ogromne jak staw - obejrzałem się. Przede mną ze szklanką w ręce i z klarnetem pod pachą stał Mojżesz.

- To i ciebie wzięli?

- Do orkiestry ponoć. Stary też tu jest. I starszy brat, i nasz beniaminek, Izaak. Jak ojciec papierek przy jutrzni przeczytał i złożył we czworo, i na stół położył, i zdjął okulary, i już ślinę przełknął, to rzekł wtedy do mnie: "To wiedz sobie, Mojsze, że ciebie samego na wojnę nie puszczę. Nie dasz rady sam. Takie wielkie wojsko puszczką prowadzić? Jakem ojciec twój i Judka Abraham, i prymista pierwszy na te trzy powiaty, to idziemy z tobą rodzinną muzyką. Bo naszemu wojsku trza dobrej muzyki. A ja taką mam". To jesteśmy wszyscy. Już nawet graliśmy.

W karczmie było coraz ciasniej. Kupując butelkę siwuchy, ciągnąc za sobą Mojżesza i chłopaka zza wody, z trudem przecisnąłem się do swoich. Piliśmy wprost z butelki. Mojżesz, rozochocony napitkiem i zdenerwowany przyjazdem całej rodzinnej muzyki, chciał nam zagrać. Ale w tym tłoku nie mógł nawet podnieść klarnetu do ust. Zresztą po chwili przed karczmą wszczął się ruch i zaczęto walić pięściami w okno. Pociąg ponoć już wjeżdżał w las dębowy.

Wybiegliśmy, a raczej wypchano nas z karczmy. Z wozów zabraliśmy

okute kuferki. Wszyscy nieśli je na ramieniu. Ja niosłem w ręce, gdyż przeszkadzała mi zatknięta za pas szabla. Z kuferkami u nóg staliśmy przy torach. Z lasku pogwizdując wyjeżdżał pociąg. Obok mnie stał chłopak z za wody. Parę kroków od nas widziałem Mojżesza z całą rodzinną kapelą. Ojciec Abraham Judka wycierał z kurzu kraciastą chusteczką wyjęte z futerału skrzypce. To samo czynił najmłodszy z basami. Mojżesz co chwila przykładął klarnet do ust. Na leciutkim, wiejącym od dębowego lasku wietrze rozwiewały się jedwabne chałaty żydowskiej muzyki. Muzyka najwyraźniej szykowała się do zagrania.

Jakoż gdy pociąg dudniąc na drewnianym mostku wjechał na stację i przystanął, Abraham Judka opuścił biały smyczek na skrzypce. Grali nam generalskiego marsza. Pościągaliśmy czapki. Nikt nie wchodził do pociągu. Zresztą i tak się nie dało. Słyszac muzykę, z wagonów wysypało się jadące na wojaczkę bractwo. Ktoś z naszych poprosił muzykę o "Słowika". Była to melodia ułożona przez starego Judkę. Oprócz niego nikt jej nie potrafił zagrać. Właśnie żeby posłuchać "Słowika", do tej żydowskiej muzyki, grającej na weselu lub festynie, schodziła się cała okolica. Jak powiadał Abraham Judka:

- Musieli się schodzić. Takiego słowika nie ma za lasem i za wodą nie ma, i za górą nie ma. Tam już inne wody i góry, i bory, i dziewczyny inne. To i słowik inny.

A po "Słowiku" były jeszcze sztajerki, oberki i polki. Skądeś pościągano kilka dziewcząt. Tańczono wprost na ubitej ziemi. Śpiewano. Nie pomagało gwizdanie lokomotywy, bicie żelazem w poaustriacki dzwon, gwizdki konduktorów. Bractwo nie kwapiło się do wagonów. Dopiero gdy pociąg zaczął ruszać, chwytało na gwałt kuferki i wskakiwano do wagonów. Wepchnąłem Stacha na schodki. Stojąc na schodkach, widzieliśmy jak peron opustoszał w okamgnieniu. Stało na nim paru furmanów, kilka dziewczyn i wśród nich grająca nieustannie żydowska kapela. Zacząłem wołać na Mojżesza. Ale on, stojąc w pośrodku swoich, grał na klarnecie z głową przechyloną do tyłu, z zamkniętymi oczami, z policzkami rozdętymi do piwonii. Obok niego stał drewniany kuferek. Na nim leżała jarmułka.

Już prawie w pełnym biegu nadjeżdżaliśmy nad muzykę. Wrzasnąłem na Mojżesza i przechylając się ze schodków, poderwałem z ziemi kuferek. Mojżesz jakby się ocknął. Odjął klarnet od ust i łapiąc w locie jarmułkę, biegł za pociągiem. Udało mu się dopędzić nasz wagon. Stach pomógł mu wskoczyć na schodki. Teraz już w trójkę patrzyliśmy, jak po prawie pustym peronie ze skrzypcami pod pachą biega w rozwiewającym się chałacie stary Judka. Wymachiwał rękami, unosząc skrzypce nad głowę, coś krzyczał. Najwidoczniej chciał, żeby zatrzymano pociąg. Ale pociąg wjeżdżał już w olszynowy lasek. Po chwili całe miasteczko, w papie, w czerwonej dachówce, w pierwszych nitkach babiego lata, zostało za laskiem.

- No, udało się, Piotr. A myślałem, że pojedą ze mną. Niby do Tarnowa. A w Tarnowie zaczęliby łązić koło koszar. I grać na ulicy. I molestować

pułkownika. I znowu grać. Dla pułkownika jeden kawałek, dla pani pułkownikowej drugi z kosem złotym w skrzypcach, trzeci dla córuś pana pułkownika, dla dziadka, dla bliższych i najdalszych krewnych. Przez cały dzień. Przez calutką noc. Nie znam to starego?

Wpychając trzymane na kolanach kuferki do przedziału, usiedliśmy na schodkach. Zza pasa wyjąłem przeszkadzającą mi szablę. Kciukiem zbadałem jej ostrze. Było jak brzytwa. Stary musiał dbać o nią. Na pewno co kilka tygodni kuśtykał nad rzekę i czyścił ją w piasku. Ponieważ co chwila wjeżdżaliśmy w zagajniki olszynowo-wierzbowe, trzymając się żelaznego pręta, wychyliłem się ze schodków. I unosząc szablę nad głową, ciąłem po olszynie. Ścięte gałązki ulatując od pociągu spadały w zaczynające się stawy. Próbowali szabli Mojżesz i Stach. Im też fechtunek przypadł do gustu. Śpiewaliśmy:

Ułani, ułani.

U olszyny pani.

Po szyi ją cięli.

W srogi jasyr wzięli.

I tak dorzucając słowo po słowie do wspólnej przyśpiewki, tnąc znad głowy szablą, jechaliśmy przez spaloną prawie do wielkopostnego popiołu ziemię. Jechaliśmy przez równinę ciężką i gładką jak dębowy stół. Wreszcie zmęczeni, z kropelkami potu na czołach i nad górnymi wargami, usiedliśmy z powrotem na schodach. Przyciągnąłem kuferki i odmykając kłódkę, wyjąłem kilka jabłek. Żeby było poręczniej jeść, rozcinałem je na krzyż szablą. Jabłka miały smak olszynowej miazgi i żelaza. Tak ponoć w dawnych czasach smakowały królewskie jabłka. A jak twierdził Stach zza wody, wedle opowieści zabijaków z jego wsi, urwanych ze stryczka rzezimieszków, taki smak miał ostatni łyk wódki podawany przez kata pod szubienicą. W każdym razie czuliśmy się jak po bitwie. Nawet szabla, nie obtarta z olszynowego soku, czerniała na moich kolanach jak od posoki.

Powolutku, zataczając koło, dojeżdżaliśmy do Tarnowa. Gdy wjeżdżaliśmy na stację, na peronie grała pułkowa orkiestra. Sierżanci zapędzili nas do szeregów. Ustawieni w dwójki, w marszu granym nieustannie przez pułkową orkiestrę, wyszliśmy przed dworzec. Tu nas sformowano w czwórki. Z orkiestrą u czoła ruszyliśmy do koszar. Na głównej ulicy było sporo ludzi. Na nasze głowy spadło kilka kwiatów. Ktoś nam wpychał kanapki z kiełbasą i cukierki. Idący obok mnie w chałacie, w jarmułce na głowie, w pejsach Mojżesz podał mi kuferki i wyjmując zza pazuchy klarnet, zaczął grać. Dostrzeżono go z chodnika i wszystkie głowy zwróciły się w jego stronę. Nagle z tłumy wyrwała się jakaś kobieta wrzeszcząc i pokazując rękami grającego Mojżesza:

- Żyd, Żyd. Na wojnę idzie.

Jakiś młodzik zbiegł z chodnika. Wcisnął się w naszą kolumnę. Podbił ręką klarnet Mojżesza. Podstawiłem pod jego pięść kuferki. Krzyknął. Z ust

Mojżesza ciekła krew. Rzucając kuferek na bruk, wrzasnąłem na całe gardło:

- Stój! Stój!

A ponieważ rozjuszony młodzik coraz gwałtowniej wpychał się w naszą kolumnę, sięgnąłem po pistolet. Kolbą pistoletu zdzieliłem w łeb w kaszkiecie. I już nie panując nad sobą, zacząłem strzelać w powietrze. Młodzieniaszka wymiotło z kolumny. Podbiegł do nas sierżant:

- Kto strzelał? Co tu się dzieje, do cholery?

Nikt się nie odezwał. Podnieśliśmy kuferki z bruku. Skręciliśmy w boczną uliczkę, zasypaną kurzem po kostki. Spoglądałem na Mojżesza. Z jego rozciętej wargi nadal ciekła krew. Próbowałem go pocieszać.

- To nic. To nic, Piotr. Za dzień wydobrzeję. A wtedy wam zagram.

Zagram jak się patrzy.

[Spis treści](#)



9

Nazajutrz raniutko, jeszcze przed pobudką, wyszedłem przed koszary. Usiadłem na drewnianej ławce, spoglądając na zryty końskimi kopytami plac ćwiczeń. Przypomniało mi się pobojuwisko, tyle że nie było na nim powalonych ludzi ani zwierząt. Zresztą było jeszcze szaro i niebo nad placem, nad całymi koszarami, też wydawało się stratowanym pobojuwiskiem. Na tym niebie, gdy mrużyłem oczy, widziałem nawet pomordowanych. Parę kroków ode mnie, zapewne pilnując tego stratowanego nieba, przechadzał się wartownik z karabinem przewieszonym przez ramię. Chciałem do niego zagadać, ale przypomniawszy sobie Mojżesza śpiącego obok mnie i Stacha z za wody, wołałem z pogaduszką poczekać na nich.

Wszyscy trzej zostaliśmy wcieleni do piechoty. Koni nie było. Tych skupywanych od miesiąca po jarmarkach starczyło zaledwie dla zawodowców. Jedynie Mojżeszowi, artylerzyście, obiecywano przeniesienie do Moście, gdzie wokół fabryki stało kilka przeciwlotniczych działek. Wprawdzie wieczorem wyczyściłem w piasku poczerńiałą od ścinania olszyny szablę, ale wiedziałem już, że nie uniosę jej nad głowę. Tym gorliwiej czyściłem stary francuski karabin. Na jego poobijanej kolbie dostrzegłem kilka nacięć poczynionych scyzorykiem czy też bagnetem. Widać, komuś już nie najgorzej służył.

Ubrany tylko w sukienne spodnie, juchtowe buty i zgrzebną koszulę, trząsałem się z zimna. Przypomniawszy sobie dom i niemal go widząc pod posiwiałym od rosy sadem, pomyślałem, że matka pewnie się już krząta po izbie, rozpalając pod blachą susz. Sięgnąłem nawet ręką, żeby ją pogłaskać po splecionym, przyprószonym popiołem warkoczcu. I pierwszy raz od wielu lat, prawie od dziecka, zacząłem nucić godzinki. Gdy sobie to uświadomiłem, zdenerwowałem się do tego stopnia, że nie mogłem skrócić papierosa. Ćmiąc

machorkę, sięgnąłem po leżące na ławce owijacze i dociągając je z całych sił, krępowalem nimi łydki. Wstałem z ławeczki, tupnąłem parę razy, sprawdzając, czy mi jest wygodnie. Było mi lepiej w tych kupionych na wyrost butach w miasteczku, gdy razem z Jaśkiem wybieraliśmy się kraść konie. Pomyślałem jeszcze, że dobrze by było, gdyby on tu był razem ze mną. Na pewno siedzielibyśmy teraz obok siebie na ławeczce, wspominając gniadą trzylatkę, jej chód, i jej szyk, wybierając dla niej z wojskowego magazynu uszyte z wiśniowego boksu siodło.

W uchylonych drzwiach koszar, również tylko w spodniach i w koszuli, zjawił się Stach z za wody. Jego prawie biała czupryna spadała mu w kosmykach na rozespaną twarz. Przypominał wyrośnięte dziecko, które za chwilę weźmie matka na rękę, rozbierze do naga i zacznie kąpać w balii. Tuż po nim wyszedł Mojżesz. Również rozczochrany. Ale w jego smagłej twarzy nie widać było tyle snu, co w obliczu Stacha. Zresztą ci z za wody, gdy się ich spotykało raniutko, zawsze wyglądali tak, jakby w nich zapędzono na zimowy sen po parce borsuków. Dopiero koło południa troszkę się w nich rozpogadzało. Natomiast widać było, że Mojżesz jest od wczorajszej przygody lekko zapuchnięty.

- Ranny ptaszek z ciebie - rzekł Mojżesz, sięgając po mój kapciuch z tytoniem. - Nawet tu, w koszarach. A ja myślałem, że tylko na festynie, pod sadem, o jutrzni i to przed lustrem potrafisz ptaszkować.

- Ptaszkuje tak z głodu. U nich we wsi wszyscy jednakowi. Za lasem wyczują kapustę z zasmażką. A jak już wyczują, spod siana wyłażą, spod pierzyn i spod baranic i na śpiączki do niej przez pola, przez łąki nieomylnie leżą - dorzucił Stach, siadając na ławeczce.

- Naszym przygadujesz, a u ciebie, Stachu, nos też na dłuższej tycze. Grochówkę wyczułeś, choć wyglądasz, jakby w ciebie tuż-tuż przed weselem ze trzy kopy żółtek kucharki wrzuciły. Na księżowski, na wójtowski sen.

- Co ty chcesz od niego, Piotr? Wojna przecież. Chłopak jak umie, tak się chce maskować. Gdyby mógł, przylazłby na wojnę w małym półku tyczkowego grochu.

- A ty, Mojsze, siedź cicho. Mądryś, bo masz klarnet. Będiesz na nim grywał panom oficerom. I kucharskim chochlom do taktu pitolił.

Mojżesz poczerwieniał. Jego ręce zwinięte w pięści coraz szybciej chodziły mu koło bioder. Czułem, że za chwilę zdzieli Stacha między oczy. Przytrzymałem go za łokcie i przyciągnąłem do siebie. Usiadł na ławce. I prawie równocześnie ze Stachem, schylając się, zabrali się do krępowania owijaczami łydek. Patrzyłem na ich obnażone szyje. Przypomniała mi się szabla leżąca na kuferku. Równocześnie zobaczyłem tę kozacką szablę biegnącą przez las za uciekającą dziewczyną i ścinającą białe brzoźki. Wzdrygnąłem się. I biorąc ich za czupryny, przyciągnąłem do siebie. Stuknąłem ich łbami. Syknęli z bólu. Złączyłem ich dłonie. Na ich rękach położyłem swoje.

- Trzymajmy się razem. Wojna. Trzymajmy się wszyscy.

Akurat zatrąbiono na pobudkę. W koszarach wszczął się ruch. Wstaliśmy z ławki i na wypródki pobiegliśmy do umywalni. Woda przypominała zimowe żelazo. Rozebrani do pasa, zmywaliśmy z siebie płytki na liść brzozy sen. Gdy ubrani siedzieliśmy na żerdzi służącej do wiązania koni, trzymając menażki pełne grochówki, we mnie i w Stachu nie widać było ani pola, ani wody przypominającej ciętą gnypem wiklinę, a w Mojżeszcu drewnianego miasteczka rozrytego do siwego ładu przez wałęsające się po rynku świnie. Byliśmy żołnierzami jedzącymi długo i cierpliwie.

Myliśmy menażki, szorując je z tłuszczu piaskiem. Ponieważ do apelu było jeszcze sporo czasu, Mojżesz próbował nam zagrać na klarncie. Nie szło mu to granie. Wyraźnie przeszkadzała mu opuchnięta warga. Zresztą może tylko tak mi się zdawało. Z dawien dawna widywałem Mojżesza w chałacie, w jarmułce. Teraz, w wojskowym uniformie zapiętym na ostatni guzik, w ciasno ściągniętych owijaczach i tym bardziej uwidaczniających iksowate nogi, przypominał po trosze herodowego żołnierza z jasełek.

My, obydwaj ze Stachem, siedzieliśmy w podeschniętej trawie. Słuchaliśmy kulawego Mojżeszowego grania, myśląc o domu. Za parę dni zaczną się siewy. Kogo też sobie matczysko najmie, żeby obsiać żytem i pszenicą taki szmat pola? Słuchając tego grania i myśląc o tym wszystkim, widziałem od czasu do czasu w koronach poczynających się złocić topoli otaczających koszary ową białą twarz wypływającą z rdzenia osiki. Po pewnym czasie cały plac ćwiczeń, pokryty końskimi kopytami, był w tej twarzy. Również niebo, jeszcze bardziej stratowane kopytami niż o brzasku, zdawało się wrysowane w osikową twarz. Przetarłem dłonią oczy, szturchając w bok siedzącego obok Stacha.

- A ta osikowa twarz zjawia ci się nadal?

- Aż wstyd się przyznać. Ale od tamtej jutrzni nad rzeką widuję ją co noc. Cała strzecha stodoły była w niej. Wkopywałem się w siano, nakrywałem po uszy pierzyną, ale i tak ją widziałem. Jeszcze większą. W sobie. Rozrastała się na wszystko, co zapamiętałem z dzieciństwa. A gdy wyjeżdżałem w pole, żeby zaorać ściernę, szła do mnie od zagajników, jak obraz w procesji. Rzucąłem w nią bryłami i kamieniami, ciąłem ją batem. Znikała wprawdzie, ale tylko po to, żeby natychmiast ukazać się w innym zagajniku.

- Może nam to przejdzie na wojnie? Tam będzie sporo innych rzeczy, do których trzeba będzie strzelać.

- Nie chciałbym, Piotrze, strzelać do żadnej twarzy. Jak już przyjdzie do czego, będę przymykał oczy.

- Jak tam chcesz, Stachu. Ale radzę ci patrzeć. Jak będziesz przymykał oczy, może ci to zostać na zawsze.

Mojżesz, przysłuchując się naszej rozmowie, nagle przestał grać. Widocznie chciał coś wtrącić do naszej rozmowy. Ale równocześnie odezwała się trąbka na apel. Pobiegliśmy na środek placu. Stojąc w dwuszeregu, widzieliśmy, jak z koszar w asyście oficerów, w butach z cholewami, przy szabli, wychodzi szczupły, przypominający ogromnego ptaka, pułkownik.

Zdjęliśmy czapki i zmówiliśmy krótką modlitwę. Mojżesz stojąc obok mnie milczał. Po czym pułkownik, cofając się parę kroków do tyłu, stanął pośrodku czworoboku. Pozdrowił nas i wysokim, załamującym się głosem począł mówić:

- Chłopcy! Dzisiaj o godzinie piątej rano Hitler napadł na Polskę. Równocześnie ze złamaniem granicznych słupów i szlabanów złamano nasz honor. Teraz jest on na waszych bagnietach! Chłopcy...

Na stratowanym niebie tuż nad koronami topoli zjawily się samoloty. Już nie słyszeliśmy pułkownika. Samoloty, obniżając się nad złocące się topole, zaczęły strzelać. Z topoli spadały ścięte kulami gałązki. Z koszar spadała czerwona dachówka. Rozsypaliśmy się po placu. Stojąc w drzwiach i pod okapami budynków, widzieliśmy, jak pułkownik powolutku defiladowym krokiem schodzi z rozrytej końskimi kopytami trawy.

Ogłoszono alarm. Część pułku została w Tarnowie, reszta, zabierając sprzęt, przeciwpancerne działka i dwie polowe kuchnie, wyszła z koszar. Po drodze dowiedzieliśmy się, że idziemy do Moście. Gdy przechodziliśmy most na Białej, usłyszeliśmy kilka detonacji. Wieczorem doniesiono nam, że na tarnowskim dworcu wybuchła bomba zegarowa. Ponoć byli zabici i ranni.

W Mościcach rozmieszczono nas w fabrycznych magazynach, wyrzucając z nich worki z azotniakiem. Mojżesza przydzielono do obsługi przeciwlotniczego działka. Cieszył się jak dziecko. Chodził koło tego działka w za dużych juchtowych butach, w hełmie spadającym mu na oczy, głaskał jego lufę, układał pociski. Ale widocznie nie wystarczało mu to, bo po chwili wyniósł z magazynu klarnet i grając jakąś wojenną pieśń, tańczył koło działka. Żołnierzom pokpiwającym z niego tłumaczył, że to psalmy Dawida. Te wojenne psalmy śpiewano na pustyni, grano na trąbkach koło Jeruzalem.

Tego dnia jeszcze kilka razy na horyzoncie zjawiały się samoloty. Widzieliśmy, jak nad pobliskim Dunajcem dopadły maleńki dwupłatowy samolocik. Kilku z nas po żelaznych klamrach wlało na fabryczny komin. Widzieliśmy, jak pilot przerzuca samolocik ze skrzydła na skrzydło i próbuje uciec między drzewami. Ale samoloty dopadły go nad wodą. Raniony śmiertelnie samolocik zarył się w rzekę. Po chwili z kabiny wyskoczył pilot. Obok niego, cięte z karabinów maszynowych, fruwało zielone sukno rzeki. Ale pilotowi udało się dopłynąć do brzegu i zaszyć w wiklinie. Po godzinie mieliśmy go wśród siebie. Leciał z meldunkiem do Rzeszowa. O wojnie wiedział tyle co i my.

Patrząc na ten spadający do rzeki samolocik i mając go ciągle przed oczami, wydawało mi się, że jest to wiatrak ze złotych wzgórz, że na tym wiatraku jechał Jasiek. I nie mogłem się pozbyć tego mniemania, gdy ten pilot, przypominający większą lalkę zaszytą w czarną skórę, był już wśród nas, popijając rum.

Tego dnia już nic ciekawego się nie zdarzyło. Ludności rozdaliśmy kilkaset "gazmasek", dopilnowaliśmy, żeby na każdym dachu była skrzynia z piaskiem, i na wyniesionych z magazynów kocach graliśmy w oczko i

zechcyka. Obok nas obdzierano ze skóry kupioną w sąsiedniej wsi, zastrzeloną r pistoletu i zawieszoną u gałęzi wiązu krowę. Jej spieczony jęzor sięgał po zeschniętą trawę. Po śmierci, ale się jeszcze pasła na tym również pośmiertnym trawniku.

W nocy długo nie mogliśmy zasnąć. Przewracaliśmy się z boku na bok. Zwłaszcza Mojżesz nijak nie mógł się dochrapać snu. Nie dziwiłem mu się zresztą. Żołnierze, a i cywile, spotykając go, ciągnęli go do fryzjera, żeby ściał kręconą czuprynę i rozwiewające się na wietrze pejsy. Powiadali, że Niemcy wziętych do niewoli Żydów natychmiast, bez sądu, rozstrzelują. Zaproponowałem, że zgołę mu pejsy brzytwą. Nie zgodził się. Również Stach nie mógł zasnąć. Trzepał rękami na lewo i na prawo. Dostało się i mnie, i Mojżeszowi. Gdyśmy go pięściami szturchali w bok, powiadał, że już zasypiał, że śniły mu się konie w weselnym zaprzęgu. Ale w końcu i Stach, i Mojżesz jakoś się ułożyli i pochrapując weszli w sen.

Leżałem na wznak. Dach magazynu kryty papą tu i ówdzie prześwitywał. Z tych szczelin prószło szare jak piasek światło. Patrząc w ten prószący piasek, co chwilę wchodziłem w płyciutką drzemkę. Wtedy wydawało mi się, że śpię w stodole, zagrzebany po uszy w sianie, przywalony pierzyną I widziałem Hele przerzucającą z piersi na plecy rozpleciony do połowy warkocz. Szła do mnie po sianie. Nachylała się nade mną. Całowała mnie w usta. Próbowwała się położyć przy mnie. Ale wtedy ktoś niewidoczny ujmował ją za warkocz i odciągał ode mnie.

Po niej natychmiast zjawiała się Marysia. Jak zawsze, z drobniutką gałązką w zębach. Sięgałem po tę gałązkę. Ale gdy jej dotykałem palcami, na gałązce, poczawszy od pączka, coraz szybciej rosnęło jabłko. Zrywałem to czerwone jabłko, kładłem na ziemi i sięgając po szablę, rozcinałem je. I dzieliłem to rozcięte jabłko między siebie, obydwie dziewczyny, Stacha i Mojżesza. Ale nie mogłem tym rozciętym na krzyż jabłkiem poczęstować wszystkich. Zawsze jednej ćwiartki brakowało dla kogoś.

Prawie żaden z nas nie dospał do pobudki. Gdy wyszedłem z magazynu, żeby się umyć przy pobliskiej studni, większość żołnierzy była już ubrana. Nie było wśród nich Mojżesza. Stach, który również zbudził się wcześniej ode mnie, powiadał, że skoro brzask Mojżesz, zabierając klarnet, poszedł do działka. Siedzieliśmy ze Stachem przed magazynem, pogryzając cięty na kawałki chleb i wodę. Do apelu i do śniadania było jeszcze sporo czasu.

Nagle, jak wczoraj w Tarnowie, tuż nad fabrycznymi kominami zjawily się samoloty. Odezwały się działka. Z okolicznych domów posypały się szyby. Pobiegliśmy ze Stachem w stronę najbliższego działka. Samoloty zawracały znad Dunajca. Widzieliśmy, jak Mojżesz, zdejmując za duży hełm z głowy, celuje w nadlatujący samolot. I równocześnie usłyszeliśmy, jak żołnierze wrzeszczą:

- Trafił! Trafił!

Samolot lecący tuż nad kominami dymił. Niemal obijając się o fabryczne dachy, spadał na ziemię. Zniknął nam z oczu. Po chwili usłyszeliśmy detonację

i zobaczyliśmy między fabrycznymi dachami słup wznoszącego się ognia. Pobiegliśmy tam. Reszta samolotów, zawracając, uciekała dunajecką doliną. Tuż nad fabrycznymi zabudowaniami, na rozkopanym kartoflisku, płonął wybuchając co chwila samolot. Obok nas stało już sporo żołnierzy. Czekaliśmy, kiedy pociski przestaną pękać w ogniu. Gdy ogień dogasał, podeszliśmy do samolotu. Ktoś zajrzał do tłęcej się kabiny.

- Tam jest baba. Mówię wam, baba. Dziurawa jej mać. No, to nie jest tak źle, jeśli baby nasyłają na nas. Pobawimy się z nimi.

Saperzy, zasypując piaskiem żarzące się aluminium, wywlekli z kabiny tłęce się zwłoki. Złożyli to na ziemi. Gdy któryś dotknął tego ręką, odpadł zwęglony warkocz. Na starannie pielęgnowanych paznokciach tlił się lakier. Spod skórzanej kurtki, również strawionej przez ogień, wychylała się dziewczęca pierś. Ktoś zaklął szpetnie. Ktoś splunął. Obok siebie zobaczyłem Mojżesza. W ręku trzymał klarnet.

- Chciałem zatańczyć z radości. Chciałem zatańczyć, Piotrze. Tak tańczyli nasi na pustyni, gdy się im udało z łuku ustrzelić przepiórkę, sokoła, orła. A tu akurat musiałem trafić w tę dziwkę.

[Spis treści](#)



10

Od kilku dni szliśmy na wschód. Dzień i noc szliśmy na wschód. Piechota, artyleria, treny wozów obładowanych amunicją i żywnością. Konie ciągnąc wozy spały przy dyszlach. Myśmy też spali, maszerując w kolumnie. Całe bataliony śpiących żołnierzy. Nie budziło nas ani ujadanie psów, ani bicie dzwonów na trwogę, ani tu i ówdzie wybuchające pożary. Zdarzyło się parę razy, że budziliśmy się dopiero wtedy, gdy czoło kolumny wchodziło w drzemce do rzeki czy też zbaczając przez sen z drogi, utykało w lesie.

W pierwszych dniach próbowaliśmy jeszcze śpiewać. Szedłem wtedy razem z Mojżeszem na czele kompanii. On grał na klarnecie, a ja śpiewałem wysokim, jak hartowane w białej glinie żelazo, głosem. Ale po dwóch dniach byliśmy już zmęczeni i zachrypnięci. Mojżesz, grając na klarnecie w półdrzemce, mylił wojskowe marsze z weselnymi przyśpiewkami, a weselne przyśpiewki z wojennymi psalmami króla Dawida. Ja też coraz częściej zamiast legionowych piosenek wyśpiewywałem w drzemce swoją ulubioną pastorałkę czy też wielkopostną pieśń wkładaną w usta przebitego włócznią Chrystusa.

Zresztą po paru dniach za widoku maszerowaliśmy tylko po parę kilometrów. Coraz częściej atakowały nas samoloty. Zaszywaliśmy się w lasy i maskując się, czekaliśmy do nocy. Dopiero wtedy, pod wygwieżdżonym niebem, omiecionym z sierpniowych dymnych burz, robiliśmy po kilkanaście, a często po kilkadziesiąt kilometrów.

We dnie natomiast, siedząc w lesie, obserwowaliśmy, jak wszystkimi drogami, polnymi ścieżkami, szczerym polem, ciągną cywile. W autach, na rowerach, furmankami, pieszo. Tuż przed nimi uciekały leśne i polne zwierzęta. Przed zmierzchem ogromnymi stadami przesuwało się po niebie razem z wieczorną zorzą rozmaite ptactwo. Wtedy to, pierwszy raz w życiu zdarzyło mi się widzieć, jak nad jakąś rzeczulką o zburzonym moście, na piaszczystym brzegu, oczekiwał wymacania brodu tłum ludzi. Za tym ludzkim obozowiskiem, pichącym nad ogniskiem w kociołkach, emaliowanych garnkach i puszkach po konserwach różną strawę, przeprowały się przez rzekę zwierzęta. Jelenie i sarny, dziki i zające. Coś podobnego widziałem tylko w czasie powodzi. Wtedy do lasu stojącego na piaszczystym pagórku uciekały nawet szczury i myszy. Wychodziły z ziemi, ze stodół, ze stajni i łącząc się w ogromne stada, uciekały truchcikiem w stronę lasu. Pamiętam oślepienie słońcem krety. Wychodziły z ziemi, biegły kilkanaście kroków i znów wchodziły w ziemię. Ich dalszą ucieczkę widać było po chodzącym nad ziemią zbożu, po unoszeniu się żelazistej rędziny.

Zresztą od uciekających cywilów dowiedzieliśmy się, gdzie są Niemcy. Opowiadali potworne rzeczy. Widząc uciekające przed nimi zwierzęta i przesuujące się razem z zorzą ptactwo, byliśmy skłonni im wierzyć. Poza tym, przypominając sobie opowieści ojca z ostatniej wojny, nie mogłem trafić w nich na coś podobnego. Wówczas bitwę zaczynało dopiero wtedy, gdy ludność cywilna wyniosła się w bezpieczne miejsce.

Od kilku dni nie myliśmy się i nie golili. Wprawdzie miano nas ostrzyć do gołej pały jeszcze w Tarnowie, ale widocznie już wtedy nie było na to czasu. Do tego jeszcze prawie wszyscy pozostawiali brzytwy w kuferkach oddanych do magazynów. Pierwszy raz, już w Rzeszowskim, kąpaliśmy się pod jakimś małym miasteczkiem. Zdażyliśmy tam przed południem. A ponieważ na niebie od rana nie zjawiał się ani jeden samolot, pozwolono nam wejść do rzeki.

Setki gołych żołnierzy stojąc po pas w wodzie szorowało się nawzajem szarym mydłem i piaskiem. Inni, już wyszorowani, szukali głębin pod urwistym brzegiem i wychodząc nań, skakali do rzeki. Na suche, jakby zdjęte prosto z igły niebo wyskakiwały zielone gałęzie wody. Pławiono też nie szczotkowane i nie zgrzeblone od kilku dni konie.

W trójkę z Mojżeszem i ze Stachem, kąpaliśmy się pod schodzącą niemal do rzeki wikliną. Mydląc wąskie, podobne do dwóch przydymionych desek plecy Mojżesza, zauważyłem pod łopatką znamię przypominające żuka. Zaciekał mnie ten żuk. Widziałem już na ludzkim ciele rozliczne znaki, począwszy od tarniny poprzez wiśnie aż do myszy i diabelskiej ręki, ale żuka jeszcze nie dostrzegłem u nikogo. Spytałem Mojżesza, skąd u niego to znamię. Śmiejąc się powiadał, że ponoć pierwszy raz miało się to przytrafić pra-pra-pra-prababce jeszcze za tego pierwszego Mojżesza. Jakoż gdy ich Mojżesz wyprowadzał do Ziemi Obiecanej, pra-pra-pra-prababka, upadając ze zmęczenia, zasnęła na pustyni. Śpiącą znaleźli żołnierze faraona, skorzystali z okazji. Od tej pory w rodzinie z tym znamieniem rodzi się przynajmniej jedno

dziecko. Dawniej był to skarabeusz. Tu, w Słowiańszczyźnie, przemienił się w zwykłego fioletowego żuka. To ten egipsko-słowiański żuk dostał się jemu w spadku.

Wymyć, pachnący szarym mydłem, biegaliśmy w popołudniowym słońcu aż do wyschnięcia, czekając na warzący się w kotłach obiad. Wprawdzie od paru dni niemal głodowaliśmy, gdyż wyczerpały się nam nie tylko konserwy, ale również ryż, groch i kasza, aliści teraz pod drzewami obdzierano ze skóry kilkuletniego buhaja i rąbano na gulasz.

Ubrani, ale rozpięci do ostatniego guzika, siedzieliśmy w wypalanej trawie, czyszcząc z piasku broń. Bielejące przed nami miasteczko, kryte w większości papą i czerwoną dachówką, wspinające się na drobne, siodłate wzgórza, przypominało po trosze gotowego w każdej chwili zerwać się do lotu ptaka. Stamtąd przychodzili ludzie, przynosząc wprost w skopcach, dzbankach i wiadrach co tylko udojone mleko. Wygłodniali żołnierze, nie mogąc się doczekać pichconego gulaszu, lasowali po okolicznych polach i sadach. Znosili do roznieconych ognisk karpiele i rzepę, buraki cukrowe i pastewne i jeszcze miękkie kolby kukurydzy. Obierali to wszystko bagnietami, piekli na patykach i krztusząc się pożerali. Po godzinie okoliczne pola wyglądały, jakby przez nie przeszło stado dzików. Jeszcze gorzej było z wodą. Wprawdzie w pobliskiej rzece wody nie brakowało, ale czuć ją było naftą, żelazem i śniętą na upale rybą. Zaś woda w kilku studniach, jakie były w miasteczku, była wyczerpana do szlamu. Ratowały nas trochę jabłka i pełne fioletu damaszki. Ale wkrótce okoliczne sady był objedzone do dziobatego jabłka.

Siedząc w trójkę nad ogniskiem, wpychaliśmy patykami wysypujące się z żaru ziemniaki. Gdy ziemniaki doszły do siebie, pękając w rękach jak mączne kule, podzieliliśmy na trzy części ostatnią konserwę i zapiekaliśmy je razem z mięsem. Wtedy Stach, biorąc wszystkie trzy menażki, wybrał się do miasteczka po mleko. Zamiast mleka przyniósł spirytus. Jakoż żołnierze dobrali się w gorzelni do metalowych kadzi i rozdzielali wszystkim, kto się nawinał pod rękę, po chochli alkoholu. Upiliśmy po łyku, zlewając spirytus do manierek.

Po tym spirytusie i po ziemniakach zapiekanych z konserwą jeszcze bardziej chciało się nam pić. Konserwa była bowiem zbyt słona. Nie pomogły nawet ostatnie jabłka wyjęte z chlebaków i dzielone szablą na trzy części.

Ponieważ zapowiedzianego obiadu nadal nie było widać, rozwinęliśmy z rulonów koce i rozścielając je pod wikliną, próbowaliśmy zasnąć w przesiewającym się z upału słońcu. Jak odcięci od pępownicy, zachłystując się snem, zapadliśmy w drzemkę z białego kamienia. Pamiętam, że śniła mi się Marysia uciekająca przez białą koniczynę. Nad nią coraz niżej jechał na wiatraku kozak biegnący przez las z obnażoną szablą. Stałem na skraju koniczyny. Próbowiałem strącić, a przynajmniej ogłuszyć nadlatującego kozaka, rzucając w skrzydlaty wiatrak zeschniętymi bryłami. Ale on już jej dopadł, już się wychylał z wiatraka, łapiąc ją za skaczący po plecach warkocz.

Wtedy zaczęła się ta strzelanina. Gdyśmy się zerwali z drzemki pod wikliną, parę domów w miasteczku płonęło. Żołnierze biegli do kozłów z bronią, zbiegali w stronę rzeki, układali się na ziemi i strzelali w pobliski las. Jakoż właśnie stamtąd dochodziło terkotanie karabinów maszynowych. Chwytając leżące obok nas karabiny, biegliśmy w trójkę wzdłuż rzeki. Tuż nad rzeką, w olszynowym zagajniku, spostrzegliśmy pomalowany na ochronny kolor motocykl. A obok niego trzech Szwabów. Ustawiali na przyczepie karabin maszynowy. Pociągnąłem Mojżesza i Stacha za sobą. Na bałyku zbiegliśmy do wody. Klucząc pod wikliną, staraliśmy się zejść motocyklistów od tyłu.

A oni już strzelali. Gdyśmy byli za nimi, widzieliśmy, jak spod hełmów spadających im na oczy, spływają im po karkach strużki potu. Mieliśmy do nich parę kroków. Na upartego można było policzyć wszystkie gwoździe w ich saperkach. Widzieliśmy również, jak nasi, padając i podnosząc się, skaczą z urwistego brzegu wprost do rzeki. Ale kilku z nich już się nie podniosło. Wtedy dopiero spostrzegłem, że oprócz karabina przerzuconego przez rękę trzymam w prawicy szablę. Kiwnąłem na chłopaków, żeby leżąc pod wikliną osłaniali mnie, a sam, pełzając na łokciach, cal po calu zbliżałem się do motocyklistów. Gdy byłem od nich na sięgnięcie szablą, usiadłem na piętach i unosząc szablę nad głowę, ciąłem po rękach prowadzącego ogień. Wrzasnął. Pozostali dwaj, widząc mnie z obnażoną szablą gotową do cięcia, próbowali podnieść się i nawiać. Ale gdy się zamachnąłem szablą, pozostali w trawie z rękami uniesionymi nad głową.

Z wikliny wyskoczyli Mojżesz i Stach. Biegli wrzeszcząc głośniejsz od zranionego Szwaba. Widocznie zauważono ich z lasu, bo kulki ciężkie liście i gałązki tuż nad naszymi głowami. Krzyknąłem jeszcze: - Padnij! - i wtulając głowę w trawę, leżałem między Niemcami. Unosząc ociupinkę głowę, zobaczyłem, jak z pobliskiego lasu wyjeżdża kilka tankietek. Trzy z nich kierowały się w stronę rzeki, pozostałe szły na miasteczko. Poczulem, jak we mnie coraz szybciej biegnie kret, a tuż po nim osypuje się glina i piasek. Leżąca obok mnie szabla zapachniała rozkopaną rędziną. Przyczajeni w trawie Niemcy, widząc szarżujące czołgi, próbowali powstać. Podnosząc z trawy szablę, płazowałem ich po gołych łbach. Zasłaniając się rękami, opadali z powrotem w trawę.

Nagle zza rzeki i z miasteczka poczęła bić nasza artyleria. Widziałem, jak tuż koło czołgów, rozrywając ziemię, wybuchają pociski. Gdy jedna z tankietek, kręcąc się w miejscu, zaczęła dymić, a po chwili stanęła w ogniu, przypomniałem sobie te małe przeciwpancerne działka przenoszone na rękach przez potoki i podmokłe łąki. Nabijaliśmy się zresztą z tych działek, pytając obsługę, czy przypadkiem nie wybrali się na strącanie laskowych orzechów. Ale gdy na łące płonęły trzy trafione czołgi, nie wytrzymałem i krzyknąłem: - Hurra! - Krzyczano również zza rzeki, z pobliskiego miasteczka, strzelając z karabinów. Gdy jeszcze dwa dalsze czołgi dymiły, a z nich wyskakiwali ubrani na czarno czołgiści, pozostałe zawróciły, kierując się w

stronę lasu. Jednak do lasu było jeszcze sporo drogi. Zanim weszły między drzewa, cztery pozostały, płonąc na łące.

Strzelanina trwała nadal. Widziałem, jak skrajem lasu, schylona niemal do ziemi, biegnie niemiecka piechota. Nasi spostrzegli ten manewr. Właśnie w tę biegnącą skrajem lasu piechotę wstrzeliwały się już nasze karabiny maszynowe. Jednak sporej grupce Niemców udało się wdrzeć do miasteczka. Prawie natychmiast, jak szablą uciął, ustała karabinowa palba. Od czasu do czasu słychać było daleki wrzask, brzęk przewracanych wiader i przeciągłe:

- O, Jezu. Mein Gott.

Nie wiem jak to długo trwało. Może kwadrans, może trochę krócej. W każdym razie, leżąc w trawie między dwoma Szwabami i mając tego trzeciego pojękującego przy motocyklu, zobaczyłem nagle, jak z miasteczka wychodzą nasi z bagnetami na karabinach. Wtedy nasza artyleria zaczęła przeczesywać las. Nie odpowiedziano jej z lasu. Słychać było zapuszczenie motorów i coraz cichsze ich warczenie.

Nasi weszli na łąkę. Biegli do rozwalonych tankietek, krzyczeli, wymachując karabinami. Chciałem biec do nich. Ale wtedy z twarzą jak gaszone wapno podszedł do mnie Mojżesz.

- Piotr, Piotr - zdołał powiedzieć i pociągnął mnie za rękaw.

Pod wikliną zwinięty w kłębek, z nogami podciągniętymi niemal pod brodę, leżał Stach. Obok niego karabin i rogatywka. Uklęknąłem i odgarniając mu spadające na czoło włosy, przewróciłem go ostrożnie na wznak. Oczy miał zamknięte. Rozpiąłem mu bluzkę. Rozerwałem kołnierzyk koszuli. Wtedy dopiero zaczęła się sączyć krew. Dostał całą serię z karabinu maszynowego. Klatka piersiowa poniżej obojczyków była niemal przecięta. Przypomniałem sobie o spirytusie zlanym do manierki. Przemyłem mu ranę. Mojżesz podał mi bandaż. Okręciłem nim Stacha. Leciał przez ręce. Oczy nadal miał zamknięte. Dopiero gdy przemyłem mu spirytusem twarz i zwilżyłem wargi, zaczął coś bełkotać i otworzył oczy.

- Mamo, mamó, gdzie ja jestem? Piotr, Mojsze, skądście się tu wzięli? Nie chcę tańczyć. Nie mogę. Nie chcę tego festynu. Nie chcę. Nie chcę. Wszystko mnie boli.

Ucisząc, położyliśmy go w wiklinowym cieniu. Mojżesz pobiegł do sanitariusza. Zanim wrócił z nim, Stach już przyszedł do siebie. Zdawał sobie sprawę, że jest ranny. Poprosił, żeby go posadzić. Patrzył, jak spod bandaża po medaliku, po wojskowej blaszce kropla po kropli cieknie krew. Odwróciłem mu głowę. Ale on chciał wszystko widzieć. Prosił o wodę. Zwilżyłem mu wargi maczanym w spirytusie bandażem.

Gdy Mojżesz zjawił się z sanitariuszem, który przewinął Stacha, przypomniałem sobie zranionego Niemca. Podeszliśmy do nich. Jego kompani już go opatrzyli. Lewą rękę miał tylko draśniętą, natomiast prawa była nad-cięta do połowy kości. Mojżesz z sanitariuszem wzięli Stacha na nosze. Ja miałem odprowadzić Niemców do obozu.

Gdy wróciłem, Stach leżał nad rzeką w cieniu wierzb. Młoda kobieta z kilkuletnim chłopcem próbowała go karmić. Chłopiec siedział na ziemi z podwiniętymi pod siebie nogami, trzymając na kolanach miskę z tłuczonymi i kraszonymi słoniną ziemniakami. Kobieta, nabierając po odrobinie ziemniaków drewnianą łyżką, sięgała do garnuszka z kwaśnym mlekiem i jak niemowlę karmiła Stacha. Krew nadal kropla po kropli spływała ze szkaplerzyka i z wojskowej blaszki. Chłopiec miał głowę odwróconą. W jego przymrużonych oczach odbijało się parę listków wierzbowych. Płakał. Zjawił się Mojżesz z ręcznikiem zamoczonym w rzece. Podtrzymując ramieniem głowę Stacha, przemył mu twarz.

Było już mocno po południu i cała dywizja szykowała się do odmarszu, obawiając się ponownego ataku Niemców, gdy Stach przyciągnął mnie do siebie. Nachyliłem się do jego ust.

- Wiesz, Hela. Podobała mi się. Chciałem ci ją odbić. Zabiłbym cię za nią. Otarłem mu twarz z potu i odgarnąłem spadające na czoło włosy. Stach szeptał:

- Nie do osiki, Piotrze. Do ciebie strzelałem wtedy. I łapę chciałem ci złamać, i dzielić cię między ślepią. A później wypłynęła z osiki ta biała twarz. Kto ją tam ukrył? Kto sobie zostawił? I teraz ją widzę. Wszystko jest w tej twarzy. Piotr, Piotr, zabij ją. Strzelaj, Piotr.

Chłopiec, zrywając się z ziemi i rozsypując ziemniaki, uciekł do miasteczka. Kobieta z twarzą uniesioną do nieba, skubiąc palcami coraz szybciej czarny warkocz, mówiła "Wieczne odpoczywanie". Ostrożnie, żeby nie urazić jego, Mojżesza, tej modlącej się kobiety i siebie, i jeszcze tej twarzy utajonej w rdzeniu każdego drzewa, ułożyłem Stacha na trawie pod wierzbą. Podszedł Mojżesz, klękając na obydwie kolana. Z wewnętrznej kieszeni wojskowej bluzki wyjął książeczkę wojskową i z koszuli odpiął blaszkę. Sięgnął ręką po szkaplerz. Ale po chwili ją cofnął. Spojrzałem na kobietę. Nachyliła się i całując Stacha w rozwarte źrenice, zdjęła mu z szyi medalik. Schowałem wszystko do kieszeni.

Ponieważ artyleria, popychana przez żołnierzy i niemal niesiona na rękach, tudzież wozy z amunicją przeprowadziły się już przez wytyczony w rzece bród, zanieśliśmy Stacha na pobliski cmentarz. Wypożyczonymi w miasteczku sztychówkami kopaliśmy spieczoną na kamień ziemię. Pomagała nam kobieta. Spiesziliśmy się. Byliśmy przepoceni do nitki. Gdyśmy się dokopali do siwego piasku i z dołu prawie nas nie było widać, zwinęliśmy Stacha w koc i ostrożnie opuściliśmy w tę żywą ranę ziemi. Przysypywaliśmy go w pośpiechu. Chłopiec przybiegał co chwilę z rzeki, powiadając, że przez bród już dawno przeprowadził się ostatni wóz i ostatni żołnierz. Faktycznie, gdy spojrzeliśmy na wzgórza czerniące się za rzeką, stały nad nim wyrzynające się z nieba gwiazdy.

Pod tym niebem nie było słycać ani skrzypienia wozu, ani końskiego rżenia, ani żołnierskich przekleństw. Nałożyliśmy rogatywki. Stanęliśmy na baczność, po czym unosząc od nóg karabiny, strzeliliśmy trzykrotnie w

powietrze. Z pobliskiego jałowca zerwało się z piskiem niemal ziarenko soczewicy - mysikrólik. I wciskając w ręce kobiety wszystkie pieniądze, jakie nam jeszcze zostały, żeby się modliła za Stacha i opiekowała jego grobem, odeszliśmy nad rzekę. Obok nas, w portkach sięgających do połowy łydki biegł chłopak. Gdy wchodziliśmy w nurt rzeki, stał na brzegu, oświetlając nam baterijką płyciutki bród.

Spis treści



11

Kierując się ciągle na wschód, szliśmy całą noc. Wokół nas jak okiem sięgnąć płonął widnokres przypominający ogromną słomianą strzechę. Szliśmy we dwójkę ramię przy ramieniu, chlebak obok chlebaka, bagnet obok bagnetu. Nie mówiąc o tym, czuliśmy, że jeśli odsuniemy się od siebie choćby na płaską dłoń, między nas wejdzie i będzie z nami maszerował on, Stach. Zresztą, chociaż szliśmy tak blizutko siebie, on i tak szedł razem z nami. Nawet zdarzyło się, że siadając w kucki przy drodze na papierosa i podając sobie kapciuch z tytoniem, częstowaliśmy jeszcze kogoś trzeciego. To samo było z dzieleniem jabłka na trzy części, zerwanej rzepy, z piciem spirytusu z manierki.

Wtedy też, w czasie tego marszu, ubrdałem sobie, że to moja wina. Ponieważ pierwszy chciałem zdzielić między oczy tego chłopaka zza wody, naumyślnie nie położyłem go na rękę i śmiałem się, kiedy mocując się ze mną podrygiwał nogami i trząśł sztywnym karkiem, i nie mógł z wysiłku utrzymać języka za zębami. I zgodziłem się na strzelanie do osiki, czekając, kiedy jego kula wybiję drugie oko białej twarzy wypływającej z osikowego rdzenia. A jak już wypłynęło drugie oko, pomyślałem sobie, że to jego twarz, gdyż to on chciał do tego drzewa strzelać.

I jeszcze niepotrzebnie pomyślałem wówczas o Jaśku. I w tym chłopaku zza wody zobaczyłem Jaśka. I polubiłem go nagle. I nawet wracając znad rzeki, sięgnąłem za stanik Marysi, chcąc odzwyczaić dłonie od tych dwóch żywych stworzeń w staniku Heli. I już nie miałbym nic przeciw temu, żeby Stach zachodził do Heli, łąził z nią na festyny i tańczył, i sypiąc grosz do basów, śpiewał dla niej. A gdyby nadarzyła się sposobna okazja, powiedziałbym mu o tych jabłkach rzuconych na rozlewisko i o naszej wieczornej kąpieli, i o spaniu na strzesze. A powiedziałbym mu to tak, jak się mówi młodszemu bratu, że mu się zjadło przeznaczone dla niego kurze skrzydełko. Dopiero wtedy, gdyby tego nie zrozumiał, złożyłbym się z nim na rękę i złamał jego siłę, i wyprał po pysku.

Teraz szedłem razem z nim. Częściej od Mojżesza częstowałem go machorką, łykiem spirytusu i kawałkiem jabłka, i wtulając się niemal w

Mojżesza, żeby do Stacha nie wyciągać nadaremnie ręki, bałem się o tego klarncistę. Z nim też bowiem, podobnie jak z Jaśkiem, jak ze Stachem, coraz częściej dzieliłem się wszystkim. A przypominając sobie Marysię i to wszystko, co on powiedział o niej, zdzieliłbym go na pewno pięścią w łeb, gdyby próbował jej wyjąć gałązkę z ust i pocałować. Ale nie wiem, czy pewnego dnia, żeby się o nim i o sobie dowiedzieć, aż do granic snu, nie nachyliłbym Marysi i Mojżeszowi gałązki z wiśniami, żeby nie sięgając ręką, obgryzali je wprost zębami.

I zacząłem rozmawiać z Mojżeszem o Heli i o Marysi. Początkowo nie odpowiadał, przypatrując mi się z ukosa. A gdy mu przypomniałem lustro w koronie jabłonki i moje tańcowanie przed nim, zaczął mi odpowiadać. I maszerując niemal z zamkniętymi oczami, widzieliśmy przed sobą moją wieś zakutą w sen, w słomę. I tę stodołę uchyloną zawsze dla jego rodzinnej muzyki. I starego Abrahama Judkę śpiącego ze skrzypcami w ramionach, i jego brata beniaminka z ustami przytulonymi do wielkiej szyi basów. I Hele, i Marysię widzieliśmy. Rozczesywały włosy i zaplatając je w warkocze, zdmuchiwały naftowe lampy i po omacku wchodziły do stodół, zagrzebując się w co tylko zwieziony z łąk potraw.

Akurat przechodziliśmy obok skoszonej łąki. Przystanęliśmy. Spojrzałem na Mojżesza. Cała jego twarz była we śnie. Objęliśmy się w pół i schodząc z drogi, weszliśmy w łąkę. Wybraliśmy sporych rozmiarów kopkę siedzącą z dala od traktu. Wysmykując z niej potraw, dogrzebaliśmy się do jej gorącego wnętrza. Pachniało świeżo upieczonym chlebem, rozgrzanym na upale zwierzęciem i nieustannie naszeptującym snem. Do siennej jamy wciągnęliśmy cały nasz dobytek. Tylko w żaden sposób, bo ostra, nie mogła się zmieścić szabla i klarinet, bo zbyt kruchy. Przeto próbowaliśmy zasnąć bez nich.

Ale świeży i wyschnięty na tabakę potraw spadał nam na oczy i sypał się za kołnierz. Pierwszy nie wytrzymał Mojżesz i wygramolił się z jamy. Wyszedłem za nim. Skręciliśmy papierosa. Milczeliśmy ćmiąc tytoń i osłaniając ogieńki garściami. Przed nami widoczna w jasnej nocy jak kosteczki parodniowego ptaka czaiła się wieś. Wspomnieliśmy o tej wsi i o noclegu w niej. Ale przypomniawszy sobie popołudniową bitwę, zostaliśmy przy kopce. Mojżesz sięgnął po leżący obok klarinet. Oglądał go ze wszystkich stron, wydmuchując z jego rozlicznych otworów pył, piasek i siano.

- Jemu też się chce spać, Piotrze. Poczerniał na amen z niewyspania w tym nieustannym marszu. Ale ci zagram. Chcesz?

- Zagraj Stachowi.

I znowu nie wiedziałem, co Mojżesz gra. Przypominało owo granie psalmy śpiewane po pożodze, po gradzie, po śmierci. Ale oprócz smutku szedł jeszcze w tej melodii, szedł cierpliwie i długo, wielki lud. I prorok mówił do tego ludu, i modlił się, i śpiewał. Szturchnąłem Mojżesza w bok.

- Zagraj coś weselszego. Naszego.

Przyłączyłem się do granej przyśpiewki wymyślonej przeze mnie o

kawalerce z za wody. I śpiewałem jeszcze te wszystkie piosenki, do których schodziły się dziewczęta i młode mężatki, gdy w niedzielę z rękami podłożonymi pod głowę leżałem nad rzeką. I pastorałkę śpiewałem, i wielkopostną pieśń, wkładaną w usta napojone octem i żółcią.

I już mi się nie chciało spać. Zresztą obydwaj wybiliśmy się ze snu. Przeto zabierając pinkle, ruszyliśmy znowu za dywizją. Staraliśmy się omijać wsie, obchodząc je zagajnikami i laskami. Wchodząc w laski, przyspieszaliśmy kroku. Zmęczonych, z obolałymi nogami, zastał nas świt tuż przy dosyć sporej rzeczce. Idąc jej brzegiem, odszukaliśmy zgubiony trakt. Niestety, mostek na rzeczce był wysadzony w powietrze. Droga, zasypana po kostki pyłem i kurzem, była zryta końskimi kopytami i kołami wozów. Po tych śladach widzieliśmy, że tędy szli nasi. I Niemcy ich jeszcze nie tropili. Nie zauważyliśmy śladu czołgu czy też samochodu.

Zdejmując buty, moczyliśmy w zimnej piekącej jak żelazo wodzie odparzone nogi. Po czym zdejmując koszule, chlapiąc się w wodzie, prychnąc i popiskując jak podrostki, obmyliśmy się do pasa. Odświeżeni, na nowo obuci, z łydkami skrępowanymi owijaczami, już z dala od siebie, gdyż świt wszedł między nas, maszerowaliśmy za dywizją. Mniej więcej co pół godziny wchodziliśmy w słomiane wsie. Razem z nami wchodziło najpierw w sady, później w zagajniki wokół wsi, wznoszące się coraz wyżej słońce. Nikt nam w tych wsiach nie wychodził naprzeciw. Były zamknięte na skobel. Z żadnego komina nie unosił się nawet kłaczek dymu. Jedynie od czasu do czasu wyskakiwał wyrwany z drzemki pies, ale widząc nas z karabinami, podkulał pod siebie ogon i zaszywał się z powrotem w siano. Dopiero w trzeciej wsi wyjrzała ku nam kobieta.

Weszliśmy do jej domu stojącego na pagórku. Za domem, schodząc ze wzgórza na wzgórze, ciągnął się las. W domu było niemal pusto i ciasno. Jedyne okno z trzema szybkami było zasłonięte szalówką. Gdzieś koło uchylonego i pachnącego wystygłym popiołem pieca płakało dziecko. Kobieta, podając nam w blaszanych garnuszkach mleko, opowiadała coś o mężu, o płaczącym dziecku. Początkowo nie mogliśmy się rozeznać, o co jej chodzi. Mówiła bowiem inną gwarą od naszej, z domieszką stów ruskich. W końcu domyśliliśmy się, że jej chłopca zabrali nasi. Ponieważ jeszcze wczoraj kręcili się w okolicy Niemcy, miał ich przeprowadzić przez las. Dziecku natomiast coś się stało, gdy zeskoczyło z ławki.

Kazałem ściągnąć z okienka szalówkę. Podszedłem do kołyski stojącej koło pieca. Wyjąłem z niej prawie gołe, może półtoraroczne dziecko. Obejrzałem je dokładnie. Miało najwyraźniej przepuklinę. Poprosiłem kobietę o odrobinę masła. Masując palcami podbrzusze, powolutku usuwałem przepuklinę. Gdy jelito było na swoim miejscu, podwiązałem chłopca ręcznikiem. Dziecko prawie natychmiast zasnęło na moich rękach. Podałem je matce. Rozpłakała się z radości. Nie wiedziała, jak mi dziękować. Poprosiłem, żeby od czasu do czasu pomodliła się za naszego zabitego towarzysza. Wychodząc z tego prawie kurnego domu, poradziłem kobiecie, żeby

natychmiast kiedy zjawia się w okolicy Niemcy, zaniósł dziecko do ich lekarza. Sfotografują, napiszą, jacy to oni święci, ale dziecko będzie żyć. Gdyśmy wyszli z domu, kierując się w las, w który wczoraj miała wejść nasza dywizja, Mojżesz nie wytrzymał i rzekł:

- Jak tak dalej pójdzie, cała Rzeszowszczyzna będzie się modlić za Staszka. - A co, zazdrość ci?

- Głupiś. Ale jakoś nie widziałem, żebyś sam zgrzeszył zdrowaśką. Nie wiedziałem, jak mu to wytłumaczyć. Nie chciałem bowiem wspominać o twarzy wypływającej z osiki. I o tym mocowaniu się nad rzeką. Nie śmiałem też rzec ani słowa o Heli. Trzepnąłem go tylko z całych sił w plecy i uśmiechając się, ściałem szablą pobliską brzoźkę. Spadła na prawie czarny, osypany zielonymi kulkami jałowiec.

Z nie koszonej łąki, pełnej drobnych brzoźek, jałowca i tarniny, podbitej gęsto kwitnącym wrzosem, weszliśmy w las. Cicho w nim było, ciszej niż pod wodą, chociaż do południa było jeszcze daleko. Idąc tym lasem, natrafiliśmy wreszcie na szeroki, rozryty w piasku trakt, wybity kołami wozów i końskimi kopytami. Idąc ciągle rozrytym traktem, nie ośpiewywani nawet przez sikorkę, marzyliśmy o jedzeniu. Jakoż oprócz wczorajszej rzepy, zjedzonej w kopce siana, i garnuszka mleka, podanego nam przez kobietę, nie mieliśmy nic w ustach. Mojżesz próbował wchodzić do lasu i szukać laskowych orzechów. Orzechy wprawdzie były, ale przypominały ścięte w kulki mleko. Przeto żując listki zajęcej kapusty, rozmawialiśmy najpierw o bochenku chleba, co tylko wyjętym z pieca, później zeszedliśmy na kromkę chleba posypaną czarną solą, wreszcie rozmowa urwała się na spieczonej skórce.

Polykając ślinę i oblizując spieczone wargi, gdyż oprócz resztek spirytusu nie mieliśmy też nic do picia, wyszliśmy na skraj lasu. Parę kroków od leśnego traktu stało kilka domów wtulonych w las. Idąc brzegiem lasu podbitego leszczyną, niemal na bałyku skradaliśmy się pod najbliższy dom. Już mieliśmy wyjść spod leszczyny, żeby wstąpić do najbliższego domu, gdy tuż przy lesie spostrzegłem mały staw o czarnej paprociowej wodzie i stadko gęsi na nim. Jak za Jaśkowych czasów zapachniał mi rosół i gotowane mięso. Usiedliśmy na leśnej podściółce. Jeszcze nigdy jak spod tej leszczyny gęś nie przypominała mi orła, sokoła, białego pawia przelatującego po koronie wiosennego lasu.

Ryjąc z niecierpliwości i smętku po trosze szablą w leśnej podściółce, natrafiłem na spore gniazdo pędraków. Pojaśniało mi w głowie. Zacząłem zbierać pędraki do rogatywki. Gdy miałem ich sporą garść, zostawiłem Mojżesza pod leszczyną i przykazując mu, żeby pilnie baczył na słomiane domy, czołgałem się do stawku z gęsiami. Stadko, pływające niemal przy samym brzegu, oddaliło się na środek stawu. Zacząłem je cichutko przywoływać, rzucając w wodę garście piasku. Podpływały. Gdy były już blisko brzegu, rzuciłem kilka pędraków. Trzepocąc skrzydłami i bijąc się o nie, gęgały przeraźliwie. Wystraszyłem się tego weselnego gęgania, ale mając ciągle przed oczami rosół i niemal złote mięso, rzucałem pędraki. Gęsi

wywabiłem ze stawu na trawnik. Z trawnika na skraj lasu. Chowając się za jałowiec, rzuciłem resztę pędraków roslemu gąsiorowi. Gdy schylał się po nie, dziabnąłem go szablą po szyi. Ale ta bestia z uciętą szyją nadal podskakiwała, próbując ulecieć w niebiosa. Pozostałe gęsi rzuciły się na gąsiora. Dziobały go i biły skrzydłami. Wpadłem między nie i porywając ścięte ptaszysko, uciekłem do lasu.

Z gęsią pod pachą, jeszcze ciepłą, uciekaliśmy przez las. I chichotaliśmy jak opętani. I znów byliśmy małymi chłopcami, którzy zakradli się do cudzego sadu, natargali pełne zanadrza i pełne kieszenie specjalnie pilnowanych jabłek i uciekają, skacząc przez płot przed nocnym stróżem i wyrwanym z drzemki burkiem. I chichotaliśmy ciągle, siedząc w świerkowym młodniku i zastanawiając się, jak sobie poradzić ze ściętym ptaszyskiem.

Gęsi nie chciało się nam skubać. Ponieważ koło tych kilku domów był staw, doszliśmy do wniosku, że gdzieś w pobliżu musi być jego bliźniak. I faktycznie, idąc skrajem łąki i lasu, natrafiliśmy na bajorko. Z radości odtańczyliśmy nad nim polkę. Wtedy rozciąłem szablą gęś, wydając z niej wnętrzności. Przeszukując plecaki, znaleźliśmy trochę soli i kilka prawie zepsutych jabłek. Mojżesz na skraju lasu dokopał się do dzikiego czosnku. Wrzuciliśmy to wszystko do rozciętej gęsi. Ranę zaszyliśmy ciasno cieniutką witką. Gęś oblepiliśmy gliną i wchodząc z nią w las, rozpaliliśmy ognisko. Prawie nie odzywaliśmy się do siebie i połykając z oskomy coraz częściej ślinę, bacziliśmy pilnie, czy gliniana kula już się nie bieli w ogniu. Gdy niemal rudziła, wygrzebaliśmy ją z ognia. Z trudem udało się nam ją rozbić bagnetami. W lesie, pod leszczyną, zazłociło się. Bez jednego piórka, goluteńką, ociekającą tłuszczem gęś położyliśmy na zerwanych paprociowych liściach. Podwijając rękawy bluz i krojąc mięso bagnetami, syciliśmy głód. Tłuszcz ciekł nam po brodzie i po łokciach. Zlizywaliśmy go językami jak psy. Dopiero gdy z przesyty zęby nie chciały się nam zewrzeć na wysysanych kostkach, poczuliśmy, że mięso nie jest dostatecznie słone.

Zawinawszy resztę gęsiny w paproć, wepchnąłem ją do plecaka. I wycierając ręce o mech, wsunęliśmy się w gęsty cień leszczyny. Nasyceni, że palcem tuż pod grdyką mogliśmy namacać ostatni kęs mięsa, zasnęliśmy natychmiast. Gdyśmy się przebudzili i zerwali na równe nogi, zobaczyliśmy uciekającego w las lisa. Po rozrzuconych kościach nie było ani śladu.

- Piotr, Piotr, patrz, sprzątaczkę mamy. Ciekawe, kto też sprząta po naszej dywizji, po całej armii.

Zbierając z mchu manele, ruszyliśmy za dywizją. Męczyło nas pragnienie. Nie pomógł łyk spirytusu. Idąc na przeprostki łąkami, postanowiliśmy, że w pierwszym napotkanym domu napijemy się wody. Ale musieliśmy przejść jeszcze dwa laski, zanim zdybaliśmy mały, prawie leśny przysiółek. Oprócz starych dziadków nie było w nim ani jednego mężczyzny. Wody naczepała nam z głębokiej studni stara kobieta. Piliśmy wprost z drewnianego wiadra pachnącego mchem i butwieniem. Gdy poczuliśmy, że woda leży w naszych żołądkach zielonym kamieniem, ruszyliśmy w dalszą drogę.

Pod wieczór, wychodząc z któregoś tam lasku z kolei, natknęliśmy się na grupę uciekinierów. Teraz szliśmy razem z nimi. Zostawiając ich na nocleg w polnej wsi, maszerowaliśmy nadal przez całą noc. Dopiero przed świtem zdrzemnęliśmy się ociupinkę w jakiejś zawalonej koniczyną szopie. Poczynając wędrówkę od rana, od zanikania mlecznego nowiu, nie bardzo wierzyliśmy, że dogonimy naszą dywizję. Ale spotykani ludzie powiadali, że widzieli ogromne wojsko z armatami, furmankami, wędrujące nieustannie na wschód. Tego też dnia coraz częściej musieliśmy się kryć pod sadami, w kartofliskach i w zagajnikach przed atakującymi nas samolotami. Nawet raz, wychylając się z lasu, nie mogliśmy dać sobie rady z oszalałym Szwabem. Gdy cofnęliśmy się w las, nadal krążył nad nami, ostrzeliwując lasek z karabinu maszynowego.

Wędrowaliśmy tak jeszcze kilka dni. Zarośnięci, przysypani kurzem, jedzący byle co i byle jak, przysiadając się na przygodne furki, podjeżdżaliśmy do jakiegoś większego miasteczka. Nie pamiętam już, czy była to Sądowa Wisznia, czy też Gródek Jagielloński. W każdym razie było to już daleko za Sanem. San przechodziliśmy w bród koło Przemyśla parę dni temu. Ludzie ostrzegali nas, że dzisiaj z rana przejeżdżali tędy Niemcy.

W samej rzeczy, gdy do miasteczka mieliśmy ze dwa kilometry, zaczęła się strzelanina. Prawie natychmiast rozpętała się bitwa. Siedzieliśmy u jakiegoś chłopca pod sadem, pogryzając ulęgałki. Chcąc się przekonać, co się dzieje w miasteczku, weszliśmy na najwyższe drzewo w sadzie. Z korony drzewa, jak ze złączonych dłoni Stwórcy, widać było idące do ataku czołgi. A za czołgami przyczajoną piechotę. Oskrzydlali miasteczko.

Bitwa trwała prawie do wieczora. Miasteczko tu i ówdzie płonęło. Strzelanina raptownie ucichła. Siedząc u chłopca i nie wiedząc, co robić, czekaliśmy na wieści z miasteczka. W dwie godziny później zobaczyliśmy idącą w naszą stronę kolumnę. Ukryci w szopie, obserwowaliśmy idącą do niewoli naszą dywizję. Zdawało mi się, że w zmierzchu wśród wielu setek żołnierzy rozpoznaję chłopaków z naszej wsi.

[Spis treści](#)



Spaliśmy w stodole na sianie. Już bez karabinów. W nocy nasmarowaliśmy je rzepakowym olejem i okręciwszy w szmaty, zakopaliśmy naszą broń koło studziennej cembrowiny. U chłopca zostawiliśmy również wojskowe uniformy. W zamian dano nam stare, połatane marynarki i spodnie. Z wyjątkiem płaszczy, od których odpruliśmy naszywki i obcięli guziki, nie mieliśmy nic wojskowego na sobie.

Z siana wygrzebaliśmy się prawie o świcie. Z wielodniowego zarostu

goliliśmy się pożyczoną u chłopą brzytwą, przeglądając się w kawałku stłuczonego lusterka. Gospodyni, rozpalając pod blachą słomę i susz, piekła nam na drogę zaczyniony z razowej mąki placek. Namawiałem Mojżesza do zgolenia pejsów. Ale nie dał sobie nawet wspomnieć o tym. Wymyści do pasa, wkładając na siebie nie prane od dwóch tygodni koszule, szykowaliśmy się do drogi.

Chłop, idąc z nami po zastodolu, wyprowadził nas na polną drogę. Stamtąd, nie oglądając się za siebie, ruszyliśmy w las. Ośpiewywani przez ptaki, spotykając co chwilę wybiegające z młodnika zwierzęta, wracaliśmy do domu. Uradziliśmy, że dziennie będziemy robić do czterdziestu kilometrów. Z obliczeń wynikało, że idąc na przeprostki w domu znajdziemy się za parę dni.

Ponieważ szliśmy polami, omijając z daleka miasteczka i co większe wsie, nie zdarzyło się nam ani razu spotkać Niemców. Również tylko z daleka na głównych traktach widzieliśmy wracających w rodzinne strony uciekinierów. Natomiast coraz częściej spotykaliśmy w polach siejących zboże chłopów. Zdarzało się, że siadaliśmy z nimi na miedzy i ćmiąc machorkę, rozmawialiśmy o skończonej wojnie. Przyglądając się sobie nawzajem, rozpoznawaliśmy w sobie po wymiętoszonej rogatywce z odpiętym orzełkiem, po wojskowej bluzie, po fasowanych butach niedawnych żołnierzy. Wstając z miedzy, prosiliśmy chłopów, żeby nam pozwolili wrzucić w zaoraną ziemię, idącą w popiół od upału, parę garści zboża. Z takiej pogaduszki na miedzy odchodziliśmy zawsze z pajdą chleba, kawałkiem sadła lub słoniny.

Spotykani chłopci, spoglądając na Mojżesza, coraz częściej potrząsali głowami. A kiedy Mojżesz żuł zerwane źdźbło trawy spojierając w złocący się las, wskazywali mi kiwnięciem głowy jego poskręcana, niemal granatową czuprynę. I niby przypadkowo opowiadali o żołnierzach Żydach wziętych do niewoli i natychmiast rozstrzeliwanych przez Niemców. Ale Mojżesz jakby tego nie słyszał. Żuł nadal listek trawy, gapiąc się w las, jakby z jego rozchylenia miało za chwilę wyjechać wesele, całe w mircie i welonie. A gdy któryś z chłopów był bardziej natarczywy, wyciągał z plecaka zawinięty w chustkę klarnet, przedmuchiwał go i próbował na nim grać jakieś kawałtko psalmu.

Na drugi dzień koło zmierzchu, idąc ciągle na przeprostki polnymi ścieżkami i drózkami, zbliżaliśmy się do większej wsi. Śpiąc od dwóch tygodni po dworskich stogach, opuszczonych szopach i nie zwiezionych jeszcze kopcach potrawu, z otwartymi jak zające pod miedzą oczami, zatęskniliśmy za pierzyną. Weszliśmy w wieś. Wskazano nam dom wójta. Poprosiliśmy o nocleg. Wójt, starszy, brzuchaty chłop, podobny trochę do naszego proboszcza, częstował nas samosiejką. Pogadując z nami o tym i o owym, przywołał do siebie kilkuletniego wyrostka. Szepcząc mu coś do ucha, dodał głośno:

- Leć tam, gdzie zawsze. Ino migiem, na jednej nodze!

Nie spodobało mi się to "gdzie zawsze". Zabierając chlebaki i wymawiając się od garnuszka mleka, wyszliśmy od wójta. Za trzecim czy

czwartym domem od wójtowskich zabudowań, skręcając w polną drogę prowadzącą do lasu, zobaczyliśmy, jak przez wieś na rowerach jedzie dwóch policjantów. Tej nocy znowu spaliśmy w lesie zagrzebani w zgarniętą podściółkę, przykryci wojskowymi płaszczami.

Gdyśmy się zbudzili, było jeszcze ciemno. Przemarznięci, dygocący z zimna, otrząsając się z liści i igliwia, wyszliśmy z lasu w pola wchodzące z pagórka na pagórek. O świcie weszliśmy w jakąś na wpół polną i na wpół leśną pasiekę. Zachciało się nam miodu. Obok wybranego ula rozpaliliśmy ognisko. Żeby lepiej dymiło, dorzucaliśmy do ognia garście rwanej trawy. Wyciągnawszy szablę zza pasa, wyważyłem deskę z wybranego ula. Wykroilem plaster miodu i wyciągnąłem go ręką. Siedzieliśmy obok ula przy dymiącym ognisku w wyschniętej na pniu trawie, trzymając w rękach pocięty na kawałki plaster. Miód spływał nam po przegubach, po brodzie, rozmazywał się po całej twarzy. Patrząc na Mojżesza pałaszującego plaster miodu razem z woskowiną, nie wytrzymałem i palnąłem go dłonią w plecy. Utknął całą twarzą w miodzie, krztusząc się.

- Wyglądasz, Mojsze, jak ci z Ziemi Obiecanej. Całyś w miodzie i w ptasim mleku. Jakbyś z ula wylazł.

- Dałbyś spokój, Piotr. I gdzie ja się teraz wymyję? Do samego domu nie wylizę się z tej słodkości. Wszystkie osy będą na mnie siadać.

- Zaczekaj. Może po drodze trafi się nam jakiś bezpański cielak. Wylizę cię dokumentnie, przyczese jeżorem, że bryczkę podstawiać i do ślubu jechać.

- Mądrała się znalazł. Sam wygląda, jakby cały szabas pod lichtarzem przespał, a drugim dokucza.

Odrzucając poza siebie wyssane resztki woskowiny, zacząłem wycinać szablą niżej położony plaster. Szabla zawadziła o coś twardego. Zgrzytnęło jak na kości. We mnie, począwszy od potylicy aż do kolan, poruszyło się mrowisko. Przymykając oczy, zobaczyłem spoconego Szwaba leżącego przy karabinie maszynowym. I jego zgruchotaną szablą rękę. Przywołałem Mojżesza. Odrywając deski, zobaczyłem na dnie ula zsypane naboje i rewolwer. O tylną ściankę był wsparty zawinięty w gazetę rulon. Oganiając się od pszczoł wiechciem zapalanej trawy, sięgnąłem po rulon. Był gruby i wysoki prawie na metr. Podobnie jak pistolet i naboje był zakapany miodem.

Rozwijaliśmy go ostrożnie. Przed nami, na trawie, srebrzył się i złocił pułkowy sztandar. Wyszywany złoconą nicią napis: "BÓG I OJCZYŻNA" zakapał miód. Łaziło po nim, z trudem wyciągając nóżki i skrzydła, kilka pszczoł. Klęcząc nad sztandarem, pomagaliśmy pszczołom wydostać się z miodu. Spojrzałem na Mojżesza oblizującego zapaćkane miodem palce.

- Smakuje ci? Jeszcze nie masz dosyć?

- A smakuje. Komu by nie smakował taki czysty miód bez odrobiny wosku?

- To może wylizemy ten złocony napis? Tylko musimy się wpierw ugodzić, co komu do lizania przypadnie. Wolisz BOGA czy OJCZYŻNĘ?

- Jakby ci tu rzec. BÓG nie mój, OJCZYŻNA przyszywana. Odpychali nas od niej poniektórzy. Nawet wtedy, w Tarnowie. To chyba zostało mi to "I".

- Zaraz, zaraz, bratku. O "I" nie ma się co spierać. Tak samo dobrze należy się tobie, jak i mnie. Ale zostaje BÓG. Zostaje OJCZYŻNA. Zakapane miodem. Trzeba je wylizać. Do czysta. Do złota. Do ostatniej nitki. To pytam się, co wolisz?

- Jeśli już co, Piotr, to i BOGA krztynę, i OJCZYŻNY ociupinę. Jak się nam trafiło, to użyjmy sobie.

Zaczęliśmy od BOGA. Litera po literze zlizywaliśmy miód do suchej nitki. Na ostatku każdy z nas po troszce, nie wstydząc się wcale, wylizał do sucha "I". Gdy sztandar wysechł na słońcu, zastanawialiśmy się, co z nim zrobić. Mieliśmy ochotę zabrać go ze sobą. W końcu jednak uradziliśmy, że będzie lepiej i bezpieczniej dla sztandaru i dla nas, jeśli zostawimy go w ulu. Owijając z powrotem sztandar w gazetę, wepchnęliśmy go do ula, przybijając oderwane deski.

- A wiesz, Piotr, swoją drogą, dziwne pszczoły w tych stronach hodują. Zamiast miodu broń na zimę znoszą, sztandary przed butwieniem miodem zalewają.

- Ano dziwne.

Zaciekawieni tym wszystkim, zaczęliśmy chodzić od ula do ula, ostukując je szablą. Wydawało się nam, że w każdym ulu prócz plastrów miodu pobrzękuje broń. Wchodząc w środek pasieki, a pasieka była znacznie większa, niż początkowo przypuszczaliśmy, byliśmy niemal przekonani, że oprócz amunicji i broni ktoś ukrył w tych ulach również żołnierzy. Cały pułk. Może całą dywizję. W pełnym rynsztunku, wprost z marszu zapędził ich do pasieki, pouchylał ule, a oni śpiewając o ułanie i Marysi, która wodę brała, wmaszerowali do nich czwórkami. I zakapał ich miód i wosk. Chodząc po pasiece, nasłuchiwaliliśmy, czy w pszczelim brzęczeniu nie słyhać żołnierskich pogaduszek, pogwizdywania, cichej pieśni. I bacznie oglądaliśmy, czy z jakiejś szpary po sęku, szczeliny nie wystaje rogatywka, ostrze szabli, saperska łopatka, "gazmaska".

Ale oprócz brzęczenia pasieki i wyciekania miodu przez spaczone na słońcu deski niczego nie mogliśmy się dosłuchać i dopatrzeć. Wyciekający z przepelnionych uli miód złocił się w trawie. Wyglądało to tak, jakby trawa spoglądała na niebiosa złotymi, coraz bardziej poszerzającymi się ze zdziwienia żrenicami. Najwidoczniej bez zmruczenia powiek, bez drgnienia jednej rzęsy, jednego źdźbła pilnowała tego pułku żołnierzy, tej broni i tego sztandaru z BOGIEM i OJCZYŻNĄ. W każdym razie, wychodząc z pasieki, oglądaliśmy się co parę kroków, czy z któregoś ula nie wychodzi żołnierz z trąbką i nie gra pobudki. Przestaliśmy się oglądać dopiero wtedy, gdy pasiekę drzewo po drzewie zaszył lasek. Ale jeszcze w lasku i poza laskiem nasłuchiwaliliśmy głosu trąbki.

Tego dnia szło się nam najlepiej. Lasków było coraz więcej, więc nie dokuczał nam upał. Plecaki wydawały się nam lżejsze i juchtowe buty mniej

twarde. Poza tym nie musieliśmy podchodzić do żadnej wsi, żeby się napić. W jakimś na wpół dziczym sadzie, rosnącym w dworskim polu, natargaliśmy sobie pełno jabłek. Maszerując, wyjmowaliśmy je co chwilę z kieszeni, pogryzając. Nawet parę razy zebrało się nam na śpiewanie.

Gdzieś koło południa usiedliśmy na skraju lasu, mając przed sobą skoszone łąki całe z kopcach i daleką wieś. Dojadając podarowany nam ubiegłego dnia chleb i słoninę, rozmawialiśmy o domu. Z kolei rozmowa zeszała na Marysię i na Helę. Leżąc w trawie z podłożonymi pod głowę rękami i przymykając oczy, widziałem obydwie dziewczyny wychodzące ze stajni z pełnymi skopcami południowego mleka. Zapachniało mi to mleko. Zobaczyłem siebie wychodzącego zza węgła domu, podchodzącego do dziewczyn, klękającego nad postawionym na ziemi skopcem i pijącego zachłannie prawie gorące mleko. Równocześnie zobaczyłem ten las, stojący za nami w młodziutkim złocie, niemal biały od brzoź. Pomieszało mi się mleko z białymi brzożami. Brzozy wszystkie były poranione bagnetami. Wyciekał z nich na upale brzożowy sok, przypominający świeżo udojone mleko. Cały las był w tym świeżo udojonym mleku, w brzożowym soku. I przez ten las biały, bieluśki, bielusieńki biegł śmiertelnie ranny Stach. Potykał się, upadał. Próbował pić to świeżo udojone mleko, ten sok wyciekający z poranionych bagnetami brzoź. Ale las był coraz bielszy, jak ogromne skrzydło starego kruką, białego pawia, i Stach też był coraz bielszy od tego lasu, od tego mleka, jak gaszone wapno, jak pergamin z kościelnego mszału, jak tamta twarz wybita kulami z osikowego pnia.

Widząc to wszystko, krzyknąłem i zerwałem się na równe nogi. Zerwał się również Mojżesz. Zdawało mi się, że również lasek poderwał się do ucieczki. W każdym razie mój krzyk uciekał coraz dalej z białymi brzożami czy też w białe brzozy. I najwidoczniej znowu wszystko było wypisane w mojej twarzy, bo Mojżesz podszedł do mnie i potrząsając mnie za ramiona, począł się wypytywać, co się stało. Każąc mu nasłuchiwać coraz dalej uciekającego lasu z moim krzykiem w brzożach, pomyślałem o nim i o tym, co powiadali chłopcy o mordowanych przez najeźdźców Żydach. I jeszcze o Jaśku, i o Stachu pomyślałem. I zacząłem się bać tej drogi, jaka nam jeszcze została do domu. Zacząłem się bać o Mojżesza. Postanowiłem też, że jeśli jeszcze ktokolwiek, patrząc na Mojżesza, napomknie o tym, zmuszę go, żeby obciął włosy.

Zarzucając plecak na ramię, przypomniałem sobie o tych wszystkich kawałkach aluminiowej, miedzianej i niklowanej blachy, zbieranych z myślą o okuciach mojej bryczuszki. Zdjąłem z powrotem plecak i rozwiązując go, zacząłem wyrzucać żelastwo. Odechciało mi się malowanej na wiśniowo bryczki i jazdy w niej do kościoła. Chciałem zająć do domu, stanąć na progu, poczekać, aż matka, siedząca na ławeczce, śpiewająca psalmy, podejdzie do mnie, rozepnie mi płaszcz i zdejmie czapkę z głowy, i chwytając mnie suchą dłonią za czuprynę, przechyli mi głowę do tyłu, pod światło małego okienka, żeby spojrzeć w moje oczy. Zawsze tak czyniła, gdy wracałem z wesela czy też z festynu w tej wsi za wodą, gdzie najczęściej bijano się na młotki, na noże

i na gnypy. Ale Mojżesz, zbierając wyrzucone przeze mnie żelastwo, wpychał je z powrotem do plecaka. Powiadał, że jeśli strącał ten samolot pod Tarnowem, to po to żeby moja bryczka była paradna od aluminium, od miedzi.

To się mu nie sprzeciwiałem. I znowu szliśmy obok siebie, pogadując i pogryzając jabłka. O zmierzchu byliśmy nad Sanem. Wchodząc w wiklinę, myśleliśmy, że już jesteśmy u siebie nad Dunajcem. Tak samo pachniało rozciętą nożem rybą, jeżynami i trawą lepłą od wędrujących nieustannie ślimaków. Gdy jednak wyszliśmy nad rzekę, wszystko się wyjaśniło. Rzeka wprawdzie nie była szersza od Dunajca, ale znacznie głębsza i bardziej zielona. Nie przypominała ciętej na wiosnę wikliny, ale rozkrojony nożem i nadal trawiący zwierzęcy żołądek.

Baliśmy się wejść w tę rzekę. O tej porze dnia nie było mowy, żeby znaleźć bród. Zresztą wyglądało na to, że go nie znajdziemy. Ja wprawdzie od dziecka pływałem jak psiak, więc jakoś dałbym sobie radę, ale z Mojżeszem było całkiem źle. Gorzej niż z kamieniem, niż z wrzuconą do wody siekierą. Dumając, jakby tu przejść rzekę, przypomniałem sobie, że wchodząc w wiklinę, przechodziliśmy przez drogę, obok której biegła linia telegraficzna. Zostawiając plecaki w wiklinie i zaznaczając ich miejsce witką wbitą w nadbrzeżny piach, wyszliśmy na drogę. Wspiąłem się na telegraficzny słup, ścinając szablą najniższy drut. To samo uczyniłem przy trzecim słupie.

Nad rzeką rozebraliśmy się do naga, upychając wszystko do plecaków. Obwiązałem się drutem w pasie i oddając go Mojżeszowi, zabrałem plecak. Ostrożnie, kroczył po kroczyku, wchodziłem w rzekę. Woda sięgała mi do pasa, do pach, po szyję. Ale byłem już spory kawałek od brzegu. Wreszcie musiałem płynąć. Starłem się to robić na stojąco, żeby zmacać, gdzie i jak długo nie ma gruntu. Nie było tak źle. Wróciłem po drugi plecak. Poszło mi jeszcze lepiej, wtedy zawołałem na Mojżesza. Widziałem, jak wchodzi w wodę. Wchodził w nią coraz głębiej. Gdy mu było widać tylko głowę, miałem go na napiętym z całej siły drucie. Płynął, bijąc o wodę rękami i nogami. Ciągnąłem go z całych sił. Kilkanaście metrów od brzegu poszedł na dno. Wystraszyłem się, że mi się odwiązał z drutu. Pociągnąłem jeszcze mocniej. Wskoczył z wody gulgocząc. Ciągnąłem coraz mocniej. Gdy miałem go parę metrów od brzegu, wskoczyłem do wody. Obejmując go wpół, wyniosłem z rzeki jak szczeniaka. Chciałem go postawić na nogi, ale upadł w piasek. Wymiotował. Położyłem go na wznak, przechylając mu głowę do tyłu. Odepchnął mnie i usiadł na piasku.

- Cholera, alem sobie popił. Jak u wójta na chrzcinach albo u dziedzica. Zdaje mi się, że wychłptałem wszystką wodę. Do ostatniej kropli. Zobacz, Piotr, suchutkie koryto. I ryby o dno ogonami grzmocą.

- Popić, toś sobie popił. Trunkowyś, nie ma co. I nie z tych Mojżeszów, co to po dnie morza suchą stopą szli. I lud prowadzili.

- I tyś nie matula z koszem smołowanym. Na drucie człowieka przez taki brzuch rybi tak okrutnie ciągać.

A już biegaliśmy po piasku, szczękając zębami. Z uciechy, że się nam udała przeprawa przez San i że niczego nie utopiliśmy w wodzie i jeszcze z tej dawnej, zapamiętanej z dzieciństwa uciechy, kiedy to wskakiwało się do naszej wiosennej rzeki, do stawu, nagrzanego na lipcowym słońcu, stawialiśmy koziołki, chodziliśmy na rękach, próbowaliśmy ustać na głowie. Rozgrzani, tak że parowało z nas, bez kropli wody na skórze, jak wyjęte z deszczu białe ptasie skrzydła, poczęliśmy się ubierać. Wciągając wojskową koszulę bez kołnierzyka, widziałem, jak w zmroku dogasa niemal złote ciało Mojżesza. Spojrzałem na jego głowę, przypominającą przechyloną do tyłu tykwę. Podobną głowę miał Chrystus wiszący na krzyżu w naszym parafialnym kościele. Tyle że był przechylony na bok do łotra po prawicy i cały w jesiennej tarninie. O tym Chrystusie, połamanym dębową pałką, przekłutym włócznią, śpiewałem wielkopostną pieśń. I mimo woli przechylałem głowę. Ale na lewą stronę. Tam, gdzie stał Jasiek.

Ubrani, pozapinani na ostatni guzik, opatuleni w obszerne płaszcze, z plecakami przerzuconymi przez ramię, wyszliśmy z wikliny. Jak najprędzej chcieliśmy dojść do najbliższej wsi. Uradziliśmy, że przynajmniej przez parę godzin prześpimy się w jakiejś stodole. Wcześniej jednak od wsi zdybaliśmy dworskie stogi, sienne i ze zbożem. Z trudem, obsuwając się ze stromych stogów, wgramoliliśmy się na brodło. Rozkopaliśmy jego koronę aż do ciepła przypominającego pogrążone we śnie zwierzę. Wchodząc w to ciepło, nakryliśmy się żołnierskimi płaszczami.

Wprawdzie przyrzekliśmy sobie, że nie będziemy rozmawiać, ale w żaden sposób nie mogliśmy zasnąć. Przytuleni do siebie, leżeliśmy na wznak z płaszczami podciągniętymi pod brodę. Nad nami stało wrześnie, wygwieżdżone nadmiernie, a u nas nazywane kowalskim (iskry, iskry), niebo.

Patrząc w to niebo, w półdrzemce zobaczyłem naszą wieś. Wchodziła dom po domu, stodoła po stodole, szopa po szopie na niebiosa. Zataczała wokół Wielkiej Niedźwiedzicy coraz ciaśniejsze koło. Wieś była tuż po żniwach, bo na drogach z kurzem po kostki było pełno kłosów zboża, końskiego łajna i ptaków rozdziobujących to zwierzęce łajno. Równocześnie była to wieś festynowa. Pośrodku niej, na zbitej z desek platformie, stała żydowska kapela. Przygrywała. Na deski, para po parze wchodził tańczący. Wśród nich rozpoznałem siebie z Marysią i Stacha obejmującego w pół Hele. Od czasu do czasu poprzez tańczących widziałem grającego na klarncie Mojżesza.

Policzki jego były rozdęte prawie do piwonii, głowa przechylona do tyłu i przymknięte oczy. Poruszyłem się i najdelikatniej, jak mogłem, wsunąłem ramię pod głowę Mojżesza. Coś mruknął przez sen. Postanowiłem, że raniutko, gdy się przebudzimy, przytnę mu włosy.

Jak zwykle, przyzwyczajeni już do tego, zbudziliśmy się skoro świt. Ledwie wygrzebaliśmy się z siennego brodła, zjeżdżając po jego stromym boku na ziemię, posadziłem Mojżesza, żeby mu było wygodnie na zgarniętej wiązce potrawu. Z palcem na ustach, żeby o nic nie pytał, wyciągnąłem

szablę. Przejechałem po jej ostrzu kciukiem i żdźbłem trawy. Ostrze było niczego sobie, prawie jak ojcowska brzytwa.

Gdy podszedłem do Mojżesza, zaczął uciekać. Schwyciłem go za gołą piętę i przywlokłem na wiązkę siana. Bronił się zaciekle. Nie było innej rady. Uderzyłem go pięścią pod brodę. Głowa opadła mu na piersi. Zanim przyszedł do siebie, obciąłem mu pejsy. I manewrując ostrożnie nieporęczną szablą, ścinałem garść po garści jego kędzierzawą, przypominającą mechate żelazo czuprynę. Pod ostrzem jaśniała przypominająca owo ostrze czaszka. Gdy ściałem mu ostatnią kępkę włosów, Mojżesz zapłakał.

- Toś mnie urządził. Jak ta dziewczka Samsona. Ale na co ja ci potrzebny? Trzeba było mnie odejść, gdyś się bał iść ze mną. Dałbym sobie bez ciebie radę. Niania się znalazła, matula, ojczulek!

- Co za Samson znowu? I za czym tu płakać? Zanim zajdziemy do domu, piórka ci się posypią.

- Włosy na pewno odrosną. Ale już nie te z wojny. A zanim mi odrosną, będę słabszy od dziecka i od ptaka słabszy, od muchy, od trawy.

- Słabszy, słabszy. Znalazł się bohater. A cóż to, góryś chciał przenosić, bić się z osiłkiem na odpuszcie, z niedźwiedziem? Grunt, że cało do domu powrócisz. A w domu już się do ciebie dobiorą. Jak indyka utuczają. A jak cię utuczają, przyjdę do ciebie. Ponieważ ci krzywda, spróbujemy się na ręce. Na pewno dasz mi radę.

Zanim wyruszyliśmy w dalszą drogę, Mojżesz zgarnął na kupkę ścięte szablą włosy i spalił je do kłaczka. Popiół rozsypał na wszystkie strony świata. Niewidoczne resztki popiołu wdeptał butem w trawę.

- Jeśli ten popiół spadł na moich wrogów, na ich oczy i usta, i ręce, i nogi, i na ich sen, i na sen tego snu, to możemy iść. Nic mi się nie stanie.

Gdzieś w nocy doszliśmy do naszego powiatowego miasteczka.

Obeszliśmy je dookoła. I chociaż prawie zasypialiśmy idąc, postanowiliśmy dojść do domu. W samej rzeczy, gdy niebo rozjaśniało się nad nami, byliśmy nad Dunajcem. Schodząc z piaszczystego brzegu do brodu, przemyśliśmy twarze. Kroczył po kroczeniu, żeby nie zgubić brodu, przechodziliśmy rzekę. Pełno było w niej wojskowych wozów, armat, pocisków i telefonicznego drutu. Widocznie również tędy przechodziło wojsko.

Po zastodolu, żeby nas nikt nie zobaczył, omijając ogrody, weszliśmy pod nasz sad. Spojrzałem na komin. Prawie niewidoczna w brzasku szła z niego smużka dymu. Pchnąłem drzwi ramieniem i stanąłem w sieni. W kuchni słyhać było brzęk spadającego garnka. Nacisnąłem skobel. Matka stała już przy drzwiach. Nie mówiąc ani słowa, zdejmowała ze mnie płaszcz i buty. Dopiero wtedy ujęła mnie za czuprynę, poprowadziła pod okno i przechylając mi głowę do jutrzni, pocałowała mnie w usta i w oczy, i w usta. Wziąłem ją na ręce i biegałem z nią dopóty po izbie, póki nie zaczęła się śmiać i machać nogami. Póki nie przezwalała mnie zbereźnikiem. Wtedy posadziłem ją na ławeczce koło okna, zaplatając jej przesypany popiołem warkocz.



13

Przez cały dzień i noc, i jeszcze do obiadu następnego dnia spaliśmy z Mojżeszem w stodole, zagrzebani w sianie i w zniesionych przez matkę pierzynach. Obok nas wgniecione w siano stało wiaderko z mlekiem i emaliowana miska z pieczoną kurą i pieczonym królikiem. Budząc się ze snu, sięgaliśmy po mięso, popijaliśmy mleko, żeby natychmiast, rzucając za siebie obgryzione kości, zagrzebać się z powrotem z pierzynach.

Przykazaliśmy też matce, żeby nikomu, nawet najbliższej sąsiadce nie wspominała o naszym powrocie. Gdy na drugi dzień koło południa zaczęliśmy się ubierać, wydawało się nam, że w wygniecione siano, w przepocone pierzyny osypała się z nas, wsiąkła razem z potem dwutygodniowa wojaczka. Waląc się kułakami po plecach i karkach, ciągnąc za łby i spychając nogami z siana na niżej położoną w zapolu koniczynę, zaśmiewaliśmy się aż do łez, próbując zaśpiewać moją przyśpiewkę o koniokradach. Pierwszy też raz od dwóch lat nie słyszałem polującej u krokwi kuny i nie widziałem przed wejściem w sen jadącego na karej trzylatce Jaśka.

Ubrani w przyniesione przez matkę spodnie, w świeżo uprasowane koszule, obuci w podkute gwoździami komiśne trzewiki, zjechaliśmy na tyłkach z wysokiego siana wprost na klepisko. I ciągle podśpiewując i goniąc za sobą, wpadliśmy do izby, aż stęknęły pchnięte ramieniem jednoskrzydłe drzwi. W godzinę później, rozebrani do golasa, myliśmy się nawzajem w wyniesionej do drugiej izby balii. Namydlając Mojżeszowi plecy i polewając mu głowę ciepłą wodą, czerpaną garnuszkiem z sagana, zauważyłem, że jego włosy, obcięte szabłą tuż przy skórze, puszczają pierwsze piórka. Wprawdzie nadal przypominał owych młodzieniaszków z leśnego przysiółka, których w czasie długotrwałej suszy golono brzytwą do gołej pały, smarowano gęsim sadłem i całymi dniami kazano im klęczeć koło przydrożnej kapliczki i śpiewać pokutne psalmy, ale nie dymiło mu się z głowy i nie czuć go było wzbierającą błyskawicą po błyskawicy burzą.

Wymyć do ostatniego zakamarka, pachnący szarym mydłem i żelazistą wodą, siedzieliśmy przy stole, siorbiąc z glinianej miski kurzy rosół. Matka, przycupnąwszy na niziutkim stołku koło pieca, przyglądała się nam tak, jakby za chwilę miały się nam rozwinąć skrzydła.

Po obiedzie, najedzeni jak prałaci w dzień odpustu, rozluźniając rzemieńne paski na zaokrąglonych brzuchach, wyszliśmy pod sad na papierosa. Siedząc na ławeczce w malwowym ogródku, spoglądaliśmy na błonia pod osypującymi się z liści wierzbami, na dalekie wzgórza za Wisłą, falujące w powietrzu jak złota tkanina na wiśniowych krosnach. Wtedy dopiero, widząc te wzgórza za Wisłą, przypomniałem sobie Jaśka z owej wsi, pełnej rżenia kradzionych koni. Przymykając oczy, zobaczyłem Stacha. Wydawało mi się, że stoi tuż za sadem ogrodzonym wiklinowym płotem,

podnosi się na palcach, starając się zerwać z najbliższej jabłoni czerwone jabłko. Nie wytrzymałem i podnosząc się z ławeczki, polazłem w ten najdalszy kąt sadu, do tej jabłonki osypanej czerwonymi owocami. Z najniższej gałązki zerwałem jabłko i obcierając je z jesiennej mgiełki, wyciągnąłem z nim rękę za płot. Nie zauważyłem, że za mną stoi Mojżesz. Zanim zdążyłem schować za siebie wyciągniętą rękę z jabłkiem, Mojżesz wyjął mi je z dłoni i wbił w nie zęby.

Nie powiedziałem mu, komu niosłem to jabłko. Na wszelki jednak wypadek podszedłem do jabłonki i ujmując jej drobniutki pień oburącz, potrząsałem nią dopóty, dopóki ze szczytowej gałązki nie spadło ostatnie jabłko. A gdy Mojżesz nie mogąc z siebie wykrztusić słowa, stał z otwartymi ustami, powiedziałem:

- To dla ciebie. Zawiesz je starym. I powiedz, żeś był w raju, w tej waszej Ziemi Obiecanej. I że nie było wojny. I ani słówkiem nie wspomnisz o Stachu. A teraz chodź, ogolimy się. Jak nas ludzie zobaczą, zaczną się schodzić. A my wyglądamy, jakbyśmy na odludziu diabłu kozy paśli.

Goliliśmy się pod sadem, przeglądając się w wyniesionym z izby lustrze. Ale nie ustawiłem go, nauczony doświadczeniem, ani na studziennej cembrowinie, ani w koronie jabłonki. Lustro trzymaliśmy sobie nawzajem. Gdy namydlony, z naostrzoną na pasie brzytwą przystanąłem przed lustrem trzymanym oburącz przez Mojżesza, on przechylając głowę i uśmiechając się powiedział:

- A może zatańczysz? Zatańcz, Piotr. Tak ci to dobrze idzie przed lustrem. Zatańcz, póki, nikt nie widzi. Niech będzie jak dawniej. Jak po festynie. Proszę cię, zatańcz, Piotr.

Pobiegłem do domu. Przyniosłem poczerniałą od cięcia jabłek szablę. I gwizdząc na palcach, wszedłem z szablą uniesioną nad głową w śpiewaną przez Mojżesza polkę. Widziałem, jak w lustrze, odbijając się stokrotnie, błyska szabla nad moją czupryną. Mojżesz, śpiewając coraz szybciej, pogwizdując na palcach, prowadził mnie w tańcu, trzymając lustro w ramionach. I jeszcze raz w tym tańcu ciąłem po rękach Szwaba, krzaczek jałowca, gąsiora. I jeszcze raz, prowadząc ją przy skórze, goliłem Mojżesza z pejsów i kędzierzawych włosów. Dopiero gdy ujrzałem się w lustrze cały w osypanych jabłkami gałęziach, w złocących się wierzbach na błoni, na tle ruchomych wzgórz za Wisłą, gdy drasnąłem niebo nad strzechą domu Heli i domu Marysi, przystanąłem. Odrzucając za siebie szablę i obcierając ramieniem spoconą twarz, zacząłem się golić z kilkudniowego zarostu.

Ogolony, umyty, zaczesany na bok, gładki jak panienka szykująca się do ślubu, pierwszy raz po powrocie do domu wszedłem do stajni. Konie, strzygąc uszami, prychnając i rżąc cichutko, wtulały mi pod pazuchy przypominające drewniane pudła pyski. Ale pociągając coraz głębiej nozdrzami, potrząsały łbami. Widocznie oprócz znanego im zapachu siennej stodoły, toczono przez korniki domu, rozgrzanej na upale ziemi, wyczuwały we mnie jeszcze coś czy kogoś obcego. Początkowo sądziłem, że to z

powodu stojącego w pobliżu Mojżesza. Ale nic się nie zmieniło w ich zachowaniu po jego wyjściu ze stajni. Dopiero gdy zacząłem im podtykać pod obnażone zęby wzięte z koszyka kolby kukurydzy, łaskotać je za uszami i wargami wycmokiwać ich ulubiony koński pacierz, po kolei zarzucały mi łby na ramiona i przymykając ślepią, z lubością zasypiały. To samo zresztą co z końmi było z bydłem i z psem.

Obejrząwszy dokładnie gospodarstwo, sprawdziwszy, czy pług i brony są w porządku, usiadłem z Mojżeszem na wyjedzonym przez deszczę progu domu. Pomyślałem sobie, że od jutra trzeba będzie wyjechać w pole. Wprawdzie od paru tygodni nie spadła ani jedna kropla deszczu i dymiące pola były twarde jak hartowane żelazo, ale już ani jednego dnia dłużej nie można było czekać z siewami i wykopkami. Toteż gdy matka zjawiała się na progu, poprosiłem ją, żeby w komorze na zdjętych drzwiach zabajcowała siwym kamieniem ze dwa korce zboża. Jutro skoro świt miałem zamiar wyjechać na pole pod tarniną.

Pod wieczór, równo z pierwszą gwiazdą, zaczęli się schodzić sąsiedzi. Od matki już wiedziałem, kto z naszych ze wsi i z parafii powrócił z wojaczki. Wiedziano prawie na pewno, że gdzieś pod Lwowem zginął jedyny syn dawnego sołtysa znad Dunajca. Z komory przyniosłem ocalałą flaszkę wódki. Sąsiedzi powyciągali zza pazuch po butelce. Gdy nam tego było za mało, któryś z podrostków skoczył do sklepu po malagę.

Popijając rozmawialiśmy o wojnie, o Niemcach, których wprawdzie jeszcze we wsi nie było, ale ten i ów widział ich w okolicznych miasteczkach. Gdy się dowiedziano, że to właśnie Mojżesz stracił nad Tarnowem niemiecki samolot, przyglądano mu się jak świętemu Jerzemu, który nagle uciekł z witraża parafialnego kościoła i zjawił się w naszej izbie. Głaskano go po rękach, klepano po plecach i częściej niż ze mną trącano się z nim szklanką.

W izbie było prawie ciemno od machorkowego dymu, gdy potykając się o próg i kuśtykając na drewnianej nodze, zjawił się dziadek Jakub. Ustąpiłem mu miejsca przy stole, siadając na rozbebeszonym łóżku. A on zapalił fajkę wyciągniętą spod blachy szczapką i wsparty na lasce wystruganej z wiśniowej gałęzi, przyglądał mi się bacznie, przechyliwszy głowę. Jak mogłem, unikałem jego oczu. Ale przydybał mnie, gdy podawałem mu szklaneczkę z malagą. Wprawdzie wziął napitek, spoglądając na niego pod płomykiem naftowej lampy, ale szklaneczki nie podniósł do ust.

- Widzisz, synku, chciałbym wypić twoje zdrowie. Ale wpierw musisz mi pokazać moją kochaneczkę. Nie zgubiłeś jej przecie? Nie wrzuciłeś do wody? Nie wraziłeś w gnój?

Wszyscy spoglądali na mnie. Ostrożnie, żeby się nie potknąć, gdyż już mocno miałem w czubie, wyszedłem do sieni. Tu dopiero przypomniałem sobie, że zabierając szablę spod sadu, zaniósłem ją do komory i wepchałem do sąsiedka z pszenicą. Gdy ją wniosłem do izby, na jej ostrzu kołysała się plewa. Zdmuchnąłem ją z ostrza. Pleva kołysząc się spadła z szabli na rozpaloną blachę. Spłonęła. Wycierając ostrze szabli o rękaw koszuli,

podałem ją dziadkowi. Przejechał po jej ostrzu zrogowaciałym i spieczonym od upychania fajki kciukiem, po czym podnosząc prawie pociemniałe ostrze do nosa, obwąchiwał ją jak żywe stworzenie.

- Chlebem pachnie i jabłkami. Cóżes ty, synku, chleb nią kroił i jabłka rozcinał? A mozesz ty w piekarni przesiedziać, pod sadem przeleżać i na wojnie nie być? Dałem ci ją na wojnę. A tyś, kochaneczce nie dał krwi powąchać i pić jej nie dałeś. Nie słuchałeś mnie, synku. Mówiłem wyraźnie, wyraźniej niż pacierz: od nieba ich ciąć, od cysarza chlastać, płatać od Witosa, od Chrystusa Pana!

I dziadek Jakub, potrząsając ptasią głową, nie panując nad sobą, próbował złamać szablę w gruźlastych rękach. Gdy mu to nie szło, podniósł się ze stołka i chciał ją przełamać na drewnianej nodze. Zanim najbliżej siedzący spostrzegli, że się zatoczył, dziadek Jakub leżał już na podłodze. Obok niego, podskakując i brzęcząc, leżała poczerniała szabla. Podnieśliśmy go z Mojżeszem, biorąc pod pachy. Wyrывał się nam, chcąc iść do domu. Ale jakoś ugłaskaliśmy go, sadowiąc z powrotem na stołku. Gdy Mojżesz opowiedział o Niemcu dziabniętym szablą, przestała mu się trząść ptasia głowa i gruźlaste ręce.

- To jak to było, powiadasz? On przy masingwerze, łapska na rączce, takie z mięsa łapska, wielkie jak piwonie, jak cielęce łby, a ty trawą do nich podpełzasz na brzuchu? A gdyś je już ujrzał na tym masingwerze i rosły ci w oczach do byczka, do wołu, toś się wsparł na łokciu i tę kochaneczkę uniosłeś nad głową i chlasnąłeś po nich? A dwóch pozostałych czemuś nie zarażał? Takeś ich zostawił, nawet nie draśniętych? Toś źle zrobił, synku. Jeszcze tu przylizą. A jak tu przylizą, to choćby pod ziemię, w ptasią dziuplę, w mysia dziurę, ale, synku, smyrhaj. Tacy cię poznają. Z tłumu cię wyciągną. Na suchej gałęzi bez zmrużenia oka niechybnie powieszą. Jakoż tacy, którym zapachniało śmiercią, tę śmierć, która z ciebie, z twojej szabli na nich spoziera, paluszkami kiwała, aż do drugiej śmierci ciągle widzieć będą i to w twojej twarzy, Piotrze.

Dopiero powiedziawszy to, dziadek Jakub wziął z rąk Mojżesza szablę, podniósł do ust i ucałował. A oddając mi ją z powrotem, przykazał:

- Jakżeś się z nią spiknął, to niech ci służy. Do samego końca, do ostatniej kropli w pacierzowym mleczu ostatniego Szwaba. I dbaj o nią, Piotruś. W piasku i w popiele wyczyść ją do lustra, żeby śmierć w niej iskrą mikową zabłysła. A zanim ją w siano wetkniesz po rękojeść, przejeźdź po niej piórem. Kruczym piórem przejeźdź, maczanym w oleju. I sokolim piórkiem, żeby śmigła była i lekka nad głową.

Wynosząc szablę do komory, usłyszałem, że ktoś spod wejściowych drzwi ucieka na palcach. Zawiesiłem szablę na bronnym gwoździu i przechodząc przez gościnną izbę, trzasnąłem z całych sił drzwiami. Przyczałem się w sieni. Po chwili usłyszałem, jak ten ktoś wychodzi spod sadu i skrada się pod próg. Gdy był koło drzwi, że słyszałem jego przyspieszony oddech, rozwarłem je na oścież. Ten ktoś krzyknął, potknął się

i upadł mi do nóg. Schyliłem się natrafiając rękami na warkocz.

- Hela! To ty?

- Och, Boże, Piotrze. Poczekaj. Piotrze. Tchu nie mogę złapać. Aleś mnie przestraszył.

A już szedłem rękami po jej puciołowatej twarzy, po jej szyi, po ramionach, po jasnym warkoczu. Ona, wtulając mi głowę pod pachę, poczynając od małych palców, przez serdeczne aż do kciuków, ujmowała w dłonie moją szyję i moją twarz. I tak przytuleni do siebie, w pół objęci, nie mówiąc ani słowa, weszliśmy pod sad. Dopiero pod sadem, wyjmując głowę spod mojej pazuchy, ale ciągle trzymając w dłoniach moją twarz, spojrzała mi w oczy. Próbowałem ją unieść za ramiona, wynieść spod jabłoni pod wygwieżdżone niebo i pocałować, ale nie pozwoliła wymykając mi się z rąk.

- Co z nim, Piotrze? Powiedz, co z nim?

Odsunąłem się od niej i opierając się plecami o jabłonkę, grzebałem w kieszeniach za papierosami.

- Był tu, Helu. Był tu dziś w południe. Stał za tamtym płotem. I sięgał po jabłko. Lecz nie mógł dosięgnąć. Wiesz, nie był wysoki. To podszedłem tam i zerwałem jabłko. I dłoń wyciągnąłem z tym jabłkiem za płot. Ale nie chciał tego jabłka.

- Jak to, nie chciał? Co ty pleciesz, Piotr?

- Może nawet chciał, bo ślinę przelykał. Miał spierzchnięte wargi i pić mu się chciało. Tylko nie mógł tego jabłka z mojej ręki wyjąć. Nigdy już nie będzie mógł wziąć żadnego jabłka.

Hela, przytulając się do mnie, uniosła się na palcach i pociągnęła mnie za czuprynę. Stałem wyprostowany, z twarzą uniesioną do wygwieżdżonego nieba. Szarpała mnie z całych sił za włosy, póki nie przyciągnęła mojej twarzy do swojej. Całowała mnie, poczynając od obojczyków, przez kawałek jabłka w grdyce, brodę, usta, oczy i jeszcze raz oczy, usta, szyję i moje ręce chodzące po jej twarzy.

- To nie chciał tego jabłka? Nie chciał, Piotrze. Ale ty chcesz prawda, że chcesz? Poczekaj, Piotrze, zaraz ci je podam. O, Boże, a gdzież się podziały te jabłka? Tyle ich tu we dnie.

Uderzyłem w jej rękę sięgającą po jabłko. Równocześnie z gałęzią śmigającą w mrok spadło jabłko i tuż po nim gdzieś na złote wzgórza za Wisłą stoczyła się gwiazda. Sołtysówna pochlipując cichutko usiadła na ziemi.

- Czego chcesz ode mnie, wariatko? Byliśmy na wojnie. A z wojny zawsze ktoś nie wraca.

- To czemuś ty wrócił?

- Aby ci powiedzieć, że tam nad Dunajcem, gdy z rdzenia osiki wypłynęła twarz, Stach celował we mnie. I żeby ci jeszcze to powiedzieć, że ja też strzelałem nie do tego drzewa.

Sołtysówna podniosła się z ziemi. Zbliżyła się do mnie. Cofałem się przed nią, póki nie natrafiłem plecami na jabłonkę.

- No, widzisz, Piotrze, widzisz, jakiś ty jest? Już go wtedy zabiłeś. Już

wtedy. I szczęście miałeś. Takie szczęście miałeś z tą wojną. Wyprowadziłeś go na nią i tam na tej wojnie, żeby nie było na ciebie, żeby cię pod kościołem nie pokazywano palcami, żebyś niegnił w kryminale, zabito go za ciebie. Ale nie bój się. Nikomu o tym nie powiem. Mówiłam ci przecież, że jak będziesz królem, to będę królową, a jak katem będziesz, to kątową będę. I będziemy się kąpać nagusieńcy w stawie, i w rzece się kąpać голуśko będziemy. I nie tak po ciemku, jak wtedy w ogrodach. Ale w samo południe i przy wszystkich ludziach. Nie będziesz się wstydził? Prawda, że nie będziesz? Bo i nie ma czego. Nic ci nie brakuje. Tylko musisz sukno czerwone szykować. Dużo sukna, Piotrze. I wyścielić suknem każde dno bajorka w całej okolicy i stawy wszystkie. Dunajec i Wisłę. A potem, Piotrze, urodzę ci syneczka. Kociątko puszyste urodzę ci, Piotrze. Szczeniaka słodkiego, kociątko najmiłsze, Piotrze mój, Piotrusiu.

Przyciągnąłem ją do siebie i biorąc ją pod brodę, pocałowałem w usta. Szedłem po jej twarzy, po jej szyi suchymi jak drewno ustami, gryzłem jej wargi, póki nie poczułem na języku soli, póki nie krzyknęła. Pod moimi rękami drgnęły jej piersi. Gardło miałem przebite nożem i rozboleł mnie szczyt brzucha. Bojąc się tego gardła i tego brzucha, i tych rąk chodzących po niej, i tego kociątka, szczeniaka, kaciątka, odsunąłem się od sołtysówny. Wtedy ona znowu zaczęła mówić:

- Jakże to, Piotrze, Piotrusiu? Wiedziałeś, że on celował w ciebie i chciał mi cię zabić, i nie powiedziałaś o tym ani słowa? I taki, na wpół żywy, z tą twarzą wybitą kulami z osiki poszedłeś na wojnę i nie przyszedłeś pożegnać się ze mną? To jak nie przyszedłeś pożegnać się ze mną, pomyślałam o Stachu. I pewno przez to moje myślenie on tam został. Bo jak się o kimś myśli i nic mu się nie da nawet jabłka, nawet garnuszek wody, to on nie wie, że jest ta woda i to jabłko, nie ma do czego wrócić. I o tobie też myślałam. Ale ponieważ nie przyszedłeś się pożegnać, myślałam jak o kimś, kto już wypił wodę, zjadł jabłko, nasycił pragnienie i nie ma ochoty na drugi garnuszek, na drugie i na trzecie jabłko.

Skrzypnęły drzwi od sieni. Pociągnąłem sołtysównę głębiej w sad. Z progu wołał mnie Mojżesz. Całując Hele w oczy, wziąłem ją na ręce i przesadziłem na drugą stronę płotu. Gdy odkrzyknąłem Mojżeszowi: - Nic mi się nie stało. Łeb mnie trochę boli. Zaraz wracam - Hela zdążyła mi szepnąć, że jutro w nocy przyjdzie do mnie na siano.

Było już późno. Gdy spojrzałem na wygwieżdżone niebo, Wielki Wóz, stojący z wieczora nad wierzbami, wjechał na wierzchołek sadu. Wprawdzie, wróciwszy do izby, rozmawiałem z sąsiadami o tym i o owym, ale jak skończyła się malaga, poklepując mnie i Mojżesza po plecach, rozeszli się do domów. Po ich wyjściu pomogliśmy matce uprzątnąć ze stołu i wynieśliśmy się pod sad. Wypaliwszy po papierosie, wprost z sadu weszliśmy do stodoły. Przed wejściem w sen ustaliliśmy, że jutro raniutko wybierzemy się na pole pod tarniną. Omijając wsie, na przeprostki przez łąki i przez las, odwiozę Mojżesza do miasteczka.

W stodole było jeszcze ciemno, gdy wygrzebaliśmy się z pierzyn i dusznego siana. Ponieważ koło koni i wozu krzątailiśmy się we dwójkę, po kwadransie byliśmy gotowi do drogi. Z koni, wyprowadzonych ze stajni buchającej ciepłem jak chlebowy piec, stojących pod jabłonkami już zwarzonymi przez pierwsze przymrozki, unosiły się białe obłoki. W wasążku, na siedzisku zrobionym z wiązki siana, siedział Burek. Obwąchiwał jak kość leżący w poprzek siedziska klarnet. Zdawało się, że za chwilę ujmie go w przednie łapy i zagra na nim jemu tylko wiadomy psi psalm.

Z narzuconymi na ramiona wojskowymi płaszczami staliśmy obok wozu, ćmiąc skręcone z samosiejki papierosy. Mojżesz podchodząc do wozu rozwiązał plecak, sprawdzając, czy pozbierał wszystkie drobiazgi. Widocznie czegoś brakowało, bo zbyt długo się guzdrał.

- Tałes, mój tałes. Nie widziałeś, Piotrze, gdzie mi się zapodział? Nie wrócę przecież do domu bez tałesu i z ostrzyżoną głową. To gorzej, niżbym przyszedł do starych z garbatą skrzynią na plecach.

Wgniatając niedopałki papierosów w trawę, wróciliśmy do stodoły. Przerzuciliśmy kilkakrotnie pierzyny i siano pod nimi. Tałesu nie było. Nie było go też niżej na koniczynie, gdzie Mojżesz wczoraj, wychodząc spod pierzyn i wstydzając się, modlił się długo i żarliwie. Pocieszałem go, jak mogłem. Rozpogodził się dopiero wtedy, gdy mu obiecałem, że jeszcze raz po przyjeździe z pola przetrząsnę siano.

Jechaliśmy bez tej przypominającej kwadratowe jabłko Arki Przymierza, bez tej Świątyni Salomona, pełnej radosnych, pokutnych i wojennych psalmów, pełnej dzikich zwierząt zakłutych włócznią, pościnanych mieczem w lesie, w stepie, na pustyni i na niebie. Dzwoniły werbliki w końskich zębach, pies wsparty przednimi łapami o literkę, oszcze kiwał wylatujące z porannej zorzy ptaki. Przez szprychy kół przesypywał się głęboki na łokieć piasek polnej dróżki.

Dopiero w środku łąk, gdy nad ledwie widocznym, a raczej przeczuwanym lasem, przejaśniło się do jesiennego dna rzeki, zaczęliśmy rozmawiać. Zresztą rozmowa nie bardzo się nam zawiązywała na supełki, gdyż Mojżesz ciągle wracał do zgubionego tałesu, a ja nie mogłem zapomnieć o wczorajszej rozmowie z Helą. Pierwszy też raz na tych łąkach, nie licząc wczorajszego i przedwczorajszego snu, przymykając oczy, zobaczyłem w sobie Marysię. Ale nie widziałem jej ani na festynie, ani nad rzeką, ani przechodzącej pod wierzbami z wysoko uniesioną głową. Nieustannie zjawiała mi się w tym brzozowym lasku uciekającym z moim krzykiem. Podawała mi skopiec świeżo udojonego mleka.

Toteż nie chcąc sobie przypominać brzozowego lasku, uciekającego z moim krzykiem, ani uciekającego przez ten przypominający gaszone wapno brzozowy lasek poranionego Stacha, zacząłem śpiewać. Do mojego śpiewania dołączył się Mojżesz, a po nim ze swoim skomleniem skaczący w wasążku pies. Głupio nam było jechać przez te wprawdzie puste łąki ze śpiewką podbitą psim skomleniem, więc zdzieliłem go batem i łapiąc za skórę na

grzbiecie, wyrzuciłem z wozu. Biegł przed dyszlem, skacząc koniom do pysków.

Śpiewać przestaliśmy dopiero w lesie. Zagłuszał nas turkot wozu podskakującego na leśnej drodze, powiązanej wyłazającymi z piachu tysięcznymi korzeniami. Zresztą gdy się wjeżdża w las podkutym wozem, słyszy się go stokrotnie między drzewami, i to inaczej w dąbrowie, inaczej w świerklańcu i jeszcze inaczej na paprociowych polankach. Poza tym ten las, wprawdzie rosnący na nizinie, dymiący mokradłami i scedzonymi ze smoły i żywicy jednookimi jeziorkami, przypominał nam rzeszowskie laski zbiegające z pagórka na pagórek. Toteż nasłuchiwaliliśmy, czy nie brzęknie szabla zawadzająca o leszczynę, nie wrzaśnie dziabnięty nią gąsior, nie odezwie się sójka nad zaszytymi w młodziku uciekinierami.

Za lasem trzeba było przejechać przez mały przysiółek nie należący do żadnej z okolicznych wsi. Do tego przysiółka prawie nigdy nikt nie przychodził i nie przyjeżdżał. Nie pamiętano o nim, wyjąwszy podatki i datki, ani w starostwie, ani w sąsiedniej parafii. Ludzie z sąsiednich wsi też nie bardzo wiedzieli, ile jest w nim domów, ile dorosłych i dzieci. Nikt też nie wybierał się do tego przysiółka na wesela, festyny i chrzciny, jakoż nikt się tam z naszych nie żenił, nie wiedząc, z jaką przyśpiwką, flaszką, z jakimi swatami tam się wybrać. Również ludzie z przysiółka nie kwapili się z przychodzeniem do sąsiednich wsi. Poza drewnianym miasteczkiem Mojżesza nie uświadczyłeś ich nigdzie.

Poznać ich też można było od razu. Na przednówku oprócz mioteł wiązanych z brzeziny, pędzli z prośnianej słomy, lutowych palm robionych z przekwitającego sitowia i sosnowych kropideł, sprzedawali figurynki wycinane w dębinie i w buczynie. Nie chciano kupować tych figurek, gdyż nie przypominały ani świętych pańskich, ani zwykłych ludzi, ani tym bardziej rycerzy i królewiat z berłem, z jabłkiem złotym. Wszystkie te postaci były w tych figurynkach pomieszane. Do tego jeszcze można się było w nich domyślić czegoś zwierzęcego, ptasiego i roślinnego po trosze.

Ponoć w tym przysiółku modlono się również inaczej niż w okolicznych wsiach. Wprawdzie wierzono w podobnego Boga, ale nie traktowano go jak kogoś od dawna nieobecnego, mogącego się przyśnić, ale nie potrafiącego drasnąć nawet małym palcem wody i powietrza. Wyglądało na to, że ich Bóg wprawdzie już nie mieszka w przysiółku, ale nadal w sianie, w owsianej słomie, gdzie Bogowie lubią się wylegiwać w czasie wędrówki i łążegowania, jest widoczny wygnięciony jego ciałem jeszcze ciepły kształt. Jakby go na śpiączki zdybał i zabrał stamtąd, i niósł do tej pory przez okoliczne lasy dziadek, no, najwyżej pradziadek tego przysiółka.

Stąd ci młodzieniaszkowie z ogolonymi do skóry i natartymi gęsim smalcem głowami, klęczący w czasie suszy u przydrożnej kapliczki, to pławienie świętych obrazów w przepływającej skrajem lasu rzeczce, póki na przednówku nie brzęknie w zimowym jęczmieniu sierp i bochenek chleba, ościsty jak jaźwiec, nie potoczy się po stole, owo wynoszenie do lasu nowo

narodzonych dzieci zawiniętych w poświęcane ziele. Oprócz tego cały przysiółek był ogrodzony, a raczej opalikowany. Między odartymi z kory osikowymi palikami była przeciągnięta kolorowa tasiemka. Tasiemkę tę przysiółkowcy mieli ponoć dostać od podworskiego diabła przyłapanego, jak ogromną motyką przyciupywał ich łąki do łąk baronowskich. Od tej pory ta tasiemka broniła ich przed czarownicami zabierającymi krowom mleko, wysysającymi mlecz ze zwierząt, zamieniającymi nowo narodzone zwierzęta na pokraczne stwory.

Przeto pamiętając o tym wszystkim, tak wcześnie wybraliśmy się do miasteczka. Wprawdzie mogliśmy jechać okrężną drogą przez wsie, ale tamtędy było dalej i niebezpieczniej, gdyż prowadził tamtędy bity trakt, na którym od czasu do czasu zjawiali się Niemcy. Woleliśmy już ryzykować i jechać przez ogrodzony od świata przysiółek.

Gdy dojechaliśmy do powiewających na wietrze tasiemek, zszedłem z wozu, wyjąłem z ziemi dwa paliki i kiwnąłem na Mojżesza. Konie rżąc i prychając, jakby zwietrzyły w pobliżu wilka, przeciągnęły wóz. Wbiłem z powrotem paliki w ziemię, wskakując w biegu na siedzisko. Wjeżdżaliśmy w przysiółek.

Na niebie i na ziemi wszystko było uciszone do mchu, do ptasiego puchu. Nawet z obór, jeszcze uchylonych, z których szły obłoczki pary, nie słysząc było przeżuwania siana, brzęczenia łańcuchów i bydłych westchnień przez sen. Jedynie zza olszynowego lasku schodzącego się z dębina ciurkotała przelewająca się ze stawu do stawu woda. Tam właśnie, nad tą przelewającą się wodą, było prawie jasno, jakby niewidoczna dla nas konnica wyciągnęła tysiące szabel.

Gdy dojeżdżaliśmy do tych stawków, Mojżesz trącił mnie w bok:

- Piotr, Piotr, popatrz, co się tam dzieje.
- A cóż ci wnykarze znowu wymyślili?
- Zdaje mi się Piotr, że to pogrzeb.
- O tej porze? Bez chorągwi? Bez śpiewania?
- I jakaś dziwna ta trumna.
- Zdaje się, że garbata, Mojsze?
- Chyba garbata. Deski się im spaczyły czy jak?

Śmignąłem na konie, chcąc wyprzedzić zbliżający się do polnej drogi pogrzeb. Ale konie, widząc zbliżających się od lasku ludzi, nie chciały wejść w truchcika. Przeto zanim dojechaliśmy do lasku, żałobnicy z trumną już wchodzili z pszennego ścierniska na piaszczystą drogę. Jeszcze ujechaliśmy parę kroków i utknęliśmy w środku pogrzebu. Zdjęliśmy czapki.

Teraz dopiero, widząc dokładnie tę garbatą trumnę, przypomniałem sobie ułomnego staruszka z przysiółka. Jego właśnie najczęściej widywało się na jarmarkach sprzedającego dziwaczne figurki. Oprócz tych figurek sprzedawał jeszcze dziewczętom i chłopakom brzozowe pudełeczka z utartym na tabakę ziele. Wystarczyło ponoć szczyptę tego ziela wypić o wiosennej jutrzni z garnuszką brzozowego soku, aby już w nocy, we śnie, zobaczyć wyśnioną

czy też wyśnionego. Ponieważ staruszek był ułomny podwójnie: garb na plecach i na piersiach garb, poniektórzy wierzyli, że wystarczy go dotknąć, aby mieć dzieci śmigłe jak topole, jak masztowe świerki. Zdaje się, że moja matka wspominała kiedyś, patrząc na mnie wchodzącego pod sad i zawadzającego czupryną o gałązki, że gdy mnie nosiła w sobie, będąc na jarmarku, ukradkiem, żeby ojciec nie spostrzegł, dotknęła dłonią garbatego staruszka.

To najwidoczniej zmarło się staruszkowi. I teraz go chowają. Ale dlaczego niosą go w garbatej skrzyni? I to garbatej ode dna i od wieka. Wprawdzie ułomność staruszka była przerażająca, ale przynajmniej na skrzynię nie trzeba było skąpić desek. Jakoż po śmierci jego ułomność jeszcze bardziej rzucała się w oczy. Medytując nad tym wszystkim i powstrzymując na lejcach wystraszone konie, ani się spostrzegłem, jak do wozu podeszło kilkoro ludzi.

- A czemuż to, bracia, na ten ludzki smutek tak dziwnie patrzycie? Ślepią wam wyłażą i grdyki latają, jakby was za chwilę miano wciągnąć na gałąź. A człek był ułomny, życie miał ułomne i śmierć miał ułomną. To nie wypadło chować go inaczej.

- Oni, ojcze, nic nie rozumieją, choćbyś im tłumaczył trzy dni i trzy noce. Oni stamtąd, od Wisły, od wody. Tam u nich po śmierci - czarne białym bywa, kwadratowe - kołem, a koślawe - prostym. To ojciec zbytecznie tak im się dziwuje.

- Jak to, nic nie pojmą? Dyć tu wszystko jasne. Koślawego dzbanka młotkiem nie sprostujesz. Po co go prostować? Mleko w nim stoi, miód się w nim przesyci i śmietana skwasi. I to nawet lepiej niż w tych okrągłutkich z wyciąganą szyją malowaną w astry. To samo z człowiekiem. Nikt z nas nie zaglądał, co mu się myślało i co mu się śniło. Ale to, co czynił i ręką, i głową, lotne było jak piórko sokole, jak skrzydło jastrzębie. A że zamieszkało w takiej ułomności, tym bardziej nam trzeba uszanować, bracia, to, co po nim zostało. I to tak, jak po nim na ziemi zostało. Taki zwyczaj u nas. To i wam się godzi, boście u nas przecie, po naszymu brata ułomnego żegnać. Przeto zejście z wozu. Brata ułomnego, a kto wie, czy w Panu nie z pierwszych pierwszego, chodźcie uszanować.

I szliśmy za nieustannie gadającym starcem do tej garbatej ode dna i od wieka skrzyni. Gdy byliśmy przy niej, chcieliśmy uklęknąć, ale nam nie pozwolono. Wzięto tylko nasze lewe i prawe ręce i przeciągnięto je po tym ode dna sosnowym garbie i po tym osikowym od wieka garbie. A gdy się to już stało i ręce mieliśmy przy sobie, starzec powiedział:

- I wygładziły się wody za tobą, pagórki i doliny, sukno i jedwab, wełna i niebiosa, i twoja ułomność wygładziła się, bracie. I będziesz w niebiesiach strzelisty jak sosna, jak zorza idąca jasnym słupem z pszenic.

Powiedziawszy to, starzec skinął nam dłonią, że możemy odejść. Do samego miasteczka jechaliśmy w milczeniu. Dopiero gdy wjechaliśmy między pierwsze domy, jeszcze kryte słomą, rozgadaliśmy się o tym pogrzebie.

- Wiesz, Piotr, chciałbym mieć taki pogrzeb.
- Co ty pleciesz, Mojsze? Jak to, taki pogrzeb?
- Ano, właśnie. Nie taki garbaty jak tamten nieszczęśnik, ale w basach, Piotrze. Co tak patrzysz na mnie? Mówię przecież: w basach. No, w tych naszych rodzinnych basach, teraz Izaaka. Ja też na nich grałem. Pierwszy na nich grałem, bom najstarszy, Piotr. A w basach dlatego, żeby było widać, że mam calutki z nich i ze skrzypiec jeszcze, z rodzinnej muzyki.

Zdażyłem go jeszcze zdzielić po karku, żeby przestał pleść, a już zajeżdżaliśmy przed jego dom. W uchylonych drzwiach, w jarmułce, w jubce narzuconej na ramiona, stał Abraham Judka. Krzyknął, zatrzepotał rękami i zniknął nam w sieni. Ale Mojżesz nie zdażył jeszcze wyskoczyć z wozu, gdy on już ptasio podskakującym kroczeniem biegł do nas z powrotem. I tak parę kroków od wozu stali objęci, niemal wtuleni w siebie. Ojciec, odsuwając od siebie Mojżesza, gładząc go po policzkach, po rękawach wojskowego płaszcza, po ostrzyżonej do piórek głowie, szeptał:

- Aj, Mojsze, Mojsze. I to ty, mój syn pierworodny, zostawiłeś ojca i braci zostawiłeś. I sam tam poszedłeś. I patrz, co się stało. A mówiłem, Mojsze. Mówiłeś ci, synku. Tam sam nie dasz rady. Takie wielkie wojsko, trza zawsze prowadzić rodzinną muzyką.

[Spis treści](#)



14

I nie znalazłem tałesu następnego dnia. Nie znalazłem go też tej jesieni i tej zimy, chociaż niemal po garstce przetrząsałem całe siano i niżej położoną koniczynę. Na wszelki jednak wypadek, nosząc siano naręcze po naręczu koniom i bydłu, jeszcze raz sprawdzałem, czy nie ma w nim tej małej Arki Przymierza. O to samo prosiłem matkę.

Również, chociaż szepnęła mi o tym pod sadem, nie zjawiała się następnej nocy Hela. Przeto czekałem na nią noc po nocy. Obok leża wytłoczonego w sianie na głębokość łokcia zsypałem co dorodniejsze jabłka. Żeby, kiedy się zjawi, było co pogryzać, jak wtedy pod dziadkowym sadem, jak po powrocie z festynu. I chociaż było coraz zimniej, gdyż już na dobre zaczęły się przymrozki, że budząc się rano wyskakiwałem spod skostniałej pierzyny, nie miałem odwagi wynieść się ze spaniem do izby.

Heli nie widywałem również za dnia. Wyraźnie mnie unikała. Tylko parę razy pod kościołem w gronie rówieśnic i przez gałązki sadu, przez wierzbowe gałązki, udało mi się ją dojrzeć. Natomiast nie udało mi się zdybać jej pod wierzbami, na dróżce do sklepu, żeby położyć ręce na jej ramionach, pociągnąć za warkocz i porozmawiać. Zresztą również ja podobnie jak wszyscy w owym czasie, byłem zajęty siewami i wykopkami. A gdy już miałem trochę wolnego czasu, nie wypadało mi po nocach łązić pod jej oknami,

upatrywać jej w izbie, czekać na jej wyjście pod ogołocony sad.

Jak wszyscy dorośli chadzałem wtedy do wikliny lub wchodziłem do siejącej się przez kamienie rzeki, żeby z porzuconych tam wojskowych wozów, jaszczy i armat, wyciągnąć to i owo i przywlec do domu. Były to zazwyczaj drobne rzeczy: kawałki metalu, śrubki, orczyki, rzemienne pasy, ale zdarzało się również porządne koło do wozu, pancerna blacha na lemiesz do pługa, dębowy dyszel, siodło. Najbardziej jednak cieszyły mnie wyjęte z piasku i mułu dwa karabiny, kilka skrzynek amunicji, spory pęczek granatów ręcznych i mały, prawie dziecienny, sześćostrzałowy oficerski rewolwer. Ową broń przyniosłem do domu nocą klucząc po zastodolach i ukryłem na samym dnie rozgrzebanego siana.

W jakiś miesiąc albo i później po powrocie z wojaczki, gdy już postanowiłem z końcem tygodnia wynieść się ze spaniem do domu, ponieważ w lesie i pod sadem wyraźnie zbierało się na zimę, leżąc pod pierzyną z rękami podłożonymi pod potylicę i myśląc o broni grzejącej się w sianie pod mną, usłyszałem ciche skrzypnięcie drzwiczek od stodoły. Początkowo sądziłem, że to pies wałęsający się po obejściu i po okolicznych polach, zziębnięty i zziębnięty do kości, próbuje się dostać do stodoły i zagrzebać w sianie tuż przy moim boku. Ale gdy zamiast psiego skuczenia i łap w pazurach, usłyszałem cichy jak przez słomkę oddech i ostrożne skradanie się w stronę mojego zapola, znieruchomiałem.

Nie usiadłem jednak na sianie i nie krzyknąłem. Nie wyjąłem nawet rąk spod potylicy i nie poruszyłem palcem u nogi. Słyszałem tylko, jak coraz głębiej w siano odpływa moja krew, jak każde źdźbło coraz spieszniej oddycha i niemal dławilem się chodzącym coraz szybciej w krtani ogryzkiem adamowego jabłka. A ten ktoś, nie mogąc sobie poradzić z wejściem na stromo ułożone siano, wspinał się po nim na czworakach. Gdy był ode mnie nie dalej niż trzy - cztery kroki, wiedziałem już, że to Hela.

Ale chociaż czekałem na jej przyjście od przeszło miesiąca, nie zawołałem jej po imieniu i nie wyskoczyłem spod pierzyny. Nie dlatego że mógłbym ją wystraszyć. Jakoż nawet lubiałem podchodzić do niej znienacka i nagle obejmować ją wpół. Wtedy czułem, jak pod moimi splecionymi palcami porusza się w niej wszystko, a powietrze przeszywa jej ptasi krzyk. Teraz jednak, pewnie dlatego, że czekałem na nią tak długo, nie poruszyłem nawet palcem, chcąc się przekonać, jak też podejdzie do mnie. Może dlatego chciałem się dowiedzieć, jak ona będzie podchodzić do mnie, gdyż dawniej, zanim spiknęliśmy się w sierpniowych ogrodach, widziałem ją tylekroć w czasie snu idącą po tym sianie, leżącą obok mnie i oddychającą cichutko przy moim boku.

I nie leżałem już na sianie naszeptującym nieustannie sobie wiadome, pełne mleka i snu trawiaste pacierze. Wydawało mi się, że jego suchy oddech, jego ptasio-zwierzęco-roślinna mowa urwała się nagle. Natomiast coraz wyraźniej, w każdym źdźbłe słyszałem swoją krew. I jeszcze słyszałem, jak do tego pulsującego siana dołącza się jej urywany oddech.

A ona już była przy mnie. Zamknąłem oczy. Ale pod powiekami miałem ciągle wieczorną gwiazdę świecąca przez dziurę w strzesze. Tymczasem Hela, widocznie oswojona z mrokiem, szła rękami po pierzynie, żeby sprawdzić, gdzie jest moja głowa. Nie dotknęła mnie jednak. Nie śmiała też wejść pod pierzynę i przytulić się do mnie. Położyła się obok, w ogarniającym zwiezione siano moim ciepło. A gdy ją objęło ciepło mojego ciała, wyciągnęła rękę. Nie położyła jej jednak ani na mojej głowie, ani na twarzy. Widziałem, patrząc spod powiek, że jej ręka z wyprostowanymi palcami idzie powoli po pierzynie. Gdy jej serdeczny palec dotknął mojej grdyki, Hela znieruchomiła.

Poruszyłem się, udając, że wychodzę z siennego snu. Ale nie otwarłem oczu, nie wyjąłem rąk spod potylicy i nie powiedziałem słowa. Tylko cał po calu, niemal piórko po piórku, wspierając się na piętach i na łokciach, przysuwałem się do Heli. Również jej ręka palec po palcu szła po mojej twarzy. Już była na ustach, na oczach, na czole. I tak udając, że nie wiemy wzajemnie o sobie, jakbyśmy się śnili sobie, nocy i sianu pod nami, leżeliśmy biodro przy biodrze, głowa przy głowie. Dopiero gdy ciepło zaczęło uciekać spod uchylonej pierzyny i Hela dygotać, udałem, że wychodzę z głębokiego snu. Westchnąłem i wyjąłem ręce spod potylicy. I nic nie mówiąc objąłem Hele, przyciągając ją do siebie.

Rozbierałem ją haftka po haftce, zatraska po zatrascie. A gdy ją rozebrałem i pod moimi rękami poruszyły się dwa żywe stworzenia, dwie złote renety, wówczas siano pod nami, głębokie na trzech chłopów, stało się niepostrzeżenie sierpniowym stawem białym i sennym od jej nagości. Nie musiałem jednak na tym sianie łamać z całej siły jej podobnego do wiosennego żrebaka oporu. Gdy coraz bardziej ogarniał mnie upał jej nagości, senne i złote lato dziewczęcego ciała, jedyną rzeczą przypominającą tamten pełen nagości staw był jej pacierz mówiony coraz szybciej i niemal wykrzykiwany. I zdawało mi się, że to nie dziewczyna leży przy mnie, ale owi ludzie, śpiewający pod suchym, prosto z igły niebem, proszący o deszcz, odpustowi ułomni z zarośniętymi bielmem żrenicami, błagający o światło, i te suche jak gałęzie w sadzie kobiety, idące na kolanach z pagórka na pagórek, dźwigające nad sobą wapienne kamienie i śpiewające pieśni o Maleńkim na sianie.

Z jej pacierza wynikało (tak biegnie łasica po ośnieżonym płocie, tak postrzelony gronostaj przepływa przez rzekę), że moje ręce widzą i słyszą, moje ręce i ciało moje ślepe, i do tej pory głuche moje ciało, i ciało pomyłone, i jak wiosenny wróbel głupie wie o niej więcej, niż ona mogła pomyśleć, śpiewając w kościele i w polu pomyśleć, i w rzece, i na sianie, kiedy to za dziewczęta, za ich nagość myśli tylko sen.

Zawstydziłem się jej pacierza. I jeszcze bardziej zawstydziłem się swojego ciała. Ale niepotrzebnie się zawstydziłem, gdyż to już nie było moje ciało. Wprawdzie słyszałem się w nim jeszcze i widziałem w nim, nawet jaśniej niż przy Jaśku, gdyśmy kradli konie, i przy Stachu, gdyśmy kąpali się w tej wrześniowej rzece, nie byłem jednak pewien, czy oprócz mnie nie słyszy

mojego ciała ktoś stojący obok i ktoś ukradkiem mieszkający we mnie.

Przeto, nie mogąc sobie poradzić z tym kimś drugim, patrzącym na mnie i spoglądającym ze mnie, odsunąłem się od Heli i od jej pacierza ciągle szeptanego. I żeby nie słyszeć ani słowa więcej, położyłem jej rękę na ustach. Jednak nie na wiele to się zdało. Wprawdzie ciszej, jakby w lesie pod paprocią, ale szeptało jej pacierz głębokie na trzech chłopów siano. A gdy przestawało szeptać siano, zaczynała koniczyna. Po koniczynie pszenica, owies i proso. Wkrótce cała stodoła była w dziewczęcym pacierzu.

Żeby nie słyszeć tego pacierza, tej stodoły całej w sędzielaku i w bielszej od niego modlitwie, zdjąłem z twarzy Heli rękę i zagwizdałem na dwóch palcach najgłośniej, jak umiałem. Hela przestała się modlić, krzyknęła i wtuliła się we mnie. Kuna polująca na wróble u samej kalenicy smyrnęła w sięgającą podsiebitki słomę. Rozszczękał się uganiający po podwórzu pies i zarżały konie stojące u żłobu. Ale siano, koniczyna, owies, drobne proso i cała stodoła, jak ogromne słomiane usta, przestały się modlić. I moje ciało, palec po palcu, dłoń po dłoni, noga po nodze, jak tamto poranione ciało i przebite ciało, zeszło się w sobie. I nikt prócz mnie nie spoglądał na mnie i ze mnie.

- Co się stało, Piotrze? Na kogoś tak gwizdał? Kto tu był? Słyszałam, jak uciekał po sianie i po słomie. I jeszcze teraz słyszę, jak ucieka boso po pierwszym śniegu, po błoniu, po niebie. Powiedz mi, Piotrusiu, kto do ciebie chodzi i kogo się boisz? A może ty gwizdał na mnie? Ale chyba nie na mnie. Bo ja przecież byłam przy tobie i w tobie też byłam, cała, caluteńka, do małego palca, do włosa w warkoczu.

- E tam, tak sobie gwizdałem. Z radości, żeś przyszła. Doczekać się nie mogłem, kiedy przyjdiesz. Już się miałem wyprowadzić do izby. Zima się zbliża. Co rano się budziłem cały w sędzielaku. Gdybyś przyszła tydzień później, zamarzyłbym na kość. Chciałem się doczekać. Postanowiłem sobie, że wyniosę się ze spaniem do domu po pierwszym śniegu. Wydawało mi się, że jak ty przyjdiesz, spadnie pierwszy śnieg.

- Piotrze, ja naprawdę chciałam wtedy przyjść. Byłam tu nawet. Stałam przy stodole. Słyszałam, jak się przewracasz z boku na bok, jak wzdychasz i jak zasypiasz. I słyszałam, jak oddychasz przez sen. Coraz ciszej, cichutko, do mysiego szelestu. I jeszcze słyszałam, jak krzyczysz przez sen i wołasz na kogoś, i rozmawiasz z nim. To jak dzisiaj zagwizdałeś, pomyślałam, że ten ktoś nie tylko we śnie ci się zjawiał i...

- Nikt mi się nie zjawiał i nikt mi się nie śnił. Wymyśliłaś sobie tego kogoś. Albo ten ktoś tobie się zjawia. I ty na niego krzyczysz po nocach, przywołujesz go i rozmawiasz z nim. A jak już koniecznie chcesz wiedzieć, na kogo gwizdałem, to ci powiem. Na siebie. Na siebie, bo mnie nie było. Nie było mnie ani tu, na sianie, ani we mnie. Przy tobie też mnie nie było, Helu.

- ...i odeszłam wtedy... I bałam się przyjść. Myślałam, że ty tak z nim, ze Stachem, rozmawiasz przez sen. A krzyczysz na mnie. Za to wszystko, com ci pod sadem powiedziała. I wczoraj też tu byłam. Chciałam się przekonać, czy

ten ktoś, czy on, Stach, wciąż do ciebie przychodzi i czy jeszcze ciągle krzyczysz na mnie. Ale ty nawet nie przewracałeś się z boku na bok. Widać, od razu zasnęłaś. I stałam tu długo, prawie do północy. Póki Wielki Wóz nie wjechał nad las. Bo sobie postanowiłam, że jak do tej pory nie krzykniesz przez sen i nie będziesz z nikim rozmawiał, będę mogła przyjść do ciebie. Inaczej bym się bała. I jestem, Piotrek. Jestem. I tyś też jest. I nie ma tu więcej nikogo. Ani twojego Jaśka, ani Stacha, ani Mojżesza. I Marysi też nie ma. Prawda, Piotrze, że nie ma? Bo oni tu byli przed chwilą. Wszyscy byli. I wszędzie byli. W tobie, koło ciebie, w sianie, w koniczynie, w pszenicy i w najcichszym prosię. I tyś na nich gwizdał. A tylko tak mówisz, że na siebie. Na nich gwizdałeś, żeby się wystraszyli, żeby uciekli, boś chciał być ze mną. I nie chciałeś, żeby patrzyli, jak jesteś ze mną.

- Może i na nich gwizdałem po trosze. Chociaż, Helu, nigdy ich tu nie było i dzisiaj też ich nie widziałem. Ale przede wszystkim gwizdałem na siebie. I na ciebie też. Bo mi się zdawało, że nas też nie ma i nigdy nas na tym sianie nie było. A to wszystko z radości i przez ciebie, Helu.

- Piotrusiu, a byłeś już tam, u niego, za wodą? Boś mówił, że masz być i zanieść książeczkę wojskową, i jeszcze coś tam zanieść. I powiedziec im, jak z nim było. To byłeś tam, Piotrze?

- Byłem. Zaraz na trzeci dzień. I jabłek im zaniósłem. Z tej jabłonki przy płocie. Oddałem im medalik i książeczkę wojskową. I powiedziałem wszystko. O tej kobiecie też i o chłopcu. Ale oni nic nie rzekli, o nic nie pytali. Oczy mieli suche. I ręce trzymali na stole. Takie same jak jego, tylko trochę większe. To jak nic nie mówili ani słowem, ani rękami, ani powieką, tom nie siedział tam długo. Tylko się zabrałem i zamknąłem drzwi, i wyszedłem na drogę. A jak już byłem na drodze, usłyszałem, że się otwierają drzwi i okno i stary truchcikiem podbiega do mnie, i stara, stojąc w oknie między doniczkami z asparagusem, pochlipuje. Ale się nie obejrzałem. Poczuję, jak stary chwyta mnie za rękaw, przyciąga do siebie i szepcze mi do ucha. Tyłem z tego zrozumiał, żeby nikomu nie mówić o Stachu. Bo oni czekają. A jak o nim powiem i to się rozniesie, to on już nie wróci.

- I nie powiedziałaś nikomu, Piotrze? Powiedz, żeś nikomu o nim nie powiedział. Nawet Mojżeszowi, nawet tamtej kobiecie, tamtemu chłopcu. I że sobie też nie powiedziałaś. Prawda, Piotrusiu, żeś nie powiedział?

- Czego ty chcesz ode mnie, Helu? I cóż z tego by ci przyszło, co by przyszło starym, choćbym nie powiedział? I tak to wszystko widzę. Nawet oczu nie muszę przymykać, żeby widzieć. I teraz też widzę. Leci mi przez ręce jakby kłociowy snopek i w koc go zawijam. Ziemią przysypuję.

- To dlatego go tak widzisz, żeś go już przedtem, jeszcze na festynie, nad wodą, przysypał ziemią. Ale ja go widziałam inaczej. I oni, jego starzy, też go widzieli inaczej. I twoja ziemia, tamta z festynu i tamta z wojny, nigdy go nam nie przysypie.

- To po coś tu przyszła?

- Jak to, po co, Piotrze? Przecież ci mówiłam. Boś przestał już krzyczeć i

mówić przez sen. A jak przestałaś, to się bała, że nie pamiętasz o nim i że nie ma go już w tobie. A jakby go nie było w tobie, nie byłoby go we mnie, w jego rodzicach. A jak już przyszedłam do ciebie i przy tobie zapomniałam o nim, toś ty wtedy zagwizdał. To myślała, że gwizdzesz na niego. A jak powiedziałaś, że nie na niego, tylko na siebie i na mnie, to się zaczęła bać o niego. I teraz też się boję.

- Ale Stacha już nie ma i nie będzie, Helu.

- Pleciesz, Piotrze. Jak to nie ma? Jest i musi być. Dopóki ty jesteś. Dopóki będziesz pamiętał, żeś go chciał zabić, żeś go zawiął w koc i przysypał ziemią. I nie wywikłasz się z tego.

- Aż czegoż ja mam się wywikłać? A chociażby nawet było z czego, to nie moja sprawa. I nie przychodź tu więcej. I nie podsłuchuj. Możesz chodzić z nim. Jak chcesz, dam ci jego fotografię. Podarował mi ją na pamiątkę w tarnowskich koszarach. Zrobisz z niej powiększenie. Widziałem takich na odpustach. Z najgorszego zdjęcia robią nawet portret świętego, anioła, archanioła. To sobie zrób taki portret, opraw w ramki i noś na srebrnym łańcuszku. Żeby on był z tobą wszędzie. W polu i w lesie, nad rzeką i w rzece, w czasie snu i w czasie obiadu. Żebyś się z nim nigdy nie rozstawała. A ja tymczasem będę szukał tego, który go zabił. I znajdę go, chociażbym miał uśmiercić wszystkich Szwabów. A jak znajdę tego, który zabił Stacha, on mnie wtedy opuści. A jak mnie Stach opuści i rozjaśni się we mnie i będę mógł śpiewać leżąc w trawie nad rzeką, nie powiem ci o tym. Żebyś nigdy nie mogła zaśpiewać, żebyś chodziła z nim do samej śmierci.

- A żebyś wiedział, że będę chodziła. A ty ich zabijaj, zabijaj ich, Piotr. Jeszcze tam nad stawem i na strzesze mówiłam ci, Piotrze. Pamiętasz, com ci mówiła: jak ty będziesz królem, to będę królową, a jak katem będziesz, to katową będę.

- Pamiętam, Helu, pamiętam. Nigdy nie zapomnę, co mi wtedy mówiłaś. A gdy to powiedziałaś, dodałaś jeszcze, że mi urodzisz okruszynkę, syneczka, kociątko najmilsze, kociątko.

- A żebyś wiedział, Piotrze. Żebyś wiedział.

[Spis treści](#)



Było nas kilkunastu. Jedni leżeli pod jabłonkami, pogryzając jabłka lub cichutko pogwizdując sobie. Obok nich w trawie mokre od rosy leżały karabiny. Paru siedziało wspartych plecami o jabłonki, trzymając karabiny między kolanami i ćmiąc ukryte w garści papierosy. Miałem ich wszystkich przed sobą, gdyż siedziałem na wiechciu słomy z głową wspartą o deski stodoły. Karabinu nie miałem. W kieszeni, gdy jej dotykałem ręką, wyczuwałem płaski, sześćostrzałowy rewolwer, wygrzebany dwa lata temu z

dna rzeki.

Pilnowaliśmy partyzanckiego sztabu obradującego w piwnicy jeszcze pustej wewnątrz, przywalonej zwiezionym sianem i zbożem. Zresztą nie pierwszy raz ubezpieczaliśmy takie obrady. W czasie tych obrad, odbywających się podobnie jak tym razem w mojej piwnicy, byłem zawsze łącznikiem. Zdarzało się, że musiałem latać po wsi za tym i owym. Ale zazwyczaj moja rola kończyła się na przyniesieniu z komory kwaśnego mleka, chleba lub słoniny. Bywało czasem, gdy obrady się przeciągały, że proszono mnie o bimber. Wtedy też pozwalano gołnąć sobie leżącym lub siedzącym pod sadem chłopcom.

Również dzisiaj nie obeszło się bez gorzałki. Toteż obok lufcika do piwnicy, przez który aż pod środek sadu dolatywały głośniejsze wypowiedane słowa, stało parę pustych butelek, garnków po mleku i emaliowanych talerzy. Widocznie tamtych w piwnicy męczyło pragnienie i zgaga, bo co chwilę proszono o jabłka. Wchodziłem wtedy pod sad i ująwszy paroletnie drzewko za pień, potrząsałem nim parę razy. Jabłka zebrane do zanadru i kieszeni zsypywałem przez lufcik do pustej piwnicy, aż dudniło. To zsypywanie jabłek tym w piwnicy nazywało się w naszej gwarze alianckim bombardowaniem.

Również dzisiaj, gdy oprócz mleka, butelek i talerzy z chlebem podawałem do piwnicy jabłka, któryś z chłopaków leżących pod sadem nie omieszkał zapytać:

- Jak tam, Piotrze, nadlatują?
- Jak słyszysz. Już są nad Berlinem.
- Wolałbym, żeby byli nad Warszawą.
- Poczekaj na jabłonkę spod płotu. Zacznie rodzić, będą nad Warszawą.

I znowu pod sadem było cicho. Teraz nawet żaden z chłopców nie pogwizdywał i nie nucił. Widocznie zmorzyło ich tych parę łyków bimbrowa i późna pora. Poza tym każdy z nich, zanim przekradając się po zastodolu i polami przyszedł tu z karabinem, kosił zboże lub cały dzień zwoził snopki. Ci, którzy zasypiali w trawie nie czując rosy, i ci, oparci o jabłonki, aż stękali przez sen z przemęczenia. Również i mnie, chociaż wytrzeszczałem oczy i powieki niemal podpierałem palcami, troiło się w źrenicach. Co chwilę zapadałem w drzemkę, nie czując od podawania snopków na drabiniasty wóz i zwałania ich z wozu do stodoły obolałego kręgosłupa.

Budziłem się z tych krótkotrwałych drzemek, zrywając się na równe nogi z przerażenia. Zazwyczaj śniło mi się, że pod sad weszli gestapowcy i wyprowadzają spod niego Stacha ze skutymi do tyłu rękami. Stach był bielszy od brzozy, jakby go wyciągnięto przed chwilą z dołu gaszonego wapna. I chociaż widziałem go z tyłu, głowę miał zwróconą w moją stronę i patrzył na mnie zbiegającymi i uciekającymi w głąb czoła źrenicami. I ja nie mogłem trafić do kieszeni, żeby wyjąć z niej rewolwer i strzelać.

Również dzisiaj śnił mi się Stach. Toteż ręce miałem spocone i niemal czułem, jak wtedy gdym śpiewał wielkopostne pieśni na chórze, gdym się spiknął z Helą w sierpniowym stawie, że mam je przebite na wylot. Na wszelki

więc wypadek, bojąc się tego snu i tych przebitych rąk, trzymałem prawicę w kieszeni, ściskając w niej oksydowany rewolwer. I starałem się nie zasypiać, obserwując schodzącą coraz niżej za niewidoczne złote wzgórza za Wisłą żniwną gwiazdę.

Gwiazd tych zresztą też prawie nie było widać, gdyż jabłonki, mimo że paroroczne, prawie łączyły się z sobą gęstymi koronami, a i niebo w dymie i kurzu idącego z letnich burz i koszonego zboża. A może tak tylko mi się zdawało. Ale chyba nie, gdyż psy prawie nie szczekały. A wiadomo przecież, że psy zaczynają szczekać dopiero wtedy, gdy na niebie jest sporo gwiazd. Jakoż każdy pies może sobie wtedy pozwolić na oszczekiwanie swojej gwiazdy.

Nie piał też koguty i nie stękało po oborach przeżuwające trawę bydło. Noc była pełna snu, a w tej nocy parę karabinów rdzewiejących od rosy i kilkunastu chłopców, stękających przez sen z bólu rozsadzającego krzyże po całodziennej pracy przy żniwach i zwózce snopków. A taką noc nazywa się nocą zarżniętego koguta i nocą śniętej ryby, i jeszcze nocą torfiastego, patrzącego naftową żrenicą bagna.

A oni tam w piwnicy, siedząc na podścielonym sianie z podciągniętymi pod siebie nogami i ledwie się widząc w świetle filującej karbidówki, radzili z tym prawie posiwiałym kapitanem. Przymykając oczy, widziałem wąskie prawie kościelne ręce kapitana, chodzące tuż przed jego twarzą o ustach nadmiernie cofniętych, żeby żadna dziewczyna nie mogła ich dosięgnąć wargami. I widziałem też tego starego zugsfürera, mówiącego raz na tydzień jedno zdanie, ponoć najlepszego przy szabli ułana. I złotymi literami, bo co roku, zapisanego w niebiosach i na plebanii, ojca. I jeszcze widziałem najmłodszego z nich, podobnego do dziecka oblizującego palce z miodu, małego plutonowego. Przyjaźniłem się z nim od roku, chociaż nie był z naszej wsi, bo aż gdzieś spod Częstochowy. I chociaż był u nas dopiero dwa lata, wydawało mi się, że podobnie jak na Jaśka, Stacha, Mojżesza czekałem na niego od dzieciństwa. On też, jak go zwano, plutonowy Pawełek, umiejący grać na skrzypcach i na klarncie, a ostatnio na guzikowej, kupionej od jakiegoś Szwaba harmonii, podchodzący do wszystkich dziewczyn jak do gałązki z wiśniami i całujący je w biały dzień przy wszystkich w usta, trafiający z pistoletu w sam środek rzuconego w niebo jabłka, zmyślający na podorędziu dykteryjki o naszym skąpym proboszczu, że te pamiętające jeszcze tamtą wojnę organy spiknęły się z leszczyną i teraz na wiosnę urodziły cały zagajnik ołowianych piszczalek, że święty Florian ulitował się wreszcie i zapłakał nad wiecznie głodnym plebańskim parobkiem, a co łza mu kapnie z rzęsy, złoty dukat na kolana parobkowi spada - przesiadywał niemal całymi dniami w moim domu.

Często też zostawał na noc. Leżąc z nim w stodole, zwłaszcza jesienią, gdy już prawie nie było roboty, wspominaliśmy tamten wrzesień. Tylko jemu opowiedziałem wszystko o Stachu i o Heli. Gdy mu opowiedziałem w nocy w stodole, zaśmiał się cichutko i waląc mnie pięścią w plecy, rzekł:

- Szczęściarz z ciebie. Piotrze. I nawet nie dlatego że dziewczyna jak igła wybrana ze stogu. A dlatego, pieścidełko ty nasze, że cię za dwóch kochać będzie. Bo za Stacha też. Co tak na mnie patrzysz? Jak mi nie wierzysz, to się zamień ze mną. Dam ci za nią wszystkie panny ze wsi. Nie chcesz? To jeszcze na dodatek po wojnie wyślę ci za mój grosz na pielgrzymkę do mnie, do Częstochowy, żeby ci wybaczone twoją głupotę. Też nie chcesz? No, widzisz. A co do tego kata i do tej kątowej, wszystko ci ułatwię. Już w tym moja głowa, żeby ci znaleźć tego, który zabił Stacha.

Gdy przymykałem oczy, widziałem ich wszystkich trzech. Najwyraźniej jednak Pawełka. I nawet wtedy go widziałem, gdy miałem oczy otwarte i prowadziłem po niebie swoją gwiazdę zjeżdżającą za niewidoczne złote wzgórza za Wisłą. Może dlatego widziałem go tak wyraźnie i wszędzie, że pamiętałem, od roku pamiętałem, co mi obiecał. Właśnie dzisiaj, obradując w piwnicy, mieli rozstrzygnąć, czy zabijemy listonosza z sąsiedniej wsi. Mieli postanowić, kiedy się go kropnie i kto. Wiedziałem, że Pawełek wskaże mnie.

Toteż zasypiając, budząc się i patrząc na chłopców, na dobre ogarniętych przez drzemkę i rozrzuconych na wznak pod sadem, i spoglądając na niebo prawie złote od idących żniw, i niemal krzycząc po tych krótkotrwałych snach, w których zjawiał mi się nieustannie Stach prowadzony przez gestapowców. Stach cały biały, jakby go wyciągnięto z gaszonego wapna, nasłuchiwałem, kiedy padnie moje imię i wszyscy powiedzą: zgoda! i podniosą się z trawy, i wyjdą pod sad, i spojrzą na mnie. A gdy się poderwę na baczność, kapitan podejdzie do mnie i prawie nie otwierając tych uciekających od pocałunków ust, powie:

- Kapralu Piotrze, do mnie!

A ja idąc do niego te cztery - pięć kroków, zobaczę listonosza z sąsiedniej wsi. I zanim zobaczę siebie i Stacha w jego źrenicach, on wcześniej zobaczy mnie i nas wszystkich, i tego wydanego na śmierć porucznika, i syna gajowego, i młodziutkiego wikarego, i tamten karabin maszynowy zakopany w wyłożonym sianem dole nad Dunajcem. I sięgnie do tylnej kieszeni spodni. A ja, połykając ostatnie słowo wyroku, strzelę mu między oczy. I pochylę się nad nim. I jeszcze raz zobaczę w jego źrenicach siebie i Stacha. A odchodząc od niego, będę słyszał, jak na drodze prowadzącej do przewozu terkoce dobrze naoliwione kółko od roweru i na ścieżkę prowadzącą skrajem drogi sypie się ziarenko po ziarenku biały piasek.

Prawie drzemałem z otwartymi oczami. W moją drzemkę kropla po kropli kapąły przejrzale, czerwone i złote jabłka. Słyszałem jeszcze, jak koło kuźni szczeka pies, a nad rzeką, pachnącą aż tu pod sad rozciętą nożem rybą, krzyczy duszony przez łasicę lub wodnego szczura ptak. Nie widziałem natomiast ani nieba z coraz niższą gwiazdą, ani chłopców pochrapujących w trawie, ani tych opartych plecami o jabłonki, trzymających między kolanami wyciągnięte z siana, ze stryszków karabiny.

Z drzemki zerwał mnie na równe nogi jasny przypominający giętką trzcinkę głos:

- Leca! Leca! Piotrze, słyszysz? Leca!

Mając jeszcze pełne uszy kapiących pojedynczo złotych i czerwonych jabłek, krzyku duszonego nad Dunajcem ptaka, słyszałem, jak strzechę stodoły i mój sad, teraz prawie widny od jutrzennego nieba, bombardują. A przy mnie, podnosząc się na palce i opadając na pięty, ubrany w obcisłą wojskową kurtkę, w rogatywkę zsuniętą na tył głowy, stał Pawełek i biorąc mnie pod brodę i zaglądając w zaspane oczy, wołał tym swoim jasnym, przypominającym białą trzcinkę, głosem:

- Oj, gapo, gapo. Aleś spał. I nic nie słyszałeś. A nasi lecieli. Serki nam zrzucali i białe bułeczki, i orzechy twarde, żelazne orzechy. Jeszcze teraz te spóźnione spadają ze strzechy. Po sadzie się sypią. A tyś wszystko przespał.

Uśmiechnąłem się i trzepnąłem Pawełka po ramieniu. Widziałem, jak chłopcy, już na równych nogach, z karabinami na plecach, rzucają jabłka na strzechę stodoły, jak jeden z nich, najsilniejszy, Kazik, odchodzi od jabłonki i obciera w trawę mokre od pozieleniałego pnia ręce. Teraz wszyscy podchodzili coraz bliżej do nas i nie kryjąc uśmiechu, gadali jeden przez drugiego:

- Aleśmy cię, kapralu, nabrali. Twardo kapral śpi. Byle po ożenku kapralowi ten sen się odmienił. Bo jak po weselu będzie tak jak dzisiaj, jeszcze kapralowi żonkę spod pierzyny jaki-taki świśnie.

- E, tam zaraz świśnie. Kapral to nie Józek z Kozackiej Makówki, co to mu kobitę w pierwszą noc po ślubie z siana aż do lasu parobcy sturlali. Kapral jak kościelny, chytry i przebiegły. Żeby rano po schodach na dzwonnice nie leżć, sznur od sygnaturki do domu przeciągnął i do nogi sobie przywiązał. Zbudzi się. to nogę parę razy zegnije i już anioł pański o bielutkich skrzydłach nad parafią leci. Szkopuł tylko w tym, że czasem w środku nocy dzwoni. To kapral to samo z żoneczką uczyni. Przywiąże się do niej na tę pierwszą nockę jedwabnym sznureczkiem.

Znosiłem te kpiny w pokorze. Ustaliliśmy bowiem, że jeśli kogoś z nas przyłapie się na drzemce, każdemu będzie wolno nabijać się z niego do woli. Przyłapanemu natomiast nie wolno się było odcinać. Zresztą chłopcy, tylekroć przyłapani przeze mnie, od dawna czyhali, żeby mnie przydybać. Toteż pozwalali sobie. Gdyby nie Pawełek, który widząc wychodzących z piwnicy kapitana i zugsfürera, wrzasnął: **- Baczość! -** docinkom nie byłoby końca.

Kapitan, obciągając wciętą w pasie wojskową bluzę, strzepując z rękawa żdźbło siana i wdzierając rogatywkę o twardym lakierowanym daszku, podchodził do nas. Za nim, pochrzając, szedł zugsfürer. Pod ich butami pękały jabłka. Nad rzeką znowu krzyknął ptak. Gdy kapitan był już między nami, zobaczyłem, jak drgały jego uciekające od pocałunków usta. Prawa ręka, wąska i szczupła, jakby przez całe życie trzymał ją między kartkami mszału, rozpiniała i zapinała środkowy guzik bluzki. W lewej trzymał nie dojedzone jabłko.

Widocznie idąc do nas chciał już coś powiedzieć. Ale przypomniawszy

sobie o jabłku, podniósł je do oczu, jak dawniej królowie, i dokładnie obejrzał. Było czerwone. Wtedy zamykając jabłko w dłoni i patrząc po kolei na każdego z nas, na naszą broń, buty i uniformy, opuścił głowę. I wygrzebując czubkiem buta kawałki rozgniecionego jabłka z trawy pełnej rosy, jakby w tej trawie, w tych kawałkach jabłka szukał słowa po słowie, rzekł:

- Musimy go zabić. Jeszcze dzisiaj. O świcie. On wtedy jedzie do przewozu. Na pocztę po drugiej stronie rzeki. Na całe szczęście od wału do przewozu jest trzyletnia wiklina. W tej wiklinie poczekamy na niego. Ale zastrzelili go jeden z was. Kapralu Piotrze, wystąp!

Postąpiłem trzy kroki. Chrupnęły trzy rozgniecione jabłka. Czwarte pękło w ręce kapitana.

- Wy go zastrzelicie. Macie tu papier z wyrokiem. Odczytacie mu wyrok. Powoli i dobitnie, żeby wszystko zrozumiał. My zaś, chłopcy, będziemy ubezpieczać kaprała. To nasza pierwsza robota. Więc jak, kapralu, zgadzacie się? Nie musicie się spieszyć. Macie do namysłu dziesięć minut. Przymusu też nie ma.

- Rozkaz, kapitanie!

Wprawdzie to niskie niebo nad rzeką już się rozjaśniało, ale do świtu było jeszcze sporo czasu. Nie rozeszliśmy się jednak do domów, żeby te dwie - trzy godzinki wygodnie przedrzemać. Wychodząc spod ocieniałego sadu, przeglądaliśmy broń, obcierając je rękami z rosy. Potem ułożyliśmy się pod sadem do drzemki.

Siedziałem na dawnym miejscu pod okapem stodoły, gdyż było tam najsuszej, patrząc przez cały czas na rozjaśniające się niebo. Pod sadem, zrywając jabłka to z tej, to z tamtej jabłonki, przechadzali się kapitan, zugsführer i plutonowy Pawełek. Ponieważ prawie nie rozmawiali, Pawełek co jakiś czas podchodził do mnie, częstując mnie papierosem. Parę razy spostrzegłem, że ma ochotę o coś zapytać, ale w ostatniej chwili machał ręką i zaciągając się papierosem, odchodził pod sad.

Wolałem nawet, że o nic nie pytał. Jakoż patrząc na niebo, widziałem jadącego po nim listonosza. Spod kół pomalowanego na wiśniowo rower, wyczyszczonego naftą z najdrobniejszych pacynek błota, zrywały się drzemiące obok ścieżki wiodącej między zbożami i koniczynami całe stada przepiórek. Na niebo, na listonosza, na wiśniowy rower, sypały się szare piórka. Również gdy od czasu do czasu spoglądałem na tę trójkę przechadzającą się pod sadem, widziałem między nimi prawie ocierającego się o ich ramiona listonosza. Wydawało mi się nawet, że każdemu z nich podał dużą zalakowaną kopertę.

Wtedy sięgałem do kieszeni. Leżał w niej zawinięty w arkusz kratkowanego papieru z wypisanym wyraźnie wyrokiem oficerski rewolwer. Wyjmując ostrożnie rękę z kieszeni, jakbym trzymał w niej święte olejki na ostatnie namaszczenie, sięgałem po spadające nieustannie jabłka i rzucałem nimi w śpiących pod sadem chłopców. Oberwawszy, stękali przez sen, przewracali się na drugi bok i podkulając pod siebie nogi, jeszcze twardziej

zasypiali. Wtedy miałem ochotę wejść cichutko pod sad i wrzasnąć na cały głos:

- Po-bud-ka!

Ale przypomniawszy sobie Stacha i zaraz po nim Hele, kulilem się w sobie i naciągając na oczy furazerkę, żeby nie widzieć na niebie i między tą trójką przechadzającą się pod sadem listonosza, starałem się zasnąć.

Właśnie tak, z czapką ściągniętą na oczy, z kolanami podciągniętymi pod brodę, zastała mnie ta trójka chodząca pod sadem. Któryś z nich, Pawełek, zawołał mnie po imieniu. Opierając się plecami i potylicą o deski stodoły, stanąłem na baczność. Czapka spadła mi z głowy. Poraziło mnie prawie wapienne światło pod sadem. Również twarze stojących przede mną: kapitana, zugsfürera i Pawełka były prawie wapienne.

- Gotowiście, kapralu? - spytał kapitan, kładąc mi na ramieniu tę wyjętą z mszału dłoń.

- Gotów - szepnąłem, czując że razem z tym słowem połykam ogryzek jabłka w krtani.

- To budźcie chłopców. Już czas. Niebo całe w jutrzni.

- Właśnie - dorzucił zugsfürer.

- Jakby zarzynano jagnię na ofiarę - wyjaśnił Pawełek.

W parę minut nasz oddziałek stał w dwuszeregu pod stodołą.

Przechodząc przed oddziałkiem i sprawdzając, czy wszyscy mają broń i wyglądają należycie, czułem dolatujący ze stodoły zapach siana pomieszany z zapachem zsypanych weń jabłek i zapach porannego snu bijącego z rozgrzanych ciał chłopców. Było na tyle jasno, że widziałem każdy przyszczypek na ich schodzonych butach, każdą łatę na starannie cerowanych półwojskowych uniformach. I jak ich było kilkunastu, podwójnie, bo w każdej żrenicy osobno, widziałem listonosza jadącego na wiśniowym rowerze.

Spod sadu wyprowadziłem chłopców na błonia pod wierzbami. Z błonia weszliśmy w ogrody. Szliśmy gęsiego. Prowadziłem. Pochód zamykał kapitan. Ponieważ prawie cały owies, proso i część pszenicy były jeszcze nie skoszone, słyszałem, jak kłosa przechylone nad ścieżką dzwonią o karabiny chłopców. Nie patrząc pod nogi, czułem, jak moje spodnie, wpuszczone w zdobyczne saperki aż do kolan, coraz bardziej przemakają od rosy. Gdy od czasu do czasu oglądałem się za siebie, widziałem, że również chłopcy przemokli do pasa. Z ich karabinów przerzuconych przez plecy ściekała strużkami woda.

Gdy podchodziliśmy pod rozlewisko w ogrodach, rozboleł mnie szczyt brzucha schodzącego się w lędźwie i gardło miałem przebite upierzoną strzałą. Albowiem staw, widoczny przez kukurydzę i przez owies, przez tyczkowy groch, był jeszcze bardziej nagi niż trzy lata temu, gdyśmy się w nim kąpali z Helą. Również dzisiaj wyskakiwały z niego, wierzgając w płytkiej wodzie i rżąc donośnie, spłoszone rzucanymi przez nas jabłkami konie. Za końmi, uczeptieni ogonów i grzyw, wyskakiwali z wody nadzy, przydymieni do

cyny przez upał paroletni chłopcy. Ściskając w garści rewolwer zawinięty w arkusz kratkowanego papieru z wyrokiem, miałem ręce przebite na wylot i nogi na podbiciu miałem też przebite i wszyscy chłopcy idący za mną wkładali mi po kolei w otwarty bok swoje wielkie jak bochenki ręce.

I chociaż w szeregu nie wolno było palić, wyciągnąłem ukradkiem z kieszeni papierosa. Pod prawie jasnym niebem oglądałem swoje ręce, sprawdzając ich wewnętrzne dolinki aż do bólu pod paznokciami. Oprócz rany po niegdysiejszym weselnym nożu, kiedy to biłem się o jakąś dziewczynę, i paru kropel rosy, nie było na nich śladu skaleczenia. Przy tym oglądaniu dłoni, prawie upadając (zaplątany w wyłożoną przez burzę pszenicę, zobaczyłem tamten sad i strzechę pod sadem. Nie mogłem jednak dojrzeć wgłębienia na strzesze po moim i po Heli ciele. Natomiast upatrując pod gałęziami zachodzącymi na strzechę, wydawało mi się, że na całej strzesze leżą przytulone do siebie pary. Gdy patrzyłem na to wszystko prawie nieruchomymi oczami, w chłopcach leżących na strzesze widziałem Stacha, a w dziewczynach Hele. Nad nimi po kalenicy domu jechał wolniutko na wiśniowym, czyszczonym do połysku naftą rowerze listonosz z drugiej wsi.

Z tych przywidzeń otrzeźwiałem dopiero wtedy, gdyśmy weszli w wiklinę. Mokre od rosy chabinki zbyt boleśnie biły mnie po twarzy. Pod wikliną, nie bacząc na biczujące mnie gałązki, wyszliśmy nad rzekę. Idąc gęsiego nad omiecioną z mroku wielkim skrzydłem wodą, widziałem czerniejący przy brzegu i z tej odległości przypominający utopionego wołu dębowy prom. Po drugiej stromej rzeki, prawie niewidoczna w parującej wiklinie i w sadach, ciągnęła się wieś Stacha. W tej wsi pośrodku stała murowana poczta. Obok niej budynek niemieckiej żandarmerii. Tam co rano jeździł listonosz.

Gdy dochodziliśmy do promu, blisko nas, niemal na wyciągnięcie ręki, zagwizdał pierwszy tego ranka ptak. Wchodząc z powrotem w wysoką wiklinę, wyszliśmy po kilkunastu krokach na żwirowaną drogę prowadzącą do promu. Chłopcy, zdejmując z ramion karabiny, usiedli w trawie. Skręciwszy papierosy z czarnej jak smoła machorki, ścigali buty, wylewając z nich rosę. Oparty plecami o krzak wiklinowy, miałem przed sobą Pawełka przykucniętego za dzikim bzem rosnącym na skraju drogi. Czekałem, kiedy kiwnie mi ręką.

Wcześniej jednak usłyszałem pryskający spod kół żwir i brzęczenie kamyków o rachwy i szprychy. Na bałyku podszedłem do Pawełka. Ujął mnie za ramię i ściskając z całej siły, szepnął:

- Wyjdę z tobą.

Wyjąłem z kieszeni rewolwer owinięty w wyrok. Składając arkusz kratkowanego papieru w czworo, wepchnąłem go do kieszeni na piersiach. Szurgot roweru był coraz bliższy. Jakby jechał po tym zwiniętym we czworo arkuszu papieru. Gdy listonosz wyjechał zza zakrętu drogi i słońce wstające za wodą uderzyło go w oczy, że zasłonił je lewą dłonią, Pawełek wypchnął mnie zza bzu.

Stałem pośrodku drogi, oczekując zbliżającego się listonosza. Ponieważ listonosz był rośły, wydawał się jeszcze wyższy w porannym słońcu na

wyciągniętym siodełku. Poza tym, zwyczajem ludzi starszych, nie umiał jeździć na rowerze. Siedział na nim wyprostowany, jakby go od tyłu przywiązano do dębca. Może właśnie dlatego, gdy zbliżał się do mnie, wydawało mi się, że nieustannie rośnie. Jego głowa migąła mi nad trzyletnią wikliną. Na pewno ludzie, którzy o tej porze przechodzili po wale, widzieli ponad wikliną jego głowę w urzędniczej czapce. Tak jak ja widziałem jego twarz, rozrastającą się na całą szerokość drogi, zachodzącą w wiklinę.

Listonosz zjeżdżając ze środka drogi na pobocze i myśląc zapewne, że to jakiś wczesny rybak, chciał mnie wyminąć. Ale na ścieżce natknął się na Pawełka. Stał teraz przy nas z tym wiśniowym rowerem podtrzymywanym udami. Pod jego stopami, obutymi w komiśne trzewiki, skrzypiał żwir i piasek. Ponieważ Pawełek trzymał rower za kierownicę, a ja za siodełko, listonosz, próbując wyjmować z wewnętrznej kieszeni jakieś papiery, bełkotał:

- Panowie, ja zaraz, panowie...

Gdy listonoszowi wreszcie się udało wyjąć paczkę papierów przewiązanych sznurkiem, stałem na baczność, odczytując słowo po słowie wyrok. Równocześnie z ostatnim słowem wyroku upadła na drogę paczuszka przewiązana sznurkiem. Wyjąłem z kieszeni rewolwer repetując. Pawełek powstrzymał mnie ręką, sięgając po paczuszkę. Rozwiązując sznurek, przeglądał list po liście, karteluszek po karteluszk. Wkładając paczuszkę do kieszeni, rzekł:

- Nic ciekawego. Ale poczekaj jeszcze. Trzeba go zrewidować. Może coś ukrywa.

Grzebiąc po kieszeniach listonosza, wyrzucał na drogę po parę groszy. Z małej kieszeni u spodni wyjął niklowany zegarek na łańcuszku.

- O już tak późno. Prawie piąta. Chcesz zobaczyć, Piotrze?

Widziałem, że listonosz coraz bardziej blednie. Jego ręce wzniesione nad głową przypominały dwa kawałki wapnia. Gdy Pawełek wyjmował mu zegarek, przymknął oczy. Chowając do kieszeni odbezpieczony rewolwer, podszedłem do Pawełka. Pochylając się nad jego ręką z zegarkiem, dotknąłem go palcem. Odskoczyło niklowane wieczko. Spod niego wypadła wielokrotnie złożona bibułka. Podniosłem ją i zacząłem rozwijać ostrożnie. Bibułka była zapisana maczkiem. Nie mogłem tego maczku odczytać. Nie szło też to czytanie Pawełkowi. Wywołaliśmy z wikliny kapitana.

Grzebał po kieszeniach, szukając okularów. W tych okularach na nosie, z ustami jeszcze bardziej cofniętymi i uciekającymi od pocałunków, trzymał bibułkę w ręce, jakby wyjętej z mszału i wyprostowanej na całą długość ramienia, sylabizował literka po literce. Wreszcie opuszczając ręce wzdłuż biodra, wykrzyknął:

- Przecież to moje nazwisko. I zugsfürera. I twoje, Pawełku, I wasze, kapralu. I wszystkich chłopców!

Nie panując nad sobą, zamachnął się, uderzając listonosza w twarz. A gdy listonoszowi głowa uskoczyła w bok, uderzył jeszcze raz i jeszcze. Z rozbitego nosa, z rozciętej wargi listonosza ciekła krew. Ciągle trzymając

zbielałe ręce podobne do dwóch kawałków wapnia nad sobą, próbował obetrzeć twarz o ramię. Kapitan, już uspokojony, wycierając o spodnie wyjęte z mszału ręce, szepnął do nas:

- Brać go do wikliny. Przebadać. Tylko piorunem.

Prawie zepchnęliśmy listonosza z roweru. Szedł na przypominających szczudła nogach. Na takich wysokich szczudłach łąziliśmy pod jesień w dzieciństwie od domu do domu. Z wydrążonymi z miąższu dyniami na głowach, w których były wycięte oczy i usta i przytwierdzone gawronie skrzydła lub sowie szpony, stawaliśmy za oknami rozjaśnionymi naftowymi lampami, strasząc skubiące pierze dziewczęta.

Listonosz schodząc z rowu, potknął się. Gdybym go nie podtrzymał, byłby upadł. I nawet się nie schylił wchodząc w gęsty chrust. Spadła mu czapka z głowy. Na chwilę pod chrustem zajaśniało jego wąskie, przypominające listewkę czoło. Na skroni i na szyi wystającej z fasowanej koszuli pulsowały coraz bardziej sine źródła.

Szliśmy spory kawałek wikliną, szukając polanki. Gdyśmy na coś takiego wyszli, twarz listonosza i szyja były w czerwonych pręgach. Siedząc w trawie i ćmiąc papierosy, przypatrywaliśmy się, jak zugsfürer dobiera się do listonosza. Ale ten nie chciał powiedzieć, dla kogo wiózł tę bibułkę. Gdy zugsfürer pytał, czy na gestapo, tamten niemal wrzeszczał:

- Nie! Nie! Nie!

I upadając na kolana bełkotał, że ma troje dzieci, że on me winien, że mu kazali.

Zugsfürer, rozkładając bezradnie ręce, podszedł do stojącego pod osiką kapitana. Przywołali mnie do siebie. Podchodziłem do nich, patrząc na całe w liszajowych bulwach drzewo. Z kilku liszajów ciekła żywica. Przypomniała mi się tamta osika, do której strzelaliśmy ze Stachem. Na tej również nie drżał ani jeden listek. Z tej osiki, spod jej nieruchomych liści, z ust uciekających od dziewczęcych pocałunków, usłyszałem:

- Skończcie z nim, kapralu.

Podszedłem do listonosza. Dotknąłem jego prawie szpakowatej głowy.

Podniósłszy na mnie podobną do osikowej kory twarz, wstał z klęczek. Kiwnąłem głową w stronę najbliższych krzaczków bzu. Szedł przede mną, trzymając ręce z dala od siebie, jakby pod pachami niósł po dwie paczki przesłane z Ameryki. Wyciągnąłem uprzednio odbezpieczony rewolwer. Gdy tuż pod bzem listonosz chciał się odwrócić i spojrzeć (na mnie? na osikę? na tę twarz wypływającą spod osiki? na swoją śmierć? na jutrznię?), strzeliłem mu w skroń. Zatoczył się i upadł na twarz. Z komiśnych trzewików kopiących trawę posypały się ostatnie ziarenka piasku.

Stałem z pistoletem w opuszczonej ręce. Słyszałem w sobie westchnienie osiki, do której strzelaliśmy ze Stachem. Przypomniałem sobie strzechę pod zachodzącymi gałęziami, ciepło idące z ciała Heli i jej szept:

- A jak będziesz królem, a jak katem będziesz, a jak królem, jak katem, jak katem, jak katem...

Ktoś mi wyjął rewolwer z dłoni. Patrzyłem, jak Pawełek pochyła się nad listonoszem. Teraz usłyszałem westchnienie osiki za sobą, pod którą stali kapitan, zugsführer i reszta chłopców. Leżący w trawie listonosz przyciągnął do boków odstające do tej pory ręce. Pawełek podszedł do mnie i oddając mi pistolet, uderzył mnie całą dłonią w twarz.

- Nie gap się. Chodź. A żebyś wiedział, kiedy to się stało, masz tu zegarek.

Spojrzałem. Była szósta. Chowając pistolet i zegarek do kieszeni, poszedłem za Pawełkiem. Przechodząc koło osiki, położyłem ręce na mokrym od żywicy liszaju. I unosząc ją do twarzy, zobaczyłem, że w miejscu na gwóźdź złoci się w coraz wyższym słońcu wzbierająca kropla. Zlizalem ją językiem. Miała smak tamtych ust szeptających:

- A jak królem będziesz, a jak katem będziesz, jak będziesz, jak...

W drodze powrotnej Pawełek uderzył mnie jeszcze parę razy w twarz. Nie reagowałem, zapatrzony w rower listonosza niesiony na ramieniu przez jednego z chłopców. Koła roweru, zaczepiając o wiklinowe gałązki, obracały się, mieląc na zielen i na iskry wysokie słońce. Na tym wiśniowym rowerze niesionym przez jednego z naszych widziałem nadal siedzącego listonosza. Bez czapki na głowie, z odstającymi od boków rękami przypominającymi dwa kawałki wapnia, ale próbującego pogwizdywać pod przelatującego z gałązki na gałązkę mysikrólika.

Widząc ten rower, niesiony przede mną, i tego listonosza, siedzącego na wyciągniętym siodełku, sięgałem do kieszeni po rewolwer. Pawełek, idący obok mnie ramię przy ramieniu, podskakiwał i uderzał mnie w twarz lub szturchał w bok. Chowałem z powrotem rewolwer do kieszeni, ale nie widząc ścieżki pod nogami, potykałem się i upadałem. Podnosiłem się sam, ale zdarzało się, że Pawełek musiał mnie szarpać za czuprynę i stawiać na nogi.

Idąc tuż nad zieloną rzeką o dnie wyścielonym tak białym piaskiem, iż wydawało się, że przed chwilą kobiety z całej okolicy zatopiły w niej wszystkie nakrochmalone białe prześcieradła z lnu, doszliśmy do osiki, do której strzelałem ze Stachem. Zapatrzonej w jej biały pień i szukając w nim twarzy wybitej naszą strzelaniną, przypominałem sobie Hele i Marysię, i Stacha sobie przypominałem idącego po piaszczystej łasze usypanej przez nurt rzeczny na środku Dunajca. Podchodząc do osiki, wyjąłem z kieszeni scyzoryk i odłupałem z niej korę, żeby odnaleźć ślad przynajmniej jednej kuli. A gdy mi się to nie udało, zacząłem strzelać do osiki z rewolweru. Zanim Pawełek wytrącił mi go z ręki, spod kory znowu wystawała biała twarz. Ale teraz już nie przypominała twarzy Jaśka ani twarzy Stacha, ani mojej twarzy z lustra zawieszzonego w koronie jabłonki. Była to twarz listonosza padającego w trawę. Schyliłem się po ilt i po glinę, żeby zalepić jej zachodzące bielmem oczy, jej trzęsące się usta. Wtedy chłopcy siłą odciągnęli mnie od drzewa. Słyszałem, mając głowę pod czyjąś pazuchą, jak Pawełek powiedział:

- Co się z tobą dzieje, chłopie? Zwariowałeś?

Któryś z chłopców krzyknął:

- Rozebrać go do golasa i na rzekę z nim! W wodzie przyjdzie do siebie! Bronilem się, bijąc na oślep pięściami i kopiąc, gdzie popadnie. Ale już byłem rozebrany, już mnie niesiono za ręce i za nogi nad zieloną głębinę podmywającą gliniasty brzeg. Gdy mnie rozhuśtywali, zdążyłem jeszcze krzyknąć:

- Zapomnieliście o kamieniu. Przywiążcie mi kamień! - a już przelatywałem nad wikliną rosnącą nad wodą.

Poszedłem na dno. Wydawało mi się, że to nie woda, ale strzelisty świerk, z którego schodek po schodku spadam w zrudziałe i zaczerwienione od przymrozku paprocie. Gdy piętami dotknąłem iltu, zacząłem się dusić. Odbiłem się od dna i mając oczy otwarte, próbowałem się dostać do świętojańskiego robaczka świecącego nade mną. Robaczek się powiększał. Gdy był podobny do płonącego gacka, zdawało mi się, że na dno rzeki opada płachta za płachtą czerwone sukno. Już prawie się dusiłem w tym opadającym suknie, gdy mnie ujęły za czuprynę wapienne ręce.

Nad sobą widziałem twarz uciekającą od pocałunków. Po chwili widziałem również ręce, ale już nie wyjęte z mszału, lecz z otwartego włócznią boku. Uniosłem się na łokciach, wypluwając wodę. Dźwignąłem się na kolana. Tuż przed oczami miałem rękę kapitana. Uczepiłem się jej i podniosłem z klęczek.

Padła komenda:

- Baczość!

Złączyłem gwałtownie stopy. Syknąłem z bólu, uderzając kostką o kostkę. Wtedy dopiero uświadomiłem sobie, że jestem nagi. Zakryłem rękami męskość. Widziałem, jak drgnęły od uśmiechu uciekające od pocałunków usta. W zwężających się żrenicach kapitana zanikała moja nagość.

- Jak wam nie wstyd, kapralu. Gówniarz z was, nie żołnierz! Ubrać się i cło domu! I żeby mi się to więcej nie powtórzyło! A wy tam z tym rowerem! Rzucić go do rzeki! No, szybciej! Biedy chcecie sobie napytać?

Widzieliśmy, jak ten wiśniowy rower, wyczyszczony naftą z najdrobniejszej pacyny błota, przelatuje nad wikliną, miele obracającymi się kołami na biały piasek słońce i znika pod wodą. Jeszcze przez chwilę wystawało z wody wysokie siodełko. Ale i ono, z siedzącym na nim wapiennym cieniem listonosza poszło na dno.

Ponieważ był już pełny dzień i tu i ówdzie słychać było skrzypienie i ludzkie głosy, broń pochowaliśmy w upatrzonym wydrążeniu gliniastego brzegu. Teraz, jak komu było wygodniej i prościej, rozchodziliśmy się do domów. W wiklinę wszedłem ostatni. Myślałem, że jestem sam. Po tym, co mi przy wszystkich powiedział kapitan, nie spodziewałem się, że ktokolwiek będzie na mnie czekał. Wprawdzie chłopcy, wchodząc w chrust, żegnali się ukradkiem ze mną, ale widziałem, że unikają moich rąk i oczu. Nawet kapitan nic spojrzął na mnie. Toteż zdziwiłem się, gdy wychodząc na ścieżkę prowadzącą do wału, spotkałem w gąszczu czekającego na mnie Pawełka.

- Gniewasz się? Musiałem cię bić. Wyglądałeś, jakbyś wychlał wiadro

bimbru. A tym, co powiedział Stary, nie przejmuj się. On tak samo musiał to powiedzieć, jak ja cię bić. To była pierwsza nasza robota. Patrzyłem na chłopców. Byli podobni do ciebie. Również Stary i zugsfürer nie wyglądali lepiej.

- Jak to nasza robota, Pawełku? To przecież ja go kropnąłem. I nikt mi w tym nie pomógł. Nawet nie pomyślałem, że robię to dlatego, że na tej bibułce był kapitan i ty, i wszyscy. Nie pomyślałem też o wydanych wcześniej: poruczniku, synu gajowego, młodziutkim wikarym. Zabiłem go, bo ona powiedziała, że jak będę królem, że jak kat...

Ugryzłem się w język. Pawełek idący obok spojrzał mi w oczy i odwrócił głowę. Po czym ściągając na tył głowy czapkę, dodał:

- No widzisz, ona też chciała, żebyś zabił.

Resztę drogi przeszliśmy w milczeniu. Rozstaliśmy się pod wierzbami. Pawełek ściskając mnie za ramię, szepnął:

- Głowa do góry. Z następnym pójdzie nam lepiej.

[Spis treści](#)



16

Rzeczywiście, z następnym poszło mi dużo lepiej. Może dlatego że byłem sam i stało się to za wodą, w trzeciej wsi za wsią Staszka. W każdym razie ani razu w drodze do tej wsi, w świetlicy Domu Ludowego, gdy zobaczyłem tego starego sołtysa siedzącego za stołem, wygrażającego pięścią chłopom i nakładającego na nich kontyngenty, nie zjawił mi się Stach i Hela szeptająca o kacie i królu. Jako znajomek z sąsiedniej wsi, wkręciłem się między kawalerką stojącą za chłopami siedzącymi na sosnowych ławkach i ćmiąc papierosa, czekałem, kiedy sołtys przestanie gadać. W kieszeni, jak uprzednio, trzymałem rewolwer zawinięty w arkusz kratkowanego papieru z wykalgrowanym wyrokiem.

Obserwując krzyżącego sołtysa, starałem się przypomnieć sobie mojego starego, siedzącego przy oknie, tnącego kozikiem na kawałki chleb ze słoniną i spoglądającego pod wierzbę. Gdy sołtys unosił prawie posiwiałą głowę, spoglądając na zawieszoną u stragarza i filującą lampę, przypominał po trosze z ptasio suchej twarzy mojego rodzica. Przeto tym bardziej starałem się zobaczyć tamtą jabłonkową gałązkę z kulką żywicy leżącą na złożonych rękach mojego starego, żeby się upewnić o jego odejściu w dym pod wierzbami. I prawie na głos nuciłem wielkopostną pieśń z raną w boku, z ranami w rękach i nogach, połamaną kostka po kostce kołkiem. Jak ta poraniona i pogruchotana pieśń wielkopostna osypała się na pamięć o moim starym, a on, uciszony, odszedł pod wierzbę, a stamtąd za złote wzgórza i sołtys przestał gadać, wyszedłem spośród kawalerki stojącej pod ścianą i podchodząc do sosnowego stołu pociętego scyzorykiem i poplamionego

atramentem, położyłem przed sołtysem rewolwer zawinięty w arkusz kratkowanego papieru z ozdobnie wykaligrafowanym wyrokiem.

- Co to jest?

- Podanie do führera o raj, sołtysie.

Sołtys krzyząc: - Co to znaczy? - sięgnął po zawiniątko. Przydusiłem jego rękę. Zatrzeszczały zgrubiałe od reumatyzmu palce. Powolutku, żeby wszyscy widzieli, odwijalem rewolwer z wyroku. Gdy go już miałem w ręce, krzyknąłem:

- Nie ruszać się! Cały dom otoczony jest przez Jędrusiów! - I zwracając się do sołtysa, odczytałem mu słowo po słowie wyrok.

Stał przede mną z wybałuszonymi oczami, rozcierając obolałą dłoń. W jego ptasiej twarzy zbierało się na zmierzch. Za nim, tuż nad jego posiwiałą głową, wisiał na ścianie portret Hitlera, otoczony wianuszkiem papierowych róż. Widząc ten portret, rozkazałem:

- Módl się!

Jąkając się i polykając słowa, począł szeptać "Ojcze nasz".

- Nie tak, sołtysie. Nie stamtąd twój chleb i raj też nie tam. Poczekaj, nauczę cię. Mów za mną: ojcze nasz, Adolfie, któryś jest w Berlinie.

I celując w jego rozchylone usta, nacisnąłem cyngiel. Słyszając, jak na stół i ze stołu wali się to suche ciało, ruszyłem w stronę drzwi. Gdy już byłem w nich, odwróciłem się dodając:

- Żeby mi się nikt nie poważył ruszyć. Przez pół godziny. Zrozumiano? Kawalerka stojąca pod ścianą, wrzasnęła:

- Tak jest!

Przypomniałem sobie to wszystko, zaorywując pole pod lasem. Nawet się uśmiechnąłem, gdy na powrót zobaczyłem siebie, stojącego pod jakimś sadem z zegarkiem w dłoni, spoglądającego w uchylone drzwi Domu Ludowego, gdy co do minuty po pół godzinie, przepychając się jeden przez drugiego i skacząc przez otwarte okna, uciekała w wieś kawalerka i gospodarze. Idąc polami tuż koło tarnin i wierzb, przeskakując przez rowy pełne wody, omijałem pojedyncze domy, kierując się w stronę rzeki. Długo, prawie do sąsiedniej wsi, słyszałem, jak w tej wsi z zabitym sołtysem trzeszczą płoty i szczekają pobudzone psy.

Rozmyślając o tym wszystkim, nie zauważyłem nawet, że od strony lasu ktoś się zbliża do mnie. Zobaczyłem go dopiero wtedy, gdy konie, wietrząc obcego, zaczęły prychać i uskakiwać w bok. W pierwszej chwili nie poznałem go. Dopiero gdy się odezwał:

- Jak się masz, Piotr! Zatańczysz? Jak chcesz, to sobie zatańcz. Zagram ci. Och, jak ja ci zagram, Piotr.

I wyjmując z zanadrza klarnet, przytknął go do ust. Wtedy dopiero wykrzyknąłem:

- Mojsze? A skądże się tu wziął?

- Jak to skąd? Z wesela. I to z jakiego wesela. W Kanie Galilejskiej. Chleb jadłem. I wino piłem. Powiadam ci, jeszcze nigdy nie widziałem tyle chleba.

Jadłem i jadłem, aż mnie żuchwy rozboleły, aż ustałem i siedziałem z otwartą gębą, z kawałkiem chleba na języku. I wszyscy jedli ten chleb i nie mogli go zjeść. A gdy mój stary i matka, i siostry, i bracia byli już najedzeni, zebrano jeszcze z trawy, ze stołów zbitych z sosnowych tarcic kilkanaście koszy nie dojezonych kawałków chleba. I rozkruszono ten chleb, i rozsypano koło muru dla ptaków. Bo odkąd byliśmy za murem, nie widzieliśmy tam ani jednego ptaka. Zwierzęcia też nie widzieliśmy. Kozy, koty i psy, a nawet szczury zostały zabite i zjedzone. To jak mój stary zobaczył ten chleb, te góry białego chleba nie do przejedzenia, to powiedział, że to jego ostatni dzień, bo on jest pewien, że to Ziemia Obiecana. A zobaczył to wszystko, grzebiąc patykiem w śmietniku i myśmy też, nie chcąc zrobić mu przykrości, zobaczyli ten biały chleb i tę Ziemię Obiecaną. A ponieważ ludzie zaczęli śpiewać, modlić się i płakać z radości, że naszemu ojcu udało się zobaczyć Ziemię Obiecaną, wyjęliśmy pochowane instrumenty i zagraliśmy tym ludziom i sobie, i naszemu staremu. I było wesele. I wszyscy się bawili. A ci z za muru, którzy słyszeli naszą muzykę i widzieli naszych tańczących na bruku, na śmietnikach, w kałużach, ubranych w chałaty i jarmułki, powiadali, że to pewnikiem wesele w Kanie Galilejskiej. A ponieważ słyszałem, że tak mówią, to gdy po tym graniu napiłem się wody z konewki, woda miała smak wina.

A gdy w parę godzin później, gdy już nikt nie tańczył, a wszyscy leżeli na bruku i na śmietnikach i modlili się, i śpiewali psalmy, dziękując niebu, że naszemu staremu dało to widzenie Ziemi Obiecanej, zaczęli do nas strzelać, woda miała smak żelaza i smak krwi. A jak w tej wodzie, w tym winie, w tej krwi rozlanej na bruk i na śmietnik zobaczyłem mojego starego i moją matkę, i siostry moje, i braci moich, i beniaminka Izaaka, uciekłem stamtąd. A jak stamtąd uciekłem, jadłem chleb u piekarza i spałem w zepsutym chlebowym piecu, i snu miałem pełne białego chleba. A dwa miesiące temu nocą, przekradając się polami i lasami z bochenkiem chleba pod pachą, przyszedłem do naszego miasteczka. Ale w miasteczku nie było nikogo z naszych. Domów też nie było.

Siedziałem na pługu. Mojżesz tuż obok mnie na miedzy. Prawie się ściemniało. Wokół nas nie było żywej duszy. Patrząc na Mojżesza, widziałem go ciągle w sierpniowej jutrzni. A za nim starozakonną muzykę, idącą z łąk i wchodzącą na podwyższone błonie, prowadzoną przez ojca Abrahama niosącego na plecach woreczek z koszernym jadłem i ściskającego pod pachą skrzypce. Za tą rodzinną muzyką z basami na plecach widziałem tego beniaminka Izaaka. I anioła przelatującego przez całe niebiosa od rzeki nad las też widziałem. A widząc tego przelatującego anioła, a właściwie zaledwie go przeczuwając w pulsujących od światła, świeżo udojonego mleka, sierści i krwi niebiosach, usłyszałem ni to psalm, ni to poranioną wielkopostną pieśń z raną w boku, z połamanymi kołkiem rękami i nogami. Ale nie wiedziałem jeszcze, że to Mojsze siedzący przede mną na miedzy gra na klarnecie. Zorientowałem się dopiero wtedy, że on gra, gdy odjął klarnet od ust i powiedział:

- Jak chcesz, to zatańcz, Piotr. Proszę cię, zatańcz. Ty też powinieneś mieć coś z tego wesela w Kanie Galilejskiej.

Podszedłem do niego, kładąc mu ręce na ramionach. Przestał grać i spojrzał na mnie. W jego twarzy z czarnego dębu zobaczyłem Ziemię Obiecaną i wesele w Kanie Galilejskiej, i to ciało przebite na wylot i zgruchotane kołkiem. Biorąc go pod pachy, podniosłem z miedzy. Stał przede mną w wojskowym płaszczu z obciętymi scyzorykiem guzikami, w wojskowych butach popękanych na wylot, w jarmułce na głowie. Ręce miał opuszczone. W prawej trzymał klarnet dotykający ustnikiem zaoranej ziemi.

- Głodnyś?

Skinął głową. Przyniosłem z pobliskiego wozu dwie kromki chleba przełożone słoniną. Odkładając klarnet na miedzę i rozłamując chleb, jadł chciwie. Dławił się. Podałem mu dzbanek ze zbożową kawą. Wypił do dna. Strużka zabelonej kawy pociekła mu po brodzie. Obtarł ją rękawem. I znów połykał chleb. Gdy z dwóch kromek zostało nie więcej niż dwa kęsy, przestał jeść. Spojrzał na mnie i przestępując z nogi na nogę, podał mi resztki chleba na wyciągniętej dłoni.

- A ty?

- Ja już jadłem, Mojsze.

- Kiedy?

- Dzisiaj, wczoraj i przedwczoraj. Co dzień jadłem.

- I co dzień chleb?

- Chleb i wszystko, co się je.

- Toś jadł więcej i częściej ode mnie. Bo ja ostatni raz jadłem chleb w Ziemi Obiecanej i w Kanie Galilejskiej. Aleś tyle i takiego chleba jak ja wtedy nie widział i nie zobaczysz.

- A gdzie ty teraz jesteś, Mojsze?

- Jak to gdzie? W lesie.

- Sam?

- Aż kim mam być, kiedy nie ma ani starego, ani matki, ani braci, ani sióstr, ani beniaminka Izaaka? To jestem sam. Oni tylko czasem przychodzą do mnie. Nie mogą częściej. Teraz nie ma wesel. Jak się zaczną wesela, to codziennie będę z nimi.

- A gdzie śpisz?

- Pod ziemią. W lesie pod ziemią. Przegnałem borsuka z jamy, poszerzyłem ją i zamieszkałem. Sucho mam, bo jama była w piasku na pagórku, I czysto też mam.

- A skąd masz jedzenie?

- Jak to skąd? Nocą chodzę po polach i po lesie. A jesienią w polach i w lesie jest dużo jedzenia. I na zimę też zrobiłem sobie zapasy. Mam sporo zboża, bobu, karpielei i laskowych orzechów. Dziwisz się pewnie, skąd mam tyle zboża. Od ziemnych psów. Wypatruję ich jamy i nocą rozkopuję. W każdej jamie jest kilka garncy zboża. Tego zboża mam teraz tyle, że nawet u ciebie w komorze nie ma więcej. Najtrudniej jednak jest mi rozcierać to zboże na mąkę.

Ale i z tym dałem sobie radę. Znalazłem dwa akuratne kamienie i teraz mąki mam pod dostatkiem. Nocą zaczyniam ciasto i piekę podpłomyki. Na rozpalonym kamieniu piekę. Lepszych podpłomyków nie jadłem u twojej matki.

- Słuchaj, Mojsze, a jakbym cię tak wziął z tego lasu do domu? Poszedłbyś?

- Czy ja wiem, Piotr? Ale chyba bym nie poszedł. U ciebie zgubiłem tałas, a do takiego domu, w którym się gubi tałas, nie wolno przychodzić. Bo z takiego domu nie ma już drogi do Ziemi Obiecanej, gdyż bez tałasu nie można się o tę Ziemię Obiecaną modlić.

- Ale w zimie przyjdiesz do mnie? Nie musisz być u nas w domu. Znajdę ci jakiś kąt u znajomych.

- Może przyjdę. Jak mi będzie bardzo zimno, to przyjdę.

- A jakbym ci dał broń, Mojsze? Z bronią zawsze łatwiej. Jeśli chcesz, dam ci karabin. Mam dwa. Jeden mogę ci dać. Jeszcze nikt nie wie, że mam dwa karabiny. I nikt się nie dowie, że ci jeden dałem.

- Piotr, ja bym wolał tałas. Jakbyś go znalazł, to mi go przynieś. Ale nie do lasu. Nie chcę, żebyś przychodził do lasu. Nie dlatego że ci nie wierzę. Jeszcze by cię ktoś zobaczył, że idziesz, i szedłby za tobą. O, już wiem. Zostaw mi tałas w tarninie. W tamtym krzaczku na końcu pola. Będę przychodził tam od czasu do czasu. Zobaczę go i wezmę.

- Jeśli nie chcesz karabinu, dam ci przynajmniej ze trzy granaty. Na wszelki wypadek.

- Granaty mogą być. Zmieszczą się w mojej jamie. To je zostaw z tałasem.

- Mojsze, a może jednak odwiedzę cię w lesie? We dwóch urządzimy cię lepiej w tej jamie. Łopatę przyniosę. Albo przyjadę furką z sianem i z deskami. Oszalujemy jamę, wymościmy sianem. Będiesz miał ciepło jak u Boga za piecem.

- Nie gniewaj się, Piotr, ale nie odwiedzaj mnie w lesie. Dzisiaj nikogo nie można odwiedzać. A tym bardziej takich jak ja.

- To przynajmniej jedzenie będę ci nosił. Co tydzień w piątki będę ci zostawiał jedzenie w tarninie. Dobrze, Mojsze?

- Dobrze, Piotr. I jakbyś miał jakieś stare buty i koszule stare, to mi też przynieś. Te wojskowe już mi popękały na upale, a koszulę mam tylko jedną. Inne zostały w Kanie Galilejskiej, w Ziemi Obiecanej. Nie zdążyłem ich zabrać.

Nad lasem świeciła wieczorna gwiazda. Z lasu, w który co tylko weszło bukowe koło słońca, szedł dym. Podobny dym unosił się z rozoranej ziemi i stojących koni. Ponieważ byłem w samej bluzce, przenikał mnie aż do kości wieczorny ziąb. Również Mojżesz, chociaż był w wojskowym płaszczu, dygotał cały. Przypomniałem sobie o ćwiartce bimbru w kieszeni kurtki. Wyjąłem butelkę i wybiłem korek. Podałem flaszkę Mojżeszowi. Wypił do połowy. Oddając mi butelkę, rzekł:

- A może jednak zatańczysz? Zagram ci, Piotr. Och, jak ja ci zagram.

Od tej pory co tydzień w piątek przynosiłem Mojżeszowi jedzenie. Bochenek chleba, kawałek słoniny, parę jabłek i cebul. Ponieważ namnożyło się zajęcy i łatwo je było łapać we wnyki, coraz częściej do chleba dodawałem kawałek mięsa. Nie zapomniałem też o butach, koszulach i granatach. Poprosiłem matkę, żeby z wyprawionych ałunem zajęczych skórek uszyła coś w rodzaju kamizelki z rękawami.

Rozmawiałem o Mojżeszu z kolegami z partyzantki. Uradziliśmy, że jeśli Mojżesz przyjdzie do siebie i zgodzi się, na zimę zamieszka u któregoś z nas. A od wiosny przyjmujemy go do naszego oddziału. Na wszelki wypadek, gdyby nie mógł zapomnieć o tarnowskim getcie, o Ziemi Obiecanej, o Kanie Galilejskiej, postanowiliśmy odszukać go w lesie i najlepiej, jak można, urządzić w borsuczej jamie.

Chodząc co tydzień do tarniny i zrywając zwarzone przez przymrozki jagody, cieszyłem się, że zostawione uprzednio zawiniątko z jedzeniem zostało zabrane. Gdy spadł drugi śniegi i już się utrzymał, widziałem ślady prowadzące od lasu i do lasu. Po ściętych podkówkach u obcasów, po wojskowych gwoździach w zelówkach rozpoznałem moje żołnierskie buty. Widocznie Mojżesz coraz rzadziej rozmyślał o Ziemi Obiecanej i Kanie Galilejskiej, bo chociaż śnieg był kopny i nikomu się nie chciało wystawić nosa nawet za stodołę, nie wydeptał ścieżki do tarniny. Łaził klucząc po udeptanych na kamień zajęczych śladach, od lasu szedł inną drogą, wracał też inną. Przychodził zazwyczaj od strony jeziora, za którym czerniła się wieś, wracał natomiast przez zagajnik ciągnący się do gajówki.

Parę razy miałem ochotę zająć do niego. Wstępowałem w ślady jego butów już prawie zasypane przez zadymkę. Ale dochodząc do jeziora lub do zagajnika, zawracałem, przypomniawszy sobie podarowane mu granaty. Raz tylko doszedłem po jego śladach do samego lasu. Słyszac jednak, jak w głębi lasu pękają drzewa od nasilającego się mrozu, jak ze świerków dźwięcząc zjeżdża zmarznięty śnieg i jak z dalekiego przysiółka za lasem dolatuje ujadanie psów, zawróciłem do domu.

Mogło to być na początku lutego. W każdym razie w miesiąc po drugim śniegu, który się już utrzymał, spostrzegłem tuż przy śladach zostawionych przez Mojżesza psie tropy. Początkowo sądziłem, że to jakieś bezdomne psisko poluje na kuropatwy i wygłodniałe zajace. Ale rozmyślając o psich tropach, zmartwiałem, czując, jak we mnie osypuje się bielsza od gaszonego wapna zadymka. A może to ktoś tropi Mojżesza z psem? Ale na śniegu oprócz śladów żołnierskich butów nie było innych ludzkich tropów. Z tego wywnioskowałem, że do Mojżesza przybłąkało się jakieś bezdomne psisko.

Staralem się temu psu nadać ludzkie imię. Najlepiej dziewczęce, a może czarodziejskie, książęce, królewskie, diabelskie imię. I obdarzyć go chytrą Pawełka i moją chytrą, i mądrością kapitana, i małomównością zugsfürera. I niemal uczyłem go noszenia karabinu, strzelania z niego i rzucania granatami. I wmawiałem w tego psa, że to on zabił listonosza i sołtysa z za wody i jak trzeba będzie, zabije każdego, kto się zbliży do kryjówki

Mojżesza.

Pod koniec zimy, gdy śnieg prawie schodził z pól i z nadłamanej gałązki wierzbowej wyciekał sok, ten pies towarzyszący Mojżeszowi był już niemal starym Bogiem prowadzącym tamtego Mojżesza do Ziemi Obiecanej.

W tym też czasie, niosąc koniom naręcze koniczyny, poczułem pod ręką coś twardego. Początkowo myślałem, że to ścięty razem z trawą kopczyk zeschniętego mrowiska, bryła lub kawałek drewna. Wrzucając koniom koniczynę za drabinkę, wyszedłem z tym czymś na podwórze. Pod dogasającą wieczorną zorzą rozpoznałem tałes.

Nie mogłem się doczekać piątku. Ponieważ wiedziałem, że Mojżesz przychodzi po jedzenie w nocy, poprosiłem matkę, żeby ugotowała kurę. Z bochenkiem chleba pod pachą, z kurą z rosółem w garnku, wybrałem się wieczorem do tarniny. W kieszeni miałem tałes. Postanowiłem, że zaczekam na Mojżesza ukryty w tarninie.

Siedząc w tarninie na gałązkach zaścielonych podeschniętym perzem i ćmiąc ukrytego w garści papierosa, spoglądałem w stronę lasu. Ponieważ łąki ciągnące się przede mną były porośnięte rzadkimi kępami wikliny, zrywałem się co chwilę z miejsca, sądząc, że to zbliża się Mojżesz.

Ale Mojżesz nie nadchodził. W okolicznych wsiach już ze dwie godziny temu przestały naszcze kiwać psy, brzęczeć o studzienne cembrowiny wiadra i turkotać wozy. Z wierzb rosnących na rowami z zielonkawą wodą wylatywały nad odtajale ze śniegu pola sowy i wprost spod coraz wyraźniejszych gwiazd spadały na żerujące myszy.

Nasłuchując uciszonych wsi, spoglądając w łąki podchodzące do mnie wiklinowymi kępami, zdarzyło mi się zapaść parę razy w drzemkę. Budziłem się niemal z krzykiem. Nade mną stało coraz jaśniejsze niebo. Takie samo niebo, tyle tylko, że pogłębione, stało w rowie pełnym scedzonej ze śniegu wody. Sięgnąłem do kieszeni po zegarek. Było po północy. Nie można było dłużej czekać. Przeto zostawiając bochenek chleba, garnek z kurą i tałes w tarninowym krzewie, zapaliłem jeszcze jednego papierosa i poszedłem do domu.

Przeskakując przez rowy, idąc na przeprostki podeschniętymi koniczynami, łąkami i polnymi drózkami, oglądałem się za siebie, przystając co parę kroków. Widać było niemal do samego lasu. Ale oprócz nadal zbliżających się bezszelestnie wiklinowych kęp nikt stamtąd nie nadchodził. Przyspieszając kroku, postanowiłem, że nazajutrz wybiorę się pod tarninę.

Gdy następnego dnia koło południa przyszedłem pod tarninę, już ze środka naszego pola zauważyłem białą chustkę, w którą był zawinięty bochenek chleba. Zacząłem biec przez jeszcze grząskie pole, zapadając się po kostki w wiosennej roli. Chustka poszarpana pazurami leżała na polu. Chleb zjedzony był niemal do połowy. Reszta podziobana. Dopiero teraz zauważyłem, że na okolicznych wierzbach siedziały sroki i gawrony. Również garnek z gotowaną kurą był przewrócony. W rozlanym rosółu leżał tałes. Podniosłem go i wytarłem w resztki chustki.

Z tałesem w kieszeni, przerzucając z ręki do ręki wyjęte z siana czerwone jabłko, przypominając sobie ślady na śniegu prowadzące do lasu, wybrałem się do Mojżesza. Gdy wszedłem w las, gdzie przed leszczyną i chojarami leżało jeszcze sporo śniegu, odnalazłem Mojżeszowe i psie ślady. Krok po kroku, żeby ich nie zgubić, gdyż na polankach śnieg już wyjadło słońce, wchodziłem w coraz głębszy las. W sosnowym, poczynającym pachnieć żywicą i parchającymi się zwierzętami lesie, rosnącym na piaszczystym pagórku, tych podwójnych śladów było więcej. Ale prócz nich były jeszcze inne ślady. Szły ze wszystkich stron. Prawie do samego szczytu pagórka.

Zanim tam doszedłem, zobaczyłem żółty, wydarty ziemi piach. I zaraz potem leżącego na tym piachu psa. W leju głębokim na dobrego chłopa, leżał Mojżesz. Właściwie wiedziałem, że to Mojżesz po strzępach wojskowego płaszcza i po komiśnych butach ze ściętymi podkówkami. Tuż obok jego prawej dłoni leżał kawałek nie dojedzonego chleba. Cała jego twarz była zasypana wybieraną chomikom pszenicą.

Trzymając w lewej dłoni czerwone jabłko, wyjąłem z kieszeni tałes. Jabłko było z tej jabłonki rosnącej koło płotu. Podawałem je stojącemu za płotem Stachowi. Nie chciał wziąć tego jabłka. Nie mógł. Wtedy podszedł Mojżesz i wyjął mi jabłko z dłoni. Przeto zszedłem do rozdartej granatami ziemi z jabłkiem w jednej i z tałesem w drugiej dłoni. Odsunąłem od ręki Mojżesza kawałek nie dojedzonego chleba. Położyłem obok niej czerwone jabłko. Tałes, tę najmniejszą Arkę Przymierza, schowałem do kieszeni. I wychodząc z leja, zgarniałem rękami na Mojżesza, na jego dłoń z czerwonym jabłkiem, na kwitnącą jabłonkę, na wszystkie sady w całej okolicy podobny do wosku piach.

[Spis treści](#)



17

Po paru dniach od Jędrusiów z podłej wsi dowiedzieliśmy się, że na trop Mojżesza wpadł komendant granatowej policji. Ten sam, który we wrześniu przywiózł mi kartę mobilizacyjną. Wprawdzie sam nie brał udziału w obławie na Mojżesza, ale nasłał tam żandarmów stacjonujących w pobliskim miasteczku. Gdy żandarmi podchodzili pod pagórek, zaszczekał pies. Gdy byli tuż przy jamie, Mojżesz podobno grał na klarncie. Próbowali go wykurzyć z jamy, rozpalając nad wylotem do niej ognisko. Mojżesz ciągle grał. Dopiero gdy pies, dusząc się od dymu, począł skomleć, odłożył klarnet. W parę sekund później ziemia razem z paroma krzaczkami jałowca wyleciała w powietrze. Paru żandarmów było mocno poturbowanych. Obandażowani, popijając piwo w małomiasteczkowym szynku, opowiadali o tym, przeklinając policjanta, Mojżesza i psa.

Ponieważ było prawie ciepło, wyniosłem się ze spaniem z powrotem do

stodoły. Przypomniał sobie karabiny i granaty zakopane w sianie, miałem ochotę wyjąć je i nocą, nie uprzedzając o tym ani kapitana, ani zugsfürera, ani nawet Pawełka, podejść pod posterunek policji, obrzucić go granatami i strzelać do ostatniego naboju w okratowane, zabezpieczone drucianą siatką okna.

Wtedy u krokwi, gdzie nadal polowała kuna, zjawiał mi się Jasiek. Uśmiechając się szeptał: - Chytry, Chytry, alem cię przechytrył. - Tuż po nim widziałem Stacha strzelającego z rewolweru do nadrzecznej osiki. Spod jej kory wypływała wapienna twarz, a listki na osice aż po ostatni, szczytowy szeptały bielejąc: - Chytry, Chytreńki. Gdy Stach, gwizdząc na palcach, zniknął w wiklinie, zjawiał mi się Mojżesz. Grając na klarneckie wojenny psalm, szedł po jutrzennym niebie. Przed nim rozwiewającym się na wietrze, na wołaniu bożym jedwabnym chałacie szedł Abraham Judka. Ale zamiast woreczka z koszerem jadłem niósł w wyciągniętych dłoniach dwa czerwone jabłka. W jednym z nich zbierało się dzieciństwo Mojżesza, w drugim czekała na niego kwitnąc Ziemia Obiecana. Za Abrahamem Judką, z basami większymi od niego o pół szyi, z tymi połamanymi, na oblodzonym błoniu i posklejnymi basami, z których narodziły się kurczęta i te małe skrzypce, szedł podskakując i co chwila podbiegając truchcikiem beniaminek Izaak. Nad nim, obejmując jednym skrzydłem las, a drugim rzekę, przelatował archanioł. Nad jego głową jaśniał miecz. Tam gdzie nad wierzbami niebiosy się obniżały, miecz je rozcinał aż do wiosennej zorzy. Z tej rany, z tej wiosennej zorzy szedł krzyk: - Chytry, Chytry, Chytreńki nasz, zatańcz. Zagramy ci, Chytreńki. Och, jak my ci zagramy.

Może po miesiącu, widząc nieustannie w nocy i za dnia, pod sadem, pod wierzbami, w polu, za złotymi wzgórzami Jaśka, Stacha i Mojżesza, wybrałem się do lasu. Wziąłem z sobą łopatę i siekierę, żeby uporządkować borsuczą jamę, posadzić na niej parę jałowcowych krzewów i opalikować grób. W gruncie rzeczy nie chodziło mi nawet o uporządkowanie rozrytego piasku przypominającego topiony wosk i o posadzenie jałowca. Umyśliłem sobie, że w lesie odszukam osikę podobną do osiki rosnącej nad rzeką, natnę ją siekierą, a wypływającą spod kory miazgę rozleję na woskowy piach.

Ponieważ miazga, prawie złota, już na dobre krążyła pod korą, gdy siekierą nacinałem osikę, klęcząc na kolanach, trysnęła na mnie, zalewając mi twarz i ręce. Nie obcierając ani twarzy, ani rąk, przytknąłem blaszany garnuszek do osikowej rany, czekając, kiedy napełni się pod wierzch. Idąc na palcach, jakbym się bał spłoszyć wirujące między sosnami światło, niosłem naczynie. Przystając nad woskowym piachem, odłamałem jedlinową gałązkę i zanurzając ją w osikowej miazdze, skrapiałem nią Mojżeszowy grób. Po czym odrzucając za siebie pusty garnuszek, przyklęknąłem.

I pierwszy raz od dzieciństwa, idąc na kolanach po tym piachu, wykapanym z gromnicy, zapadającym się pode mną, pachnącym spalenizną, igliwiem i Ziemią Obiecaną, modliłem się żarliwie, żeby mi się nie zjawiał więcej ani Jasiek, ani Stach, ani Mojżesz. I żebym już nigdy nie zobaczył

osikowej twarzy, wypływającej spod kory. I przyrzekałem, że będę Chytry, Chytry, Chytry i wejdę do borsuczej jamy i do mysiej jamy, i na dno rzeki zejdę, i gdy trzeba będzie, szedł będę po nim do utraty tchu, póki nie zabiję, nie zadżgam nożem, nie zatłukę kołkiem tych, którzy zamordowali Stacha i Mojżesza. Choćby Hela miała mi urodzić syneczka, kociątko puszyste, kaciątko. Choćbym od tej pory zamiast własnej nosił osikową twarz.

Z lasu wróciłem do domu o zmierzchu. Wchodząc do izby, potknąłem się o próg. Matka, siedząca przy piecu na niziutkim stołeczku, odwrócona do mnie plecami, cerująca koszulę, spojrzała na mnie i krzyknęła:

- A cóżeś ty zrobił, synku? Zabiłeś kogoś czy jak? Całą twarz masz we krwi.

Podnosząc się ze stołka i zdejmując fartuch, podeszła do mnie, żeby mi obetrzeć twarz. Chwyciłem jej ręce w przegubach, przyciągając ją do siebie. W jej przegubach pulsowało, jakby przez żyto uciekały spłoszone przepiórki. Ponieważ matka zaczęła pochlipywać i głowa się jej trzęsła, głaskałem ją po splecionym i przed snem wyjętym z upięcia warkoczu. Nie mogąc jej uciszyć, szeptałem:

- Już to widać, mamó? Już widać? Ale ja nie zabiłem. Nikogo nie zabiłem. Dzisiaj nikogo nie zabiłem.

Ostrożnie, jak z cierniowej tarniny, wysunęła się z moich ramion. Uwolniła z moich rąk swoje ręce i ramiona. Nie mogła tylko z pochylenia unieść głowy. Obejmując mnie i ściskając ze wszystkich sił, spojrzała na mnie jakby przez sen znad kołyski z tego pierwszego i ostatni raz zwiastowanego jej macierzyństwa.

- Zabiłeś, Piotrze?

- Mamó.

- Powiedz, zabiłeś?

- Zabiłem.

- Kogo?

- Tamtych. Za Stacha. Za Mojżesza.

- Nie mógł kto inny? Musiałeś ty?

- Wypadło na mnie, mamó.

- I na mnie też synku. Na mnie też. I na pamięć twojego ojca. I na Poranionego. Na niebiosa nasze. Na nas wszystkich to teraz spadło. Przez ciebie wszyscyśmy zabili.

- Nie wszyscy. Ja sam. Nie chciałem i nie chcę, żeby to spadło na ciebie. Na twojego Poranionego. Na niebiosa twoje, mamó.

- Ale spadło, Piotrze. A chociażby nie spadło, choćby nie mogło spaść, modliłabym się, na klęczkach bym szła przez cały kościół i cały dzień, i całą noc leżałabym koło Ukrzyżowanego, żeby mi w łasce dał część twojej winy.

Podszedłem do matki i obejmując ją w pół, uniosłem znad ziemi. Biegając z nią po izbie, szeptałem:

- Mamó, mamó, żebyś ty wiedziała, mamó.

Gdy ją postawiłem z powrotem na ziemi, podeszła do ściany, zdjęła z niej

lusterko i wcisnęła mi w rękę. Spojrzałem. Z lusterka spoglądała na mnie osikowa twarz. Próbowałem się uśmiechnąć. W lusterku drgnęły białe, prawie wapienne wargi. Wtedy matka, siadając z powrotem na stołeczku, spytała:

- I będziesz zabijał?

- Będę, mamó. Żebyś wiedziała. Będę, będę. Będę! Póki nie trafię na tego, który zamordował Stacha i Mojżesza. I nie chcę, żebyś brała winę na siebie i na swojego Ukrzyżowanego, i na swoje niebiosy. Od nikogo tego nie chcę.

Odkładając lusterko, a razem z nim osikową twarz na sosnowy stół wyczyszczony do bieli piaskiem, wybiegłem na pole. Od razu za progiem, skomląc z uciechy i skacząc mi na piersi, przyplątał się do mnie pies. Kopnąłem go w brzuch. Pies skuczając uciekł do stodoły. Wszedłem do stajni i zapalając naftową latarnię, zgrzebliłem i szczotkowałem z zaschniętego potu stęskające z przemęczenia konie. Gdy wszedłem pod sad na papierosa, wiedziałem, że jeszcze w tym tygodniu zabiję komendanta policji.

Szykowałem się do tego, nie wspominając ani słówkiem o moim zamiarze Pawełkowi. Z siana, wyczyszczoną piaskiem, natartą rzepakowym olejem i owiniętą w pasmo lnu, wyjąłem szablę. Zaniósłem ją nocą do kowala i kazałem ją przerobić na sztylet. Gdy sztylet był gotów, od drewnianej ciupagi odpiłowałem główkę i umocowałem w niej ostrze. Po czym świderkiem i rozpalonym gwoździem wydrążyłem w ciupadze coś w rodzaju pochwy. Po paru godzinach pracy sztylet wszedł w pochwę.

Wiedziałem, że w każdą sobotę komendant policji jeździ na rowerze do pobliskiego miasteczka na naradę. Ponieważ szosa prowadząca do miasteczka zataczała dosyć spore koło, policjant dla skrócenia drogi jeździł ścieżką wiodącą na ukos przez pola. Obok tej ścieżki, pośrodku pól, był tak zwany Ptasi Dół zarośnięty wikliną, tarniną i głogiem. Postanowiłem zaczaić się na policjanta w Ptasim Dole.

Nie mogłem się doczekać soboty. Z piątku na sobotę nie spałem prawie całą noc. Wprawdzie Jasiek, Stach i Mojżesz przestali mi się zjawiać i kuna również uciszyła się u krokwi, ale przewracając się z boku na bok, wszędzie widziałem lusterko z osikową twarzą. Zresztą przez to lusterko z osikową twarzą goliłem się po omacku, nie spoglądając w wiaderko z wodą, bałem się przechylić nad studnią. Samo zaś lusterko zasłoniłem ciemną chustką. Nie na wiele to się zdało. Nie pomagało bowiem ani przymykanie oczu, ani wspomnianie tego małego Piotrka w trzyćwierciowych portkach, z oberwanym rękawem koszuli, włożącego na wszystkie topole po gniazda gawronie, zeskrobującego sypiący się na policzkach puszek butelkowym szkłem i piaskiem. Wszędzie widziałem osikową twarz. Z tą osikową twarzą pod powiekami zasnąłem dopiero przed świtem.

Wyskoczyłem spod pierzyny, porażony światłem padającym przez otwór po wyrwanej kitce. Myślałem, że zasnąłem. Zdenerwowany, nie mogąc trafić w nogawki spodni, zjechałem z wysokiego siana na zagracone młynkiem, sieczkarnią i grabiami boisko. Posiniaczony, sycząc z bólu jak wyciągane z kojca gęsięta, wybiegłem pod wiosenny sad, trzasnąwszy z całych sił

drzewczkami od stodoły. Wprawdzie słońce przesiewające się przez jabłonkowe gałązki utraciło poranny puch, ale jeszcze nie zbielało do idącej w popiół rędziny.

Siedziałem przy oknie wychodzącym na błonia całe w wierzbach i uderzając obcasem o ziemię, wciągałem za ucha dopiero co kupione, o podwójnie szytej podeszwie oficerki. Gdy nie mogąc trafić w rękawy, wdziawałem marynarkę, zobaczyłem, jak szosą na rowerze jedzie policjant. Powiedziałem matce, że idę zobaczyć, czy pod tarniną nie wymokła ozimina, i wszedłem do stodoły. Wyjąłem ze strzechy ciupagę z ukrytym w niej sztyletem i powolutku, kuśtykając i podpierając się laską, ruszyłem w stronę Ptasiego Dołu.

Koło domu Heli, aby nie przechodzić przez jej podwórze, wszedłem w pola. Idąc szeroką miedzą porośniętą kwitnącym mleczem, oglądałem się za siebie co parę kroków, jakbym nie mógł napatrzeć się naszemu domowi zastłoniętemu przez puszczone pierwsze, jeszcze żółte listki jabłunki. W gruncie rzeczy chciałem sprawdzić, czy matka nie spogląda za mną. Jakoż wychodząc z domu zauważyłem, że przez jej twarz przeleciał szary ptak. Tego ptaka przelatującego przez jej twarz widywałem zawsze, ilekroć ojciec, mówiąc, że wychodzi do sąsiada, przemykał się po zastodolu do karczmy.

Nie dostrzegłem jednak matki ani pod sadem, ani przy uchylonej furtce wiodącej w pola. Nie przestałem się jednak oglądać za siebie, czując prawie dotykalnie, jak się czuje mokre nozdrza żrebaka, że ktoś za mną patrzy. Wprawdzie od dziecka miałem to w sobie, że idąc pustym polem czy też drogą, musiałem się oglądać, gdyż między łopatkami czułem jakby skrzydło czy też dłoń. To teraz też pomyślałem sobie, że to może nasz pies, którego zapędziłem do stodoły, zamknąwszy ją na skobel, wyrwał się z niej przez utajoną przede mną dziurę w wiklinowej lassie i obwąchując pod sadem ptasie i zwierzęce tropy, stara się trafić na mój ślad. Ale dopiero gdy wychodziłem z podmokłej dolinki na ścieżkę prowadzącą na ukos przez pola i jeszcze raz dokładnie zlustrowałem nasz koniec wsi, spostrzegłem, że z sołtysowego ogródka pełnego kwitnących wiśni, malin i porzeczek, ktoś spogląda za mną. Przystanąłem, osłaniając nadgarstkami porażone słońcem oczy. Jednak prócz kwitnących i rozlewających się po koronach jak świeżo udojone mleko wiśni nie mogłem nawet dojrzeć poruszającego się cienia. Pomyślałem jednak o Heli, o jej jasnym warkoczu tak poręcznym do owijania wokół dłoni, żeby przechylić jej głowę, wesprzeć się kolanami o jej kolana i począwszy od obnażonych dołków pod obojczykami, całować ją aż po korzonki włosów.

Idąc ścieżką, przesychną po wczorajszym deszczu, poprzecinaną zajęczymi, lisimi, kunimi i ptasimi tropami, mając prawie zamknięte oczy, widziałem Hele siedzącą nad rzeką. I jak wtedy, w lipcu ubiegłego roku, teraz, na tej ścieżce, skradałem się do niej zaczajony w sobie, bojąc się potrącić łokciem, kolanem, głową przekwitające między nią i mną żółte ziele. A gdy mi się udało wyjść z żółtego ziele, że nie drgnął na nim ani jeden listek,

zobaczyłem ją siedzącą w trawie na urwistym brzegu, z kolanami podciągniętymi pod brodę i objętymi oburącz.

Ponieważ siedząc na urwistym brzegu, osypującym się żółtym piaskiem do przepływającej pod nią rzeki, nie spodziewała się ani zwierzęcia, ani ptaka, ani tym bardziej człowieka, w jej twarzy jeszcze raz zobaczyłem sierpniowe rozlewisko z kąpiącymi się w nim nagimi chłopcami i festyn, mnie i Stacha na tym festynie, i tamtą białą od pierwszego śniegu noc na sianie. A widząc to wszystko w jej twarzy, słyszałem w niej ten głos, od trawy cichszy, zwiastujący na syneczka, kociątko puszyste, kociątko.

Oprócz jej twarzy widziałem jeszcze jej wysoko obnażone nogi. Szedłem więc do niej jak niedźwiedź do miodu, na czterech łapach, po osypującym się do rzeki żółtym piasku. I wydawało mi się, że po tym żółtym piasku, przypominającym wykapaną do imentu gromnicę, przeszła tuż przede mną cała procesja z psalmami, z litaniami, cała kawalerka z naszej wsi i sąsiednich wsi. I słyszałem kościelne pieśni pełne kobiecych imion i pomieszane z nimi weselne przyśpiewki, począwszy od tych zanoszących się od chichotania aż do tych poranionych nożem i siekierą.

A gdy już byłem przy Heli i miałem dotknąć jej obnażonych nóg, przypomniałem sobie listonosza padającego w pachnącą ślimakami, miętusem, małża, ptasim gnojem, wybujałą wysoko trawę i sołtysa z drugiej wsi też sobie przypomniałem. Widziałem jego suchą twarz, słyszałem, jak jego skrzydełkowate ciało pada na stół i pod stół. Cofając rękę za siebie, wtuliłem się w ten wykapany z ogromnej gromnicy piasek. Od tej pory nie odważyłem się do niej podejść, dotknąć jej, położyć rąk na jej ramionach, okręcić jasny warkocz koło dłoni, żeby ją przechylić do całowania.

A inni chłopcy, nawet szpakowaty kapitan o rękach wyjętych z mszału, o ustach uciekających od dziewczęcych ust, od pocałunków, paradowali, zwłaszcza w niedzielne popołudnia, przez całą wieś, po drózkach polnych, nad rzeką, wiodąc pod rękę swoje dziewczyny. Nazajutrz, gdyśmy się zbierali o zmierzchu pod którymś z sadów lub na wiklinowej polance, przeciągali się w sobie, oblizując pogryzione do krwi wargi. I szło od nich światło, jakby przez cały tydzień klęczeli obok świętej Magdaleny, obejmując jej pozłacane kolana.

One też, ich dziewczęta, w cerowanych, pranych wielokrotnie na kamieniu perkalowych sukienkach, boso, z kwiatem wpiętym w przerzucony przez piersi warkocz, gdyśmy się rozchodzili spod sadów, wychodzili z wikliny, podchodziły do nich i dotykając ostrożnie ich kieszeni wypchanych rewolwerami i nabojami, brały ich pod rękę, pod lewe żołnierskie rękę, prowadząc w utajone przed wszystkimi miejsca. Przechodząc przez wieś, całą w sadach uginających się od nadmiaru jabłek, przez pola w koszonej pszenicy pełnej ptasich nawoływań, słyszałem ich śmiech i widziałem ręce mocujące się z sobą, aż trzeszczało w kostkach, aż mi brakowało tchu.

Szedłem przez wieś, przez pola w chrobocie dojrzewających zbóż, przyciskając do boków rękę, które zabiły listonosza i sołtysa z za wody. I

wchodziłem do stodoły, dygotając w jej słomianym upale. I niemal zrywałem z siebie przeпоcone do nitki ubranie. I kładłem się na sianie z jak najdalej odrzuconymi od siebie rękami. Dopiero gdy nasłuchując polującej u krokwi kuny, przestawałem widzieć moje ręce z białego wapnia i tamte pełne starczych gruzłów ręce, a w moje dłonie, w które tak lubiały wtulać łby żrebaki i cielęta, wchodziła jasna głowa Heli, powolutku przyciągałem je do siebie i godziłem się na nie. Pogodzony z nimi, kładłem je sobie pod potylicę i zasypiałem.

Wspominając to wszystko i idąc prawie z zamkniętymi oczami, wsparty na drewnianej ciupadze z ukrytym w niej sztyletem zrobionym z szabli podarowanej mi przez dziadka Jakuba, widziałem Mojżesza grającego na klarnej wojenne psalmy. Wznosząc ciupagę nad głowę, młóciłem nią wiosenne oziminy. Młóciłem dopóty, dopóki nie rozboleły mnie łokcie i dłonie, nie zbieleły kostki u palców i na górnej wardze nie poczułem kropelek potu. I mając już oczy otwarte, szedłem coraz szybciej do Ptasięgo Dołu, żeby pod wikliną poczekać na wracającego z miasteczka policjanta.

Chciałem przejść przez cały Ptasi Dół, żeby sobie wybrać najdogodniejsze miejsce na kryjówkę. Wiedziałem, że na dnie Ptasięgo Dołu, za wikliną i tarninowymi krzewami rosnącymi u jego korony, jest sporo wody scedzonej z wiosennych roztopów. Zachciało mi się zejść do tej wody, przejrzeć się w niej i obmyć ręce. Przytrzymując się wiklinowych witek i zapierając obcasami o wilgotną ziemię, schodziłem kroczek po krocisku. Ale wiklinowe witeki, już przekwitające, osypane lepкими listkami, wysmyknęły mi się nagle z dłoni. Zlatywałem na łeb na szyję z gliniastego brzegu. Pech chciał, że musiałem akurat trafić nogą na kobyłkę z drutu, zastawioną zimną na zajęcie. Zaciągnąłem ją i jak długi rymnąłem w wodę. Zanim, wspierając się na łokciach, wygramoliłem się z wody, byłem przemoczony do ostatniej nitki i cały oblepiony gliną i żabim skrzekiem.

Nie było innej rady, bo ciupaga wpadła mi do wody, musiałem ściągnąć ubranie, żeby je przeprać. Wyżymając je, aż trzeszczało w szwach, porozwieszałem wszystkie łachy na słonecznej wiklinie. Wchodząc do nagrzonej wody, na oślep w szlamie i w żabim skrzeku grzebałem za ciupagą. Zmacałem ją wreszcie i wyrzuciłem na brzeg. Spojrzałem na siebie. Byłem oblepiony żabim skrzekiem i wodorostami. Postanowiłem się wykapać. Zwłaszcza że woda w rozlewisku, ustała na słońcu, była ciepła, dalej od brzegu, poza żabim skrzekiem i sypiącą się rzęsą, jasna jak źrenica nowo narodzonego.

Spodobała mi się ta pierwsza wiosenna kąpiel. Gdy zmyłem z siebie szlam, żabi skrzek i glinę, nurkowałem do zarośniętego białą trawą dna. Chlapałem się jak berbec w balii, rozbijając wodę rękami i nogami, gulgocąc przyczajony na dnie i spoglądając otwartymi źrenicami na wiosenne niebo całe w zielonych gałązkach. Gdy któryś tam raz z rzędu zanurzyłem się w wodzie, starając się przez nią dojrzeć nad sobą puszczający listki pierzasty obłok, zdawało mi się, że ktoś mnie woła.

Powolutku, nie wynurzając głowy z wody, uniosłem się na ugiętych kolanach. Teraz już wyraźnie słyszałem swoje imię. Nigdy jeszcze nie słyszałem tak swojego imienia jak pod tą wodą. Przypominało to wołanie przez sen, przez wysokie na dobrego chłopca zboże, przez całe dzieciństwo, przez kościół, pełen przelatujących smoków, psalmów i kadzidła. Toteż mimo że się prawie dusiłem, siedziałem pod wodą, próbując się uśmiechnąć do Jaśka, do Stacha, do Mojżesza, do Heli, wtulonej całym ciałem we mnie na zielonej od mchu strzesze.

Nie mogąc wytrzymać dłużej pod wodą, wyskoczyłem w ten głos, wołający mnie po imieniu. Odgarniając z twarzy ociekające wodą włosy, zobaczyłem Hele przytrzymującą się wiklinowych gałązek i schodzącą do mnie. Zdażyłem jeszcze krzyknąć: - Uważaj! - a ona zawadzając nogą o drut zjeżdżała po gliniastym brzegu. Trysnęła woda na wiklinę, na zielone od tej wikliny niebo. W rozlewisku kotłował się ni to pierzasty obłok, ni to kawałek ukwieconej łąki. Roztrzając kolanami wodę, podbiegłem do tego obłoku, do tej łąki. Pociągnąłem za wystający z wody jasny warkocz. Wzdęte halki i sukienka przylgnęły do ciała. Biorąc to ociekające wodą ciało, wyniosłem je na brzeg.

Sadowiąc Hele pod nasłonecznioną wikliną, przypomniałem sobie, że jestem całkiem nagi. Zakryłem się rękami. Widząc te ręce z wapna, uciekające tak długo od jej ciała, warkocza, głowy, od jej ust, od mojej matki, naszych zwierząt i od mojego ciała, schowałem je za siebie. Ale wstydząc się swojej nagości, przykucnąłem i wycofałem się za wiklinę. Stamtąd widziałem, jak Hela wyżyma włosy, po czym zdejmuje bluzkę i spódnicę, i halki. Gdy została tylko w koszuli, odezwała się:

- Zimno mi. Nie wejdę do wody. A tyś się już kąpał, to przepierz moje ciuchy. Nie bój się, nie będę patrzeć.

Gdy wynurzając się z wody, zobaczyłem schodzącą do mnie Hele, byłem tak ucieszony, iż wydawało mi się, że dopiero wczoraj umówiliśmy się na spotkanie w Ptasim Dole. Stojąc po pas w wodzie i przepierając rzeczy Heli, przypomniałem sobie kwitnące wiśnie koło jej domu, moje przystawanie co parę kroków na ścieżce i oglądanie się za siebie, jakby mnie ktoś łaskotał między łopatkami. Patrzyłem na nią, siedzącą pod wikliną, odwróconą plecami do mnie, z rozplecionym warkoczem, suszącą się w słońcu i trzymając ręce niemal przy twarzy, ręce, które zabiły listonosza i sołtysa z za wody, spytałem:

- Skąd się tu wzięłaś? Jeszcze na sianie mówiłem ci, żebyś nie przychodziła więcej do mnie.

- Widziałam cię, jak szedłeś. I jak się oglądałeś, też widziałam. Akurat sadziłam malwy w ogródku, jak cię zobaczyłam. Nie było koło ciebie psa. Zawsze cię widywałam z psem. Byłeś sam. Jeszcze nigdy nie byłeś taki sam jak na tej ścieżce. Nawet w niedzielę, gdy siedzisz na progu, a twoi koledzy przechodzą przed twoim domem z dziewczętami pod pachę, wożą je na rowerach, nie jesteś taki sam. Tom poszła za tobą. Chciałam się spytać, czemuś taki sam. I jeszcze chciałam, żebyś nie był taki sam.

- Ubrdało ci się, Helu. Wcale nie jestem sam. Jużes, widać, zapomniała, że nie jestem sam. Zawsze będę z Jaśkiem i ze Stachem będę. A teraz jeszcze z Mojżeszem. Jak tak dalej pójdzie, pół wsi będę nosił w sobie. To widzisz, Helu, że nie mogę być sam. Niepotrzebnieś się trudziła. Malwy trzeba było sadzić. Dla niego, Helu, dla Stacha. Kiedyś mi się zwierzał, że z kwiatów najbardziej lubi malwy. Ja je też lubię. Ale nie tak bardzo jak on. On je lubiał od kołyski. Powiadał, że służąca wносиła kołyskę przed dom i wstawiała ją w malwy. Odtąd cały świat, całe niebiosa były dla niego w kwitnących malwach. A ja polubiłem malwy dopiero w szkole. Odkąd nauczyciel pokazał mi taki obrazek. Dom czy też dworek był na tym obrazku. Wprawdzie pod strzechą, ale cały w kwitnących malwach. A pod tymi malwami stała dziewczyna. Podobna do ciebie. Z jasnym warkoczem. I ułan obok niej przechylony nad nią. A ten ułan, kropla w kroplę, przypominał Stacha. To trzeba było sadzić malwy i nie przychodzić tu.

- Piotrze, Piotrusiu, ja już teraz wiem, że go nie ma. I wtedy w stodole też wiedziałam, że go nie ma. A mówiłam ci, że jest w tobie i przychodzi do ciebie i że we mnie też bywa, gdyż już na festynie chciałeś, żebym poszła do niego. A jak zobaczyłam na tym festynie, że ty chcesz, żebym poszła do niego, i tańczyłeś z Marysią, a tańczyłeś z nią częściej niż ze mną, tom się teraz chciała dowiedzieć, czyś był u niej w domu i czy chodzisz z nią.

- Przecież wiedziałaś, że z nikim nie chodzę. Ani z Marysią, ani z żadną z dziewczyn. Teraz do nikogo nie wolno mi chodzić. Nawet do ciebie, Helu. I proszę cię, żebyś się do mnie nie zbliżała i nie dotykała mnie, i nie patrzyła na mnie.

Wychodząc z wody, rozwiesiłem rzeczy Heli obok swoich łąchów. Zgarniając zeszłoroczną trawę i perz, usiadłem z dala od Heli. Odwrócony do niej plecami, patrzyłem, jak sikorki, skacząc z gałązki na gałązkę, zbierają wiklinowy puch i wyścielają gniazda. Nie słyszałem nawet, że Hela, idąc na kolanach, zbliżyła się do mnie. Gdy mi rękami zakryła oczy i przechyliła głowę, krzyknąłem. Wtuliłem się w jej rozplecione i jeszcze mokre włosy. Wyciągnąłem nawet ręce, żeby ująć jej głowę i przyciągnąć do siebie. Ale widząc te z wapna dłonie sięgające po jej głowę, a przez palce prawie czerwone niebo, zerwałem się na równe nogi. Stałem przed nią nagi i nie wstydzilem się, widząc, że patrzy na mnie, jakby tamci chłopcy z sierpniowego rozlewiska byli naszymi synami.

- Czemu tak patrzysz? Przecież już wiesz, już widzisz, że będziesz katową, że będziemy się kąpać goli, golusieńcy i wszystkie wody, dno Wisły i dno Dunajca będą wyścielone czerwonym sukniem. Przed wszystkimi, przed całą wsią będziemy się kąpać, nie wstydząc się wcale, i urodzisz mi syneczka, kociątko puszyste, kociątko.

- Zabiłeś, Piotr?

- Zabiłem. Zabiłem. I dzisiaj też zabiję. Jak chcesz, to możesz zostać. Zobaczysz, jak będę zabijał. A zanim tuś przyszła, tom się kąpał. Dziwiłaś się pewnie, czemu o tak wczesnej porze się kąpię. Czynię to zawsze, kiedy mam

zabić. Muszę być czysty. Jak sprężynowy nóż wyjęty z gliny, jak skrzydło przelatujące przez deszcz, jak gronostaj. I modlić się przedtem też muszę. Cały dzień muszę się modlić. A nocą, kiedy nikt nie widzi, kiedy kościół jest zamknięty, wchodzę do niego przez witraż od zakrystii, wiesz, przez ten witraż przedstawiający czterdziestu męczenników, i całą noc leżę krzyżem na drewnianym krzyżu, do którego jest przybite to drewniane ciało przekłute na wylot i połamane kołkiem.

- Zostanę, Piotr. Żebyś wiedział, że zostanę.

Zbliżało się południe. Z dalekiego błonia, ciągnącego się prawie pod las, spędzano do sąsiedniej wsi porykujące bydło. Wyszliśmy z Ptasięgo Dołu i usiedliśmy pod wikliną. Ubrani w jeszcze mokre łachy, obsychaliśmy w słońcu. Parowało z nas, jakbyśmy siedzieli na rozpalonych ogniskach. Parę kroków przed nami ciągnęła się ścieżka. Nie dotykaliśmy się i nie rozmawiali. Hela, trzymając na kolanach ciupagę, wyjęła z niej sztylet, próbując kciukiem jego ostrze. Wokół było pusto. Był maj, a o tej porze nie ma potrzeby przesiadywać w polu. Pałac papierosa i spoglądając w pierwsze domy sąsiedniej wsi, upatrywałem jadącego na rowerze policjanta. Właśnie koło południa wracał zazwyczaj z miasteczka.

Pierwsza zobaczyła go Hela. Szturchnęła mnie w bok, kiwając głową w stronę pobliskiej wsi. Wziąłem z jej rąk sztylet i wsunąłem w ciupagę. Podnosząc się spod wikliny, poprosiłem ją, żeby weszła w Ptasi Dół.

Wyszedłem na ścieżkę, utykając i wspierając się na ciupadze. Policjant był coraz bliżej. Gdyby nie glansowane buty z cholewami, wziąłbym go za listonosza. Podobnie jak listonosz, jechał na rowerze wyprostowany i coraz wyższy na tej pustej ścieżce. W falującym od upału powietrzu czuć było rozgrzaną rędzinę, wyjętym z wody żelazem, kraszonym grudka po grudce wapnem. Gdy patrzyłem na policjanta nieruchomymi, zachodzącymi łzami oczami, w pobielającym nagle niebie otwarło się senne oko Opatrzności. Właśnie z tego oka wprost na mnie jechał policjant.

Gdy był parę kroków ode mnie, podniosłem rękę. Zahamował i nie złącząc z siodełka, zatrzymał się tuż przede mną. Wyjąłem z kieszeni paczkę machorkowych i rozrywając ją, poprosiłem o ogień. Sięgnął po zapalniczki. Podając mi pudełko, przypatrywał się ciupadze.

- Widzę, żeś okulał. Pewnie po nocach włóczysz się z bandziorami?

- Co też pan komendant mówi. W naszej wsi jak w kojcu. Cicho i spokojnie. Nawet za dnia nie wszyscy zza pieca wyłazą. Cóż dopiero w nocy. A co do ciupagi, to ją muszę nosić. Od września. Od tamtego września. Drasnęło mnie wtedy i odtąd kuleję.

- Ty mi tu, chłopaczku, o wrześniu nie bajtluj. Lepiej powiedz, z kim po nocach łąsisz.

- Widzę, że mnie pan komendant zapomniał na amen. A tamten poranek komendant pamięta? Te jabłka nad studnią, tę ścieżkę przez błonia i psa na tej ścieżce? Takie głupie psisko i do tego jeszcze nazbyt przeczulone na kolor i na zapach przynależny władzy.

Widziałem, jak w twarz policjanta wstępuje jutrzeńne światło tamtego sierpniowego poranka, jak w jego źrenicach listek po listku, gałązka po gałązce zjawia się szczep rosnący przy studni. Równocześnie zauważyłem, że jego prawa ręka, leżąca do tej pory na kierownicy, niepostrzeżenie zbliża się do kieszeni. Gdy już miał ją wsadzić do marynarki, wyciągnąłem sztylet i postępując krok naprzód, przytknąłem mu ostrze do grdyki.

- Niechże pan komendant da spokój, widzi pan komendant, że tu puste pole. Żywej duszy wokół. Jeszcze pan komendant krzywdę sobie zrobi. Nie lepiej to sobie jak znajomek ze znajomkiem od serca pogadać?

- Mów, czego chcesz ode mnie?

- Zaraz "chcesz"? Widzę, że komendant zrobił się rozrzutny i hojny nad wyraz. A ja, komendancie, niczego od pana nie chcę. Chociażem kaleka. Wprost przeciwnie. Żeby pan komendant wiedział, jak ja się modliłem, jak ja na kolanach, obydwóch kolanach, na tym też, draśniętym we wrześniu, dziękowałem Bogu i świętym w niebiesiech, że mi pan komendant wtedy pod tym sadem tyle szczęścia życzył. I Bóg się zlitował, i chóry anielskie też się zlitowały. I wprawdzie drobnostkę, ale mi przekazać panu pozwoliły.

Trzymając sztylet na gardle policjanta, wyjąłem lewą ręką tałes i podałem policjantowi.

- Co to jest?

- Arka Przymierza, komendancie. Jak się ma taką Arkę, można daleko zajść. Nawet pan nie ma pojęcia, jak daleko z taką Arką można zajść. Ale Mojżesz, ten z lasu, wie pan, ten muzykant z drewnianego miasteczka, wiedział. Niedawno temu mówił mi, jak daleko można zajść mając taką Arkę. Ponoć aż do Ziemi. Wie pan, do tej Obiecanej Ziemi. To ja wymodliłem dla pana tę Arkę i tę Obiecaną Ziemię.

Kiedy policjant, odchylając się gwałtownie do tyłu, próbował sięgnąć do kieszeni, wbitem mu sztylet w serce. Westchnął i zwałił się z rowerem na ścieżkę.

[Spis treści](#)



Gdy było już po wszystkim, gdy komendant, ściągnięty ze ścieżki za ręce i za nogi, leżał wraz z rowerem w pustym dole po wybranych ziemniakach, przywalony zetlałą słomą i ziemią, zeszedliśmy z Hela do wody, żeby się obmyć. Z mokrą twarzą uniesioną do słońca, z przymkniętymi oczami, stałem oparty plecami o wiklinę, czekając, aż Hela zaplecie rozluźniony warkocz. Ponieważ od mojego wyjścia do policjanta nie zamieniliśmy ani słowa, również teraz bałem się odezwać. Wprawdzie Hela próbowała spojrzeć mi w twarz, położyć rękę na ramieniu, ale unikałem tego, jak mogłem.

Toteż gdy niepostrzeżenie zbliżyła się do mnie i pocałowała w usta,

zaczęłam uciekać. Dogoniła mnie, gdy próbowałam się wyplątać z rosnącej u wierzchołka Ptasiego Dołu tarniny. Wyrwałam się jej, ale gdy głowa i ręce zaplątały mi się w tarninę, dałam spokój, wyjmowała mnie z tarniny palec po palcu, ręka po ręce, niemal włos po włosie. Gdy już cały byłam wyjęty i usiedliśmy na prawie gołej ziemi, Hela zdjęła z głowy kościelną tybetkę i obcierając mi poranioną twarz, szeptała:

- No widzisz, jakiś ty jest. No widzisz? Gdyby nie tarnina, znowu byś mi uciekł. I patrzyłabym z ogródka, ze stodoły, z uchylonej sieni, jak nosisz wodę, naprawiasz wóz, zaprzęgasz konie. I nocą, bosą, na palcach, żeby nie zbudzić psa, kreta śpiącego pod świeżym kopcem, wędrującej z zorzy wieczornej mrówki, żeby nie poruszyć listka na topoli, podchodziłabym pod twoją stodołę. I słuchałabym aż do jutrzni twojego oddechu i twojego snu. I głaskałabym wystające ze stodoły siano, żeby nie trzeszczało w kolankach, nie szeptało zbyt głośno przez sen. Ale już nigdy nie odważyłabym się wejść do stodoły i jak tamtej jesieni skradać się do twojego leża i położyć przy twoim boku.

- Pewnie, żebyś się nie odważyła. Chociaż powinnaś przyjść. Dopiero teraz powinnaś przyjść. Obiecałaś przecież, że mi urodzisz kociątko puszyste, kociątko. A właśnie teraz możesz mi urodzić to puszyste kociątko, kociątko najmiłsze. I bać się nie musisz, że ci się cokolwiek stanie. Tak jak chciałaś, będę sypiał goły, golusieńki. I jeszcze ubiegłego lata, zanim zacząłem zwozić siano, całe zapole wyścieliłem czerwonym sukniem. I wieś całą z latarniami, z gromnicami możesz przyprowadzić, żeby zobaczyła, jaki jestem goły, i wcale się nie wstydzę, że jestem goluteńki. Tylko że teraz nie masz już po co przychodzić. Od paru miesięcy Stach mi się nie zjawia i nie krzyczę po nocach, i nie płoszę nikogo gwizdaniem na palcach.

- Czego ty chcesz ode mnie. Piotrze? Przecież ci już mówiłam o nim. I zostałam dzisiaj z tobą. I chciałam, żebyś zabił tego policjanta. I przez cały czas patrzyłam z wikliny, jak podchodzisz do niego. A gdy z nim gadałeś i on sięgnął ręką do tylnej kieszeni, chciałam krzyknąć, bom myślała, że tego nie widzisz. I modliłam się, żeby nikt nie nadszedł, żeby sztylet był ostry, żeby w jego serce wszedł po rękojeść. To jak się tak modliłam i policjant spadł z roweru, a na niego zwałił się rower, pomyślałam sobie, że zabiłam go razem z tobą. I jeszcze sobie pomyślałam, że zabiłam go razem ze Stachem. A gdyby ten policjant wstał nagle, już bez ciebie, sama zabiłabym go jeszcze raz. Żeby ani tobie, ani mnie nie zjawiał się więcej Stach. Żeby go nie było więcej, ani na festynie, ani nad rzeką, ani pod sadem, w stodole, na złotych wzgórzach, w kościele, w Ojcie Nasz, w Zdrowaś. Żeby został w Odpoczywaniu Wiecznym, w piachu. I on już tam został. Piotrze, i nigdy się nam nie zjawi. To jak on już tam został, pocałuj mnie, Piotrusiu, i nie uciekaj ode mnie.

Powolutku, jakbym podnosił dwa kawałki wyjętego z ognia żelaza, dwie bryły wapnia, unosiłem z trawy cal po calu ręce. Po prawej, potykając się o zrudziałe na słońcu włoski, szła mrówka, dźwigając przeświecone do czarnej główki jajo. Gdy się jej udało wejść na paznokiec i razem z jajem spaść na

ziemię, przymknąłem oczy, kładąc ręce na ramionach Heli. A ona podnosząc je palec po palcu, wtulała w nie twarz. Na jej policzkach, na suchych wargach wyczuwałem niemal ziarenka soli. Ale bałem się spojrzeć, żeby w jej twarzy pod ziarenkami soli nie zobaczyć nagich chłopców kąpiących się w sierpniowym stawie i nagiej wody, czerwonej od jabłek, jakby w niej kozacy po bitwie obmywali szable, jakbym cały dzień tę twardą od żelaza wodę przebijał sztyletem.

Ale Hela nie pamiętając widocznie o wodzie zarzuconej czerwonymi jabłkami, o nagich chłopcach, pławiących w niej konie, o Stachu, wychodzącym z Dunajca w paruletnią wiklinę, gwizdzącym z niej na dwóch palcach, o policjancie leżącym w dole pod zetlałą słomą i ziemią, o moich rękach, wyjętych z gaszonego wapna i jeszcze czujących zamierające w drewnianej rękojeści serce, szła suchymi wargami po wewnętrznej stronie moich dłoni, dotykając językiem głębokiej dróżki, jakby po mojej ręce z pokolenia na pokolenie jeździły drabiniaste wozy. Gdy wargami doszła do serdecznego palca, sykałem z bólu. Ściskając mi rękę w przegubie, wyjęła z palca tarninowy kolec. Po czym wysysając sączącą się krew, pochyliła się nade mną, całując mnie w usta.

- Teraz już jesteśmy razem, Piotrusiu. A jak jesteśmy razem, to ja zabiłam tego policjanta. I twoje ręce są obmyte w wodzie i wyjęte z psalmu, z jeszcze mokrej jutrzni i co tylko zdjęte z głowy psa, z głowy koźlęcia i nigdy nie dotykały żelaza ani rany w boku, ani połamanego kołkiem ciała i przybitego gwoździami do drzewa. I proszę cię, żebyś od tej pory mówił: "Ty zabiłaś, Helu. Ty. Ty. Ty". Bo ja chciałam zabić tego policjanta. I zabiłam go. I Stach też go chciał zabić. Na pewno chciał go zabić, jeśli ani do ciebie, ani do mnie nie przychodzi więcej. On był lepszy ode mnie i od ciebie, i od połamanego, przybitego gwoździami do drzewa ciała. I chciał, żebyśmy byli razem. A ponieważ chciał, żebyśmy byli razem, i nie przychodzi do nas, to on zabił. Za mnie i za ciebie zabił tego policjanta. A myśmy nikogo nie zabili. Bo nam nikogo me wolno zabijać, żeby się nam nie urodziło, Piotrusiu, żeby się nam nie urodziło. No wiesz, Piotrusiu. Żebyśmy ani ty, ani ja, nie byli, nigdy nie byli, katami.

- Ale ja zabiłem, Helu. Już wcześniej zabiłem. Sama mówiłaś, że bym zabił. Jeszcze tam nad rzeką, gdyśmy strzelali do osiki, zabiłem. Stacha zabiłem. A jak go zabiłem, nie mogłem go później upilnować. I nie przyprowadziłem go do domu, ani do ciebie nie przyprowadziłem. I na rękach też go nie przyniosłem. Nie mogłem go przynieść na rękach. Przelatywał przez ręce jak płowy snopek, jak wiosenna woda. A gdy mi się później zjawiał i nie wzięął ode mnie jabłka, krzyczałem po nocach. To jak przyszłaś do mnie, żeby go zobaczyć, że bym ci go oddał, jeszcze raz, na zawsze, chciałem go zabić. I zabiłem go. Nie ma go już we mnie. Ale żeby go nie było we mnie, zabiłem listonosza i sołtysa zabiłem. A dzisiaj zabiłem policjanta. Ale to już za Mojżesza. Bo Mojżesz też mi się zjawiał. Obydwaj mi się zjawiali. I obydwaj nieśli w rękach wypływającą spod osikowej kory białą twarz. I prosili, że bym

wziął od nich osikową twarz i nałożył ją sobie, i nie paradował więcej z twarzą z festynu, spod sadu, z kościelnego chóru. To jak chcesz zobaczyć tę osikową twarz, przypatrz mi się dobrze.

- Co ty wygadujesz, Piotrusiu? Nie masz żadnej osikowej twarzy. I nigdy jej nie przyjmowałeś od Stacha i Mojżesza. Nad rzeką też nie ma i nigdy nie było osikowej twarzy. We wsi nikt nie pamięta, nawet najstarsi ludzie, żeby ktoś miał osikową twarz i nie mogąc jej unosić, ukrył ją pod korą drzewa. I twoja twarz jest taka sama jak wtedy w ogrodach, jak na festynie. A nawet ładniejsza, bo nie ma w niej wody zarzuconej czerwonymi jabłkami, wody pociętej kozackimi szablami i ani śladu w niej z wielkopostnej pieśni, chociaż całe czoło masz poranione kolcami tarniny i krew ci jeszcze cieknie.

- Helu, to będziesz chodzić ze mną?

- No pewnie, że będę. W najbliższą niedzielę przyjdę po ciebie i powolutku, żeby wszyscy we wsi widzieli, pójdziemy sobie nad rzekę. A potem codziennie będziemy zaglądać do siebie i chodzić, gdzie nam się tylko zechce. I wszystkim dziewczętom, Marysi też, będą oczy wychodzić z zazdrości, że chodzisz ze mną, że idziemy pod rękę przytuleni do siebie, że się uśmiechamy, podśpiewując sobie pod nosem. Boś ty taki ładny, Piotr, i taki wysoki. Wyższy od naszych jabłonek, od świętego Michała spod chóru, od sygnaturki wyższy. I mocnyś taki. Jak suche żelazo. I możesz mnie nosić na rękach. A jak mnie weźmiesz na ręce i zanieziesz nad wodę, zaśpiewasz mi, jak ty tylko potrafisz, na cały głos mi zaśpiewasz, żeby cała wieś słyszała, i ci zza wody, tę piosenkę, którą na festynie śpiewał Marysi.

- Zaśpiewam ci. Helu, i na rękach będę cię nosił. A gdy wyszykuję bryczkę, będziesz razem ze mną jeździć do kościoła, na odpusty, na wesela i na chrzciny. I tańczyć będziemy razem. Od samego południa do samego rana. Tylko żeby miejsca było dużo, wiesz, na twój warkocz. Bo będę z tobą tańczył do upadłego, aż się nam w oczach będzie ćmić. A gdy się nam znudzi tańcowanie, śpiewanie i łażenie nad rzekę, to się pobierzemy. Ale warkocza nie pozwolę ci obciąć. Zawsze dla mnie będziesz dziewczyną, chociażby twój warkocz był siwy jak u mojej matki. I urodzisz mi Helu, syneczka, kociątko puszyste, ka...

- Czemu mi mówisz, co ja urodzę? No, czemu? A może chcesz, żebym ci powiedziała, co ci urodzę? Chcesz? Jak chcesz, to ci powiem.

- Sama przecież mówiłaś, co mi urodzisz. Tyle razy mi mówiłaś. To teraz, gdy o tym mówię i powiedzieć nie chcę, owo słowo samo się zjawia we mnie, na moim języku.

- Mówiłam, mówiłam. Plotłam, Piotr. Po babsku plotłam. Jak widziałam tę wodę, czerwoną i złotą od jabłek, i nas w niej, gołych, golusieńkich, przypominałam sobie, co mi babka opowiadała o królewiczu i o królewnie, o królewnie i o kacie. To wtedy zachciało mi się być królewną. I byłam tą królewną, i ty królewiczem byłeś. I pomyślałam jeszcze, ale tylko przez chwilę, czybyś mógł być katem. I byłeś nim w moim pomyślunku. A jak ty byłeś katem, ja byłam kątową. To widzisz, Piotr, że plotłam. Plotłam, bo mi było

dobrze, bo od dawna chciałam, żebyś mnie objął wpół i pocałował i żeby się to stało z tobą. A ty niepotrzebnie pamiętasz o tym, co ja wtedy plotłam. Dla ciebie niedobrze, że o tym pamiętasz. Ale dla mnie dobrze, że o tym pamiętasz. Bo gdybyś nie pamiętał, nie przyszedłabym do ciebie ani wtedy pod sad, ani na siano, ani dzisiaj nie poszłabym za tobą.

- A mnie się. Helu, wydaje, żeś wyszła z ogródka i szłaś za mną, bo widząc mnie na ścieżce, wiedziałaś już, że idę z katem pod rękę. I chciałaś zobaczyć, kiedy twój królewicz ze złotym jabłkiem w dłoni weźmie czerwone jabłko i stanie się katem. I teraz też starasz się w tym kacie, który leży przy tobie, całować w usta swojego królewicza. Ale tego królewicza nigdy we mnie nie było. Nawet wówczas w ogrodach, w złotej od jabłek wodzie, w sadzie, na strzesze całej w złotych renetach. Bo zanim spiknęliśmy się z sobą, był Jasiek. Razem kradliśmy pierzyny, u was też, kury, konie i razem pijaliśmy rum. I tańczyliśmy za te pieniądze, i kupowaliśmy dziewczynom całe tabliczki czekolady, i pociągając je za warkocze, całowaliśmy je po kątach, pod sadami, nad rzeką, w łąkach, w szeptające zdrowaśki usta. A chociaż nie wiedziałem, że Jasiek zabijał, bo nie mówił mi o tym i nie namawiał do tego, to po tym, jak sobie kropnął w łeb i zakopali go w psiej ziemi koło cmentarza, jego zabijanie spadło na mnie. I wiedziałem, że będę zabijał. Nie tak jak on, żeby mieć pieniądze, ale będę. I zabijam teraz. I ani matka, ani ty, choćbyście leżały krzyżem całymi tygodniami w kościele, choćbyście na kolanach szły z pielgrzymki na pielgrzymkę, całując każdy przydrożny kamień, każdy krzaczek ostu, cierń tarniny, każdy gwóźdź, nie zabierzecie mi tego zabijania.

- To będziesz zabijał. Piotrze? Będziesz?

- Będę, Helu. Nawet nie dlatego, że kapitan, zugsführer i Pawełek już się do tego przyzwyczaili i nie muszą myśleć, kto będzie zabijał, kto wyciągnie czarny kamyk z wielu białych i komu dadzą rewolwer zawinięty w wyrok. I nawet nie dlatego będę zabijał, że oni to zabijanie wzięli również na siebie i obdzielili nim całą wieś i całą okolicę. I nie dlatego też, że jak zabijam, nie zjawia mi się Stach i Mojżesz. Ale chyba dlatego będę zabijał, że jak chodziłem z Jaśkiem, to sobie kropnął w łeb, jak ze Stachem szedłem, to po paru dniach leciał mi przez ręce, a jak udało mi się przyprowadzić Mojżesza, to go osaczyli w borsuczej jamie, a on moimi granatami wysadził się w powietrze. A jak zobaczyłem, że zamiast dawnej twarzy mam twarz osikową, muszę zabijać. I ty, Helu, niepotrzebnie mnie okłamujesz, że nie mam osikowej twarzy. Wystarczy, że przypadkowo spojrzę w lusterko, w staw, w niesione wiadro wody, żeby ją zobaczyć. Niedawno temu nawet matka spostrzegła, że ją mam. I ty pewnie też ją widzisz, ale nie chcesz mi powiedzieć. A całujesz mnie, głaskasz i tulisz się do mnie, bo ci się wydaje, że to tylko trochę wapna, biały pył, puch ulotny.

- Nic mi się nie wydaje, Piotrusiu. A choćbym nawet widziała w twojej twarzy osikową twarz i tak bym cię całowała i pieściła. Ale nie dlatego, żeby cokolwiek z niej zetrzeć. I proszę cię, Piotrze, żebyś o tym nie myślał. A jeśli już musisz myśleć, pamiętaj, że to ja zabiłam policjanta. I musisz mi przyrzec,

że jak będziesz o tym myślał, zawsze sobie powiesz: "Ty zabiłaś". I jeszcze sobie powiesz: "Tyś, Stachu, zabił. I ty, Mojżesz." I oni ci przytakną. Bo oni chcą, żebyśmy chodzili razem i całowali się, leżeli nad rzeką i śpiewali na cały głos. To, Piotrze, przyrzekniesz mi, że tak będziesz sobie mówił?

- Dobrze, Helu, przyrzekam. Będę sobie to mówił. I będziemy chodzili z sobą, i siedzieli nad rzeką. I zaśpiewam ci, Helu, och, jak ja ci zaśpiewam.

Mówiąc to i nie wyjmując głowy z jej rąk, przypomniałem sobie Mojżesza. Jakoż Mojżesz, kiedy mu się coś podobało, kiedy się radował lub chciał kogoś ucieszyć, zawsze mówił tak samo. To jeszcze raz przypomniałem sobie policjanta. I spojrzałem na Hele. I w sobie, nie mrugając ani jedną rzęsą, powiedziałem: - Ty zabiłaś. - I zaraz potem dodałem, myśląc o Mojżesz: - Ty też go zabiłaś. - I to samo, myśląc o listonoszu i sołtysie zza wody, powiedziałem o Stachu. Dopiero wtedy zobaczyłem Hele, jej twarz nachyloną nade mną, jej ręce obejmujące moją głowę. A kiedy ją widziałem obejmującą moją głowę, pochyloną nade mną, spojrzałem niżej, na jej obnażone wysoko nogi, i pod rękami poczułem dwa żywe jabłka, dwa poruszające się stworzenia. Podniosłem się na łokciach i zapominając o wszystkim, zacząłem całować Hele, poczynając od obnażonych łokci. I rozbolał mnie szczyt brzucha i gardło miałem na wylot przebite strzałą. I cieszyłem się, że to wszystko się ze mną jeszcze dzieje. I uśmiechałem się, powalając ją na ziemię, idąc rękami po jej wysoko obnażonych nogach, zaciskając je na dwóch żywych stworzeniach. W Heli też rozjaśniło się jak w wiosennej wodzie i w jej coraz szybszych słowach zbierało się na pacierz i na psalm. Już się nawet ten pacierz i ten psalm zaczynał, kiedy Hela odpychając mnie rękami zaczęła płakać. Usiadła na trawie, obciągając sukienkę.

- A nie mówiłam, Piotr, nie mówiłam. Niepotrzebnie bałeś się Stacha. I mnie też niepotrzebnie się bałeś. Trzeba było przyjść do mnie, dawno temu trzeba było przyjść, wywołać mnie z izby i wszystko mi opowiedzieć. To już od dawna chodzilibyśmy z sobą. Tak samo jak kapitan, jak Pawełek, jak wszyscy chłopcy z partyzantki. Czyściłabym ci broń, cerowała koszule i przyszywała guziki. Ale teraz nie wolno, Piotr. Nie wolni. On tam jest. Ten policjant. On jest mój. I on jeszcze patrzy na mnie. Chodźmy stąd. Chodźmy, bo już późno.

Od tej pory niemal codziennie widywałem się z Helą. Gdy się zrobiło ciepło, w niedzielne popołudnie szliśmy nad rzekę i rozbierając się do naga, leżeliśmy zaszyci w wiklinie. Chichotaliśmy cichutko z ustami przytkniętymi do pachnącej ślimakami i rybą wysokiej trawy, żeby nas nikt nie usłyszał, nie podszedł i nie podglądał. A gdy mieliśmy dosyć wikliny, gdyż cali spoceni, musieliśmy co chwila przesuwać się za słońcem, wychodziliśmy nad rzekę i też nadzy, leżeliśmy w pachnącym goryczkowe ziele. I nawet kilka razy, zmyślając ucieszne litanie, przywoływaliśmy do siebie całą wieś, żeby sobie zobaczyła, jak leżymy w ziele Marii Panny z rękami podłożonymi pod głowę, ze stopami puszczonymi do rzeki.

Gdy wieczorem wracałem do domu, zataczałem się ze zmęczenia.

Chłepcząc zostawione mi przez matkę mleko, połykając chleb, wchodziłem ukradkiem do stodoły, jakbym przez cały wieczór lasował w okolicznych sadach co dorodniejsze złote renety i bery. Całe siano pachniało mi ciałem Heli. A gdy rano, rozebrany do pasa, myłem się w studziennej wodzie wlanej do koryta i patrzyłem na moje ciało, całe w sińcach, w ukąszeniach, dreszcz mi przechodził wzdłuż kręgosłupa i chichotałem, ochlapując z psoty pętającego się pod sadem psa. Coraz częściej też brałem matkę na ręce i biegając z nią po izbie, podśpiewywałem sobie co weselsze kawałki. A gdy ją stawiałem na ziemi, ujmowała się pod boki i przechylając głowę na bok, mówiła:

- Schudłeś mi, synku. Schudłeś i szcerniałeś. Ale coś mi się wydaje, że to nie z modlitwy i nie z żalości, synku.

W tym też czasie wygrzebałem spod pieca, ze schowków, z szopy aluminiową i miedzianą blachę przyniesioną z wojaczki i zaniósłem do kowala. Dopiero teraz, po latach, zachciało mi się na powrót malowanej na wiśniowo bryczki. Pomyślałem sobie, że dobrze mieć ją w domu, czyścić do połysku popiołem jej okucia, a kiedy przyjdzie czas, wytoczyć ją pod sad, posadzić w niej matkę, zajechać pod dom sołtysa i strzelając z bata, wywołać na przejażdżkę Hele.

Również chłopcy z partyzantki zauważyli we mnie to babskie słoneczko. Nic dziwnego zresztą, gdy zwidywali mnie niemal codziennie z Helą. Nie omieszkali też, zwłaszcza Pawełek, żartować ze mnie. Powiadali, że pewnikiem kapral przez pomyłkę lub po ciemku zasiał całe pole koprem. Koprem i lubczykiem. A waląc mnie po plecach, dodawali:

- Tylko żeby kapral na drugi rok uważał i przypadkiem koprem, koprem i lubczykiem, całej okolicy aż po kościół nie zasiał. To jak kapral będzie się wybierał z tym koprem, z tym lubczykiem w pole, to my kapralowi maleńką obstawę z Pawełka dodamy. On już kapralowi akuratnie powie, jak i ile tych delicji siać.

Odcinałem się im, jak mogłem. Ale gdyśmy szli na ćwiczenia do lasu lub nad rzekę, nie dokuczałem im zbyt. A oni pamiętając jeszcze ćwiczenia po zabójstwie listonosza i sołtysa z za wody, kiedy niemal wyłazili z portek i siadali na ziemi dysząc ciężko jak zziajane psy, uśmiechali się do mnie, częstując mnie papierosem lub podając mi wyjęte z kieszeni jabłko. Wiedziałem, że już nie patrzą na mnie, jakbym zamiast głowy nosił wydrażoną dynię z zapaloną w wydrażeniu świeczką, a z moich ramion wyrastały ogromne skrzydła gacka. Ani razu nie napomknęli o listonoszu i sołtysie. Pawełek też, bo tylko jemu powiedziałem, że zabiłem policjanta, nie doniósł o tym kapitanowi i zugsführerowi. A gdy z lasu, znad rzeki, wracaliśmy do domu i zapraszałem go do siebie na siano, uśmiechał się, potrząsał głową i szedł do domu.

Nawet kapitan, pamiętający mi listonosza i strzelanie do osiki, przestał mi dokuczać. Owszem, ilekroć chłopcy wybierali się do sąsiedniej wsi, by wytłuc zbyt gorliwego sołtysa lub ostrzyc do skóry którąś z dziewczyn wiercących

kuprem przed Szwabami, kładł mi na ramieniu wyjętą z mszału dłoń i odsyłał do domu. Zdarzyło się wprawdzie, że wysłał mnie parę razy aż do sąsiedniego powiatu z bronią, bibułą i radioodbiornikiem, ale tych kilku żandarmów rozwalonych w naszej okolicy załatwili z sąsiedniego okręgu.

Toteż aż do późnej jesieni, niemal do zimy, nie musiałem sobie mówić: - To tyś zabił. Tyś zabił, Stachu. Ty, Mojżeszu.

Również gdy trzeba było zabić żandarma ze wsi za Dunajcem, nie przywołał mnie i nie podał mi broni zawiniętej w wyrok. Siedzieliśmy w stodole i z rogatywki kapitana nakrytej chustką ciągnęliśmy kamyki.

Wszystkie kamyki były białe, z wyjątkiem jednego czarnego. Ponieważ miałem ciągnąć ostatni, nie musiałem podchodzić do rogatywki.

Ale gdy zabiłem żandarma i czarny kamyk wrzuciłem do rzeki, nie powiedziałem o tym Heli. Nie musiałem również powiedzieć sobie w tajemnicy przed wszystkimi:

- Tyś zabiłeś. Ty, Stachu, i ty, Mojżeszu.

Jakoż oni już mi się nie zjawiali i nie było potrzeby mówić, że to oni zabili.

Dopiero gdy na początku zimy rozbiliśmy posterunek żandarmerii w sąsiednim miasteczku, a ja rozkazywałem egzekucyjnemu plutonowi, noc w noc, przewracając się z boku na bok, szeptałem, a gdy już zasypiałem, krzychałem:

- Tyś go zabił! Ty! Ty! Ty!

Nie była to jednak ani Hela, ani Stach, ani Mojżesz. Jakoż z Helą widywałem się nadal codziennie. A Stach i Mojżesz nie zjawiali mi się w śnie.

To mówiłem: - Tyś zabił, ty, ty, ty! - do siebie, do tego drugiego siebie, który wziął z rąk Mojżesza i Stacha osikową twarz i ubrał ją sobie potajemnie.

Natomiast ja, leżący przy Heli, całujący się z nią całymi nocami, wyprowadzający ją ukradkiem, żeby matka nie usłyszała, pod ośnieżony sad, nosiłem ręce przy sobie, podkładałem je pod potylicę i nie wstydziłem się kłaść ich na łbach zwierząt.

Dopiero gdy na wiosnę pokłóciłem się z Helą, wyzywając ją od suki, gdyż uśmiechnęła się do Pawełka i pogłaskała go po rękawie, i nie widzieliśmy się

przez parę tygodni, na powrót byłem jednym i drugim Piotrem. Ilekroć

spojrzałem w lustro, w wodę w korycie, w wiadro niesione do stajni, w oczy

matki, w ślepią psa czy konia, widziałem siebie z osikową twarzą. Wtedy

znowu zjawił mi się Stach i Mojżesz. Uśmiechając się, kiwali mi rękami.

Wydawało mi się, że mogą się uśmiechnąć, że im lekko, gdyż bez uszczerbku

oddali mi osikową twarz, a ja przestałem im wmawiać: - Zabiłeś Stachu,

Mojżeszu, zabiłeś.

Ponieważ chłopcy z partyzantki uśmiechając się do mnie, częstując

papierosem i bimbrem, na powrót nie patrzyli mi w oczy i przestali mi

dokuczać, a Pawełek nie walił mnie pięścią po plecach, coraz rzadziej

wychodziłem na wieś. Całymi dniami przesiadywałem w domu, w polu lub na

podwórzu. Nie ośmieliłem się nawet spojrzeć na dom Heli. Ale również nie

miałem odwagi powiedzieć sobie:

- Zabiłeś, Piotrze. Zabiłeś. I jak ci rozkażą, znowu będziesz zabijał.

To jak nie powiedziałem: - Tyś zabił. Ty Stachu, i ty, Mojżeszu - i nie odważyłem się rzec głośno: - Zabiłeś, Piotrze. Ty zabiłeś. Ty, ty, ty - wówczas pomyślałem o nas wszystkich: o sobie, Heli, Stachu i Mojżeszu, i chłopcach z partyzantki, nazywając nas - ON. A jak nas tak wszystkich nazwałem, poszedłem nad rzekę i obmyłem się w niej. Po czym zbliżyłem się do osiki i kładąc ręce na jej pniu, szepnąłem: ON. Zabił ON. I powiedziałem to głośno. I krzyknąłem na całą rzekę. A jak echo odbite od wikliny po drugiej stronie wody, od akacjowych zarośli, w które wszedł Stach, odwrzasnęło: ON. Zabił ON, ON, ON! - Zdjąłem ręce z osiki i nie oglądając się za siebie, niemal biegłem do domu przez ogrody. Pierwszy raz od kilku tygodni w samo południe zagrzebany w sianie, zasnąłem natychmiast i nie zbudziłem się ani razu z krzykiem.

Spis treści



19

Z Helą na powrót zacząłem chodzić na początku maja. Od tej pory aż do końca wojny nie zabiłem nikogo. Ale jeszcze w kwietniu, gdyśmy w sąsiednim powiecie zastrzelili z Pawełkiem konfidenta gestapo, meldowałem kapitanowi:

- Rozkaz wykonany. ON go zabił.

Kapitan przestał oglądać wyjęte z mszału ręce i przechylając głowę, na bok, spytał:

- Jaki ON? Myśmy go zabili. My.

- O, nie. Myli się kapitan. ON go zabił. ON.

Ponieważ kapitan zbliżał się do mnie, żeby mi położyć tę wyjętą z mszału rękę na ramieniu i przyrzeć mi się dobrze, podbiegł Pawełek i klepiąc mnie po plecach, powiedział:

- Piotr mówi prawdę. ON go zabił. ON.

Po tym zdarzeniu nasz oddział wykonał jeszcze kilka wyroków, ale ja już byłem z tego wyłączony. Najwidoczniej Pawełek musiał rozmawiać z kapitanem i zugsfürerem. Ćwiczyłem chłopców, wciągałem do naszego oddziału starszych gospodarzy i chodziłem z nimi co tydzień do pobliskiego lasu na zgrupowania batalionowe. Jakoż coraz częściej przebąkiwano o końcu wojny.

Zanim na powrót spiknąłem się z Helą, gdzieś w połowie kwietnia, wracając znad rzeki, spotkałem Marysię. Nie mogę powiedzieć, żebym uprzednio nie spotykał się z nią. Owszem, zdarzyło się parę razy, że jadąc na pole, podwoziłem ją kawałtka. Prawie codziennie widywałem ją idącą do sklepu. Ale nie ośmieliłem się objąć jej ramieniem, przyciągnąć do siebie i pocałować. Zresztą nie chciałem jej zawracać w głowie, gdyż widziałem ją

parę razy, jak szła pod rękę z Pawełkiem.

Dopiero teraz w kwietniu, gdy wracałem znad rzeki i był już zmierzch, a za płotami w sadach było mlecznie od kwitnienia, objąłem ją wpół i przyciągnąłem do siebie. A gdy się opierała, wbijając mi łokcie w pierś i uciekając z ustami, powiedziałem:

- Mojżesz chciał nam zagrać Marysiu. Och, jak on nam chciał zagrać.
- Ale nam nie zagra. Piotrze.
- A chciałbyś, żeby nam zagrał?
- Nie zagra nam. Jego już nie ma.
- Skąd wiesz, że go nie ma?
- Jak to skąd? Wszyscy o tym wiedzą.
- Ale ja wiem, że On jest. ON, Stach i Hela, i ja. Jakby go nie było, toby nie zabijał. A ON zabija.
- Co ty gadasz, Piotrze? Jaki ON?
- ON, Marysiu. ON. Wszyscy wiedzą, że ON.
- A ja słyszałam co innego, Piotrze.
- Cóżes ty słyszała?
- Ty wiesz lepiej ode mnie, co ja mogłam słyszeć.
- Że to my? Że ja?
- Że ty, Piotrze. Ty.
- Może kiedyś ja. Ale teraz ON. ON, Marysiu ON.
- Jak tam chcesz, Piotrze. Mnie tam nic do tego. Może być ON. Jeśli ci z tym dobrze, to pewnie ON.

Rozeszliśmy się przed jej domem. Wchodząc pod sad z uniesioną wysoko głową, jakby zębami chciała schwytać najniższą gałązkę, przystanąła nagle i opierając się plecami o jabłonkę, powiedziała jeszcze:

- Masz rację, Piotrze. To ON. Hela mi mówiła, że to ON. A ona wie najlepiej. To idź do niej, Piotr.

Nazajutrz po spotkaniu z Marysią, wyszedłem wieczorem z domu i przemykając się pod jabłonkami, wszedłem do sołtysowej stodoły. Wiedziałem, że Hela podobnie jak ja już od marca sypia w stodole. Nie wszedłem jednak pod pierzynę, tylko się przyczaiłem obok, przytrzasając się sianem. Hela długo nie przychodziła. Wprawdzie zaraz po moim wejściu do stodoły ktoś się zaczął skradać po sianie, ale gdy począł mnie obwąchiwać, wiedziałem, że to pies. Bałem się poruszyć, gdyż psisko, czując pod sianem obcego, położyło się na mnie warcząc. I nie ruszyło się ze mnie, póki nie skrzypnęły drzwiczki od stodoły. Pies skomlił i najwidoczniej ciągnął Hele w moją stronę, gdyż trzepnęła go ręką, powiadając:

- A dajże mi spokój. Opętało cię czy co.

Słyszałem, jak zdejmuje sukienkę, zrzuca trepy z nóg, wchodzi pod pierzynę i wzdycha. Chciało mi się śmiać. Gdyśmy leżeli pod sadem na strzesze dziadkowego domu i ona z jabłkami w zanadrzu, ledwie obejmując mnie za szyję końcami palców, zasypiała, wzdychała tak samo. Pewnie również teraz miała rozchylone usta i rozpleciony warkocz. Żeby nie

chichotać, gryzłem do krwi palce. Gdy nacichło wzdychanie i kokoszenie się do snu, zawołałem cichutko:

- Helu, Heluśka!

Usłyszałem, że podnosi się i siada na sianie. Uplynęła może minuta.

Wtedy powiadając:

- Przywidziało mi się czy jak? - z powrotem się położyła.

Zawołałem głośnie:

- Helu, Heluniu! To ON!

Zerwała się na równe nogi, niemal krzycząc:

- Boże święty, jaki ON?

- ON, Piotr, ON Stach, ON Mojżesz. ON, Helu.

Uciekała już prawie, ale widocznie poznała mój głos, bo w połowie zapola przystanąła:

- To ty, Piotrze? Gdzieś ty jest? Odezwij się.

Wyszedłem spod siana. Pies, siedzący na mnie, ujadł. Podchodziłem do Heli z wyciągniętymi rękami. Wreszcie natrafiłem na jej ramiona obejmujące barki. Przyciągając ją do siebie, szeptałem:

- To ja, Helu. To ja. Przyszedłem. A jak przyszedłem, to wiesz, że to nie ja i nie ty zabiłszy. Ale ON, Helu. ON Stach i ON Mojżesz.

- Piotrusiu, ja wiedziałam, że nie ty i nie ja. Jakżeby mogło być inaczej, Piotrze.

- Wiem, że wiedziałaś. Marysia mi mówiła, że wiesz. To jak się od niej o tym dowiedziałem, przyszedłem do ciebie.

- Jaka znów Marysia?

- No, Marysia.

- A, Marysia.

- I jeszcze mi mówiła, żebym przyszedł do ciebie, bo ty chcesz, żebym przyszedł. Ale zanim ona powiedziała mi o tym, ja już chciałem przyjść do ciebie. I przeprosić cię chciałem za Pawełka. Za to, co ci wtedy powiedziałem.

- Nie trzeba, Piotrusiu. Nie trzeba. Dawno zapomniałam, coś wtedy powiedział. I chciałam, żebyś przyszedł. A jak już przyszedłeś i wiesz, że to ON, to zostaniesz ze mną. Na całą noc zostaniesz. Nie puszczę cię. choćbyś mnie całował po rękach i po nogach całował i ze złożonymi rękami, na kolanach obszedł całą stodołę, modlił się, i śpiewał wszystkie kościelne pieśni.

Nie modliłem się, nie chodziłem na klęczkach, żeby mnie wypuściła ze stodoły. Umęczeni, z kropelkami potu na twarzy i na ramionach, leżeliśmy wtuleni w siebie. Czułem, że Hela z ustami przy mojej szyi, nasłuchując, czy nie odezwie się we mnie spłoszony ptak, polująca kuna, ON Stach i ON Mojżesz, chce o coś zapytać. I prawie wiedziałem, o co chce zapytać, gdyż podobnie jak ubiegłego lata nad rzeką, gdyśmy leżeli nadzy w zielu Marii Panny ze stopami opuszczonymi do rzeki, trzymałem w dłoniach dwie złote renety, dwa żywe stworzenia. Mając oczy zamknięte, widziałem tak samo jak wówczas wieżę pobliskiego kościoła, archaniola przelatującego nad tą wieżą

ze zwiastowaniem. Archaniola, do którego strzelali żandarmi dopóty, dopóki go nie zranili, dopóki archaniol, krwawiąc przez całe niebiosa, nie zaczął spadać do rzeki.

A kiedy zobaczyłem niebiosa i zranionego archaniola i Hela poruszyła się w moich ramionach, odejmując usta od mojej szyi, żeby to powiedzieć, przyciągnąłem ją jeszcze mocniej do siebie i pocałowałem w usta. Teraz wiedziałem, że to był nasz archaniol niosący nam zwiastowanie, i Hela nie potrzebowała mi o tym mówić. I jak wówczas w lipcu, zaciskając aż do bólu powieki, jeszcze raz skoczyłem z gliniastego brzegu do zaczerwienionej od wikliny rzeki. I szedłem po jej dnie wysypanym złotym piaskiem. Z otwartymi żrenicami szedłem, póki nie natrafiłem na połamane skrzydła, na to ciało ze zranioną i podkuloną pod brodę nogą. I wyciągnąłem to poczerwiałe od słońca i od bólu ciało na brzeg, położyłem na trawie, wyssałem jego ranę i zalepiłem siwą gliną. Gdy archaniol otworzył oczy i uśmiechnął się do mnie, zawołałem na Hele. Podniosła się z ziela Marii Panny. Ale on widząc, że jest naga, nie spojrzął nawet w tamtą stronę, tylko odbił się zdrową stopą od ziemi i kulejąc zabliznił się w niebiosach.

To jak wówczas, nie napomykając jej nawet o tym poczerwiałym z bólu i upału archaniele, opowiadałem o starozakonnej kapeli idącej po błoni. I o Mojżeszcu jej opowiadałem. O tym Mojżeszcu, którego nikt nie znał, a któremu na wojnie chciałem oddać Marysię. A on nie wiedząc o tym, że mu chcę oddać Marysię, opowiadał mi, jak chciał mieć czerwone trzewiki, wdziać je w niedzielę, zająć pod kościół i przestępując z nogi na nogę, żeby skrzypiały szyte grubo podeszwy, czekać razem z kawalerką na wychodzące dziewczyny. A kiedy one po dwie, po trzy zaczną odchodzić w parafialną wieś, przeczekać osypujący się w kolana strach, ściskającą w dołku uciechę i stawiając stopy spiczasto, ruszyć za nimi. I mijać je w tych czerwonych wyglansowanych do połysku trzewikach, w czarnym garniturze, w białej koszuli i nie oglądać się za siebie. Dopiero gdy któraś z dziewczyn głośniejsię uśmiechnie, szepnie coś koleżance, podejść do nich zniecka, wziąć je pod rękę, zaprowadzić nad rzekę, usiąść w trawie i zaśpiewać im, och, jak im zaśpiewać.

Po tej opowieści jeszcze bardziej chciałem oddać Mojżeszowi Marysię. I chciałem mu kupić szewrowe, ciemnowiśniowe jak moja bryczka trzewiki, czarny garnitur i białą koszulę. Niechby, zdejmując chałat i jarmułkę, przeszedł się przez całą wieś z Marysią pod rękę, usiadł z nią nad rzeką i zaśpiewał jej, och, jak zaśpiewał.

Pewnie dlatego opowiadałem Heli o Mojżeszcu, że wyniosłem z dna rzeki zranionego przez żandarmów archaniola. Jakoż podobnego archaniola, tyle tylko, że zwiastującego co innego, widziałem nad żydowską kapelą, nad Mojżeszem, nad Abrahamem Judką, nad beniaminkiem Izaakiem. A jak Heli opowiedziałem o zranionym archaniele i o tym nad żydowską kapelą, ona wtedy spytała, co będzie z naszym pierworodnym, z Izaakiem naszym.

Nie chciałem, żeby teraz spytała o to, i niemal ją dusiłem, przytulając do

siebie. Dopiero gdy z powrotem przyłożyła wargi do mojej szyi, nasłuchując we mnie, rozluźniłem uścisk i zdejmując dłonie z dwóch złotych renet, z dwóch żywych stworzeń, szedłem palcami po jej twarzy aż do uciszenia, do snu.

Widocznie pieszcząc ją i wspominając ubiegłe lato, najpierw białe jak wapno, a później czarne od naszej przydymionej nagości, zasnąłem, bo gdy się przebudziłem, moje ręce leżały na jej głowie. Początkowo myślałem, że Hela mówi przez sen, ale to padał wiosenny deszcz i cała strzecha, ociekając wodą, naszeptywała. Pomyślałem sobie, że już najwyższy czas wyjść w ten deszcz, w to jego naszeptywanie, gdyż na polu bieleło i w stodole widać było każde z osobna źdźbło. Na pewno lada moment sołtys wejdzie do stodoły i sąsiedzi zaczną się krzątać po obejściach.

Ostrożnie, żeby nie zbudzić pogwizdującej przez sen Heli, wyjmowałem ją z ramion. Gdy już siedziałem obok niej na sianie, przeczekałem chwilę i zacząłem się ubierać. Hela, zwinięta niemal w kłębek, z warkoczem rozsypanym na sianie, z uchylonymi ustami, spała oddychając jak dziecko. Schyliłem się jeszcze nad nią, żeby ją pocałować, gdy westchnęła i rozrzucając ręce, przewróciła się na drugi bok. Gdy sturlałem się po sianie na boisko, Hela mówiła coś przez sen. Wydawało mi się, że słyszę:

- Piotrze, Piotrusiu, to ON. To ON, Piotrze.

Od tej pory nie rozmawialiśmy z Hela ani o Stachu, ani o Mojżesz. Nie zdarzyło mi się też w tym czasie, żebym widział listonosza, starego sołtysa, policjanta, żandarma czy też rozwalonych esesmanów z miasteczka. Wprawdzie gdy dłuższy czas siedziałem z matką w izbie lub pracowałem w polu i patrzyłem w jej twarz jeszcze gładką, ale zaledwie przypominającą tamtą z dzieciństwa, migał mi w jej oczach cień Stacha i cień Mojżesza. Ale również te cienie nazywałem - ON. A ON nie był podobny ani do Stacha, ani do Mojżesza, ani do Heli, ani tym bardziej do mnie. Przypominał po trosze zranionego archaniola wyniesionego na brzeg z dna rzeki, po trosze kapitana, zugsfürera, Pawełka, każdego z moich chłopców ocierających z rosy karabiny, czołgających się pod paprocią. Jeśli jeszcze cokolwiek miał ze mnie, to duże wapienne dłonie. Jakoż nadal nie mogłem się przyzwycząić do moich rąk i zawsze je nosiłem odrobinę odsunięte od boków. Nie były to jednak dłonie podobne do dwóch kawałków wapnia, do dwóch sztabek żelaza wyjętego z kowalskiego ogniska.

Właśnie w tym czasie kowal wykończył moją bryczkę. Stała teraz, jak chciałem, wiśniowa w stodole. Na wszelki wypadek, żeby jej nie zabrali Niemcy, przytrzasnąłem ją słomą. Kilka razy w niedzielne zmerchły podjeżdżałem nią pod kapitana, zugsfürera i Pawełka, żeby ich zabrać do lasu na batalionowe ćwiczenia. Oni, zwłaszcza Pawełek, siedząc za mną, szturchali mnie w bok, pytając, kiedy ich zaproszę na wesele. Nie odpowiadałem im, podcinając batem odpasione konie. Galopowaliśmy między dojrzewającymi zbożami, aż kłosa wkręcane w szprychy pryskały nam ziarnem w twarze.

Ponieważ, bojąc się łapanki na roboty do Niemiec, nie mogłem zawieźć

do kościoła ani matki, ani Heli, uprosiłem pewnej niedzieli kapitana, żeby mi pozwolił zabrać do lasu Hele. Jakoż przez trzy ostatnie niedziele, ćwicząc chłopców nad rzeką i w lesie, nie miałem czasu wyjść z nią nad wodę lub chociażby przejść się przez wieś. A spotykając się z nią przelotnie, zauważyłem, że jeśli nawet się śmieje, jej śmiech jest przyciszony, jakby w pobliskim sadzie spał ktoś bardzo spracowany. Poza tym przytulała się do mnie ostrożniej, patrząc na moje ramiona, jakbym na jednym z nich niósł niewidoczne koźlę, czy też jeszcze mokrego źrebaka.

Nie rozumiejąc tego wszystkiego i przez to powtarzając sobie parę razy dziennie, zwłaszcza gdy spojrzałem na rękę: - To ON. To ON! - postanowiłem zabrać ją do lasu. W lesie na pewno zdarzy się okazja, żeby na pół godzinki odejść od chłopców, usiąść w paprociach i porozmawiać. Z własnego doświadczenia wiedziałem, że w lesie, jak w kościele pełnym kadzidła i modlitw, łatwiej się zwierzyć, wyszeptać z siebie wszystko utajone.

Toteż jadąc z Hela tej niedzieli i mając za sobą kapitana z zugsführerem, obejmowałem ją prawnym ramieniem, przytulając do siebie. Konie, przyzwyczajone do polnej drogi między bielejącymi zbożami w nawoływaniach ptasich, szły truchcikiem, podnosząc wysoko łby. Gdyśmy wjechali w łąki i w coraz bardziej gęstniejącym zmroku Hela przytuliła się do mnie całym ciałem, pierwszy raz od paru miesięcy zebrało mi się na śpiewanie. Zugsführer, siedzący za mną, wiercił się niespokojnie, ale gdy do mojego śpiewania dołączył się kapitan i Hela, również on zaczął przytupywać do taktu.

Gdyśmy zajechali na śródleśną polanę, gdzie już kręciło się sporo naszych chłopców, i zsiadliśmy z bryczki, kapitan podszedł do mnie i podnosząc do nieba twarz Heli, prawie się uśmiechnął. A uśmiechając się, dodał:

- No, to idźcie sobie. Na razie nie będziecie mi potrzebni, kapralu. Tylko nie odchodźcie daleko. Któryś z patroli mógłby was wziąć za Szkopów.

Przywiązując lejce do podkulków i podrzucając koniom wiązki siana, wziąłem Hele pod rękę, wchodząc w paroletni młodnik. Duszno w nim było od upału, od ściekającej z gałązek żywicy i poczynających wyłazić z podściółki grzybów. Zaledwie usiedliśmy na suchym igliwiu, już zaczęliśmy się całować, próbując przyciągnąć do siebie. Nie słyszałem ani parskania koni, ani tym bardziej rozkazów i komend. Dopiero gdy Heli zaplątał się warkocz w sękatą, prawie uschniętą sosenkę, aż syknęła z bólu, przestaliśmy się tarmosić. Wyplątując jej warkocz z sosenki, próbowałem ściągnąć z niej sukienkę. Broniła się zaciekłe. Wreszcie niemal krzyknęła:

- Uspokój się. Nie można. Nie wolno.

- Czemu? Co się stało, Helu?

- A to.

- Ale co?

- Mówię ci przecież, że to. Z wami jest tak zawsze. Nigdy nie wiecie, co się stało.

Mówiąc to, wzięła moją rękę i położyła sobie na tych dwóch złotych renetach, dwóch żywych stworzeniach. Jej piersi wydawały mi się większe niż normalnie. Ale ponieważ oddychała szybko, jeszcze nie pojmowałem, o co jej chodzi. Dopiero gdy rękę zsunęła niżej, na brzuch, drgnąłem w sobie. - Naprawdę, Helu?

- Naprawdę, naprawdę. Pewnie, że naprawdę.
- I dawno wiesz o tym?
- Od dwóch miesięcy.
- To czemuś mi nie powiedziała?
- Bałam się, Piotrze. Nawet nie wiesz, jak się bałam. A wiedziałam, że się to stało już wtedy, gdyś wyszedł ode mnie ze stodoły i zbudziłam się, i padał deszcz, i cała strzecha, ociekając wodą, szeptała, że to się stało. A jak się upewniłam, że to się stało, zobaczyłam tamtą wodę zarzuconą czerwonymi jabłkami, przebitą nożem, pociętą kozackimi szablami i nas zobaczyłam leżących na strzesze i usłyszałam to, co wtedy powiedziałam. A jak to usłyszałam pierwszy raz i później codziennie słyszałam, nie chciałam ci powiedzieć, że to się stało. Ale źle zrobiłam, żem ci o tym nie powiedziała. Przecież to ON, on zabijał. A jak obydwoje wiemy, że On zabijał, to mogłam ci o tym powiedzieć i nie słyszeć tego, com wtedy powiedziała na strzesze, i nie bać się. Prawda, Piotrze, żem się niepotrzebnie bała?

Głaszcząc ją po głowie, po zgrubiałej szyi, po tych dwóch żywych stworzeniach podnoszących się i opadających, widziałem tamto rozlewisko zarzucone czerwonymi jabłkami i kozaków obmywających w nim szablę, i rzekę wyścieloną czerwonym sukniem, i jeszcze tę rzekę, do której spadał zraniony przez żandarmów archanioł, i słyszałem, co do mnie mówiła Hela na strzesze i co później mówiła. A gdy moja ręka zeszła z jej głowy, z jej szyi, z tych dwóch żywych stworzeń i znieruchomiła, a ja przymknąłem oczy, zobaczyłem, jak do rozlewiska, do rzeki zranionej, bo już spadł do niej archanioł, wkłada złote berło król i złote jabłko wrzuca królowa. I rzeka staje się na powrót zielona jak wiklina i niemal biała od wygaszonego w niej wapna.

I zobaczyłem Hele wchodzącą do tej wody bez koszuli i wyciągającą z niej biały welon w mircie. I słyszałem, że mówię: - To ON. To ON. - A gdy to usłyszałem w sobie i powtórzyłem na głos sobie, Heli i tym sosenkom, pod którymi siedzieliśmy, i pierwszy raz doleciało do nas rzenie koni i na to rzenie odpowiedział zagubiony w lesie źrebak, wzięłem Hele na ręce i pochylając się nad młodnikiem, biegłem z nią przez las, póki nie znalazłem się na polanie, póki nie poraziło mnie lipcowe niebo zbielejące od zbóż.

Leżeliśmy teraz w wysokich na chłopa paprociach. Ponieważ przyciągałem Hele coraz mocniej do siebie, że niemal traciła oddech, pociągnęła mnie uwolnioną dłonią za czuprynę, szepcząc:

- Ostrożnie, Piotr, ostrożnie.

I biorąc w ręce moją głowę, przechyliła mnie na kolana. Początkowo leżałem nieruchomo, nasłuchując szczęku broni, ostrego głosu Pawełka,

rozkazów kapitana, sapania i ziajania czołgających się z karabinami chłopców. Dopiero gdy Hela, siedząc w paprociach, zaczęła mi z psoty zaplatać włosy w drobne warkoczyki i wyjmować z nich igliwie, próbowałem ustami odnaleźć tętnice pod jej kolanami. Gdy mi się to wreszcie udało, słyszałem, jak w Heli wędruje całe mrowisko, znosząc igielka po igielce, ziarenko po ziarenku na dom. A myśląc o tym, spytałem:

- Twoi starzy już wiedzą?

- Jeszcze nie.

- A zauważyli?

- Zdaje się, bo matka coraz pilniej mi się przygląda. To przez te kurze łapki pod oczami. Pudruję się mąką, ale to nic nie pomaga.

- W tym tygodniu przyjdę do was. Musimy im powiedzieć.

- Już w tym tygodniu?

- A coś ty myślała? Przecież nie będziesz się ukrywać przed nimi i przed całą wsią. Do partyzantki też cię nie przyjmą. Chłopców mamy sporo, a broni jak na lekarstwo.

- Jakoś dam sobie radę. Bez twojej partyzantki. A pod jesień wyjadę do ciotki za Wisłę. Ona jest sama. To urodzę u niej. Nikt nie będzie wiedział.

- Nigdzie nie pojedziesz. Urodzisz w domu. A wcześniej sprawimy wesele. Dla wszystkich. Zaprosimy kapitana, zugsfürera, Pawełka i wszystkich Jędrusiów. Chyba, że mnie nie chcesz, Helu?

- A któż by cię nie chciał? Pewnie, że cię chcę. Wszystkie panny cię chcą. Jeszcze przed festynem zauważyłam, że oglądają się za tobą, jakby nad tobą szedł obraz procesji. Niejedna by na klęczkach w biały dzień po rozsypanym grochu do Częstochowy szła, żeby ciebie mieć. To ja też chcę. I zawsze chciałam. Jeszcze zanim spojrzaleś na mnie, chciałam cię, Piotrze. Ale teraz to co innego. Wiesz, że teraz to co innego? A jak nie wiesz, to daj rękę.

Prawda, że teraz to co innego? To chciałabym pojechać do ciotki i urodzić u niej. A jak zobaczysz, jak go zobaczysz, jak przyjedziesz do mnie i zobaczysz, i kiwniesz głową, i uśmiechniesz się, i zaśpiewasz, wówczas będę chciała.

- Ale ja teraz chcę. I przyjdę do ciebie. Jutro przyjdę. Z matką. I razem z matką kiwniemy ci głową i uśmiechniemy się, i zaśpiewamy.

- Ale ja bym wołała...

- Wołała, wołała. Przyjdziemy jutro z matką. A teraz już chodźmy stąd. Zdaje mi się, że chłopcy przestali ćwiczyć, bo się uciszyło do rozlanego wosku.

Na drugi dzień przed zmierzchem, po powrocie od jęczmiennych żniw, wykąpałem się, ogoliłem i począłem wciągać białą koszulę. Ponieważ ani rano, ani przy koszeniu jęczmienia nie wspominałem matce jednym słówkiem o moim ożenku, chodziła teraz koło mnie, przyglądając się jak komuś pomyłonemu z radości. Ale pamiętając o moich rozlicznych w owym czasie wyjściach do lasu, wyjazdach do okolicznych miasteczek i wsi, nie śmiała o nic zapytać. Dopiero gdy wyjąłem z szafy czarny garnitur, nie używany od początku wojny, i zacząłem go szcztokować, nie wytrzymała:

- Cóż to, synku, w konkury się wybierasz?

- Ażeby mama wiedziała.

- Daleko?

- Nie, zaraz tu, parę kroków. I mamę też chciałbym zabrać z sobą. To niech się mama ogarnie.

- Widzę, że znowu trzymają ci się psie figle. Takie duże chłopisko, a co powie, to płacz, człowieku, albo wpychaj pięść pod dołek ze śmiechu.

- Jakie tam psie figle. Gdzie bym tam śmiał żartować z mamy. Niech mi się mama dobrze przyjrzy. Szron mi się na skroniach sypie i gęba w Inianej sieci. Najwyższy czas na ożenek. Za parę lat nawet wdowa z siedmiorgiem dzieci nie spojrzy na mnie. To niech się mama zbiera, póki czas, póki się nie rozmyślę. Inaczej nigdy się mama nie dochowa wnuków.

Widziałem, że matka jeszcze mi nie dowierza. Stała przede mną z przechyloną głową, starając się spojrzeć mi w oczy. Ale gdy z szafy wyciągnąłem krawat, jej czarną spódnicę, wszystkie halki i odświętną szalówkę z frędzlami, zaczęła się krzątać koło siebie. Pomagając jej uczesać i zapleść w warkocz przesypane popiołem włosy i całując jej ręce, szepnąłem:

- I wnuk się mamie znaczy. Nawet się nie spodziewałaś, że wnuk ci się znaczy. Widzisz, jakiego masz syna. O wszystkim od razu pomyślał. O weselu z chrzciniami.

- Oj, synku, synku, musiałabym cię nie znać. Plecie ci się dzisiaj, oj, plecie.

- Tak się mamie zdaje. Lepiej niech mama pieluchy szykuje i ze strychu konia drewnianego i kołyskę ściąga. Już niedługo będą potrzebne.

- A daleko do twojej wybranej? Bo jakby było daleko, to może byś wytoczył bryczkę?

- Już mamie mówiłem, że bliziutko. Tuż za sadem.

- U sołtysa?

- Może u sołtysa. Zaraz mama się dowie.

Gdyśmy wyszli z furtki na błonie, przystanąłem. Po lewej była ścieżka do sołtysa, po prawej do domu Marysi. Czekałem, gdzie to matczyisko mimo woli postawi swój pierwszy krok. Ale ona widocznie zmiarkowała, o co mi chodzi, bo spoglądając na mnie, rozkazała:

- Prowadź.

- A gdzie mama chce, żeby ją zaprowadzić? Na lewo czy na prawo.

- Tyś wybierał, to wiesz lepiej. Nie dręcz starej. Prowadź.

Wziąłem ją pod rękę i kawałtko szedłem prosto. Widocznie ją to zdenerwowało, bo przystanęła i tupnęła nogą. Nie chcąc jej dłużej dokuczać, skierowałem się w stronę sołtysowego domu. Matka uśmiechając się aż chrząknęła z zadowolenia.

- To Hela, Piotrze?

- Hela, mamó.

- Dobrze masz oko, synku. Lepsze od mojego starego. Chociaż mnie też nic nie brakowało. Gdym wychodziła z kościoła, szła na odpust, na jarmarku

łaziła między kramami, a choćbym tylko wychodziła w pole, chłopów aż zatykało. Jednego zza wody, blondynka, to ledwie dokrzysili. Akurat coś jadł, gdy go na odpuszcie nieumyślnie potrąciła łokciem. Udławił się i posiniał cały. To go grzmocili pięściami po karku, wodą oblewali, poświęcaną wodą. A on, gdy wreszcie przyszedł do siebie, mamrotał w kółko:

- Diablica taka. No, widzieliście, jaka to diablica.

Uśmiechnąłem się do matki. Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale już wchodziliśmy w sołtysowe obejście. Schylając się pod jabłonkami, gdyż zawadzałem głową o najniższe gałązki, zauważyłem, że ktoś na nas spogląda zza węgła. Widocznie nas dojrzał, bo zniknął i po chwili trzasnęły drzwi od komory. Do nas natomiast przyplątał się, ujadając, pies. Gdy go zawołałem po imieniu, uspokoił się, skacząc mi do ręki.

Już wchodziliśmy do sieni, gdy sobie przypomniałem, że dwa lata temu kilku moich chłopców sprawiło sołtysowi tęgie lanie. Jakoż na weselu u krewniaka, gdy przypląтали się żandarmi, popijał z nimi, przechwalając się, ile on to mięsa i zboża dał niemieckiej armii. Wprawdzie ja sam wyplątałem się wówczas od pójścia z kijem do sołtysa, ale od tej pory, ilekroć mnie zobaczył jadącego koło jego domu, uciekał do izby. Ale zanim o czymkolwiek zdążyłem pomyśleć, matka już otwierała drzwi, mówiąc "Pochwalony".

Wszyscy w trójkę byli w domu. Widocznie Hela musiała uprzedzić ojców, bo byli ubrani odświętnie, a na stole nakrytym białym obrusem stały w glinianym dzbanie co tylko zerwane piwonie. Sołtys wprawdzie ślęczał nad jakimiś papierzyskami, ale z białej koszuli zapiętej pod szyją, z świeżo wymytych i zaczesanych do góry włosów można było sądzić, że to jego pisanie jest takie sobie, dla oka. Sołtysina natomiast wcale nie ukrywała, że nas oczekuje i wie, z czym przychodzimy. Podeszła do matki i obejmując ją wpół, pocałowała w obydwa policzki. Gdy się schylał do jej ręki, pociągnęła mnie za włosy, szepcząc:

- Zboreźniku.

Teraz dopiero spostrzegłem Hele. Stała przy oknie wychodzącym na ogródek, poprawiając doniczki z mirtem i asparagusem. Gdy ją sołtysina przywołała, była czerwieńsza od piwonii stojących na białym stole.

Usiedliśmy na odsuniętej od ściany ławce, pogadując o tym i o owym. Żeby rozmowa się nie przedłużała, wyciągnąłem niepostrzeżenie butelkę z kieszeni i stawiając ją na stole, spojrzałem na sołtysa. Chrząknął, powiadając do żony:

- Matka, szykuj szkło. Widzi mi się, że Pietrek ma do mnie jakiś interes.

- Takie czasy, sołtysie. Teraz każdy ma do was jakiś interes. To i ja nie lepszy.

- Nie gadałbyś, Pietrek. Jakże to nie lepszy? Gospodarz jesteś. Rzec by można, kmieć. To jaki interes ty możesz mieć do mnie?

- Kmieć nie kmieć, sołtysie, a interes mam. Gwoli tych złotych jabłek w sadzie. Złotych z czerwonych. To jak te jabłka zobaczyłem, jedno z nich bardzo mi się uwidziało. A jakżeście spali, wchodziłem do sadu i to złote

jabłko głaskałem. A jak je już ugłaskałem, chciałem je zerwać i zanieść do domu, położyć na sianie, posadzić na krześle, na stole położyć. Niechby w izbie się złociło i oczy radowało, sołtysie.

- Jakie znowu jabłko? Dziwnie dzisiaj mówisz, Pietrek. Jak ten stary proboszcz. Zmiarkować nie mogę. Napijże się ze mną, może po wypiciu prędzej cię zmiarkuję.

Wiedziałem, że sołtys pojmuje, o jakie jabłko mi chodzi. Jakoż oczy mu się świeciły i co chwila spoglądał to na sołtysinę, to na moją matkę, to na Helę. A wychylając czwarty z kolei kieliszek, dalej przygadywał:

- No, no, co też nie wymyślił. Jabłko złote. A takie jabłko to król. A mnie do starosty dalej niż za morze.

Nie miałem jednak odwagi powiedzieć tego prościej. Widząc to matka, już przy butelce postawionej przez sołtysa, wyjaśniła wszystko. Sołtys spojrzął na mnie, przysunął się z krzesłem i kładąc mi rękę na kolanie, rzekł:

- Teraz co innego. A ty, jabłko, furt to jabłko. Chociaż i tak można.

Zważywszy na Ewę i na raj zważywszy. To powiadasz, Pietrek, że chciałbyś mi zabrać to jabłuszko złote? Co ty, matka, na to?

- Ja im rada z calutkiego serca. Tylko że tak późno. Że już się to stało. Co ludzie powiedzą?

- Tu nie o to chodzi, co ludzie powiedzą. Zawsze coś wymyślą, choćbyś na łbie nosił cierniową koronę. Ja tam nawet lubię, kiedy po weselu trzaszykować chrzciny. A z nami jak było? Nie rumień się, matka, przecież wiesz, jak było. Tylko że ja z Pietrkiem chciałbym porozmawiać. We dwóch porozmawiać i bez was, kobiety.

Kiedy zostaliśmy sami, sołtys nalewając do kieliszków i trącając się ze mną, spytał:

- Słyszałem, żeś zabił. Żeś zabijał, Piotr. Wiem, wiem, że musiałeś. Ale to spadnie na nas i na Hele spadnie, i na dzieci, Piotrze. Boję się, że spadnie na dziecko, synu.

- To nie ja, sołtysie. Hela wie, że to nie ja. To ON, sołtysie. ON. Ani ja, ani Hela, ani moja matka, ani Stach i Mojżesz. Tylko ON. ON.

- Jaki znów ON? Cóżeś ty wymyślił?

- Nic nie wymyśliłem. Nie chciałem wymyślać. Jak oni przyszli i zabili Stacha, i Mojżesza zabili, i wikarego, i porucznika, to zjawił się ON. Jak szedłem do listonosza, do sołtysa z za wody, policjanta, żandarma i esesowców i wyciągałem rękę z pistoletem, i ręka mi białała, jakby była wyjęta z wapna, wtedy ON ich zabił. I teraz też zabija. I będzie zabijał. ON. Mówię wam, sołtysie, ON.

- Jeśli tak uważasz, twoja sprawa, Piotrze. Ale to to samo, co z tym jabłkiem złotym. Mnie tam nic do tego. Jeśli Hela wie i mówi, że to ON, to pewnie tak jest. Tylko, żeby to nie spadło na dziecko, Piotrze. Na dziecko.



20

Uradziliśmy, że wesele urządzimy z początkiem września, tuż po żniwach. Hela oprócz krowy, paru gratów i garnków miała dostać w wianie pole pod tarniną przylegające do naszego. Ponieważ już uprzednio, zanim się z nią spiknąłem w ogrodach, wchodziłem parę razy w dojrzewającą na tym polu pszenicę, nie omieszkałem również w parę dni po konkurach wybrać się pod tarninę. I nie powiem, że bym się wstydził, gdy w koszuli z krótkim rękawem łąziłem wzdłuż i wszerz po tym stajaniu pszenicy. Toteż gdy sołtysostwo wybrali się ją kosić, wmówiłem się do żniw.

Wprawdzie sołtys chciał, że bym szedł pierwszy, ale udało mi się wypchnąć go na pierwszy pokos. Nie starając się go dogonić, szedłem za nim. Pszenicę, spadającą i czystą jak łąza, podbierała Hela. Przystawałem co parę kroków, żeby to niby naostrzyć kosę. W gruncie rzeczy jednak, żeby spojrzeć na Hele i zapytać, czy jej nic nie dolega. Związując naręcze pszenicy powrółem, rzuciła snopek na ścierń i przynosząc mi dzbanek ze zbożową kawą, odpowiadała:

- Wszystko dobrze, Piotrusiu. Wszystko.

Natomiast z sołtysem prawie nie rozmawiałem. Gdy po ściętym pokosie siadywaliśmy na brzegu rowu pod tarniną, żeby wypalić papierosa, przyglądał mi się ukradkiem, jakby chciał dojrzeć we mnie tego drapieżnego sokoła, którego nazywałem: ON.

Żeby go przekonać, iż naprawdę jest tylko ON i nie spadnie nawet drobne piórko na Hele, na nasze dziecko, w dwa tygodnie po naszych zaręczynach przyszedłem do sołtysa, trzymając w kieszeni wyjęty z ciupagi sztylet. Poprosiłem go do drugiej izby. A gdy byliśmy sami i drzwi były zamknięte na klucz, wyjąłem z kieszeni sztylet i położyłem go na stole. Kazałem sołtysowi zdjąć ze ściany drewniany krzyż z Chrystusem. Kładąc sztylet na krzyż, na połamane ciało z przybitymi do drewna drewnianymi rękami i nogami, z przekłutym włócznią boki, kazałem sołtysowi stanąć na baczność, podnieść dwa palce prawej ręki i przysięgać. A gdy już został jednym z ostatnich Jędrusiów we wsi, kazałem mu powtarzać:

- Ja żołnierz, Jędrus żywy i przy zmysłach wszystkich jeszcze, widząc to połamane kołkiem ciało, przysięgam na nie i na wszystkich, których połamano, przybito, którym przekłuto bok, że będę zabijał. I ja będę - ty, i ty będziesz - ON.

Od tej pory sołtys ćwiczył razem z nami. Przyniosłem mu jeden z dwóch moich karabinów. Od tego też czasu, gdy żona, której ulegał jak cielak czujący pełny skopiec syczącego mleka, zastała go przy czyszczeniu karabinu i zaczęła na niego krzyczeć, a on pierwszy raz popróbowował jej grzbietu, patrzył na mnie jak niegdyś na Franciszka Józefa wręczającego mu na froncie flaszkę rumu, jak na Witosa niesionego w bryczce przez górali, jak

na dziedzica zapalającego na dożynkach papierosa dwudziestozłotówką.

W tym też czasie do naszej wsi i w okolicy przybywało coraz więcej frontowego wojska. Z tego też powodu przestaliśmy chodzić nad rzekę i jeździć do lasu. Tedy miałem sporo czasu, żeby pomagać Heli w szykowaniu wesela. Jak się rzekło, chcieliśmy, żeby na naszym weselu było sporo ludzi. Po wyjściu drugich zapowiedzi wybrałem się z Helą do kościoła, żeby się wypowiedzieć. A nie spowiadałem się, odkąd spiknąłem się z Jaśkiem na chórze. Nawet na Wielkanoc, chociaż matka przyniosła od proboszcza imienną kartkę. Oddawałem ją któremuś z bardziej tchórzliwych chłopaków, a on przyklejając ją do swojej okruszyną chleba, oddawał proboszczowi. Teraz jednak nie było rady.

Do kościoła przyszedliśmy prawie o zmierzchu. Oprócz starego, powłóczącego nogami kościelnego i trzech tercjarów wdychających po kątach, w kościele było pusto. Przeto Hela poszła na plebanię po proboszcza. Przyszedł i sadwiąc się w konfesjonale, skinął dłonią na Hele. Zanim wyszła z ławki, otulając się w letnią szalówkę, nachyliła się do mnie, szepcząc mi do ucha:

- Mów, że ON.

Znając proboszcza, który lubiał się wypytywać o najdrobniejsze szczegóły, postanowiłem jeszcze inaczej. Przemyślałem sobie zresztą tę spowiedź parę dni temu przy żniwach. Ale gdy Hela wstała z klęczek, wyskoczyłem z ławki, jakby nagle pode mną zapalono ognisko. Klękając przy konfesjonale, ucałowałem stulę, omijając podsuniętą mi pod usta starczą rękę. Proboszcz chrząknął i cofając rękę, szepnął:

- Mów, synu, co cię boli.

Zacząłem od chóru, od śpiewanej razem z Jaśkiem wielkopostnej pieśni. Długo, ze szczegółami opowiadałem o Jaśku, o naszych kradzieżach i o tym kawałku psiej ziemi, w której zagrzebano mojego kompana. Wspomniałem jeszcze o Marysi, o Stachu, którego nie uratowałem, i o Mojżeszcu. I zamilkłem bijąc się w piersi. Zdawało mi się, że w głębi konfesjonatu, wyścielonego puchową poduszką, proboszcza zmorzył sen. Jakoż nawet nie pochrząkiwał i ani jedna fałda na sutannie nie szeleściła. Dopiero po paru zdrowaśkach wychylił się z konfesjonatu i przysłuchując się mojej modlitwie, położył mi rękę na głowie. Nie dał mi jednak rozgrzeszenia. Usłyszałem natomiast:

- Zbliź się, synu. Chciałem cię o coś zapytać.

A gdy na powrót klęczałem na drewnianym stopniu z uchem przyłożonym do kratek i osłoniętym ręką, proboszcz począł szeptać:

- Mówiono mi, żeś zabił.

- To nie ja, ojcie duchowny.

- Żeś zabił listonosza, sołtysa z za wody, policjanta i że jeszcze wieluś zabił.

Widząc w półmroku splecione ręce proboszcza, jego ledwie bielejącą twarz, przypomniałem sobie dłonie listonosza podobne do dwóch kawałków wapnia, gruźlaste ręce sołtysa z za wody i usłyszałem suche padanie

kościwego ciała na stół i pod stół. Mimo woli zdjąłem dłonie z konfesjonału, odsuwając je coraz dalej od siebie. Ale jeszcze rzekłem:

- To ON. ON, proboszczu.

- Może i ON, synu. Szatan jest we wszystkich nas. Ale twoimi rękami.

- To nie szatan, ojciec duchowny. To ON Stach, ON Mojżesz, ON wikary i

ON porucznik.

- A, to taki jest ten twój ON, synu?

- Taki, proboszczu.

- Ale ON, twój Stach, twój Mojżesz, nasz wikary i twój porucznik, już wtedy nie żyli, gdyś zabijał. Umęczeni, królują w niebiesiech. Więc nie mogli zabić. Tyś zabił przeto. W ich imieniu zabijałeś. Z nienawiści, z zemsty zabijałeś. I musisz się ukorzyć. I musisz powiedzieć: zabiłem. Tymi rękami zabiłem. Przebac mi, Chryste. Zabiłem.

Spojrzałem w stronę ławek, gdzie klęczała Hela. Otulona w szalówkę, gdyż w kamiennym kościele nawet w lecie było chłodno, modliła się ze złożonymi rękami, zapatrzona w wielki ołtarz, nad którym wisiał wielkości człowieka drewniany krzyż. Zobaczyłem siebie śpiewającego na chórze wielkopostną pieśń o tym krzyżu, do którego było przybite połamane kołkiem ciało. I rzekłem:

- Zabiłem. Wybacz mi, Chryste.

I uniosła się ręka nade mną, i słowa pokruszone jak gaszone wapno posypały się na moją głowę. Idąc od konfesjonału do ławek, powtarzałem:

- Zabiłeś. Zabiłeś. Zabiłeś.

Ale gdy usiadłem obok Heli i spojrzałem w jej twarz, na jej złożone do modlitwy ręce, gdy dotknąłem jej ramienia, a ona się poruszyła rozchylając szalówkę i zobaczyłem jej rysujący się stromo brzuch, szepnąłem:

- To ON, Helu. ON.

Aliści w powrotnej drodze z kościoła, gdyśmy przechodzili między niemieckimi żołnierzami spacerującymi po szosie, między ciągnącymi w stronę lasu taborami i armatami, jeszcze raz zobaczyłem idącego do mnie Stacha i Mojżesza. A później już tylko siebie i Mojżesza. Szliśmy przytuleni do siebie, ramię przy ramieniu, biodro przy biodrze, bagnet przy bagnecie za zgubioną dywizją, bośmy się bali odsunąć od siebie na cal, na pół cala, gdyż zdawało się nam, że wtedy wejdzie między nas Stach, wyciągnie rękę po papierosa, po manierkę ze spirytusem, po ostatnie jabłko. Widząc to wszystko, znowu chciałem zabić któregoś z tych przechodzących obok nas żołnierzy, chichoczących, próbujących zaczepiać Hele. Powtarzałem sobie:

- Zabiłeś. Zabiłeś. Zabiłeś. Ale czując wrośniętą niemal we mnie Hele, jej rozszerzone biodra, widząc w dymnym zmierzchu jej wyraźnie rysujący się brzuch, szybko dodawałem:

- Ty, Stachu, ty, Mojżeszu, poruczniku, wikary. Ty. Ty. Ty. Zabiłeś.

Zabiłeś. Zabiłeś.

A widząc, gdyśmy nadchodzili nad nizinkę, nieruchome, ledwie świecące przez wierzby rozlewisko, zobaczyłem w sobie tamtą sierpniową wodę,

czerveną i złotą od jabłek, pławionych koni, nagich chłopców. I usłyszałem płacz dziecka. Niosłem je na ramieniu jak koźlę, jak źrebaka, żeby je położyć na sianie. I bałem się stąpnąć w wybity w drodze dołek, żeby niesione przeze mnie dziecko, koźlę, źrebak, nie zbudziło się ze snu, nie zapłakało. I mówiłem sobie:

- To ON. ON, Piotrze.

Tej nocy znowu, leżąc na sianie z podłożonymi pod głowę rękami, usłyszałem polującą u krokwi kunę, pisk wróbli, spadanie szarych piórek na siano, na zwiezione i jeszcze ciągle czochrające się zboże. W tych spadających piórkach zobaczyłem, przymykając oczy, wdówkę, Jaśka i młodziutką służącą, uciekające przez wiosenne, w pierwszych listkach niebo. Słyszałem jeszcze śmiech i przekleństwa Jaśka próbującego je dopędzić na karej trzylatce.

Od spowiedzi, spotykając się z Helą dzień w dzień i pomagając jej w szykowaniu wesela, spoglądałem ukradkiem na jej zwiastowny brzuch. Gdy podnosiła ręce do twarzy, zaplatała warkocz, wpinała weń grzebień, przymykałem oczy, żeby zobaczyć ją jeszcze raz i jeszcze, aż do bólu przebitego strzałą gardła, w sierpniowym rozlewisku, leżącą obok mnie w ziele Marii Panny. Coraz częściej też miałem ochotę położyć rękę na tym stromym zwiastowaniu, na dwóch żywych stworzeniach wzbierających nad miarę, na jej ustach grubiejących od przeczuwania, od nasłuchiwania nie wypowiedzianego jeszcze słowa.

Wprawdzie nie odsuwałem moich rąk od siebie, lubiałem je nawet, gdyż roboty było jak nigdy i ręce moje były wszędzie, ale nie ośmieliłem się położyć ich na zwiastowaniu. Jednak Hela, nie wiedząc nic o mojej spowiedzi, brała moje ręce i gdy nikt nie widział, kładła je na brzuchu i przechylając głowę w bok, pytała:

- Czujesz, Piotrusiu? Czujesz?

Oprócz przepływania w niej tamtego sierpniowego zmierzchu i prawie białego jak gaszone wapno lata nad rzeką, oprócz naszeptywania ociekającej deszczem słomianej strzechy, nie słyszałem nic w tym rosnącym nieustannie wzgórzu. Ale nie wyrywałem jej ręki i trzymałem ją dopóty na tym wzgórzu, dopóki przyciskała ją palcami. Wierzyłem jej, że w zwiastowanym nam wzgórzu porusza się ono, nasze. Że on się porusza.

Łącząc tak z mojego domu do domu sołtysa, pogadując z przyszłym teściem, który już otwarcie przy mnie pokrzykiwał na sołtysinę, żądając jajeczniczy na słoninie, kiełbasy, wódki, ani się spostrzegłem, jak do naszego ślubu zostało nie więcej niż tydzień. Wprawdzie parę tygodni temu prosiłem kapitana na weselnego starostę, a Pawełka na starszego drużbę, ale czekało mnie jeszcze bicie wieprzka i cielaka, pociągnięcie pokostem bryczki i uprzęży.

Chociaż na drużbów zaprosiłem wszystkich chłopców z partyzantki, uradziliśmy wszelako z kapitanem, że do ślubu pojedziemy jedynie w dwie bryczki. Ja z Helą i rodzicami oraz Pawełek z jednym z drużbów. Również z

proboszczem ustaliłem, że ślub będzie skromny, bez organów i bez chóru. I zamiast, jak to było w zwyczaju, w niedzielę, tuż przed nieszporami, odbędzie się w powszedni dzień w samo południe.

Przez ostatnie dni przed ślubem upadałem ze zmęczenia i wchodząc do stodoły koło północy, ledwie przyłożyłem głowę do poduszki, zasypiałem natychmiast. Przestałem też słyszeć polującą u krokwi kunę, nasłuchiwać zbliżającego się po niebie Jaśka i powtarzać prawie na głos:

- To ON. To ON.

Ośmieliłem się do tego stopnia, zapominając o spowiedzi, że sam kładłem rękę na brzuchu Heli. I wydawało mi się, że w tym zwiastowanym nam wzgórzu poruszyło się coś podobnego do światła, do ryby, uderzającej pyszczkiem o zmarznięty lód. A gdy moje ręce wyczuły owo poruszenie się zwiastowanego wzgórza, zobaczyłem archanioła przelatującego przez niebiosy. Był to inny archanioł od tego przelatującego nad żydowską kapelą i jeszcze inny od zranionego przez żandarmów. A może to wcale nie był archanioł, tylko ja sobie nieopatrznie pomyślałem o nim, gdyż akurat tego dnia zmawiałem muzykę za lasem. A jak wracałem z tej wsi za lasem, pomyślałem o żydowskiej kapeli i o Mojżeszu pomyślałem, i usłyszałem w środku łąk:

- Jak ja ci zagram. Piotr. Och, jak ja ci zagram.

To nie chcąc myśleć o tej żydowskiej muzyce, o Mojżeszu, o tym archaniele przelatującym nad nimi i' jeszcze o tym archaniele zranionym przez żandarmów, gdyż ustaliłem, że to był ów archanioł, który zabijał ze mną, zobaczyłem, kładąc ręce na zwiastowanym nam wzgórzu trzeciego archanioła.

I z tym archaniołem zobaczonym pierwszy raz w dzieciństwie, najpierw na witrażu kościelnym, później w brykaniu żrebaka po wiosennym błoniu, w schodzącym z Dunajca lodzie, w dziuplach pełnych szerszeni i sów, wsiałem do bryczki i jechałem przytulony do Heli ubranej w welon, w mirtowy wianek. Ponieważ, jak zwykle, Pawełek się spóźnił, zabrałem z sobą zegarek listonosza i wyciągając go co chwila z kieszeni kamizelki, szturchałem w plecy woźnicę, żeby popędzał i tak już w galopie konie. Gdy przejeżdżaliśmy koło bunkrów, w których od paru tygodni siedzieli artylerzyści, Hela przytuliła się do mnie jeszcze mocniej, szepcząc:

- To ON, Piotrusiu. ON.

Widocznie artylerzyści obserwowali nas z daleka, bo podeszli do szosy, a widząc konie we wstążkach i Hele w welonie, zaczęli strzelać na wiwat. Konie, płosząc się, poniosły. Uleciał prowadzący nas do tej pory mój dziecinny archanioł. Zbliżył się w fioletowych od lasu niebiosach. Dopiero przed kościołem udało się woźnicy okiełznać całe w pianie konie.

Przed kościołem było pusto. Zsiadając z bryczki, wziąłem Hele na rękę i postawiłem na ziemi ostrożnie, jak doniczkę z zieleń. Pomogłem zejść matce i przyszłej teściowej. Czekaliśmy na Pawełka z drużbą. Gdy zajechali pod kościół i zeszli na ziemię, chciałem oddać Hele w rękę Pawełka i drużby. Ale

(on powiadając, że tylko skoczy na pocztę dowiedzieć się, czy przypadkiem nie ma listu od matki, która została w Częstochowie, zniknął mi w pobliskim domu. Jakoś zbyt długo nie wracał. Niecierpliwiłem się spoglądając na zegarek. Chcąc go jak najprędzej wyciągnąć z poczty, poszedłem za nim.

Stał obok okienka rozmawiając ze starszą, prawie posiwiąłą kobietą. Podeszedłem do niego i wyciągając zegarek, podstawilem mu go pod nos. Gdy łapiąc się za głowę, krzyknął:

- Ojej, już tyle godzin? - kobieta uniosła twarz znad paczki listów i spoglądając na moją rękę z zegarkiem, znieruchomiła. Zanim się spostrzegłem, ona już mi wyrwała zegarek z ręki i oglądając go ze wszystkich stron, szeptała:

- To on. Mojego męża. Skąd go pan ma? - A spoglądając na mnie, wrzasnęła: - Morderca!

Zrobiłem krok w stronę drzwi, ale Pawełek przytrzymał mnie za rękaw. I wyciągając z kieszeni pistolet, mówił powolutku do wrzeszczącej kobiety:

- Jeśli pani komukolwiek i kiedykolwiek piśnie choćby jedno słówko, zastrzelę na miejscu. A mordercą był pani chłop. Rozumie pani?

Kazał mi przywołać drużbę. Wręczając mu pistolet, szepnął mu coś do ucha. Gdy tamten kiwnął głową i spojrział na mnie, wyszliśmy z poczty.

Widocznie musiałem wyglądać, jakbym przed chwilą wyszedł z gaszonego wapna, bo gdy podchodziliśmy do stojących u bramy kościelnej, Hela podbiegła do mnie, pytając:

- Co ci jest, Piotrusiu? Gdzie Władziu?

Kiwnąłem głową w stronę poczty. Ale Pawełek, uderzając mnie łapą w plecy, powiedział na cały głos:

- Nic mu nie jest. To z przejęcia. Od razu ślub i chrzciny. A Władziu został na poczcie. Listonoszka zasłała.

Wchodząc do kościoła, prowadzony przez drużbę i przez matkę, potknąłem się na kamiennych schodach. Byłbym upadł, gdyby mnie kobiety nie podtrzymały. Matka, spoglądając na mnie, prawie się uśmiechnęła. Pewnie uwierzyła Pawełkowi, że to z przejęcia przed ślubem. Widząc, że coraz bardziej bieleję, głaskała mnie po rękę, dogadując:

- To nic, synku. To nic. Z twoim ojcem było to samo. Szedł, jakby mu słońce świeciło tuż przed oczami.

Ściskając ją mocniej za łokieć, szedłem wyprostowany przez prawie pusty kościół. Przede mną, prowadzona przez Pawełka i sołtysa, szła Hela. Przymknąłem oczy, żeby ją zobaczyć jeszcze raz w sierpniowej wodzie, w ziele Marii Panny. Ale zamiast niej zobaczyłem siebie stojącego na kościelnym chórze na skrzynce po świecach, śpiewającego wielkopostną pieśń. Przez wielkopostną pieśń, przez jej rany, zobaczyłem wdówkę Jaśka w tybetce zawiązanej z tyłu głowy i tuż po niej młodziutką służącą z rękami podtrzymującymi odstający brzuch.

Zanim z chóru począł śpiewać organista, usłyszałem intonującego Jaśka:

- Chytry. Chytry. Chytry, alem cię przechytrzył.

I zobaczyłem, jak wyciąga rewolwer, przykładła go sobie do ust i strzela. I usłyszałem, jak spada to suche ciało sołtysa zza wody na stół i pod stół, to wyższe od trzyletniego chrustu ciało listonosza i ciało policjanta. Zanim otworzyłem oczy, widziałem jeszcze nad sobą wyjęte z mszału, z Biblii, z Ewangelii, z bożego słowa i bożego boku wąskie ręce kapitana i jego usta uciekające od pocałunków, przywołujące mnie usta:

- Kapralu, Piotrze. Kapralu.

Dopiero wtedy otworzyłem oczy. Klęczałem obok Heli przed głównym ołtarzem. Nad nami stał proboszcz, wiążąc nam ręce stułą. Najwidoczniej coś się stało, o czym nie wiedziałem, widząc tyle rzeczy w sobie, bo proboszczowi trzęsła się starcza głowa i ręce nie mogły związać stuły. Hela, klęcząc obok mnie, szeptała z opuszczoną głową:

- Piotrusiu, Piotrze, gdzie ty jesteś? Co się stało? Co się z tobą dzieje, Piotrze?

Nie wiedziałem, o co chodzi jej i proboszczowi. Ale gdy staruszek powtórzył kilkakrotnie:

- Powiedz "tak", synu. Powiedz. Powiedz. Powiedz "tak" - szepnąłem:

- Nie. Nie. To ON. Mówię wam, że to ON.

I dopiero po chwili, patrząc na płaczącą Hele, na ciało przybite do drewna wiszącego nad wielkim ołtarzem, niemal zawołałem na cały kościół:

- Tak. Hela. Tak. Tak.

Spis treści



Muzyka grała od paru godzin i prawie się zmierzchało, a ja jeszcze nie byłem ani u mnie w domu, gdzie się bawiono, ani w domu Heli, gdzie ucztowano. Zaraz po przyjeździe z kościoła Hela z matką zaprowadziły mnie do stodoły i ściągając ze mnie buty, rozebrały mnie prawie do naga, wpychając pod pierzynę. Zasnąłem, nim zdążyłem wyjść pod sad. Pamiętam, że zanim się obudziłem, słyszałem przez sen, przez sad jeden i drugi, przez zwieziony potraw i słomę - dudnienie basów i głos śpiewający tak, jakby należał do kogoś idącego nago, ale w butach, po dnie wiosennej rzeki. Chciałem wskoczyć do tej rzeki, wyciągnąć tego kogoś na brzeg za czuprynę, gdy mnie pocałowano w usta. Obok mnie klęczała Hela. Usiadłem i jeszcze cały w kłaczkach snu, przyciągnąłem ją do siebie.

- Ostrożnie, Piotrze. Jeszcze może się coś stać.

- Nic się nie stanie, Helu. Co się miało stać, już się stało.

- Ale ja mówię o nim. O naszym małym.

- Ja też, Helu.

- Myślisz o nim, Piotrze? Bo ja się doczekać nie mogę. Chciałabym go

mieć już jutro, zaraz po weselu. Już teraz na weselu. Żeby leżał na sianie goły, golusieńki, nóżkami fikał i wrzeszczał. Na cały głos. Na wieś całą. Żeby od jego wrzasku jabłka dostawały gęziej skórki, drzewa się kulily, a konie rżały w stajniach. I żeby cię ciągał za uszy, targał za włosy. Żeby z ciebie jak z lasu w noc sobótkową wyszły wszystkie tajemnice, wszelkie przerażenia. Żebyś się mógł przytulić do drzewa, do konia, do psa, do mnie. Żebyś się uśmiechnął.

- Mówisz, jakby już była Wigilia. Jakbyś przyszła z całym naręczem opłatków. A ja chciałbym się dowiedzieć, co się działo w kościele.

- A co się miało dziać. Nic się nie działo, Piotrze. Zamyśliłeś się odrobinę. Ale tak, to nic się nie działo. Mówię ci, że nic.

- Bo widzisz, Helu, tam na poczcie...

- Wiem, wiem wszystko. Pawełek mi mówił. Ale to ON, Piotrze. To ON zabił. Obydwoje wiemy, że ON. Od dawna o tym wiemy. I Pawełek też wie, że to ON.

- Powiedziałaś mu?

- Nie. Nie powiedziałam mu. Sam mi mówił, że to ON.

- Ale skąd Pawełek wie, że to ON?

- Jak to skąd? Przecież wszyscy wiedzą, że to ON. Wszyscy ludzie z naszej wsi. I w okolicy wszyscy ludzie.

- Może i wiedzą, Helu. Ale tam na poczcie i później w kościele to nie był ON. I teraz też nie jest ON. I ani ty, ani moja matka, ani Pawełek, ani nawet kapitan nie będą nigdy NIM.

- Mówię ci przecież, to ON. Nie myśl już o tym, Piotrusiu. A teraz chodź, zatańczymy. Jeszcze nie tańczyłam. Czekałam na ciebie. Tak dawno nie tańczyłam z tobą. Od festynu. Wszyscy czekają, kiedy zatańczymy, bo chcą zatańczyć ze mną. I warkocz chcą mi obciąć.

- Już ci mówiłem, że warkoczy ci ściąć nie pozwolę. Miotłą przepędzę wszystkie baby, połamię nożyce. Zawsze będziesz dla mnie dziewczyną. Choćbyśmy mieli piętnaścioro dzieci. Do samej śmierci będziesz dziewczyną. Ale zatańczyć z tobą nie mogę. Gdyby nie te ręce, tobym może mógł. A przez nie mogę.

- A cóż ty znowu chcesz od swoich rąk?

- Nic, Helu. Nic od nich nie chcę. Powiniennem im nawet zbudować po kapliczce. Dla każdej osobną. I modlić się do nich. Słuchają mnie przecież. Od psów wierniej mnie słuchają. Ale tam na poczcie, gdy listonoszka patrzyła na moją rękę, znowu zobaczyłem ręce listonosza i ręce sołtysa, i ręce policjanta. W gaszonym wapnie, w glinie, w piachu pełnym mrówek i żuków. I moje ręce były ich rękami. To nie mogę z tobą zatańczyć, Helu. Bo jakbym zaczął tańczyć z tobą, Helu, i te ręce położył na twoich ramionach, na plecach, na szyi, byłyby to równocześnie ręce wszystkich zabitych przeze mnie. Wówczas narodziłby się nam, Helu... Sama mówiłaś, tyle razy mówiłaś, co by się narodziło, Helu.

- Ubrdało ci się, Piotrze. Nic takiego nie mówiłam. A jeśli nawet mówiłam, to już ci wytłumaczyłam, że to było takie mówienie, jakby ptak przeleciał nad

woda, mrówka weszła pod ziemię, kropla spadła z dachu. Twoje ręce są moimi rękami i naszego małego. Będiesz go nosił na nich i kołysał, i podrzucał do powały, do szczytowych gałązek w sadzie.

- Nie zatańczę, Helu. Nie mogę.
- Ale teraz, gdy nikt nie widzi, dasz mi rękę. Prawda, że mi dasz.
- Nie dam.
- Proszę cię, Piotrze. Tylko jedną. Lewą. Na chwilę.
- Czemu lewą?
- Bo od serca, Piotrze.
- Ja mam od serca prawą. Od serca i od wszystkiego. Zwłaszcza od śmierci. Od śmierci przede wszystkim.

- To mi daj prawą. Albo obydwie.

- Nie dam. Nie mogę.

- To ja ci dam moje. No, widzisz, Piotrusiu, że moje są takie same jak twoje? Tylko trochę mniejsze. A jak moje są twoje, to mogę je sobie zabrać i położyć na głowie, na warkoczach położyć. Proszę cię, pociąg mnie za warkocz, Piotrze. Mocniej. Jeszcze mocniej. Jak tam w ogrodach, jak na festynie. Za parę godzin, chociaż nie chcesz, żeby mi je ścięto, nie będą to już dziewczęce warkocz. I na ramionach też mi je połóż. I na piersiach. A teraz po łóż je tu. Słyszysz?

- Słyszę, Helu. To ON.
- Nie Piotrusiu. To nie ON. To ty.
- Nie, to ty, Helu.
- Obydwoje, Piotrze. Obydwoje. A teraz chodźmy zatańczyć.

Ledwie wyszliśmy ze stodoły, pod młodziutkim sadem, rodzącym może pierwszy, może drugi raz, obsypanym czerwonymi i złotymi jabłkami, otoczyli nas moi chłopcy z partyzantki. Prawie wszyscy ubrani byli na pół wojskowo. W każdym razie większość z nich była w oficerkach lub w zdobycznych saperkach wyglansowanych do połysku. Ponieważ wszyscy byli w marynarkach wciętych w pasie, żeby łatwiej było założyć skórzany pas z pistoletem i granatami, widziałem po rozepchanych i odstających kieszeniach, że przyszli z bronią. Trochę się wystraszyłem tych odstających kieszeni, gdyż w każdej chwili mogli się na weselu zjawić stacjonujący nad rzeką i po domach Niemcy. Miałem nawet ochotę krzyknąć: - Ba-czność! - i odesłać ich do domów, żeby po dziuplach, w strzechach stodoł, po ulach pochowali broń, gdy oni otaczając nas ciasnym kołem, powyciągali butelki z bimbrem, przepijając do mnie i do Heli.

Piliśmy wprost z flaszek, jak tylekroć pod sadami, nad rzeką, w lesie. Obejmując się z nimi i całując, zapraszałem ich do stołów, zastawionych w izbie, wyniesionych do ogródka, do mojego domu, skąd słychać było grającą kapelę, czyjeś śpiewanie i dudniącą od przytupywań podłogę. Ale oni, najwidoczniej zmówieni, zanim się spostrzegłem, podnieśli mnie i zaczęli podrzucać. Wzlatywałem z ich rąk coraz wyżej, do koron paroletnich jabłonek, nad szczytowe gałązki. Sypały się jabłka złote i czerwone. A oni,

przekrzykując mój śmiech, pisk Heli, dudnienie czerwonych i złotych jabłek, ujadanie skaczącego psa, już mnie nieśli na ramionach, biegnąc pod sadem, przez błonia, pod moim sadem, do muzyki. Staralem się im wyrwać, wierzgając nogami, grzmocąc na oślep rękami, ale oni ściskali mnie coraz mocniej, że nie mogłem złapać tchu. Spod czyjegoś ramienia widziałem, że za mną, podtrzymując jedną ręką skaczący po plecach warkocz, a drugą odstający brzuch, biegnie Hela. Chciałem zawołać, żeby nie biegła, żeby szła powoli, ale byliśmy już pod moim sadem, już mnie wnoszono do izby przez rozwarne na oścież drzwi.

Widząc to muzykanci, urwali wpół nuty. Tańczący przystanęli wpół obrotu. Gdy chłopcy postawili mnie na nogi, Hela, zadyszana, nie mogąc złapać tchu, podeszła do mnie. Ze środka izby, spod karbidówki wiszącej u stragarza, szedł do nas kapitan, prowadząc pod rękę Marysię. Mimo woli stanąłem na baczność. Za mną stuknęły obcasy chłopaków. Kapitan, wysuwając rękę spod ramienia Marysi, stanął na baczność i odsalutował. Po czym powiadając: - Spocznij - objął mnie, przyciągnął do siebie i ucałował w obydwie policzki. I popychając mnie w stronę stojącej obok Marysi, skłonił się Heli. Prowadząc ją pod ramię, stanął na środku izby. Któryś z chłopców, gwizdząc na palcach, wrzasnął:

- Muzyka! Oberka!

Patrzyłem na Hele stojącą przy kapitanie. Dopiero teraz spostrzegłem, że kapitan z pochylenia głowy, z nóg ugiętych w kolanach przypomina Stacha. Gdy kapela zaczęła grać, jak dawniej na sierpniowym festynie uglądałem jasnego warkocza. Ręce same zaciskały mi się w pięści. Prowadziłem tak Marysię, żeby się zbliżyć do Heli i kapitana i dzielić między oczy tego Stacha, tego kapitana. Na całe szczęście ktoś stanął przy basach i przyplacając, zaśpiewał. Była to przyśpiewka o mnie, o Heli, o naszym weselu i o rychłych chrzcinach. Pociągając Marysię za rękę, ruszyłem w stronę basów. Ale Marysia przytulając się do mnie szepnęła:

- Daj spokój. Piotr!

Jeszcze raz przyjrzałem się śpiewakowi, przyciskając do boków zaciśnięte w pięści ręce. Muzyka zaczęła grać podaną jej melodię. Jak wtedy na festynie wtuliłem się w Marysię, szedłem ręką po jej plechach, po obojczykach, po całowanej do złota szyi. Ręce moje drgnęły, schodząc się na tych dwóch odwróconych berach. Uglądając jasnego warkocza, widziałem Mojżesza grającego na klarncie, mówiącego Mojżesza:

- Twoja? Cymes. Kiedy wesele? Zagram wam. Piotr. Och, jak ja wam zagram.

I równocześnie słyszałem, że Marysia, całując mnie w szyję, szepcze mi do ucha:

- Piotrusiu, daj spokój, patrzą. Wszyscy patrzą na nas. I Hela, i kapitan, i Pawełek patrzy.

- Wiem, że patrzą. Wszyscy, Marysiu, wszyscy. Jasiek, Stach, Mojżesz i Abraham Judka, i beniaminek Izaak. Wszyscy na nas patrzą. I napatrzeć się

nie mogą. A bo takiej jak ty jeszcze nie widzieli. I nie zobaczą prędko.

- Ale to twoje wesele, Piotrze. I Hela patrzy. Hela.

- Skąd wiesz, że moje? I że z Hela? A może to nasze wesele? Moje i twoje. Marysiu?

- Jak to skąd? Wszyscy o tym wiedzą. A gadasz tak, boś się upił i chcesz mi dokuczyć.

- Możem się i upił. Ale teraz jest nasze wesele. Mojżesz chciał, żeby to było nasze wesele. Och, jak on chciał, Marysiu. I ja też chcę, żeby to było nasze wesele. Na chwilę. Dobrze, Marysiu?

- Jeśli tak chcesz, Piotrze.

I przez chwilę było to nasze wesele, gdyż nie oglądałem jasnego warkocza i twarz kapitana nie była twarzą Stacha, i moje ręce nie myliły mi się z rękami listonosza, sołtysa z za wody, policjanta. Mogłem je zdjąć z tych dwóch odwróconych ber i znowu położyć na nich, i patrzeć na nie jak przed laty, kiedy je trzymałem na łbie psa, żrebaka, na ledwie oddychającej pod wierzbami zorzy, kiedy kładłem gałązkę z kulką żywicy na złożone ręce mojego starego.

Pierwszy też raz od przyjazdu z kościoła miałem ochotę podejść do Heli, przyciągnąć ją do siebie, pocałować w usta i przy wszystkich weselnikach położyć dłonie na jej stromym brzuchu. Przeciskając się z Marysią między tańczącymi, podszedłem do Heli. A gdy kapitan, trącony w ramię, przystanął, zabrałem mu Hele i pocałowałem w pogrubiałe od przeczuwania, od nie wypowiedzianego słowa wargi. A gdy zaczęła mrugać powiekami, odrzucając warkocz na plecy, szedłem rękami po jej poszerzonych biodrach, póki moje" ręce nie zesły się na jej zwiastowaniu. Poczulem, jak pod moimi rękami porusza się ono, nasze. A jak poczułem, że ono, nasze się porusza, przyciągnąłem Marysię i przy Heli i kapitanie pocałowałem ją w próbujące chwytać gałązkę usta. I gwizdząc z radości na dwóch palcach, wrzasnąłem:

- Muzyka, grać!

Podniosłem Hele i mając ją w ramionach, tańczyłem tak z nią, póki nie rozbolały mnie ręce, póki pot ściekając z czoła kropla po kropli nie zalał mi oczu. Wtedy podszedłem z Hela do Pawełka i składając mu ją na ręce, tańczyłem z jego drużką. Weselnicy, otaczający dotąd kołem, klaszcząc w dłonie, waląc się po udach, dogadywali:

- Uważaj, Piotr, uważaj. Z całą rodziną tańczysz.

I wskakiwali w polkę, aż szyby rzegotały. A ja wrzeszcząc: - Odbijany! - podchodziłem do basów, przyplącałem i znowu tańczyłem. Ilekroć w tańcu zobaczyłem Hele, pragnąłem, żeby mi urodziła syna. I to zaraz. Natychmiast. Na tym weselu. Przymykając oczy, widziałem siebie biegnącego truchcikiem z izby do izby, z sieni pod sad z berbeciem na ramieniu. I widziałem się jeszcze w stodole, na łąkach, w lesie łąącego na czterech łapach pod paprociami, pod leszczyną, wspinającego się na świerk po sójczy piórko, siebie rżącego jak parotygodniowy żrebak. Tymczasem ono, nasze, siedziało na moich plecach i targając mnie za uszy, za czuprynę, grzmocąc piętami w

obolałe boki, wołało, sepleniąc:

- Wio, Chytry. Wio!

I z którąkolwiek z dziewczyn tańczyłem, każdej mówiłem:

- Wiesz, Hela, prawda, że wiesz? Dziewczyny chichocząc, odpowiadały:

- Wiemy, Piotr, wiemy. Jakżeby inaczej. Wojna przecież. Będziesz miał

syna. Na pewno syna.

Oprzytomniałem dopiero, gdy tańcząc w matkę Marysi, usłyszałem:

- A toś, Pietrek, na amen utonął. Po dnie rzeki łazisz czy jak? Starą babę

Heluśką nazywać.

Ponieważ od tańca, od nieustannego gadania, śpiewania przy basach, od tego przyszłego biegania pod sadem, po izbie z synkiem na ramieniu, od łożenia na bałyku po lesie i po łąkach z berbeciem na plecach, byłem cały mokry, podszedłem do Pawełka i zabierając mu Hele, wyszedłem odpocząć do kuchni. Siedzieliśmy na ławce ustawionej koło okna. Przytuleni do siebie, ocierając się z potu, spoglądaliśmy na coraz jaśniejsze niebo.

- Wiesz, Helu, tam w Rzeszowskim, wtedy gdyśmy chowali Stacha, niebo było tak samo jasne. Jak piasek na dnie rzeki.

- Nie myśl o tym, Piotrze.

- Nie myślę. Helu. Tak mi się przypomniało. Ale bym chciał, żeby Stach był na naszym weselu. Wtedy, po festynie, gdym go przeprowadzał przez bród, zaprosiłem go na moje wesele. I on mnie też zaprosił na swoje. Z tobą, Helu. Na swoje wesele z tobą.

- Mówił ci o mnie?

- Nie, Helu, nie mówił. Ale gdy mnie zapraszał na wesele, spoglądał na ciebie stojącą na brzegu. To gdyby żył, na pewno byłbym na jego weselu. Na waszym weselu. I tańczyłbym z tobą. Ale bym cię nie nosił na rękach. On by na to nie pozwolił.

- Czemu mi mówisz o tym?

- Bo już mogę, Helu. Dawno ci chciałem o tym powiedzieć. Zaraz po festynie. I pod sadem, gdym wrócił z wojny. I wtedy w stodole. Ale nie mogłem. Jeszcze dzisiaj nie mogłem ci tego powiedzieć. Jeszcze wtedy, gdyś tańczyła z kapitanem, a ja z Marysią. Kapitan jest tak podobny do Stacha. Przypatrz mu się dobrze. Tom go chciał uderzyć, gdy tańczył z tobą. I Marysi mówiłem, że to nasze wesele. Marysi i moje. Bo jakby Stach żył, ożeniłbym się z Marysią. Mojżesz też chciał, żebym się z nią ożenił. To musiałem przez chwilę mieć z nią wesele.

- No widzisz, Piotrze, jakiś ty jest. No widzisz. A tak krzyczałeś na mnie wtedy pod sadem i później w stodole, gdym ci mówiła o Stachu. A ja wiedziałam. Wszystko, Piotrze, wiedziałam. O Marysi też wiedziałam. Od samego początku, od festynu, wiedziałam. Ale się bałam mówić o niej. Zawsze się bałam. Dopóki mi nie powiedziałaś teraz. I dlatego ci mówiłam o Stachu. Wszystko ci o nim mówiłam. Nawet więcej niż wszystko.

- I chciałaś, żebym zabił?

- Tego nie chciałam. Piotrze.

- Ale mnie namówiłaś, żebym zabił.

- To nie ja, Piotrze. To ON. ON cię namówił. ON Stach, Mojżesz, porucznik, ON wikary. I ON zabił. Przecież wiesz, przecież oboje wiemy, że to ON.

- Teraz już nic nie wiem. I nie chcę wiedzieć. Helu. Póki się ono, nasze, nie narodzi, o niczym nie chcę wiedzieć. I nie gadajmy o tym. W głowie mi błyska od tego gadania. Ciągłe tylko: ON i ON. A zanim był ON, byłaś ty, była moja matka, Pawełek, kapitan. Mówili, że to oni zabili. A jak tak mówili, całymi nocami powtarzałem sobie, przyciągając do boków wyjęte z gaszonego wapna ręce: - Ty zabiłaś. Helu, ty matko, ty Pawełku. - A jak tak sobie powtarzałem, moje ręce same przychodziły do moich boków i pokładały mi się pod potylicę i spałem na nich, póki się nie zbudziłem, póki nie usłyszałem polującej u krokwi kuny, póki ich nie położyłem na łbie psa, żrebaka, konia. Wtedy z powrotem widziałem ręce listonosza, ręce sołtysa i ręce policjanta, I mówiłem, na głos mówiłem: - Zabiłeś, Piotrze. Tymi rękami zabiłeś. Za Hele i za matkę, i za Pawełka, żeby pomścić Stacha, Mojżesza, porucznika i młodziutkiego wikarego. Zabiłeś. Piotrze. I jeszcze raz byś zabił. I jeszcze, jeszcze. - Ale nie teraz. Helu. Nie patrz tak na mnie. Mówię ci, że nie teraz. Póki się ono nasze małe, nie narodzi, mrówki nie tknę.

Widziałem, że Hela chce coś powiedzieć, gdy do kuchni, trzaskając drzwiami wpadł Pawełek.

- Piotr, kapitan cię szuka.

Objąłem Hele za ramiona i całując ją w czubek głowy, poszedłem do kapitana. Stał przy oknie zasłoniętym papierem, otoczony chłopcami. Chłopcy coś mu klarowali, częstując bimbrem. Przytakiwał im, a zobaczywszy mnie, zawołał:

- Dobrze, żeś jest. Chłopcy chcą zatańczyć. Sami. Ze swoimi dziewczynami. Taki leśny, jędrusiowski kawałek. Powiadają, że im się należy. Ja też jestem za tym. Tylko chcą, żebyś ten kawałek poprowadził. I żebyś zaśpiewał. Piotr. To co, zgadzasz się, kapralu?

- Tak jest, kapitanie.

Kapitan podszedł do kapeli i wskakując na krzesło, powiedział:

- Chciałem wszystkich przeprosić, ale teraz muzyka będzie grać dla leśnych. Dla Jędrusiów. Dla żołnierzy. To przecież partyzanckie wesele, rozumiecie sami. Kapralu Piotrze, prowadź!

Podszedłem do basów i przyplacając, zaśpiewałem jedną z tych piosenek o lesie, o chłopcu leżącym w trawie z podłożonymi pod głowę rękami, o karabinie mokrym od rosy, o dziewczynie wzdychającej przez sen, o koniu uwiązany do sosenki i rżącym w przeczuwaniu, o sokole zataczającym nad lasem coraz dalsze w posiwieniu koła. A śpiewając tę byle jak postulaną piosenkę, widziałem Stacha przysypanego piaskiem i Mojżesza leżącego twarzą w pszenicy wybieranej chomikom. I musiałem aż do krwi zagryźć wargi, żeby nie widzieć siebie śpiewającego na chórze wielkopostną pieśń połamaną kołkiem, przebitą na wylot.

A gdy do tańczących Jędrusiów jako ostatni dołączył zugsführer, zeskoczyłem z ławki i obejmując Hele, wszedłem, jak w świąteczną palbę, w polkę. Teraz dopiero się zaczęło. Co chwila któryś z chłopców, wskakując na krzesło, przyśpiewywał. Tańczono przeważnie odbijanego. Dziewczyny wędrowały z ramion w ramiona. Co roślejsi, podskakując w tańcu, uderzali pięściami w bielone wapnem stragarze. Sypało się siwe wapno na tańczących, na przyśpiewki, w chichotanie i klaskanie stojących pod ścianami.

Ale nie był to jeszcze jędrusiowski taniec. Dopiero gdy zauważyłem, że chłopcom ścieka pot za cholewy i poniektórzy ściągają marynarki, gwizdnąłem na palcach. Puszczone w tańcu dziewczyny rozbiegły się pod ściany. Chłopcy, waląc się rękami po odstających kieszeniach z bronią, ściągając na tył głowy powyciągane z zanadru furażerki z orzełkami, otoczyli mnie kołem.

I znowu byłem ich kapralem. Prowadziłem ich, przekradając się między bielejącymi zbożami, po zastodolu, nad rzekę. Uczyłem ich strzelać, padać, iść na bagnety. I w tym tańcu czołgali się za mną od chojara do chojara, zaszywali się w paproć, w leszczyne, galopowali oklep przez jesienne łąki na rżących koniach, przepływali przez rzekę, unosząc nad głowami karabiny, otaczali sąsiednie miasteczko, wypędzali kopniakami żandarmów z posterunku. Ustawiali ich pod murem. Unosili do ramienia broń. Strzelali. Strzelali na moją komendę.

A gdy już nie było do kogo strzelać, gdy suczące się ze Szkopami frajerki były ogolone do skóry, gdy poniektórzy sołtysi i wójtowie chodzili z poduszkami na tyłkach, gdy pomęczeni, z kropelkami potu na twarzach siedzieliśmy wprost na podłodze, racząc się bimbrem, któryś z chłopców powiedział:

- Ale cicho. Jak na łąkach po sianokosach. I jeszcze dodał któryś:
- Jak po wojnie.

I już gadano na wyprzódki:

- Właśnie. Jak po wojnie.
- Chyba już niedługo będzie po niej.
- No pewnie. Kapral to wyczuł. Jeszcze w kwietniu wyczuł. Weselisko

sprawił.

- Spieszył się. Ale utrafił. Z liczydłem chyba łąził. Dziedzica chciał mieć. A po wojnie o dziedzica trudniej.
- Nie takiemu jak nasz kapral.
- Ale zawsze trudniej.
- A teraz to pewniak. Dziedzic. Jak dzwon, dziedzic.
- I do tego jeszcze wykapany ojciec.
- Jakżeby inaczej.
- Strzelisty jak topól.
- Gładki jak Jan święty na kościelnym witrażu.
- I chytry, chytrenki.

- **Bystry w oku.**
- **Składny i celny w ręce.**
- **Taki nie przepuści ani kotu, ani psu.**
- **Taki wróbla i po ciemku trafi w oko.**
- **A jakżebyś chciał, bratku. Toś widział kaprała przy promie, w miasteczku widziałeś? Rzęsa mu nie drgnęła.**

Zanim siedzący przy mnie Pawełek zdążył otworzyć usta, żeby powstrzymać gadających chłopców, zdzieliłem pięścią między oczy mówiącego ostatnie słowa. I nie panując nad sobą, rzuciłem się na pozostałych chłopców. Biłem ich i kopałem, szarpałem za czupryny, niemal wydrapywałem oczy. Niektórzy, zrywając się z podłogi, uciekali pod ściany, gdzie piszczały z przerażenia kobiety. Ale pozostali rzucili się na mnie. Po chwili, powalony, leżałem na podłodze. Na moich rozrzuconych rękach i nogach siedziało kilku chłopców. Ale póki mi nie wepchnęli furażerki w usta, krzyczałem na cały głos.

- **Nie dam go wam! Nie dam, zbóje! Nie pozwolę, bandyci! Będziecie zabijać sami! Sami! Sami! Sami!**

[Spis treści](#)



22

Tuż po weselu Hela sprowadziła się do naszego domu. Od paru tygodni mieszkaliśmy razem. Teraz obydwie z matką kręciły się koło blachy, zaczynały chleb, doily krowy, darły pierze. Dbały też o mnie, pitrasząc coraz wymyślniejsze stawy i wypiekając fikuśne ciasteczka. Jakoż po tej bójce na weselu przeleżałem kilka dni w łóżku, nie mogąc podnieść ani ręki, ani nogi. Nacieraly mnie denaturatem i bimbrem, smarowały maściami robionymi z ziół i masła. Poszło też parę kur i gołębi młodziaków na rosoly i zupy. Gdy po paru dniach zacząłem chodzić, potykając się jeszcze, opierając o ściany i sykając z bólu, zawsze któraś z nich, zazwyczaj Hela, szła do stodoły, do stajni, do dREWUTNI. Ale gdy już bez sykania i postękiwania mogłem tupnąć sobie i wyciągnąć rękę do stragarza, nie pozwoliły mi chodzić w połatanych łachach. Teraz nawet, idąc do stajni, do stodoły czy też rozłupywać sosnowe okrągłaki, byłem wystrojony, jakbym szedł na odpust. Koszule były nakrochmalone i wyprasowane, zacerowane najmniejsze dziurki w spodniach i marynarkach, przyszyte wszystkie guziki.

Po przyjsciu do siebie nie mogłem wysiedzieć w domu. Śpiąc z powrotem w stodole, zrywałem się spod pierzyny o zmroku i zaprzęgnawszy konie, wyjeżdżałem w pole. W polu z dala od ludzi, idąc za pługiem, za bronami, siejąc zboże, łatwiej mi było myśleć o sobie i o Heli. Od wesela bowiem, od tej bójki, nie ośmieliłem się rozmawiać z Helą ani o niej, ani o mnie. Ona też nie próbowała się dowiedzieć, czemu wówczas rzuciłem się na

chłopców. Najwidoczniej razem z matką uradziły, żeby przy mnie nie napomykać ani jednym słowem o tym wszystkim.

W jakiś tydzień po przyjsciu do zdrowia, zaorywując pszenicznisko pod tarniną, puściłem konie w pobliskie łąki i usiadłem na papierosa. Siedząc na brzegu rowu pod tym samym krzaczkiem, pod którym zostawiałem jadło dla Mojżesza, powiedziałem sobie, najpierw cicho, później głośniejszym głosem, wreszcie wrzasnąłem, aż konie uniosły łby znad trawy i zarżały:

- Zabiłeś chłopie. Wszystkich, wszystkich rozwaliłeś. Tą ręką rozwaliłeś, przez którą, gdy ją przyłożyć do twarzy, ledwie widać słońce i daleki las, i pasące się w pobliżu konie. I to jest twoja ręka. I nie włożysz jej do ognia, nie obetniesz siekierą, nie obmyjesz jej w rzece i w święconej wodzie, nawet w otwartym boku nie obmyjesz. To proszę was, odejdźcie ode mnie, ty, Stachu, i ty, Mojżeszu, ty, poruczniku z końca wsi, i ty, wikary mieszkający koło plebanii u wdowy. I was też proszę, matko, Helu, kapitanie, Pawełku, odejdźcie ode mnie. I już nigdy nie mówcie mi, że to ON.

Jak sobie to powiedziałem, przestałem się przejmować tym wszystkim, co gadano o mnie we wsi. Jakoż od bójki na weselu wszyscy uważali, że zbzikowałem. Gdy szedłem przez wieś, schodzili mi z drogi, gdy ich spotykałem stojących na ganku, udawali, że rozmawiają z którymś z domowników. Tylko dzieci, pomyliwszy sobie najwidoczniej zasłyszane od starszych pogaduszki o mnie, biegły za mną, wołając:

- Piotr, Piotr, zrób nam proce. Wybijemy wszystkie koty. Wszystkie psy wybijemy. I gawrony, wszystkie gawrony. Jak ty Szkopów. Pstryk, pstryk, Piotrze, wybijemy do nogi!

Uśmiechałem się do nich i przyrzekając im, że jak będę miał tylko trochę czasu, porobię im proce, zabierałem dzieciaki do sklepu, obsypując je cukierkami. Ale po powrocie do domu, siadając przy stole, bałem się spojrzeć na Hele, na jej odstający brzuch. Ilekroć przechodziła koło mnie, trącąc mnie kolanem lub łokciem, wyciągałem rękę, żeby ją położyć na wzbierającym wzgórzu. Cofałem ją jednak i kładąc na stole, przypatrywałem się jej zrogowaciały wzgórek po wzgórkę, sęk po sęku, koleina po koleinie, włoszek po włosku.

Dopiero w połowie grudnia, gdy spadł pierwszy śnieg, a ja nie mogłem zasnąć, słysząc polującą u krokwi kunę i wrzeszczące dzieci: - Pstryk, pstryk, wybijemy do nogi! - wyszedłem ze stodoły i idąc boso po pierwszym śniegu, uchyliłem ostrożnie drzwi, najpierw od sieni, później od izby, żeby nie zbudzić śpiącej w kuchni matki, i przyszedłem do Heli. Nie przebudziła się, gdy wchodziłem do izby, nie drgnęła też, gdy przystanąłem nad nią. Spała na wznak, obejmując rękami rysujące się pod pierzyną wzgórze. Dopiero gdy zdejmowałem z jej twarzy rozsypany warkocz, poruszyła się i wzdychając przez sen, otworzyła oczy. Musiałem ją wystraszyć, gdyż zanim zdążyłem powiedzieć: - Helu - usiadła, wykrzykując:

- Kto tu?

- To ja, Helu. Przyszedłem.

- O Boże, Piotrze. Zamarzniesz na sopel. Włóżże do łóżka.

Stałem jeszcze, przestępując z nogi na nogę, ale ona już ciągnęła mnie za rękę, już się przesuwiała pod ścianę, już mi rozcierała zgrabiałe stopy.

Leżąc obok niej, położyłem obydwie dłonie na jej twarzy. Powolutku, poczynając od wypukłego czoła, szedłem nimi przez zgrubiałe usta, przez rozdętą szyję, zatrzymując się dłużej na nabrzmiących i nie mieszczących się w dłoniach piersiach. Ale z nich też zszedłem i podciągając jej koszulę, położyłem obydwie dłonie na tym gołym zwiastowaniu. Szedłem po tym ogromnym zwiastowanym nam wzgórzu, nasłuchując, kiedy się poruszy. A gdy wzgórze się poruszyło, zdjąłem z niego ręce i wyskakując z łóżka, przyłożyłem doń głowę. Jakoż nie dowierzałem dłoniom i sprawdzić chciałem uchem, ustami, całą twarzą, czy mnie nie zawiodły. A gdy się przekonałem, że mnie nie zawiodły teraz ani przy listonoszu, sołtysie, policjancie, położyłem się z powrotem obok Heli i podnosząc jej głowę, wsunąłem pod nią obydwie dłonie. Ale ona, wyjmując moje ręce spod głowy, całowała je palec po palcu, sęk po sęku, bruzda po bruzdzie. Po czym, nie mówiąc ani słowa, położyła je z powrotem na brzuchu.

Nie wiedząc nawet kiedy, zasnąłem. Gdy się przebudziłem, było prawie jasno. Moje ręce leżały nadal na poruszającym się wzgórzu. Nie śmiałem ich zdjąć, gdyż sobie przypomniałem to nasze spanie na strzesze, kiedy w zanadrzu Heli było pełno jabłek, a ja w każdym jabłku czułem poruszające się dwie złote renety, dwa żywe stworzenia. I jak wówczas bałem się, że Hela budząc się, powie przez resztki snu:

- A jak będziesz królem, to będę królową. A jak katem będziesz, to kątową będę.

Przeto trzymając ręce na jej brzuchu, pochyliłem się nad nią i pocałowałem ją w rozchylone usta. Poruszyła się we śnie, próbując się przekręcić na drugi bok. Pocałowałem ją jeszcze raz, przygryzając leciutko jej dolną wargę. Wyjęła ręce spod głowy, szukając mnie koło siebie. Wtedy, żeby nie mogła powiedzieć ani słowa w sennym rozmarzeniu, zamknąłem jej usta wargami. Dopiero gdy zaczęła się dusić, podniosłem głowę.

Od tej pory sypialiśmy razem. Noc w noc, nie dowierzając dłoniom, nasłuchiwałem całą swoją istotą zwiastowanego nam wzgórza. I całymi dniami nie wychodziłem z domu, nawet do stodoły po siano, do studni po wodę, do szopy po drewno. Bałem się, że jeśli opuszczę Hele na chwilę, w naszym domu zjawi się listonosz, sołtys z za wody, policjant. Przeto żeby się nigdy nie zjawili w naszym domu, przeniósłem spod stodoły budę psa i umieściłem ją tuż obok wejściowych drzwi. Wiadomo bowiem, że pies, podobnie jak koń, czuje, widzi i słyszy ten świat umarły, zamieszkujący rośliny, wody, ptaki przelatujące po niebie, mrówki, kreta idącego pod ziemią.

Nie dowierzając jednak psu, pewnego dnia, gdy Hela z matką poszły doić krowy, wyciągnąłem ze strzechy ciupagę ze sztyletem. I przebiłem nią na wylot wszystkie drzwi, poraniłem na krzyż powietrze w obydwóch izbach, w sieni i w komorze i zraniłem to serce powietrza pulsujące w kominie. A gdy

dom był zabezpieczony przed roślinnym, wodnym, ptasim listonoszem, sołtysem z za wody, policjantem, wyszedłem pod sad i ugodziłem wielokrotnie pełne sędzielaku powietrze pod jabłonkami i zadrasnałem do miazgi każde drzewko. Dopiero wtedy, uspokojony, wszedłem do domu i nad wejściowymi drzwiami wbitem sztylet po rękajeść.

Wiedząc, że przez te drzwi nie odważy się wejść pod postacią rośliny, wody, ptaka, mrówki nikt niepowołany, wszedłem na strych i zniosłem wygrzebaną spod siana moją kołyskę i drewnianego konia na biegunach. Gdy Hela z matką wróciły ze stajni, niosąc pełne skopce mleka, podbiegłem do nich i posadziłem je. Hele w kołysce, a matkę na drewnianym koniu. Początkowo ostrożnie naciskałem stopami bieguny kołyski i drewnianego konia. Ale gdy Hela z matką, przyciskając do piersi skopce z mlekiem, starały się zeskoczyć z kołyski i z konia, zacząłem sobie pomagać rękami. Dopiero gdy koń i kołyska stawały niemal dęba, a rozchlapywane mleko zalało całą izbę, twarz Heli i twarz matki, usiadłem na ziemi i wałac się rękami po udach, chichotałem, aż szyby trzęsły się w źle okitowanych oknach.

Spoglądając na mnie, lękając się, że znowu mnie coś napadnie i zacznę z całych sił naciskać bieguny kołyski i drewnianego konia, Hela z matką zeszyły z nich pośpiesznie. Wycierając się w fartuchy, stanęły nade mną. I głaszcząc mnie po głowie, próbowały uspokoić. Gdy uda walone otwartymi rękami piekły mnie, jakby mi w portki włożono pokrzywy, przestałem chichotać. Nie podniosłem się jednak z podłogi. Spoglądając na zachlapaną mlekiem kołyskę, konia na biegunach i izbę, przypatrując się stojącym nade mną kobietom, jakbym je widział pierwszy raz w życiu, wrzasnąłem na cały głos:

- W mleku, w baliach, w cebrzykach, w beczkach, pełnych mleka, będziemy kąpać naszego małego. Żeby był biały jak sokół lecący przez deszcz, żeby był czysty jak gronostaj i jasny jak piasek na dnie rzeki.

Od razu po obiedzie, wyciągnąwszy z zakamarków butelki z pokostem, puszek z farbami, zabrałem się do odnawiania kołyski i konia na biegunach. Najpierw kołyskę i konia obmyłem z kurzu, z kornikowego próchna ciepłą wodą z mydłem. Kołyska malowana była w rajskie ptaki, w cietrzewie czubiące się nad wiosenną wikliną i w różnokolorowe maki (to na sen), z których zamiast kwiatów rozwijały się roślinne słońca.

Sporo miałem kłopotu z tymi rajskimi ptakami, cietrzewiami i makami. W każdym razie, zanim je odnowiłem, zeszło mi parę dni. Ale gdy kołyskę po paru dniach postawiłem przed moimi kobietami, nie mogły się z uciechy naklaskać w dłonie. Natomiast o wiele łatwiej poszło mi z drewnianym koniem. Był malowany na czerwono. Wystarczyło go więc pociągnąć minią i pokostem, a był jak żywy. Wprawdzie musiałem mu dorobić zetlałą grzywę i ogon jak również uzdę, ale nie było przy nim tyle dłubaniny, co przy kołysce.

Tyle tylko, że wałach w stajni stał teraz z ogonem po knykieć i białe weselne lejce były do niczego.

Tak się rozochociłem przy tym koniu i kołysce, że teraz całymi godzinami wycinałem z kawałków akacjowego, jabłonkowego, bukowego i lipowego

drewna rozliczne kukułki, koguciki, czaple stojące na jednej nodze w rzece i całą rodzinę boćków w gnieździe. Hela widząc te bociany zaczęła chichotać, podtrzymując obydwoma rękami coraz większy brzuch. Również matka nie wytrzymała i łapiąc się za głowę, rzekła:

- Bój się Boga, synku, a na co ci tyle boćków? Jeden wystarczy na pięcioro wnuków. A tu całe stado. To chyba liczydło sobie kupię.

Malując kołyskę i drewnianego konia, wycinając liczne ptaki, nawet nie spostrzegłem, że zbliża się Wigilia i Boże Narodzenie. Dopiero gdy matka z Hela zabrały się do wypiekania kołaczy i pitraszenia wigilijnej stawy, odłożyłem nóż i kawałek drewna. Bojąc się, że nie zdążę przed wieczorną gwiazdą, wszedłem do stodoły i dogrzebując się do karabinu, wyciągnąłem spod niego garść naręcza siana. Na tym sianie wyjętym spod broni chciałem poustawiać drewniane ptaki, położyć opłatki i na tym sianie, gdy się narodzi, miał leżeć, przynajmniej parę minut, nasz pierworodny.

Matka, Hela i ja, łamiąc się opłatkiem, czyniliśmy to tak, jakby każde z nas trzymało na lewym ramieniu syna i wnuka. W trójkę podeszliśmy do wiązki siana, kładąc na nim po kawałku opłatka. A siadając do wieczerzy, obok drewnianej łyżki Heli położyłem jedyną srebrną łyżeczkę. Potrawy zaczęliśmy jeść dopiero wtedy, gdy Hela spróbowała ich srebrną łyżeczką. Po wieczerzy wszedłem do komory i przyniosłem flaszkę wódki. I zmusiłem moje kobiety, chociaż się wzbraniały, żeby wypily przynajmniej po łyku. Sam natomiast, pierwszy raz od wesela, nalałem sobie pod rząd kilka kieliszków i trącąc się ze srebrną łyżeczką, wypilem.

Już mocno kręciło mi się w głowie, gdy kobiety zaczęły śpiewać kolędy. Dołączyłem się do ich śpiewania. Po mnie zaczęły brzęczeć w kolędzie blaszane garnki wiszące nad piecem, źle okitowane okienne szyby, pies leżący koło pieca ze swoim szczekaniem i srebrna łyżeczka na stole. Wydawało mi się również, że sztylet nad drzwiami, wbity po rękojeść zadygotał w kolędzie. Przez nasze śpiewanie przeszedł cień listonosza, sołtysa z za wody, policjanta, cień wielkopostnej pieśni dusznej od ran w dłoniach, na nogach i w boku. Spojrzałem na moje ręce leżące obok srebrnej łyżeczki. Wyraźnie bieleły. Do gaszonego wapna, do opłatka.

Przeto bojąc się, że za chwilę zobaczę na nich ręce listonosza, sołtysa z za wody i policjanta, wstałem od stołu i podchodząc do drzwi, uderzyłem pięścią w rękojeść sztyletu. Zgrzytnęło rozdzierane ostrzem drewno, posypało się siwe wapno na wiązkę siana, na urwaną nagle kolędę. Opadł żelazny skobel, skrzypnęły sfatygowane drzwi. Na progu stał Pawełek.

- Śpiewacie?

- Jak słyszysz.

- Można się przyłączyć?

- Czemu nie?

- Ale od wszystkich. Od kapitana i od chłopców.

- Nie dasz rady, Pawełku. Tyloma głosami śpiewać naraz?

- Spróbuję, Piotrze, może mi się uda.

- Chyba ci się uda. Tobie zawsze się udaje. Ale zanim zaczniesz być kościelnym chórem, napiłbyś się ze mną.

Zanim Pawełek zdążył odtajać z mrozu, ze śniegu, z onieśmienia, butelka była pusta. Przyniosłem drugą. Gdy u trzeciej widać było dno, zdążyliśmy wypić po wielekroć zdrowie Heli, matki, kapitana, zugsfürera, i chłopców. Również nie obyło się bez wypicia zdrowia srebrnej łyżeczki, pokropienia kołyski i drewnianego konia na biegunach.

Kobiety spały już od dawna, gdy z trudem podnieśliśmy się z ławki i obejmując się za ramiona, wyszliśmy pod sad. Przyrzekając Pawełkowi, że zjawię się u chłopców na Sylwestra, patrzyłem, jak odchodzi przez zaledwie prószący i uciszający wszystko śnieg. Gdy mi zniknął za pierwszymi domami, spojrzałem na niebo. Wydawało mi się, że między gałązkami widzę twarz Stacha i Mojżesza. Wbiegłem do domu i zabierając opłatek z siana, kawałeczek po kawałeczku rzucałem go w ośnieżone korony jabłonek.

Tak jak było umówione z Pawełkiem, spotkałem się w Sylwestra z chłopcami. Wszyscy przyszli z bronią. Przesiedzieliśmy całą noc w domu jednego z chłopców, popijając. Ktoś nawet grał na organkach i na grzebieniu. Paru chłopców próbowało tańczyć z pościąganyymi naprędce dziewczynami. Ponieważ front stał kilkanaście kilometrów od nas, myśleliśmy, że tej nocy zacznie się natarcie. Ale wokół było cicho, jak zimą w mrowisku.

Toteż gdy w kilkanaście dni później pierwsi żołnierze rosyjscy zjawili się po drugiej stronie rzeki, prawie nikt tego nie zauważył. Ja w każdym razie, spodziewając się lada dzień rozwiązania Heli, dowiedziałem się, że Niemców już nie ma we wsi, dopiero na drugi dzień.

Z radości wyciągnąłem karabin spod siana i wchodząc pod sad, strzelałem do ostatniego naboju w ośnieżone korony drzew. Śnieg sypał się na mnie, na moje zgrabiałe i zbielałe od mrozu ręce, na skomlącego ze strachu, ale siedzącego na moich stopach psa. Miałem jeszcze ochotę wyjąć ostatnie granaty z siana, podejść do pobliskiego stawu i rozwalić lód. Niechby również staw spojrzał w niebo otwartą żrenicą. Ale gdy szedłem do stodoły pod sad bez chustki na głowie, bez kożucha, wybiegła matka. I wrzeszcząc:

- Hela rodzi! - pobiegła do domu sołtysa.

Trzasnąwszy drzwiami wpadłem do izby. Na łóżku, obejmując brzuch rękami, z głową zwróconą w stronę drzwi, leżała Hela. Szepcząc: - Co ci jest? Co ci jest, Helu? - klęczałem przy łóżku i ocierałem grzbietem dłoni pot z jej twarzy. Chciała coś powiedzieć, ale tylko krzyknęła i przygryzła zębami dolną wargę. Pocięła pierwsza i -dziesiąta kropla krwi. Ścierałem tę krew, te coraz większe krople potu z jej twarzy, z odsłoniętej szyi, patrząc na jej chodzące po całym łóżku ręce. Gdy Hela, próbując jeszcze raz coś powiedzieć, rozkrzyczała się na cały dom, do izby wpadły matka z sołtysiną.

Wypędziły mnie do kuchni. Sołtysiną, która odbierała od paru lat wszystkie dzieci we wsi i w okolicy, została przy Heli. Matka natomiast stawiała na blasze wszystkie sagany, jakie były w domu. Nosilem wodę w wiaderkach, ślizgając się na oblodzonej ścieżce, potykając o próg i o coraz

głośniejszy krzyk Heli. Gdy już wszystkie sagany były napełnione, chciałem wejść do Heli. Matka jednak nie pozwoliła. Stała przy drzwiach, odpychając mnie kuksańcami. Gdy ją chciałem odciągnąć od drzwi, pierwszy raz od dzieciństwa zwyzywała mnie od bandytów.

Ponieważ nie mogłem wysiedzieć w kuchni, chociaż zatykałem sobie uszy, polazłem do stajni. Ale w stajni również było słychać krzyk Heli. Zamknąłem drzwi na skobel. Nadal słyszałem krzyk. Zacząłem je zasypywać sianem. Krzyk nacichł. Zdawało mi się jednak, że drzy od niego każde źdźbło trawy. Przeto polazłem do koni i stojąc między nimi, łaskotałem je między uszami, klepałem po szyi. Widocznie od tego łaskotania drżała skóra na końskich szyjach. Konie, najpierw wałach, a później kasztanka, przestępowały z nogi na nogę i podnosząc coraz wyżej łeb, rżały. Słyszając na przemian ich rżenie, krzyk dochodzący przez sad, przez zawalone sianem drzwi, szeptałem:

- Cicho, Helu, cicho.

W stajni, stojącego między końmi, podtykającego im pod wargi na przemian koniczynę i kolby kukurydzy, szeptającego: - Cicho, Helu, cicho - zastał mnie dziadek Jakub. Otwierając drzwi i zaplatając się w spadającym z nich sianie, zawołał:

- Jesteś tu, Pietrek?

- Jestem, dziadku Jakubie.

- Dajże spokój zwierzętom. Syn mu się urodził, a ten w stajni siedzi. Tu nie Betlejem.

Wyskakując spośród koni i ściskając dziadka Jakuba, aż mu zatrzęszczały starcze kości, popędziłem do domu. Przystanąłem na progu. Dopiero gdy matka wrzasnęła: - Zamykaj drzwi! - wszedłem do izby.

Na stole zaścielonym prześcieradłami, wierzgając nóżkami i drąc się wniebogłosy, leżało ono, nasze, wycierane przez matkę. Wyciągnąłem ręce, ale matka, patrząc na mnie, kiwnęła głową w stronę łóżka, przy którym na stołeczku siedziała sołtysiną.

Nadal z wyciągniętymi rękami, jak ślepiec, zbliżałem się do łóżka. Stałem przy łóżku wyprostowany, mając ciągle wyciągnięte ręce. Dopiero gdy sołtysiną trzepnęła mnie po nich, pochyliłem się nad Hela. Uśmiechnęła się:

- Wszystko dobrze, Piotrusiu. Wszystko.

Położyłem dłonie na jej twarzy. Ucałowała je. Po czym wyciągnęła ręce w stronę stołu. Matka zawijając dziecko w prześcieradło, podeszła do łóżka i podała je Heli. Chciała je wyjąć z prześcieradła, ale nie mogła. Pomogła jej sołtysiną. I trzymając w dłoniach tę gołą, wierzgającą i wrzeszczącą istotę, podawała mi ją. Powoli, jakbym podnosił kamienie, wyciągnąłem dłonie. I już miałem wziąć to kruche stworzenie, gdy spoglądając na moje wyciągnięte ręce, zobaczyłem dłonie listonosza, sołtysa z za wody, policjanta i wszystkich zabitych przeze mnie. Krzycząc: - Nie! Nie! Nie! - cofnąłem ręce za siebie i uciekłem na środek izby. Skrzyknęły drzwi i do izby, kuśtykając, wszedł dziadek Jakub.

- No, jak tam, Pietrek? Prawda, że chłop na schwał? Jak mika z kwarcem, jak żelazo gęste. Ręce odpadają, gdy się go dłużej trzyma. Cesarskie, królewskie, witosowskie dziecko.

- Nie, dziadku Jakubie. Nie cesarskie, nie królewskie i nie witosowskie dziecko. To mój syn. Ale go na ręce nie wezmę.

- A czemuż to, Pietrek.

- Nie mogę, dziadku.

- Tak osłabłeś? Przecieżeś nie rodził? Bierz syna i nie pleć głupstw. Ojcem jesteś. Od dzisiaj ojcem jesteś. A ojciec musi wziąć dziecko na ręce, podrzucić je do powały, obnieść po wszystkich kątach. Dziedzic mu się urodził i to w taki czas, a ten łeb podnosi i wierzgać próbuje. Ogier narowisty.

- Nie mogę, dziadku. Nie mogę go wziąć. Skrzywdzę go. Na całe życie skrzywdzę.

- Jak to go skrzywdzisz? Przecież wiesz, jak się dziecko trzyma na rękach, jak się je podrzuca do powały i po izbie obnosi? Każdy człowiek wie. Od berbecia wie.

- Nie o takiej krzywdzie mówię, dziadku.

- To o jakiej? Cóżżeś znów wymyślił?

- Nic nie wymyśliłem. Wiecie, o czym mówię. Wszyscy wiedzą. Nawet dzieci wiedzą. Przez wieś mi przejść nie dają. To go nie wezmę na ręce. Nie mogę. Zabiłem, dziadku. Tymi rękami zabiłem.

- I cóż z tego, żeś zabił. Wszyscyśmy zabili. Ja też. Na tamtej wojnie jeszcze, ale zabiłem. Musiałem zabić. Jakbym nie zabił, nie widziałbyś mnie dzisiaj. Ale synów nosiłem na rękach. Wszystkich siedmiu piastowałem. I wyrosli. Na porządnych ludzi wyrosli. I nie stała się im żadna krzywda.

- Wyście, dziadku, zabili na wojnie. Żołnierzy zabiliście. A ja musiałem zabijać zniecka, z ukrycia. Musiałem przechytrzyć listonosza, sołtysa zza wody, policjanta. Dopiero gdy ich przechytrzyłem, zabiłem.

- A musiałeś, Pietrek, pewnie, że musiałeś ich przechytrzyć. Gdybyś ich nie przechytrzył, oni by przechytrzyli ciebie, wszystkich nas by przechytrzyli. To za to, żeś ich przechytrzył i zabił, żeby oni nas nie przechytrzyli, powinniśmy cię ozłocić, po rękach całować.

- Co też dziadek wygaduje. Ja się właśnie tych rąk boję. Przypatrzcie się im dobrze. One zabiły. I są podobne do rąk listonosza, sołtysa zza wody, policjanta. Takie same jak ich. Wyjęte z gaszonego wapna, z ran w rękach i w nogach, z rozdartego boku wyjęte. To nie mogę wziąć na nie małego. I podrzucić go do powały nie mogę. Oni, ci zabici przeze mnie, podrzucaliby go razem ze mną, razem ze mną nosili. I nie wiadomo, co by z niego wyrosło.

- Pietrek, bój się Boga, Pietrek. Cóż ty wygadujesz? Do cna ci się we łbie pomieszało. A tak cię wszyscy chwalili i ja też cię chwalilem, że masz kiepełę jak się patrzy. I co z tego, żeś zabił? Wszyscyśmy zabili. Królowie też zabijali. I Bóg też zabijał. Karząc, zabijał. Toś ty był jak ten król, jak ten miecz w ręku Boga. Syn ci się urodził, królewski syn, Pietrek.

- A może ze mnie kat? Kat to też król. Tyle tylko, że od śmierci.

- Patrzcie go, a to ci wymyślił. Kat, kat. Długość musiał dumać, żeby tego kata z konopi wytrząsnąć? Nie ma co, bierz syna. Bierz, bo ci przyłożę.

Stałem przy łóżku z rękami splecionymi na plecach. Hela trzymająca się do tej pory w wyciągniętych rękach dziecko, położyła je obok siebie. Płakała. Pochylone nad łóżkiem, uciszały ją i wrzeszczące dziecko matka z sołtysiną. Dziadek Jakub, cofnąwszy się pod ścianę od komory, wyraźnie szykował się do ataku na mnie. Pochyliwszy głowę, zaciskając pięści, kuśtykał coraz szybciej, postukując okutą żelazem kulą. Cofałem się przed nim. Gdy utknąłem na ścianie koło drzwi, dopadł mnie i grzmocąc pięściami, wrzeszczał:

- Weź go! Weź go, skurczybyku! Natychmiast go weź na ręce!

Nie odzywałem się przyjmując kuksańce. Wreszcie dziadek Jakub, trafiwszy w mój łokieć, syknął z bólu i zadyszany usiadł na pobliskiej ławce. Dopiero teraz zorientowałem się, że dziecko przestało się drzeć. W izbie było jak w polu makowym. Dziadek Jakub, wysapawszy się, wyciągnął z kieszeni fajkę, upchał ją tytoniem i pykając z cybucha, spoglądał na mnie. A uderzając się dłonią w całe kolano, zawołał:

- Mam. Mam pomysł, Pietrek. Masz ty jeszcze moją szablę?

- Nie mam już, dziadku. Zrobiłem z niej sztylet. Ten nad drzwiami.

- Dawaj go.

- Ale ja właśnie nim zabiłem.

- Tym lepiej. Tym lepiej, synku. Ja też szablą paru zarabiałem. Dawaj go.

Wyciągnąłem go z trudem. Wbity aż po rękojeść, zgrzytał w twardym drzewie, jakby wychodził spod łopatk. Miałem go wreszcie w garści. Podąłem go dziadkowi na wyciągniętych dłoniach. Wziął go i obejrzawszy pod światłem karbidówki, wstał z ławki i pokuśtykał do łóżka. I rzekł do Heli:

- Wyjmij dziecko. Wyjmij z pieluch. Żeby było nagie.

Pochylając się nad dzieckiem, szedł po jego ciele sztyletem. Po jego prawej i lewej ręce. Po lewej i prawej nodze. Wzdłuż piersi i wzdłuż pleców. Na koniec przyłożył sztylet do ust dziecka. A przeciągając sztylet po ciele dziecka, przez cały czas mówił:

- Żeby rąk twoich, nóg twoich, twojego boku, okruszynko, nie otworzyła nigdy włócznia ani miecz, ani szabla, ani nóż, ani gwóźdź, ani cierń, ani drobny opitek. A jakoś z raję, jakoś stamtąd, gdzie wszystko jest jeszcze w ziarenku przeczuwanym zaledwie, spraw, żeby to żelazo, które zabiło, było czyste. Żeby odtąd nim można było kroić tylko chleb, drażyć rzepę, ostrugiwać jabłko.

Odchodząc od łóżka, zbliżył się do mnie i przeszedł sztyletem po wewnętrznej i zewnętrznej stronie moich dłoni. A przykładając mi sztylet do ust, kazał ucałować, po trzykroć ucałować ostrze. A gdy ucałowałem to żelazo, wrzucił je do balii z wodą, w której kąpano naszego pierworodnego. I biorąc mnie za rękę, przyciągnął do łóżka.

- Teraz go możesz wziąć. On jest czysty. I sztylet jest czysty. I tyś jest czysty jak łza.

Wyciągnąłem ręce. Były ciężkie. Cięższe od dwóch kawałków żelaza, od wapiennych kamieni cięższe. I wziąłem dziecko podane mi przez Hele. I powiedziałem:

- Synku.

I podrzuciłem go pod powałę. Jeszcze raz podrzuciłem i jeszcze raz. I wołając: - Synku! Synku! Synku! - nosiłem go po całej izbie. A gdy dziecko na powrót się rozplakało, oddałem je Heli i wybiegłem z izby. Wszedłem do stodoły. Rozkopując po ciemku siano, wybierałem z niego złote renety, upychając nimi kieszenie i zanadrze. Gdy wychodziłem ze stodoły, pod sadem czekał na mnie dziadek Jakub:

- A gdzieżeś ty bywał?

- Zaraz dziadek zobaczy.

Weszliśmy obydwaj do izby. Wziąłem spod ściany kołyskę i wyścielając ją leżącym od Wigilii sianem, postawiłem na środku izby. I biorąc dziecko z rąk Heli, położyłem je goluteńkie na sianie. I wyjmując z zanadru i z kieszeni złote renety, obsypywałem synka dookoła. Gdy jego nagość poczęła się złościć od jabłek, dziadek Jakub zawołał:

- Król! Król! Królewskie dziecko!

- Jak tam dziadek chce. Może i królewskie. Ale to mój syn. Nasz syn.

W zanadrzu zostało mi jeszcze jedno jabłko. Nie mogłem jabłka wygrzebać, gdyż zsunęło się aż za plecy. W końcu miałem je w garści. Chciałem nim ukoronować synka. Rozwarłem dłoń. Jabłko było całe czerwone. Stałem z tym jabłkiem na wyciągniętej dłoni. Ręka coraz bardziej mi białała. Widząc to dziadek Jakub, zawołał:

- To nasze jabłko. Rozkraj je, Pietrek. Na pięć części rozkraj.

Rozkroiłem to czerwone jabłko. Ale tylko na cztery części. I podzieliłem je między siebie, Hele, matkę i teściową. Dziadkowi Jakubowi podałem złotą renetę wziętą z kołyski. Obydwaj, synek i dziadek Jakub, byli z raju. Tyle tylko, że synek stamtąd wychodził, a dziadek Jakub już wchodził.

4 III 1967 r.

[Spis treści](#)

Komentarze dotyczące mojej witryny można wpisywać w [Mojej księdze gości](#)
